

De. II 1

TOM CCLXV.

SERYA 9.

ROK 67.

ZESZYT 795.



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

M A R Z E C

1907.

TOM I.—ZESZYT 3.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1907.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. DWA ŚWIATY, — przez <i>Adama Krasińskiego</i>	417
2. ŁUNA, — przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	428
3. POLSKA PRZED WOJNĄ SIEDMIOLETNIĄ, — przez <i>Władysława Konopczyńskiego</i>	457
4. RUCH LITERACKI W NIEMCZECH, — przez <i>Jana Kaczkowskiego</i>	496
5. JÓZEF CHEŁMOŃSKI, — przez <i>T. Jaroszyńskiego</i>	518
6. Z CYKLU SONETÓW MYTOLOGICZNYCH, (poezya), — przez <i>Lucyana Rydla</i>	530
7. KILKA LAT Z ŻYCIA SŁOWACKIEGO, — przez <i>d-ra T. Grabowskiego</i>	535
8. ROZMAITOŚCI (Wspomnienie o <i>Towiańskim</i>), — przez <i>Henryka Mościckiego</i>	575
9. PIŚMIENICTWO: FERDYNAND HOESICK: Życiorys <i>Stanisława Tarnowskiego</i> (1837 — 1907). — przez <i>Józefa Kallenbacha</i>	583
10. KRONIKA MIESIĘCZNA: Po wyborach. — Kłęska na <i>Wołyniu, Podolu i Ukrainie</i> . — Choroby chwili.— <i>Warszawskie muzeum sztuk pięknych</i> .—Z dziejów cenzury rosyjskiej w <i>Polsce</i>	594
11. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	611

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 3.



De. II 1.

Dwa światy.

II.

W jednym z listów korespondencyj swęj z Encyklopedystami, mówi w te słowa o sobie Imperatorowa Katarzyna, odpisując na pochwały i pochlebstwa francuskiego pisarza: „Mówisz Pan, że jestem wielką, ale zapominasz, że tę wielkość stworzyła około mnie przestrzeń, która jest pustą.“

Świat cały przez długi przeciąg lat, przez dziejów koleje patrzył na Rosyę i widział w niej potęgę, ale widział jedynie to, co było oficjalną tej Rosyi szatą: dwór, rząd, dyplomacyę i armię. Do panowania Aleksandra III znała Europa myśl rosyjską jeno w urzędowem przedstawieniu, a nie w swoistej istocie, znała to, co było kierownictwem olbrzymiego Imperyumu, kierownictwem raczej niemieckiem z ducha niż słowiańskiem, co było zewnętrzną ścianą budowy, murem od frontu. Tę ścianę na wszelkie sposoby umacniały rządy absolutne. Pozatem znał Zachód nieliczną warstwę ludzi, których przyciągał powab cywilizacyi, uzdolnionych nieraz i rozwiniętych niezwykle, ale jak kwiat cieplarniany niezrosłych z życiem bliskiem, wyrwanych z otoczenia, z warunków przyrodzonych działania i przeznaczenia, a najczęściej przystosowujących się umięjętnie, niejako *prawem mimicy*, do europejskich warunków. Byli to rosyjscy kosmopolici wiedzy, sztuki, używania, stąpiający się czasowo, rzadziej stale, ze światłem i blaskiem obcym, jak byli inni kosmopolici spiskowi, kosmopolici przewrotu, którzy z goryczą i nienawiścią w duszy opuszczali państwo, aby tonąć w nurcie międzynarodowej myśli rewolucyjnej.

Dopiero talenty wielkich pisarzy, począwszy od Turgeniewa, Dostojewskiego i Tołstoja, zaczęły dobywać na jaw przed obcy-

mi treść duszy rosyjskiej. Ale to wydawało się długo Europie *widowiskiem sztuki*, a więc sztucznem widowiskiem. Brała ona pisarzy rosyjskich za artystów jedynie, a nie za ludzi okrutnej rzeczywistości. Widziano już i odczuto, że odległość myśli—tej, która starała się utrzymać pozory konstrukcyi i ładu, i tej biegunowo przeciwnej i wręcz przeczącej, która wszystko podawała w wątpliwość—jest odległością przepastną, ale łudzono się, że to może dwie równowartościowe fikcye, fabuła rządowego optymizmu i fabuła literackiej negacyi. Jedna z nich głosiła stałość niepomierną, śpiżową, głosiła moc niezwalczoną Laoteszanu, nieledwie jeszcze w dzień poddania się twierdzy—druga nie wahała się wnosić absolutyzmu niewiary i lekceważenia tam nawet, gdzie umysł zachodni instynktownie szukał oparcia: w samo pojęcie zobowiązań i prawa, w podstawowe twierdzenia każdej organizacyi, we wszelką karność, związek rodziny, w łącznię ojczyzny, urągając każdej powadze, rozluźniając węzły najbardziej naturalne, jakby myśli siliły się, aby niechcieć, niemódcz w czemkolwiek *ustalić się granicą*, aby chcieć, aby módcz lubować się nieszczęściem rozkładu. Świat cały czytał raporty Pobiedonoscewa i czytał Kreutzerowską sonatę i „Woskresenje,” ale zdawało się Europie, że między literaturą a życiem jest wszędzie taki sam rozstęp, jak na Zachodzie, i że wyobraźnia, która „dramat układa,” niekoniecznie z dramatu się rodzi.

Dopiero teraz, gdy słyhać głos społeczeństwa i gdy narodowi dano mówić, zaczyna przekonywać się umysł zachodni o postaci prawdy.

Dla tych, którzy patrzą w dzieje i wiedzą z przesłanek dziejowych, jak przemawia świadectwo przeszłości, jasną jest ta prawda. Wnioski narzucają się same i nie jest to rozumowanie dowolne. Dosyć patrzeć uważnie: życie niesie obfitość przykładów. A więcej jeszcze zapowiada.

Na głębinie rosyjskiej cienką warstwą leży dojrzałość, a cała nadzieja w tem że głębiny te nie wzburzą się i nie wyleją zniszczeniem. Lub powiedzmy, że cywilizacya jest młodą rumią u brzegów lodowca, a cała przyszłość polega na tem, aby słońce topiło lodowiec, ale nie poruszyło z posad jego groźnej masy. *Aby zwyciężyła prawdziwa wyższość przez prawdziwy rozwój.*

Jasnym jest, że tam, gdzie niema zasobów z przeszłości, musi wydzwignąć się postęp bardzo dużą i bardzo długą i wszechstronną pracą. Praca taka znowu oprzeć się musi na najbardziej dojrzałych żywiołach. Nie w sensie przywilejów jakichś, ale w znaczeniu lepszego przygotowania, kierować nią muszą najsposobniej-

si; inaczej wszystko będzie trudem daremnym i wszelki wysiłek utonie w chaosie.

Nie wchodzimy tu w roztrząsanie, czy stosunek sił twórczych do niewymiernych pożądań i do nieprzygotowania olbrzymiej rzeszy jest taki, że uprawnia lub też problematyczną czyni nadzieję szczęśliwego rozwoju myśli konstytucyjnej w Rosyi, chcemy jedynie stwierdzić obiektywnie, że w położeniu, w którem naród rosyjski skupić winien całą swą energię rozumną, nie wolno mu pod *grozą samobójstwa* niszczyć tego, co, mimo wszelkie trudności, zdołało jednak wyrosnąć bujniej i owocniej i co przez odpowiednie zastosowanie mnoży cywilizacyjny dorobek państwa i siłę społeczeństwa utrwała.

Nie wolno mu pod pozorem demokratycznego równania umniejszać *rzeczywitych* wartości. Nie wolno mu ściągać wszystkiego na poziom najbardziej niziny!

Nie umiała Rosya przejąć się tą prawdą wobec cywilizacyjnych początków u siebie, a tem mniej wobec cywilizacyjnej wyższości podbitych narodów—i czynić tego, co czynił dawny Rzym, gdy podbijając Grecyę, Azyę mniejszą i Egipt, nie tępił ducha zwyciężonych narodów, ale go sobie przyswajał i nim się bogacił.

Przeciwnie, absolutyzm rosyjski niszczył wszelką wyższość, a osłaniał niższość, był na Zachodzie bezwzględny, na Wschodzie często opiekuńczym. W tem jego barbarzyństwie—gdyż nie ma na to innego wyrazu—była nietylko największa niedola ciemionych, ale stąd rosło i nieszczęście samego państwa. I tak trwało do dni naszych. Weźmy przykłady bliskie. W polityce zewnętrznej, w stosunku do dawnej Rzeczypospolitej, opiera się Rosya na masie fanatyków „*liberum veto*,” przeciw oświeconym mężom reformy; następnie po powstaniach, przeciw pokonanym i pojmującym, że zbrojna walka szaleństwem jest i że trzeba ratować kraj pracą—wygrywa ciemnego włościanina, a gdy wytrwała dzielność i praca ofiarna mimo wszystko pokonała zapór i wpływ rozdwojenia, a włościanina tego dla myśli narodowej pozyskała, rząd zdaje się spoglądać ku rozkładowym żywiołom, nieraz zwalczając usilniej narodową jedność, zapowiedź ładu w społeczeństwie, aniżeli przewrót społeczny. A w Rosyi samej, czyż postawienie chłopcy-wyborcy i chłopcy-posła w roli uprzywilejowanej, nie miało na celu przygłuszenia myśli wzrosłej wyżej i bardziej wyrobionej—ciężarem myśli nieruchawej, pierwotnej. Rezultat był wprost przeciwny, gdyż musiał być takim. Ani myśl ocieźlała nie trwała w spokoju, ani też trwały w ciszy apetyty i chucie, które bywają tem usilniejsze i tembardziej porywcze, im mniej

znajdują hamulców w jasnej, pewnej wiedzy i zrozumieniu. Rząd chciał płomień rewolucyi przytłumić ciemnotą masy, a dołał jedynie żądzę i niepohamowania i pożar rozniósł po kraju! Jestto system wypędzania „dyabła przez szatana.“

W tem niweczeniu, w tem zasadniczem *poniżaniu wyższości* jest najistotniejsze źródło krzywdy i goryczy; źródło jawnej lub skrytej walki między tymi, którzy gwałt uczuciom czynili, a tymi, którzy krzywdę cierpieli.

Ta jest najgłębsza przyczyna rozdźwięku między rządzącą Rosyą a Polską, która uczucie duchowej godności od wieków wychować i wykształcić usiłowała.

Od rozbiorów naszej Ojczyzny sto lat minęło — lata, które tak innem mogły być stuleciem. Z rozbitcia naszego państwa wynosiliśmy naukę, że tron, niestety, niezabezpieczony i rząd bezsilny, nieszczęsną był zbytnej wolności, a raczej swawoli, winą. Rosya witała zaranie wieku dziewiętnastego, jak się wita pierwszą jutrzenkę swobody. Gdyby ów Cesarz-Marzyciel, zamiast rojeń o szczęściu ludów Europy, rojeń szlacheńskich, ale bezpłodnych, był śmiałą a szeroką myślą objął znaczenie zgody dwóch słowiańskich światów, gdyby był pojął, jaką siłę mógł dać Rosyi w polskości, dążącej ku cywilizacyjnemu światłu, Polsce zaś w ustalonej władzy, i miasto jednej konstytucyi, traktatem wiedeńskim przyznanej, konstytucyi, którą autokratyczna Rosya już z samej swej państwowej zasady długo ścierpieć nie mogła—gdyby dał być po za autonomią ziem polskich, jakiś choćby na zwężonej, ale przecie na prawnej podstawie oparty ustrój swemu państwu, gdyby w niezachwianej a przewidującej woli, wyswobodził był w Rosyi człowieka i zbliżył wolnością dwa narody — byłby stworzył dzieło wiekopomne, dzieło unii słowiańskiej.

Nie bylibyśmy rzucili się w powstanie 30 roku, gdyby nie to, że absolutyzm, ścieśniając z wolna władzę sejmową, łamał konstytucyę i że na słowa: *to nasze prawo* — odpowiadał niedwuznacznie: *a to moja wola. Ceci tua cela.*

Aleksander I pragnął czas jakiś konstytucyi dla państwa całego. Nosił się z myślą swobód ogólnych. Powstawały projekta i plany. Hr. Sperański opracowywał reformę, ale brakło stanowczości i odwagi, aby przekroczyć Rubikon. Pisze Niemcewicz o księciu Czartoryskim, który chciał—w myśli swej i czynami —

podnieść Polskę przez Rosyę, iż „wyniesiony na stopień senatora i ministra spraw zagranicznych doznał, że największe dla ministra nieszczęście być pod monarchą słabym, wahającym się, nigdy całkiem nie dającym ufności swojej, rozkazy swoje, dane ministrowi, zaocznemi płątającym zleceniami — w takim wypadku błędy monarchy na ministra spadają“ (patrz „Bibl. Warsz.,” 1902, marzec, „Nieznany pamiętnik Niemcewicza,” str. 468).

Zwyciężyła inercya. Bezwzględność słabości, niweczy równie nielitościwie posiew nadziei, jak niweczy ślepa bezwzględność siły. Nie upłynęło lat trzydzieści, a Mikołaj I, widząc przed sobą wysłańca generała Chłopickiego i słysząc propozycyę porozumienia się w chwili stanowczej, gdy można było jeszcze uniknąć krwawej wojny i zażegnać nieszczęście—odpowiada pułkownikowi Wyleżyńskiemu kategorycznym oświadczeniem swej woli, która nie chce uznawać kompromisów. I po niedawno zamarłem *Liberum veto*, posłyszeliśmy nowe—*Był po siemu*. Równie zabójcze słowo i zabójcza zasada! Gdy Polska już w przedśmiertnej godzinie przewyciężyła święcone przez dwa długie wieki *prawo do anarchii*, Rosya umacniała je i w skamieniałą moc ustaliła, gardząc myślą, która całą Europę życiem wypełniła nowem, myślą wspólnej pracy rządu i społeczeństwa. Rządy rosyjskie umacniały się w niechęci do wszelkiej kontroli. Mikołaj I cofał dzieje ku ciemności i przygotowywał bezwiednie anarchię—od góry.

Taką, jaką była Rosya, kostniejąca w systemie biurokracyi, nie mogła ani przełamać ani przychylić, ku sobie Polaków. Przychylić potrafiłaby jeno pokochaniem i poślubieniem tych myśli, które w nas trwały, zbliżeniem się prawdziwem ku *wolności i prawu*.—przełamać, jeżeli wogóle można mówić o zniewoleniu przymusowem uczuć—tylko nieklamana wyższością ducha. Ale miała ona jedynie wyższość brutalnej siły w bezwzględności zakrzepłej.

Nie zniewalała tedy, ani też przełamывała, ale tamowała i znieprawiała przedewszystkiem.

W ciężkiej chorobie, przez jaką Polska przechodziła politycznie i społecznie od czasów elekcyjnych, a coraz to groźniejszej od czasu buntów, wicherzeń i wojen za Jana Kazimierza, śmiertelnej już zaiste w zobojętnieniu za Sasów, usiłowania ratunku, acz przychodziły spóźnione, świadczyły przecie i o żywotności i o zasobach narodowej duszy. Pokolenie, które uczył Konarski, dało ludzi, Kościuszko dał bohaterski wzór, a napoleońska szkoła czynu dała społeczeństwu kadry. Można było wierzyć w odrodzenie Polaków pracą i dźwignięcie się cywilizacją i ładem, gdyby Rosya,

zwycięska prawem ciała i stałością twardej woli łamiąca opór fizyczny, pojęła, że zagarniając Polskę, zyskuje dla państwa więcej sumienia i światła i że tę zdobycz szanować powinna. Mogło przyjść dla niej z wcielenia ziem Rzeczypospolitej świtanie wolności. Ale Rosya nie chciała uznać nas, jako *światło*; ona w nas tylko widziała *zarzewie*. Byliśmy dla niej niebezpieczni tą myślą i tem poczuciem wolności, byliśmy *wieczną rewolucją* przez to pożądanie swobody, byliśmy wprost przestępstwem w jej rządowym i politycznym pojmowaniu. Dlatego nie mogły ostać się czyny cywilizacyjne, które Polacy wnosili w państwo, krzewiąc je na ziemiach swej rozszarpanej Ojczyzny. Czacki i Czartoryski siali dobre ziarno, któremu dane było żniwo bujne, ale nie długie lata zbiorów. To *musiało być zniszczonem*, musiał na to przyjść zalew, skoro zasadą idei rządowej było oparcie władzy, nie na górującej cywilizacją, ale na ślepej i ciemnej masie. *Nie fakt powstania decydował, ale przyjęta zasada* — gdyby zasady tej nie było, nie byłoby prawdopodobnie powstań, gdyż nie byłoby tak dalekiej, tak rdzennie sprzecznej myśli i woli zwycięzców i zwyciężonych. Polak i rewolucya stały się synonimami. A dziś, gdy rozwichrzyło się na ziemi rosyjskiej i spętana siła narodu zaczyna głosić o sobie — my, starsi pracą, wolnością i doświadczeniem, my „rewolucyoniści“ wczorajsi, stajemy w oczach rosyjskich wyznawców swobody prawie jako synonim wstecznictwa.

I jestto znowu zupełnie naturalnem, i świadczy znowu nie o naszym wyziębieniu duchowem, jakby to chciała tłumaczyć niechęć i uprzedzenie, ale o naszej wyższości. *O wyższości naszej kultury*. Gdyż myśmy nią wyżsi zawsze — mimo wszystko.

Nad poniżeniem naszym pracowano z niestęchanym i nieustannym wysiłkiem od lat czterdziestu. Można powiedzieć, że w polityce wewnętrznej Rosyi destrukcyjna ta praca była najważniejszym prawie zadaniem państwowem tej doby. Rząd rosyjski uwierzył w utopię. Zdało mu się, że można naród o twórczej przeszłości *pozbawić ducha*, że można zamienić żywe, świadome społeczeństwo na masę pozbawioną wszelkiej wewnętrznej mocy. Chciał rząd, umniejszając polskość przez przytłumienie myśli i skrupowanie czynu, przez zniweczenie wszelkiej organizacyi w narodzie, wystudzić, wyjałowić i skurczyć, aby ją można było stopniowo i skutecznie wyplenić, aby *tradycya* stała się *legendą*, *odrębność — cieniem*, a *język — narzeczem* w Imperyum. Taka była myśl kierownicza polityki „przywiślińskiej.“ Największą utopią a najgorszem dla państwa dziełem. Najgorszem!

Narodu żywotnego ani zniweczyć, ani przemienić duchowo żadnym przymusem nie można. Drzewa, które wyrosło od wieków i zapuściło korzenie głęboko, ani wicher nie przełamie, ani mu nie wygnie konarów. Bowiem ma ono w sobie trwałą siłę życia przyrodzoną i własną moc wzrostu. Tę prawdę uznać muszą rządzący i coraz bliższym jest czas, w którym nikt przeczyć jej nie będzie, gdyż jasną jest i coraz bardziej oczywistą. A najmocniejsze utwierdzenie i świadectwo dają jej właśnie Polacy. Patrzymy tylko na odrodzenie narodowe Ślązka w dobie, gdy cały kolos niemiecki dławi nas i wysila się, aby zniszczyć, walcząc wszystką bronią, na jaką stać rząd mocny i naród rozwinięty a zasobny. A przecież — *E pur si muove!* — Rośnie nawet.

Dla rządu rosyjskiego, przy jego wewnętrznym rozstroju, było to tembardziej niemożliwym zadaniem.

Nie odrywał nas ucisk od miłości tego, co było naszym dobrem, własnością i prawem, od narodowej samowiedzy, ale nas psuł, przepajając nienawiścią, odzwyczajając od ładu, ucząc nieprawdy. Z tych klęsk rosło w nas znieprawienie.

Temi drogami wciskało się złe, rozkładając najprawdziwszą naszą wartość — *uczucie odpowiedzialności* wobec dziejowego sumienia.

Jeżeli powiadamy i wierzymy w to, żeśmy dziś, mimo wszystko, wyśi wobec Rosyi, to dlatego, że znieprawienie to nie zdołało zniszczyć wszystkich pierwiastków lepszych i konstrukcyjnych i że biorąc przekrój społecznej masy, jeszcze wynik wypadnie na nasze dobro i na naszą korzyść. Ale, zastrzegamy się wyraźnie, mówimy o *przeciętni*, szczyty nam ucisk i życie połamało. Weźmy tysiacczną rzeszę w Polsce i porównajmy trzeźwość, pracę, celowość wysiłku, uczciwość słowa, wyobraźnię i sądy, słowem nastrój cały psychiczny, z podobną masą w głębi Cesarstwa, a ciężar wartości na naszą się stronę przechyli. Nie chcemy dla chwały próżnej jedynie podnosić tego, co jest owocem każdej dawniejszej cywilizacyi. Jeden z wybitnych badaczy Rosyi, Francuz, Jules Legras, mówi w swej książce o Syberyi, że możnaby świat ładu naszego podzielić na wyraźne strefy, jakby szeregiem linii demarkacyjnych od Zachodu dążąc ku Wschodowi i krainy tak oznaczone barwić coraz to wyraźniej *barwą kłamstwa*. Na takiej mapie nie byłibyśmy zaiste krainą, gdzie prawda, tak w mowie, jak w czynie, rzetelność, słowność i uczciwość obrały sobie najlepsze siedlisko, ale jeżeli Rosya stałaby wyżej wobec Azyatyckiego Wschodu, my wobec niej byłibyśmy wartością niewątpliwą.

Ta wartość nasza, pomimo długiego ucisku, przetrwała, nie powiemy nienaruszoną, ale dosyć zdrową, aby przy lepszych warunkach można było wydobyć z niej nowe siły rozwoju i otrzeźwić wiarę w duchowe odrodzenie narodu. Mamy wielkie zasoby w myśli polskiej, w szczytnych jej dziełach i dadzą nam one zaczyn i zaprawę nowego a silnego umysłowego życia, które wydzwignąć nas musi i wprowadzić w jaśniejsze, czystsze powietrze z atmosfery mroku i kłamliwych pozorów, w której tak długo żyliśmy przygnębieni.

Dziś, może przedewszystkiem, brak nam ludzi.

Rząd działał zgubnie i rozkładowo, nie pozwalając, by wyrastali. Ze szkodą dojrzewania i konstrukcyi wnosił negacyę i rozstrój. Rodzimą cywilizacyjną pracę zatrzymywał i burzył, nie dając podwalin dla lepszej. Rzesza urzędnicza tuczyła się na przesładowczym ucisku w Polsce. Szkoła przeczyła wszystkiemu, co było polskiej myśli tworem i czynem dziejowym. Zaprowadziła w czasach Apuchtinowskich najściślejszą klauzurę dla umysłowości podrastającego pokolenia, wszystko usuwając, co w jakimkolwiek stopniu i mierze przyczyniało się do wzrostu naszej duszy. Przez tę klauzurę przedostawały się atoli zgoła inne wpływy. Nie tomiki Mickiewicza, ale tomiki zakazane Tołstoja i Gorkija poczęły krążyć, nieraz za wiedzą, za pobłażaniem tych samych nauczycieli, którzy za słowo po polsku wymówione, karali bezwzględnie. A czasem nawet za zgodą i namową. Gdyż twardy absolutyzm biurokracyi był nieraz świadomie obłądnym rozsądnikiem rozstroju.

System od represyi po 1863 coraz to większej nabierający stałości *przytępniał* umysły a *zaostrzał* uczucia. Oto co przyniósł, jako owoce. Nie zamienił nas wcale na wartości rosyjskie, ale jako wartość polską obniżył tam, gdzie się mogło rozwinąć intensywniejsze życie i gdzie szersze mogły się wyrobić poglądy. Natomiast utrwalił i pogłębił aż do społecznego rdzenia, aż do ludu, uczucie narodowej krzywdy.

Mimo wszystko to złe—a złe było tak wielkie i tak długo nielitościwie nam ciążyło—cywilizacyjna praca przeszłości dała nam to duże świadectwo o sobie, że, gdy pozwolono Polakom przemówić i w czynie politycznym wolę swą wypowiedzieć, nie przemówiliśmy, jak niewolnicy, ale jako ludzie wolni. Naród z jarzma swojego, z ciemni—przywiedziony na światło nie rzucił się w ślepej pożądlivosti ku swobodzie. Szedł z podniesioną głową i poważnie. Niech społeczeństwu polskiemu nie ciskają w oczy, że zamęt w kraju trwa jeszcze i że się narodził z dniem świtania

wolności. Stało się owszem przeciwnie: Przemówiła w nas stara cywilizacya.

Ona to nie chciała szaleństw rewolucyi rosyjskiej, ona to zarazem chce narodowego rozrostu.

Złączyła pod hasła narodowe włościan i ziemiaństwo, inteligencyę i duchownych, złączyła wszystkich, mimo różnic, mimo niechęci, nieraz nawet mimo sporów. To jest jej dziełem. Gdy polityczne życie wzniesie coraz to więcej swych zwyczajów, gdy nie będziemy już pamiętali o tem, że nam od siedmdziesięciu lat dopiero dziś wolno było znowu mówić po raz pierwszy o postowaniu w polskiej sprawie, gdy to wszystko będzie chlebem, ale i kamieniem codziennym, lękać się można, że, jak wszędzie w świecie, obok rzeczywistego rozwoju i wzrostu świadomości, wyrosną może i nieufności nowe i nowe przeciwieństwa. Ale bierzemy fakt dzisiejszy, kraj bez rozwiniętej samodzielności politycznego myślenia, wiedziony jedynie narodowym uczuciem. Kraj tu szereguje się bez wstrząśnień głębszych, mimo wszelkich różnic w poglądach około stronnictwa mówiącego mu głośno, że chce i zamierza prowadzić politykę, w której akcentuje i odwagę i rozwagę, a odrzuca romantyzm; w której głosi o rozwoju i demokratyzmie, a odrzuca doktrynerski radykalizm. Tylko przeto żeśmy z cywilizacyi poczęci, mógł kraj tak w obecnej chwili postanowić z instynktu. Rosya nie byłaby w stanie uczynić podobnie. Ona dziś idzie w dwóch przeciwległe skrajnych kierunkach, ona dopiero jutro, a jutro to może nie bliskie, zejdzie na inne, na rozumniejsze, na trwalsze tory polityczne.

Niech nas nie obarczają odpowiedzialnością za czyny nie z naszej woli powstałe, ani z naszej mocy. Zamętu i anarchii, która jest w kraju, nie wywołała myśl narodu. Nie będziemy tu uzasadniali, dlaczego ruch socjalistyczny przyjął u nas rewolucyjno-anarchiczny kierunek. Nic dziwnego że tam, gdzie przygotowanie umysłów wszędzie było niedostatecznem, najbardziej niedostatecznem musiało być w szerokich pracujących masach i najłatwiej przyjąć się w nich i rozplenić mogły siewy rzucone, czy to żądzą fanatyka, czy też z wyrachowaniem nieprzyjaźni zawistnej. Mamy u siebie liczną ludność w wielkiej swej masie obcą nam uczuciami, mamy granicę osiadłą placówkami niemieckiego przemysłu, a za tą granicą mocarstwo, gdzie żywią wrogię nam ducha, mamy wpływy rosyjskiego radykalizmu w żywiołach biurokracyi. Rola żywiołów przeciwnych nam, ich działania, ich ostateczne cele nie są łączne z celami polskimi, nie może być łącznej odpowiedzialności, mimo że kraj ponosi nieszczęsne konsekwencye.

Bo nie mogą odpowiadać Polacy za to wszystko, co się w kraju dzieje, ale za to jedynie, co czyni narodowe społeczeństwo. Jedynie kto władzę dzierży, dźwiga w zakresie swej władzy całą odpowiedzialność.

Jeżeli zaś pytać, jak naród nasz objawił swą wolę i w jakim nastroju ocknął się do politycznego życia, to Polacy mogą z chlubą powołać się na pochód ów, w którym brała udział polska Warszawa, gdy tłumy nieprzejrzane w porządku wzorowym bez żadnej niedostrojonej nuty, bez najnniejszego rozdźwięku a z ogromnem uczuciem i z wielką miarą spokoju, w sile i powadze świadczyły, że duch narodu nie zamarł w niewoli. Te tłumy, takie tłumy, w których szła ludność wielkiego miasta, a nie warstwy niektóre ani stronnice rzesze, dały dowód nie tylko żywotności, ale i cywilizacji.

A obok tego świadectwa postawmy drugie—wybory. Odrzućmy wszelkie względy partyjne, wszelkie niższe motywy, nawet i słuszne poczęści. Sądźmy bezstronnie, jakbyśmy o obcym, o dalekiem rozumowali społeczeństwie. Otóż, czy nie uderzającym jest, że po tak długotrwałym ucisku, kraj wypowiada się nie za polityką hasań skrajnych. Zdawało by się, że prawo kontrastu powinno objawić się wychyleniem, choćby demonstracyjnem, choćby przeciwnem rozumowi. Powie kto, ucisk uczynił nas biernymi, ostrożnymi nad miarę. Ależ w takim razie powinno było ziścić się wychylenie krańcowo odwrotne, powinni byli przejść ludzie najumiarkowańsi. Ani tak, ani owak się nie stało. Pierwsze i drugie wybory dały przedstawicielstwo środka. Kraj nie poszedł za hasłami rewolucyi, ale nie wybrał ludzi ostrożnego tonu. Czy przemówiła wyrobiona myśl polityczna? Dojrzałość doświadczenia? Ależ wyrobionej myśli kraj nie miał, gdyż nie danem mu było kształcenie zdania w jawności i starciu opinii. Nie myśl doświadczona, ale przemówił instynkt cywilizacji starej. Myśmy poszli za tym instynktem. I właśnie dlatego daliśmy istotne o sobie świadectwo, niewymuszone świadectwo ducha.

Patrząc krótkowzrocznie będziemy może twierdzili, że zwycięskie stronnictwo omotało tymi czy owymi sposobami opinię, aby ją wziąć jak na arkan i za sobą pociągnąć, że były różne własne i bardzo własne racje stanu i uniejętna sztuka, którą kierownicy, ludzie partyjni, przez różne luźne prace narodowe pozyskiwali nieświadomych, że cała ta robota w społeczeństwie zgoła jeszcze niewyrobionem politycznie, miała na celu przesianie społeczeństwa tego przez kilka mniej lub więcej przyspobionych sit, aby wreszcie jak największy zastęp ująć dla stronnictwa.

Wszystko to powiedzieć można i we wszystkim tem będzie część prawdy. Ale jestto rozumowanie płytkie.

Społeczeństwo dało się zagarnąć. Zgoda. Ale dlaczego? czy dla tego jedynie, że raz uchwycone, zostać musiało w trybach? Przenigdy. Dlatego, że czynne stronnictwo niczem innym nie było tylko rosnącym i dojrzewającym ku świadomości i ku mierze politycznej *narodowym instynktem*. A więc skoro tak było,— społeczeństwo idąc za stronnictwem, poszło właściwie za dążeniem własnem, poszło nawet pomimo błędów stronnictwa. I nie mogło prawie być inaczej.

ADAM KRASIŃSKI.

ŁUNA.

VI.

Samowar dogasał i syczał, zapadał wczesny zimowy zmrok, w pokoju, który wydawał się pustym, był smutek. Hanka patrzyła w drzwi, za którymi znikł Andrzej, goniła go myślą i, jak zwykle po rozstaniu, jak zwykle w chwili rozłąki na długo, rozpaniętywała, ogarniała okiem badawczem człowieka i przeszłość, robiła rachunek stosunku. Ta przeszłość była krótką: kilka dobrych, serdecznych, jasnych godzin. Przywołała wszystkie do siebie, wskresiła je żalem, szła przez nie pamięcią, niby przez szereg pokoiów domu, który trzeba pożegnać na zawsze... Spotkanie w cukierni, jakiś spacer, jakiś wieczór zaciszny tu u niej, potem pracownia... Sam zaprosił ją i chciał, żeby widziała, sam pokazywał ale bez pozy artystycznej, która bywa niekiedy pogardą dla widza, niekiedy udanem lekceważeniem własnych dzieł, bez gwary malarskiej. Stał za jej plecami, uśmiechał się.

— Panie, panie... jakie to! — wrywało się jej od czasu do czasu. I podziwiała bez słów.

Naprawdę to wszystko żyło tam na obrazach, i wydawało się jej, że ona to zna, że widziała wiele razy, że teraz zadumana przechadza się wśród swoich pól. Kamień, ogromny, siwy, omszony był właśnie ten, na którym siadywała, i karczma była ta sama, Pohulanka, z jednym oknem, z brudną szmatą, wetkniętą w szybę, i zwłaszcza ten kosiec Harasim, cały w zgrzebnem płótnie, podpasany wąskim rzemieniem, zlekka pochylony w zamachu kosą, ze spokojnem skupieniem na twarzy, i rzeka była ta, której wodom tyle lat zazdrościła, że biegną w dal... Tylko że tu, w każdym z tych płócien tkwiła cudza i tajemnicza myśl, która

przemawiała do niej, niby jakieś oczy zadumane w zadumie niezmiernej. I odwracała się, i szukała spojrzeniem wzroku malarza, jak gdyby chciała rozpytać go, wziąć go za rękę, pójść z nim tym szlakiem, w ten świat... Ale on stał ze swoim jasnym uśmiechem, bierny, obcy, niby widz, nieświadomy...

Dziś tak jak wówczas, Hanka nie umiała sobie wytłumaczyć, szczególniego kontrastu między twórcą a człowiekiem. Może on sam także dziwił się, i uśmiech, z którym patrzył na swoje dzieła, był uśmiechem zdumienia?

Człowiek, trzeźwy, wesóły, rubaszny, zawsze zadowolony, człowiek, który nie znał bólu, a tylko troskę, któremu w gminne poprzeczne bruzdy marszczyło się czoło, naraz stanął przed nią jako artysta, który poznał, który posiadał, który wie... Z podziwem gotowa była korzyć się przed nim, próbowała dotrzeć do jego duszy, szukała... Ale drzwi były zamknięte, a raczej nie było drzwi, tylko zamurowana framuga... i on nie rozumiał jej. Gdy dotykała ostrożnie strun własnej duszy i wydobywała z nich melodyę wiekuistej żałości — słuchał niechętnie, z poprzecznymi zmarszczkami na czole, z troską, jak gdyby gniewną w oczach, przerywał, gasił rozmowę zimnym podmuchem.

Smutek porównywał do poziewania a bolesny niepokój ducha, zadumanego nad otchłania, nazywał zajęciem ludzi bezczynnych.

— Jedni wciąż myślą—powiedział niegdyś—ja pracuję. Daję posagi siostron, kształcę braci, dokupiłem dla nich ziemi, maluje... oto i cel...

— A cierpienie, panie?—spytała Hanka—przecież ono przychodzi, ono jest...

Zapatrzył się w przestrzeń, troska odwieczna, dawna, była w tem spojrzeniu, pogodna twarz spochmurniała...

— Albo nie cierpiał zupełnie, albo zapanował i zabronił sobie — pomyślała Hanka.

I szukała w nim ran i serca. Ale i to serce zawiodło, zwłaszcza dziś... Przyszedł bardziej wesóły niż kiedy, z błyszczącymi oczami opowiadał o rodzinnej wsi, do której wybierał się, o rodzinnej zimie, o chacie zasypanej śniegiem, o borach śpiących pod okiścią, potem wspominał dzieciństwo głodne, bose, odarte, młodość, trudy, zawody, poniewierkę. Mówił szczerze, z prostotą, bez goryczy, mówił wesóło. Nie zauważył, iż niemądra łąza zawisła na jej rzęsach, że smutek zgasił jej oczy, że drżał jej głos, gdy skarżyła się na swoją samotność... Skończywszy opowiadanie, że nie umiał długo wysiedzieć bez zajęcia i że korcił go ka-

zdy nieporządek, zabrał się, wyśmiawszy jej niezaradność, do przyszywania oberwanych wieszadeł...

Dumała, przyglądając się szybkiej robocie igły, którą wprawnie trzymał w małych, zręcznych palcach. Potem, jak zwykle, sam zaparzył herbatę, sam płukał, wycierał, nalewał i pił szklankę po szklance swoją „herbatę“ z suchym chlebem. Gawędził... potem obtarłszy usta ręką, wstał, podziękował, mocno ścisnął jej rękę na pożegnanie—i odszedł, jak gdyby miał wrócić jutro...

Patrzała w drzwi, za którymi znikł, goniła go myślą i żalem. Bo mimo krótkich godzin, mimo rozdźwięku, mimo chwilowego gniewu, który rozdrażnił jej serce na widok radości, błyszczącej w jego oczach, teraz było jej niezmiernie żal. Zażądała polubiła i zażądała przywiązała się...

Pokój wydawał się pustym, samowar dogasał i syczał, i był szmer żalostnej opowieści, zapadał zmrok. Ogarnęła ją smutna zaduma samotnej godziny. I znowu myślą zwróciła się do Andrzeja, ale próbowała sądzić trzeźwo i jego i siebie i cały stosunek. Nazwała go człowiekiem chłodnym, swój żal—przesadnym, stosunek—pospolitą znajomością towarzyską, chciała postawić kropkę, zanknąć epizod i przejść nad nim do porządku, lecz nieposłuszna myśl pracowała dalej. Przypomniało się jej zdanie Rzyńniewskiego, surowe i zjadliwe, który ostrzegał ją i przepowiedział rychłe rozczarowanie—i nie przyznała mu słuszności.

Jeden wzgardliwy albo pochlebny przymiotnik nie wystarczał do określenia malarza. Z pozoru pospolity—był inny niż wszyscy. Czasami wydawało się jej, iż on przerasta otoczenie, to znowu nie umiała znaleźć w nim duszy, teraz uznała, iż on przedewszystkiem jest na inną miarę. Jeśli dusza jest narzędziem muzycznym, a życie duszy subtelną, złożoną melodią tęsknoty, cierpienia, niepokoju, to w nim tej duszy nie było, ale była za to jakowaś siła, nieznaną jej, której nie potrafiłaby dać nazwy. Takiego typu nie spotkała jeszcze ani w życiu, ani w książkach. Po każdej rozmowie próbowała pod świeżem wrażeniem na podstawie spostrzeżonych rysów ująć go w jakąś formułę, naszkicować profil, odtworzyć przypuszczalny całokształt—wysnuwała swój wniosek, przy którym trwała aż do następnej rozmowy, gdy nowa cecha charakteru, ujawniona niespodzianie, wywracała całą mozolną budowę. Zaznaczał często swoje chłopskie pochodzenie, ale bez hardej i zgryźliwej chępliwości, pospolitej u tych, którzy popisują się tak zwanem chamstwem dlatego, że cierpią nad niem w głębi; miał twardą, trudną, gorzką dolę, a nie chował żalu do społeczeństwa, zdobył sławę i zamożność, lecz nie przewróciło

to mu w głowie i nie było w nim płytkiej pychy dorobkiewicza: kochał niezmiernie swoje strony rodzinne i nie rozumiał zupełnie miłości ojczyzny; był niezwykle szczery i prosty a Hance, gdy obcowiała z nim wciąż wydawało się, iż rozmowa toczy się zaledwie na progu, przed drzwiami, które nietylko są zamknięte, ale i zamurowane; nie miał żadnych przekonań społecznych i politycznych, chociaż znał nędzę ludu lepiej, niż ktokolwiek inny, a zato wiarę religijną, która tkwiła w jestestwie jego głębokimi korzeniami; nie wygłaszał nigdy zasad i słów swoich nie rozpałał w ogniach ideału, a życie jego, o ile Hanka zajrzała w nie, było zacnem, może nawet podniosłem i pięknem... Ten człowiek był dziwny i niezwykły, jakkolwiek złożony z pospolitych cech, i dziwnem było uczucie, które budził dla siebie. Nie oczarowywał i nie rozmarzał, nie działał na wyobraźnię, a od pierwszej chwili stawał się drogim, pociągał ku sobie i przywiązywało się doń serce, niby do przyjaciela, lubo przyjaźń nie mogła oprzeć się na gruncie powinowactwa duchowego, niby do brata, chociaż nie łączyły z nim żadne wspomnienia... I Hanka myślała teraz, że w ciężkiej potrzebie zwróciłaby się tylko do niego, że na drodze samotnej on jeden dźwignąłby ją, gdyby upadła, że w zimnem jej terazniejszym życiu to jedno uczucie, także chłodne, roznieciło trochę ciepłego blasku... I dlatego zapewne odszedł.. Więc znowu sama, sama... Rozebrało ją znużenie wielkie...

W tej chwili ktoś zastukał.

— Witam panią dobrodziejkę — był głos Rzyźniewskiego.

I w akcencie i w słowach brzmiała nuta wesołości.

Przychodził nie w porę. Dała mu to odczuć w powitaniu, potem, gdy on, ożywiony i rozgadany, zaczął rzucać swoje piękne, magiczne słowa, podniosła na niego wzrok, którym bez ceremonii spytała, czy zaraz sobie pójdzie.

Wówczas Rzyźniewski zerwał się z krzesła, zmarszczył się, ze zjadliwym uśmiechem złożył ukłon, przesadnie niski, i wyszedł. Był naprawdę zły, przychodził tu, pewny siebie, pełen nadziei, dobrych uczuć i tklivości — i dostał odprawę. Nie zdarzyło mu się to nigdy. Zdobywał, gdzie chciał, pochylał się do tyłu uszu, szeptał, miał zakłęcie, od którego zapalały się serca, trzymał w dłoni tyle drgających serc, kochał, dopóki mu się nie znudziło. W książkach wystawiał kobiety, jako demoniczne złe, jako przekleństwo życia, okrutną i niszczyielską potęgę — w życiu bawił się kobietami. Rozpoczął zabawę i z Hanką. Była cicha, sielska, czysta, była inna, czuł, że oszałamiał jej duszę, że otwiera ją swoim mistrzowskim kluczem, że ta dusza drży i płonie —

a widział spojrzenia, pełne niechętnego lęku, odpychające, chłodne. Drażniło go to — i coraz goręcej pragnął. Przychodził do Hanki snuć swoją przędzę i jednocześnie osnuwał siebie samego jej pasmami. Ze zdziwieniem spostrzegał, że budzą się w nim uczucia, niezaznane oddawna, jakby wspomnienia młodości, że odzywa się w sercu jego tęsknota, w której jest coś z modlitwy, że to serce staje się młodem, że pada mu na nie odblask jej śnieżnej białości, że żądza naprzekór prawu i zwykłemu biegowi namiętności cofa się i ustępuje miejsce czemuś, co jest i lepsze i wyższe i czystsze... I przyszedł dziś, stęskniony i nieśmiały tak dalece, że nadrabiał sztuczną wesołością, usiadł skromnie jak rozkochany sztubak, mimo chłodnego powitania została do późnej nocy, kontentując się jednym uśmiechem, jednym spojrzeniem, usiłował przypodobać się, czekał promyka nadziei — dostał odprawę.

Teraz był zły i karmił gniewne uczucia szyderstwem. Wydrwiwał swoje romantyczno-sentymentalne, trubadurowo-rycerskie serce, myślał cynicznie o niej i o sobie, ordynarne wyrazy biegły mu na wykwiłtne wargi, złorzeczył... Kwiat, który pragnąłby zerwać, zadeptywał w wyobraźni w błoto, powtórzył sobie wiele razy, że już się doń nie pochyli, że jest wyleczony raz na zawsze, że głupia farsa z „wstydliwą gęsią, z zaściankową mimozą“ skończona.

I z irytacją patrzył głupim przechodniom w tem głupiem mieście w głupie twarze, z irytacją zastanawiał się nad tem, jak ma zabić długi wieczór, który w planie i w pragnieniu poświęcił był jej.

Skierował się do cukierni, gdzie zbierali się zwykle, pewny, że znajdzie tam „paczkę“ i że te podłe godziny miną przynajmniej nie samotnie. Rzeczywiście byli już wszyscy w komplecie, i w kłębach dymu „grzmiał“ głos „filozofa.“ Rzyźniewski wszedł z twarzą złą, kiwnął niedbale głową, usiadł. Ktoś go wnet zaczepił — nie raczył odpowiedzieć.

— Śmietanka — mruknął — kwiat narodu... bukiet.

Przyglądał się zuchwale, badawczo, długo każdemu po kolei.

Cienki filozof „grzmiał“ swoim piszczącym głosem jak kądrego dnia od tyłu już lat, rzucając gienialne przyczynki do wiekopomnego dzieła, którego ani zacząć, ani wykończyć nie umiał, w którym miał wyrzucić wszystkie dogmaty i systematy, zdeptać wszystkie powagi i stworzyć nową teorię esteto-dianamo-hedonizmu.

— Czy was nie zaboli żołądek od tego gadania? — przerwał mu trywialnie.

Filozof uciał, puścił kłęb dymu nozdrzami i znowu gadał. Po całym lokalu rozlegał się jego donośny, piskliwy głos.

Rzyźniewski robił swój szyderczy przegląd dalej. Wszystkie te twarze, oddawna znane, codziennie widywane, były nudne, nudne, nudne, i ludzie ci, jak błaża książka przeczytana z musu wiele razy, jak podręczniki szkolne, jak wzory obicia w hotelowym pokoju, nużyli i odpychali myśl. W dniach dobrego humoru Rzyźniewski lubił z nimi przestawać, bo patrzył na nich z góry i uważał siebie za wyższego, a oni wszyscy, z małymi wyjątkami, pochlebiali mu i okadzali każdy nowy jego utwór kadzidłem uwielbienia. Wówczas żartował z nimi wesoło — w innem usposobieniu sądził ich surowo.

Osowski, Leon, ten „poeta,” Masalski dramatopisarz, Ludwik, przewany buldogiem, muzyk — myślał zgryźliwie — same gwiazdy i słońca, same gieniusze, wybrańcy... Ładny bukiet... nuda, mierność, zaduch...

Zatrzymał spojrzenie na ostatnim z zebranych. Tego stanowczo i w każdym usposobieniu znieść nie mógł. Był to Prosper Kanalle, recenzent brukowy, zamieszczający we wszystkich dziennikach i czasopismach, ile ich tylko wychodziło w tem mieście, ubogie, liche stylowo, mdłe sprawozdania, chudopacholek literacki, nudny szperacz, coś pośredniego między mólem a kretem, zarozumiały i zgorzkniały, z pretensjami do katedry, przejęty doniosłością swoich kompilacyj.

Rzyźniewski prowadził z nim oddawna wojnę zaczepną i piekł go przy każdym spotkaniu zjadliwemi drwinami, zły za jakąś ocenę jego książek, rozdrażniony kapłańską powagą, pozą senatorską, którą przybierał ten wyrobnik, ten dyurnista. Teraz patrzył się na niego uporcezywie, natrętnie, zuchwale.

— Proszę pana — rzekł — czemu pan, świetny pisarz polski, badacz naszej przeszłości nie spolszczy swego nazwiska? Należy się to narodowi naszemu... Bo ja obawiam się, że zabiorą nam pana z czasem, jak Kopernika.

— Najlepiej dodać do nazwiska herb — zauważył ktoś.

— Nie, jest prostszy sposób — spokojnie tłumaczył Rzyźniewski — trzeba zamiast drugiego l wstawić jot...

Wszyscy spojrzeli po sobie, potem na napastowanego, potem na Rzyźniewskiego, który przebrał miarę.

— To będzie i polskie — kończył tymczasem ten. Prosper Kanalle zmarszczył się, chwycił się za brode, chrząknął.

— Oddawna przestałem odpowiadać na brutalne i głupie zaczepki pana — odparł zacinając się — i dziwi mnie, że pan...

— Przeszanę i ja — niecierpliwie przerwał powieściopisarz — ale tylko wówczas, gdy pan obieca nam sumiennie, iż złamię swoje pióro.

Prosper Kanalle ukrył twarz za gazetą. Dziennik trząsał mu się w rękę.

— Chcę położyć choć małą zasługę, zdobyć uznanie narodu, przynieść naszemu piśmiennictwu pożytek — sztydził Rzyźniewski — a prac swoich nie cenię.. postanowiłem tedy pośrednio... Pan podpisze zaraz zobowiązanie, iż od dnia dzisiejszego nie spłodzi ani jednej recenzji...

— Stachu — hamował go Osowski.

Ale Rzyźniewski pastwił się dalej.

— Bo mamy już dość pana. Nie chcę i basta! Nie pozwalam! A jeśli pan nie usłucha, ucieknę się do innego sposobu. Pan nudny jest i płytki... Jak piesek biega pan ulicami literatury, ugania się za pisarzami i obrywa im spodnie...

— Ni... ni... nikiemny — krzyknął nagle Prosper Kanalle.

Był biały, jak wapno, trząsał się.

Rzyźniewski zbladł także. Wstał i, już nie panując nad sobą, cisnął grubo oprawnym tygodnikiem w twarz przeciwnika.

I wyszedł.

— Goście narobili! Nie warto było... jakże można... wróćcie się i przeproście — gderał Osowski, który dopędził go na ulicy — drwiliście, ile się zmieści, leżliście w oczy, a na ostatku... jakże można... cóż teraz? chyba sąd honorowy.

Rzyźniewski zatrzymał się, zwrócił się szybko do Osowskiego:

— Sąd honorowy! Ja z nim? Oszaleliście, człowieku!...

— Więc dobrze, ja nie widzę innego wyjścia, a tak przecież zostać nie może! — biadał Osowski, łagodny, niezaradny, zagrzebany w swoich badaniach antropometrycznych uczony, jedyny z całego kółka, którego uznawał Rzyźniewski.

— Pojedynek. Tego chciałem.

— Pojedynek — zachnął się Osowski i urwał.

Szli w milczeniu.

— Postępek niedobry — odezwał się niewymowny Osowski — jakże można! ojciec licznej rodziny... uczciwy, pracowity...

— Pan Prosper Kanalle...

— Tak... Skrzywdziliście go srodze... wybryk humoru, chwilowa fantazyja... jakże można... postępek niedobry! nazywam rzecz po imieniu...

Rzyźniewski uniósł się.

— Kogo tu szkoda! Tego gryzipiórka, marnego rzemieślnika, pieska, który biega za nami i naszczekuje. Wyśmiałem go, on zelżył mnie, jutro pošlę mu wyzwanie i przestrzelę rękę, żeby nie mógł pisywać.

— Nieuczciwie — mruknął Osowski — zemsta, uraza osobista...

— Więc wy myślicie, że ja z powodu tych jego tam ukłóć — cha, cha — zaśmiał się Rzyźniewski — wasza naiwność doprawdy... ja i on... jakże on, który pełza, może mnie dosięgnąć?...

— Tego nie wiem... szukam pobudek...

— Chcecie — przerwał Rzyźniewski — ułatwię wam i odstoję je sam... Nazywacie rzeczy po imieniu, i ja je nazwę. Zbrzydliście mi wszyscy tak, że już dłużej wytrzymać nie mogłem... Dusilem się z wami i wśród was, w tem kółku wzajemnej adoracyi, w tem kółku miernoty — i raz na zawsze mam dość... Żywy duch mdleje, bo brak mu tchu w klatce, w piwnicy, w zatęchłej antykwarni, w nudnych wyziewach — krzyczał we mnie żywy duch... Dusilem się... Przypinaliśmy sobie wzajemnie szczydła, fabrykowaliśmy dla siebie królewskie korony — z papieru, zbieraliśmy się — same wielkości... zgromadzenie geniuszów! Ja sławny powieściopisarz, wy — pierwszorzędny uczony, filozof ze skradzionym systematem, ta kanalja — wielki krytyk, poeta, wielbiony przez postępowe panienki, nonszalancki muzyk... Byliście w komplecie, a jednego brakowało, jednej najnniejszej rzeczy: prawdziwego talentu...

Osowski puścił ramię Rzyźniewskiego, zwiesił głowę. Szli wolno.

Rzyźniewski namiętnie napadał dalej.

— Uważacie siebie za wybrańców narodu i budowniczych przyszłości, a w rzeczywistości cała wasza działalność polega na tem, że napełniacie wrzawą tę nędzną cukiernię. Powtarzacie cudze hasła, ogryzacie kości po cudzych ucztach, jak muchy brzęczące krążycie dokoła wielkich posągów, a jakżeście przejęci i pyszni i pewni siebie...

— Żegnam was... dowidzenia... tu przecież mieszkacie — zmienionym głosem przerwał Osowski i wyciągnął rękę.

Ale Rzyźniewski był zanadto wzburzony, zresztą despotyczny wogóle, więc Osowskiego nie puścił. Zaciągnął go do siebie, usadowił, kazał mu słuchać do końca.

— Wbiliście sobie do głowy i uwierzyliście święcie, że stanowicie opozycję, obóz postępowy, hufiec bojowników. A gdyby was zapytano, co wy przeciwstawiacie, o co toczycie wojnę, jakie jest wasze hasło, wasza wielka idea, wasz płomienny sztandar?...

Proszę o odpowiedź! Ja jeden z pośród was—i nie wiem... Pozytywizm, który umarł, którego upiór nudny tuła się po antykwarniach, ludowość mdła i mglista, ludowość bez ojca i matki, modernizm, koszlawo przepisany z cudzego zeszytu? Dali Bóg nie wiem...

Osowski zwiesił apatycznie głowę, dumął.

— Powiedzmy to sobie szczerze — napadał Rzyźniewski — jesteście niczem, zerem, warstwą kurzu na stopniach, wiodących do świątyni—i zmiotą nas... Żyjemy obłudą, fałszem, tanią krytyką, brukowem szyderstwem, zawiścią... Wzrok wasz nie sięga po za obręb murów tego miasta, zbrukaliście się wy, brukowcy... Wydaje się wam, że świat zaczyna się i kończy się tu, w tem mieście—i jesteście opozycją, nie ideową, ale opozycją małomiejską... W każdej dziurze prowincjonalnej rozdyma się żaba takiej zawistnej i nienawidzącej opozycji... Aptekarz, nauczyciel gimnazjalny — suchotnik, korespondent do pism stołecznych, lekarz-postępowiec... I ja miałem wędzić się z wami w tym zaduchu zaściankowym!

— Nikt was nie trzymał! — szepnął Osowski.

Rzyźniewski nie dosłyszał.

— Co wy trzymacie? — oburzył się — jaki sztandar! Nie dostrzegłem żadnego... ani myśli twórczej, ani talentu — zupełna jałowość. Kolportujemy z zachodu, dolewamy swojskiej wody do cudzego najczęściej sfałszowanego wina, częstujemy naród ekliwą zupą, wygotowaną ze szczypty zapożyczzonej esencji. I gniewamy się, że nas nie wielbią, i zgorzkniali jesteście a pełni pogardy i nienawiści. Nienawidzimy tych, co przerośli nas talentem, zasługami albo powodzeniem. Znudziła się nam rola zapoznanych geniuszów, depcących strome, samotne ścieżki, tęsknimy do wygodnych foteli uznania, więc obrzucamy błotem tych wszystkich, co takie fotele posiadli...

Rzyźniewski unilkł wreszcie. Biegał jeszcze chwilę niespokojnie po pokoju, potem usiadł. Spojrzał na Osowskiego, którego lubił, i rzekł łagodnie:

— I wy, Osowski, dobry z was robotnik, sumienny, zamiłowany, ale od urodzenia ślepy, a jakże ten, który nigdy nie widział słońca i nieskończonych obszarów?... Wydaje się wam, że wszyscy niewidomi, jak wy, że wszystkim wystarcza dotyk, że każdy tylko tyle ująć zdoła, ile ręką obmaca i kijem zbada... Jedno uderzenie skrzydeł, duch, i wiedza ducha... Nuda wieje od was, jak z antykwarni, gdzie niema okien i wiecznie pali się kopeczą lampka...

Urwał, bo już nie chciało mu się mówić. Zamyślił się, targał swój obwisły wąs. Nastąpiła cisza.

— A wy macie też co—po dłuższej pauzie zaczął niewymowny Osowski—możecie coś konkretnego... że tak ganicie, że odsądzacie nas wszystkich... radbym usłyszeć...

Ale Rzyźniewski milczał.

— Sądzić wolno—odezwał się znowu Osowski—ale szkalować nie... Wy nam o nienawiści i zawiści. Udowodnijcie... gdzie fakty? Że brak nam talentu, nie nasza wina, niech każdy, jak może i umie... zapewne, zapewne...

Głos Osowskiego był chwiejny, ale patrzył śmiało, może nawet ostro, swymi znużonymi oczami, w których zapalił się blask, w Rzyźniewskiego.

— Pieniądzy, stanowiska, rozgłosu nie zazdroszczę nikomu... Zestarzałem się, strawiłem zdrowie... co tam... służyłem nauce może ślepy od urodzenia, może w antykwarni... I takich potrzebuje społeczeństwo. Ale nie tylko ja, oni wszyscy, których zmieszaliście z błotem... nie wiem, co daje wam prawo?

Zapadło milczenie. Osowski nie przywykł długo mówić, unikał sporów, cierpiał nad każdą kłótnią, bał się zgiełku, brutalnych uderzeń życia. Teraz zgnębiony był postępkami Rzyźniewskiego, chciałby to odrobić, naprawić, nie wiedział jak. Zwiesił swoją ciężką głowę, gryzł w zębach ołówki.

— Pytaliście mnie—odezwał się leniwie Rzyźniewski—jakim prawem napadam. Nie mam żadnego. Mówię co widzę i czuję, i biję się w piersi. I nikt mi nie zarzuci, że nie rozumiem. Zajrzałem aż do głębi. Całe to pokolenie...

Machnął ręką. Znowu nastąpiło milczenie.

Osowski szukał kapelusza. Był smutny, zgryźliwie zwinęły mu się blade wargi.

— Co się tyczy Prospera—rzekł, żegnając się—proszę i radzę. Trzebaby jakoś... Sami uznacie po namyśle.

Rzyźniewski zaśmiał się sucho.

— Przestrzeleł mu prawą dłoń, bądźcie spokojni, nie zabiję. Znudził mnie do cna ten kiepski najemnik...

VII.

Nudząc się po wyjeździe Andrzeja, dla zagłuszenia nękających rozmyślań, które napadały ją w pustym pokoju, dla dowiedzenia się czegoś o Rzyźniewskim, wobec którego poczuwała się

do pewnej winy, Hanka zaczęła częściej odwiedzać młodą cygańsko-modernistyczno-postępową parę Orkiszów. Ona, Józka Orkiszowa, malutka, żywa, jak ogień, kobieta o pałających wśród bladej twarzy czarnych oczach, była daleką jej krewną, on—młodzieńcem bez określonego zajęcia, autorem paru szumnych felietonów o nowej sztuce, wielomownym rzecznikiem najnowszych prądów i mężem, rozkochanym w swojej żonie.

Spotkali się—tych dwoje—przed dwu laty w Paryżu, od pierwszego wejrzenia uczuli miłość wzajemną, a tak nagle, jak iskra elektryczna; elektryczną koleją podziemną we cztery dni po zawarciu znajomości udali się do biura dla spisania umowy cywilnej, która to ceremonia obojgu niezmiernie dopadła do smaku i przekonai; tym samym metropolitain'em pojechali na obiad ślubny do Duval'a, potem do „apartamentów własnych,“ złożonych z jednego pokoju — i odtąd w niezmaconej niczem wesołości pędzili dnie małżeńskie, zmieniając co parę miesięcy miejsce pobytu. Byli, jak ptacy niebiescy. Nie znali troski, która jest rdzą szczęścia, niepokoju—trucizny życia, obowiązków—tych niedorzecznych kajdan, w który przesądny człowiek zakuwa sam siebie. Le bon notaire, pan rejent, jak lubił mawiać Orkisz, nie pobłogostawił ich potomstwem, wolni więc byli i od tej „wrzeszczącej“ kuli u nogi, rodzice machnęli na nich ręką, oni—na rodziców; potrzeby mieli skromne nad wszelki wyraz. Podróżowali czwartą klasą, ponieważ niema piątej, a trzecią tam, gdzie czwartej nie było, mieszkali na ostatnim piętrze, całe mienie ich mogło zmieścić się w niedużej walizie, gdzie okazałe miejsce zajmowała maszynka „Primus,“ na której gotowali sobie śniadania, obiady, kolacje i „five o'clock'i,“ palenie w piecu nazywali przeżytkiem z epoki lodowcowej, a wszelkie kwestye pieniężne — trądem filisterskim — i bujali, jak ewangeliczne ptaki, w tem tylko niewierni onej przypowieści, że i Salomon i lilie polne przyodziani byli z większą krasą... Ale nie ujmowało im to wesela...

Oboje lubili i cenili Hankę i przyjmowali ją głośniemi oznakami zadowolenia. Sadowili ją na kanapie, bardzo szerokiej i wygodnej, łącie burżuazyjnej, która zabłąkała się do tego mieszkania przez pomyłkę. Józka zapalała maszynkę i zaraz rozpoczynały się długie, gorące, a czasami tak głośne, że zagłuszały perko-cący „Primus“ — spory.

Mieli wspólne gusta i upodobania, oraz bardzo zbliżone zapatrywania — i mimo to każda prawie rozmowa przechodziła w sprzeczkę. Było to dziwne. Gdyby jakiś sędzia wziął obie spierające się strony z osobna na egzamin i zapisał odpowiedzi,

pokazałoby się, że różnice są zupełnie nieznaczne, a w rzeczywistości coś nieokreślonego rozdzielało ich i odpychało od siebie. W Hance budził się duch upartej i gniewnej przekory, i dość było Orkiszowi jakąś rzecz pochwalić, żeby ona tę samą rzecz zaraz zganiła. Orkisz unosił się w zachwytach, najczęściej bezkrytycznych, nad każdym utworem, opatrzonym stemplem „modern“ albo podpisanym młodem nazwiskiem, ona zaczynała bronić starą szkołę i wyszydzała nowy kierunek, którego sama była przedstawicielką w literaturze, Orkiszowi wymknęło się jakieś zjadliwe słówko pod adresem „obskurantyzmu“ religijnego i „plugawego“ klerykalizmu i Hanka, jakkolwiek niewyraźna w tych sprawach, wygłaszała gorącą apologię kościoła, Orkisz miazdżył ustrój kapitalistyczno-burżuazyjny, malował z zapalem złoty wiek wszechwładztwa proletaryatu i śpiewał hymny na cześć socjalizmu — Hanka, którą naprawdę tyleż obchodziły walki partyjne, co zapasy atletów cyrkowych, odpowiadała mu, powtarzając z przekąsem wyczytane w pismach miejscowych „burżujskie“ zarzuty i argumenty... Czasami, wiedząc już, czem najbardziej może rozdrażnić stronę przeciwną, Hanka sama rozpoczynała szermierkę i zadawała ciosy dotkliwe. Zdania, żywcem, zda się wyjęte z „Dnia“, z organu „wsteczników“, pokropione wodą święconą klerykalizmu, upieczone na ogniu egoizmu klasowego, rzucała do ataku, i sprawiało jej szczególną przyjemność, że Orkisz, łagodny, miękki, pojednawczy z usposobienia, pienił się, wybuchał, bił pięścią po stole, że Józka, trzymająca stale stronę męża, skakała jej do oczu, albo kładła jej rękę na usta, zmuszając do milczenia. Orkisz próbował przekonać ją i nawrócić i, często, mimo zaczepnie-szyderczej postawy Hanki, mówił jej spokojnie, serdecznie, łagodnie, z dna serca i z głębi myśli, ona nie ustępowała, potem on zapalał się, stawał się ostrym, zjadliwym, gniewnym — i rozjątrzeni zegnali się. Nazajutrz powtarzało się to samo.

Takimi były te wizyty...

W pewne poobiedzie Hanka przyszła w usposobieniu niewojowniczym. Nuda, która gnębiła ją, była tak nieznośną, że stawała się prawie niedomaganiem fizycznym, posępnie zniechęcenie otuliło ją szarą zasłoną — milczała.

Zwróciło to nawet uwagę gospodarstwa

— Pani jest kłapięta dziś, dlaczego? — swoim rozczochranym stylem spytał Orkisz.

— Nie umiem być tak wesołą, jak państwo...

— My weseli!... może i tak... żyjemy pełnym oddechem...

— Z zazdrością patrzę — szepnęła Hanka — wy zawsze, jak gdyby na spacerze w poranek wiosenny... jak gdyby cierpienie i myśli nie truły...

— Czasy ciekawe! — wstawiła Józka, zajęta rozpalaniem „Primusa.“

Hanka uśmiechnęła się.

— Ciekawe... być może... Takby powiedział widz w teatrze... wam wystarczają wrażenia, chociaż treść i myśl życia... urwała, nie mając dziś sił do walki.

Ale Orkisz pochylił się skwapliwie po rzuconą rękawicę.

— Pani z ironią porównywa nas do widzów bawiących się — rzekł — my i teatr, pani!... chyba *Colosseum*, bo krwawa arena i krwawe zapasy... pani wie... tu nie wesoła zabawa, tu idzie o śmierć i życie...

I stanąwszy przed Hanką w zwykłej pozie, z jedną ręką w kieszeni, drugą skubiąc swoje „trzy włosy“ na brodzie, świecąc zapalonymi oczami, mówił jej długo o przewrotach społecznych, o celach ludzkości, o bojach proletariatu i świętych hasłach socjalizmu, o świetlanej przyszłości świata...

— Ja zwróciłam się do pana... ja o życiu i treści życia jednostki, a pan cały ciężar jego spycha na plecy ludzkości... przecież jednostka i życie jednostki, to są realne siły, ludzkość zaś jest fikcją. Niech pan odpowie! — ponowiła niejasne zapytanie.

Orkisz, przejęty ideą, nie zrozumiał Hanksi zupełnie i, odpowiadając, wkroczył znowu na te same tory.

— Wy przekonacie się... Spieraliśmy się nieraz w tych ścianach — prawil szybko monotonnym głosem niby wyuczoną lekcję — was nie obchodzą kwestye polityczne i społeczne, kwestye żołądka, jak wy je nazywacie, a jednak przekonacie się, że na nich opiera się, od ich rozstrzygnięcia i rozwoju zależy wszystko. Idea jest objawem wtórnym, symbolem, odbiciem w zwierciadle umysłowości ustroju ekonomicznego. Stosunki ekonomiczne przekształcają się, a historia tych przekształceń, to dzieje świata. Zapychano nam głowy historią królów, wodzów, wojen, dynastyi, bohaterstwa, Napoleonem, rzeczami zapewne bardzo zajmującymi, które wszakże tyleż mają znaczenia, co dekoracye w teatrze...

Hanka słuchała z lekceważącym roztargnieniem, i w tem miejscu przypomniało się jej ulubione określenie Andrzeja: „groch z kopustą.“

— Nowy ustrój—wołał Orkisz—stworzy nowe piękno, nową sztukę, stworzy swego Napoleona i swego Mickiewicza, który

będzie większym od Adama, jakkolwiek i ten już piastował w sercu naszą ideę, większym dlatego, że ustrój zapanuje doskonały... Tak, proszę was, jednostki tak samo nie mogą wpłynąć na bieg wypadków, jak pasażer, chociażby z pierwszej klasy, nie może zmienić ani szybkości, ani kierunku pędzącego pociągu...

— Jakto! — żywo przerwała Hanka — stosunki materialne przekształcają... idea objaw wtórny... nie pojmuję! więc nie idea, nie trudy wiekowe ducha ludzkiego?! Przecież miliony umierały dla ideału... a bohaterstwo, a ta tęsknota, która jest w każdym z nas. Narody niby gromada pątników idą za swymi wielkimi mistrzami... Cóż tu znaczą stosunki ekonomiczne, sprawa podrzędna i pozioma? Nie zrozumieć nigdy!... Równie dobrze mógł pan powiedzieć, że krój sukni stanowi o szczęściu i podniośłości człowieka...

Orkisz zaśmiał się pobłaźliwie, szarpnął swoje „trzy włosy“ tak mocno, że mógłby je wyrwać — i udawał dalej tezę materializmu ekonomicznego.

Hanka zaprzeczała apatycznie, więcej z przyzwyczajenia, z obowiązku.

Nagle otwały się drzwi, i ukazała się w nich postać, nie mająca nic wspólnego ani z czwartym piętrem, ani z ideą proletariatu, ani z dysputą obecną. Była to piękna nad wyraz i strojna nad wyraz kobieta.

Józka pobiegła ku niej z czułościami, Orkisz kłaniał się z uszanowaniem i szastał nogą.

— Panna Malinowska — zaprezentowano przybyłą Hance.

Ubogi pokój napełnił się wonią wyszukanych perfum.

Panna Malinowska usiadła, podniosła woal, spojrzała niezwykle przenikliwie na Hanke, uśmiechnęła się do Orkisz.

— Szaruga — zaczęła banalnie, głosem trochę ordynarnym, nie pasującym do jej postaci.

Hanka podczas pospolitej rozmowy, która się potoczyła, badała gościa. Oddawna nie widziała nic podobnego. Osoba z innego świata, ze świata, gdzie niema trosk, nudy, smutków, ubóstwa... Dlatego jasnym jest i gładkiem to białe czoło, przerżnięte ciemną linią przedziwnych, zupełnie prostych brwi, dlatego jasną radością świeci uśmiech, z którym weszła do pokoju, i usta, trochę za duże i grube, szczęśliwe są, bo nigdy nie tłumiły cierpienia, i oczy, przesłiczne, pełne blasku, niby dwa puhary wesela... Gość z innego świata, olśniewające zjawisko olśniewającego piękna, szczęścia w bujnym rozkwicie, młodości, przepychu życia...

Panna Malinowska wciąż z niepospolitem i przenikliwym zajęciem zwracała wzrok na Hanke, badana, może sama badała, może próbowała czarować. Odpowiadając Orkiszom, uśmiechnęła się do niej parę razy i mówiła tym uśmiechem coś, czego Hanka zrozumieć nie mogła. A jednocześnie z ordynarnem zacięciem w akcencie i w głosie rozprawiała umiejętnie o partyi i jej sprawach, o działaczach, o jakimś posiedzeniu, naznaczonem w jej mieszkaniu.

— Może i pani przyjdzie? — niespodzianie zaprosiła Hanke.

— Panna Hanka jest dzika, zresztą poetka—zaznaczył Orkisz.

— A jakże, wiem — uprzejmie podchwyciła panna Malinowska — czytałam utwory pani w „Godzinie“ i zachwyciłam się...

Hanka nic nigdy nie drukowała w „Godzinie,“ ale grzecznie odparła.

— Drobiazgi...

— Zachwyciłam się, i to nie frazes... Jestem zawsze szczerą. Niech pani zapyta ich... Pani rozumie życie, a niktby patrząc na panią nie domyślił się, że i panią już życie skrzywdziło...

Przy tych słowach twarz panny Malinowskiej zmieniła się. Na chwilę zwarły się brwi, złościąc na gładkiem czole jedną głęboką zmarszczkę, w oczach pełgała zawziętość.

— Mnie nie rozczulają piękne słowa i gładkie rymy — ciągnęła dalej panna Malinowska — formę podziwiają ci, co, czytając wiersze, klepią sobie po pełnych brzuszku, ja szukam myśli...

Rozmowa stała się artystyczną, i Hanka zabierała w niej głos. Panna Malinowska słuchała z pewnem uszanowaniem, nie spuszczała z Hanksi badawczego wzroku—i to przenikliwe, natrętnie, wielbicielskie patrzanie nużyło Hanke—czasami wstawiała swoje jaskrawe zdanie. Słowa gorzkie, zjadliwe, gminne, ostre, tak nie licujące z całą postacią, były na jej ustach. Literaturę współczesną nazywała rozrywką sytych, przyprawą kantarydową, kadzidłem obłudy, domagała się utworów, które byłyby krzykiem upośledzonych, pobudką bojową, pieśnią zemsty...

Orkisz potakiwał i radował się, a jednocześnie razem z żoną nieśmiało stawał w obronie rzeczy pięknych samem pięknem, nie podszytych czerwoną podszewką tendencyi, i najnowszego kierunku, który, nie burżuazyjny, bo potępiany przez burżuazję, był podług jego określenia wyrazem wyzwolonego ducha. Potem wszyscy troje, porzuciwszy piśmiennictwo, przesunęli się na ulubiony gościniec, na bojowy trakt, na tak zwany grunt ściśle partyjny i rozpoczęli gwałtowny szturm.

Orkisz korzystał z okazji i, nie zwracając się bezpośrednio do Hanki, wszystkie pociski wymierzał w jej stronę, na czole panny Malinowskiej pojawiła się ta sama fałda, i w oczach jej złym połyskiem przeświecała zawzięta nienawiść. Jak wąż szyczący wiła się jej mowa, z jadem gniewu, z akcentami okrucieństwa i mściwego rozgoryczenia, brutalnymi i trywialnymi słowy wytykała obłudę, fałsz, brudy i złe ustroju społecznego, praw, prawd, dogmatów, zasad... śmiała się.

Inną wydawała się teraz Hance, słuchającej ze znużeniem, które ogarniało ją zwykle w zgiełku każdej walki. Podniosła spojrzenie na dużą fotografię „Wyspy umarłych,” zawieszoną na ścianie, niewyraźną w złem oświetleniu — tęskniła... Przypomniął się jej Rzyźniewski, którego rozumiała, który ją rozumiał...

Panna Malinowska wstała wreszcie i mimo nalegań gospodarstwa jęła żegnać się.

— Więc pani przyjdzie na posiedzenie? — znowu zaprosiła Hankę. A może i bez posiedzenia... do mnie... takbym chciała! — dodała pocichu, prosząc oczami, które były już łagodne i śliczne.

— Pójdź do niej! — namawiała także Józka — ciekawy typ... oddana partyi, ofiarna bardzo...

W pokoju wisiała jeszcze woń jej mocnych perfum.

— Ofiara dzisiejszego ustroju — półgłosem wstawił Orkisz.

— Przyjechała tu skądś z Rosyi, gnana tęsknotą, i odrazu stanęła z nami. Pewien szubrawiec złamał jej życie...

Orkisz przy tej sposobności wygłosił małe kazanie pod adresem opornych, krnąbrnych, chwiejnych i przeczących... Hanka wyszła.

Od początku nudziła ją ta nieskończona nigdy polityka — teraz nie mogła już dłużej... Ci ludzie napadają na nią i chcieliby skaleczyć jej duszę i urobić ją na swoje hałaśliwe, buńczuczne, niespokojne podobieństwo, wcisnąć na nią ciężką zbroję, wepchnąć ją w tunult uliczny, ci weseli, wrzawę czyniący ludzie, których życiem nie trud ducha, a powierzchowny połysk wrażeń, giesty rąk i mowa warg...

Szła szybko do domu, jakgdyby śpiesząc do kogoś, przed bramą stanęła i spojrzała w swoje okno, jakgdyby spodziewała się, że okno jest oświetlone, że ktoś na nią czeka. Okno było ciemne, a za niem ciemny, pusty, nudny pokój... I zapytała służącą, czy też nikt nie przychodził podczas jej nieobecności. Także nie.

Zaświeciła lampę i czekała. Do Rzyźniewskiego, któremu parę dni temu dała odpawę, zwracało się jej spojrzenie w tej dziwnej i niespodzianej chwili — i poprostu tęskniła do niego. Brzmiał w uszach jego głos, niezwykły, cichy, senny, patrzyły

jego niebezpieczne, natrętne chociaż zgaszone oczy, szeptały jego cudne słowa, któremi otulał ją nieraz w zasłony precudnych snów...

Znużona jest i poszłaby w jakieś dalekie ustronie marzyć... Nie dla niej zgiełk walki, gorączka czynów, gminna zawziętość utarczek — śpiewa w niej pieśń, pieśń o życiu słonecznym, o promiennem wytchnieniu, o szczęściu serca, a zarazem żal, że tego niema, że to mogłoby być... I jakiś gorący niepokój, niezmany przedtem, drżał w niej i jakieś pragnienie... Niby słońce śród chmur, które rozpalonem okiem spojrzy na jedno mgnienie, ukazywało się jej z pomiędzy pomykających myśli i wzruszeń gorące widzenie szczęścia, ogniste szczęście płonącego serca, purpurowe szczęście całowanych ust...

Nie przychodził.

VIII.

Przyszedł w dni kilka o zapadającym zmroku. Nazajutrz miał mimo prośb kolegów pojedynkować się z Kanallem, przed chwilą śmiał się sucho i zjadliwie, gdy sekundanci proponowali mu sąd honorowy, odczytywali list pojednawczy Kanallego, usiłowali wymóżyć na nim obietnicę, że strzelać będzie w powietrze. Śmiał się, gdy wystawiali mu rozpacz żony, przerażenie krytyka, gdy Osowski nie podał mu ręki na pożegnanie. Tu był inny. Usiadł, wsparł głowę na ręce, spuścił oczy, potem mówił cicho a wolno. Jego śpiewny, przyćmiony głos, który Hanka tak lubiła, rozlegał się w pokoju, niby dźwięk sennych strun, jego rozmowa była niby kołysanka.

Gdy wchodził, Hanka zapłoniła się i unikała jego wzroku, ale wydawał się jej znowu dalekim. Kładł się między nimi chłodny obszar jej smutku, i serce jej, przez chwilę gorejące, jakgdyby obcym ogniem owego wieczora tęsknoty i pragnienia, milczało wystygłe. Nie takim ukazywały go jej tamte stęsknione myśli... Jednym krótkim spojrzeniem objęła go — i zawiedzione oczy przestały patrzeć, a pamięć zarumieniła się na wspomnienie dziwnej, niespodzianej, gorącej chwili... Rozumiała, czem było to nieustające pytanie jego natrętnego, niebezpiecznego wzroku — i prawie bała się samej siebie. Wydawał się dalekim, chłodny obszar smutku dzielił ich, lecz Hanka czuła, iż tamten płomienny moment nie minął bez śladu, że niewidzialne pasma wyprzedły się między nimi, że ona zaplątała się w nich, że pojawiło się w niej, czy w nim coś

nowego, nad czem musi panować. Nie uczyniwszy nigdy ani jednego kroku naprzód, teraz odruchowo cofała się z wstydliwem zaleknieniem... Słuchała wszakże czujnie i chciwą duszą.

— Pani zbladła — szeptał Rzyźniewski — pani się zmieniała. Widzę, iż pani ma dziś pokutniczy dzień. Rozumiem, pamiętam... O wieczne wszędy, wieczne nigdzie, o wieczne daremnie! Chwila słabości i znużenia... duch szuka świątyń, gdzieby mógł krzyżem ledz na chłodnych taflach przed Bogiem. Chwila niebezpieczna! Niech pani ją zmoże, niech pani zmoże smutek i pokorę... Bo nie radośniejszego nie wzrasta na ziemi ponad wysoką, silną wolę... Pani!... wysoka, silna, radosna wola... Na cóż jest daną pani moc!?

Czytał w niej chwilę oczami.

— Tak, niech pani przemoże ten dzień i tę godzinę, bo wiecznie pani będzie żałować... Na drogach duszy nie wolno cofać się... Kto panią kusi? Jaki omam szepce jej do ucha słowa prawdy, która już umarła? Dlaczego porzuca pani swój szczyt i wraca na targowisko, żeby zaprzedać siebie w niewolę? Pocóż daną była pani moc, jeśli pani jej się wypiera? W duchu jest życie. On wybiera ścieżki, jakich pragnie, on może wiecznie w słońcu płaszać, wiecznie po radosnem morzu żeglować...

Słowa padały na duszę jej niby krople deszczu, koity, krzepiły i wstawał z duszy jakiś łagodny opar sennego marzenia.

Wyzbyła się obawy, patrzała w pisarza spojrzeniem uległym i wdzięcznym, patrzała w brata-pocieszyciela... Jednakie drogi cierpienia przebyli oboje, na tych samych szczytach dumali, i żyje w nim jej wiara, która dziś jest już dawną wiarą, która może omdlała w niej, może umarła, złamana pod ciężarem życia.

— Do wysp szczęśliwości płynie ten, kto chce, bo wola jest odwrótnicą wszelkiej niedoli. Trzeba pani zwyciężyć posępne przesady o twórczym bólu, odegnąć nietoperze-szkodniki, zabić w sobie bojaźń. Trzeba opanować własną dolę. Niech pani napręży łuk i wypuści strzałę ku szczęściu. Dosięgnie pani...

Rzyźniewski przysunął się, pochylił się ku niej, spoglądał zbliska, tajemniczą głębią oczu, które pociemniały.

— Pani dosięgnie i osięgnie. W podziemiach nie śpiewa żaden ptak — tylko w blasku i w weselu, tylko, gdy wolny i szczęśliwy... W pani drży pieśń słoneczna, panią rozpiera pragnienie — widzę...

I rzeczywiście pod tem jego spojrzeniem zadrżała. Ale utraciła już władzę i nie chciała bronić się. Miał nad nią jakąś moc, jakiś urok — i Hauka doznawała dziwnego wrażenia, że ktoś roz-

piął nad niemi namiot i zamknął ich dwoje i że niema wyjścia. W milczeniu, które zawisło, był niepokój—więc próbowała mówić.

— Niech pan mi powie — zaczęła cicho — dlaczego ta wiara jest martwa i zimna, chociaż świecąca, dlaczego niby daleka, świetna gwiazda niknie, gdy lada obłok... Są wole trzeźnowe, panie, i życie to trud, to czyn, to mus... Dla kogo i dla czego ma być ten trud, bo wszakże bez celu...

Mówiła długo, pierwiej tylko dlatego, żeby wyjść z gorącego namiotu, potem coraz z większą ufnością, z coraz mocniejszą potrzebą wypowiedzenia się. Milczała tyle godzin, tyle dni, przemilczała tyle myśli... Rwały się jej słowa, plątała się, czuła, iż wyjawić nie potrafi tego, co ją niepokoi, co zapadło kamieniem do duszy i cięży nieuświadomione, nieprzerobione jeszcze pracą wewnętrzną na wniosek, co było goryczą, słabością, smutkiem, poczuciem zawodu, przeczcuciem nowej prawdy, pytaniem, potępieniem...

Ryżniewski raz po raz dotykał ją wzrokiem niby dłonią, a gdy skończyła, rzekł:

— Jest szczęście surowe i szczęście radosne—na samotnych szczytach zimne świeci słońce. Pani samotna i serce samotne...

— Serce samotne—powtórzyła w myśli, ale nie powiedziała nic.

On zaś szeptał:

— I ja, pani, mimo tę wiedzę radosną często jestem, jak ptak znużony, jak obłok nocny, który nie doczeka się słońca... Samotny jestem, pani, i smutny... Chciałbym nieraz uciec od siebie, a niema do kogo, chciałbym ukryć się, zapomnieć, wicher tęsknoty nadyma żagiel, a ciężka kotwica opadła na same dno... Pocichu pani to mówię, gdyż grzechem jest i wstydem to znużenie... Brońmy się, pani... — urwał na chwilę.

— Może samotność temu przyczyną, może tęsknota za szczęściem radosnem... Dość surowego szczęścia!...

— Tak panie — szepnęła.

— Uczono panią, że smutek to stygmat świętości, herb szlachetności... Błąd i oman... Radosna, silna, wysoka wola.. Niech pani pomni... Szukajmy wesela, ścielmy drogę szkarłatem...

— Tak panie...

IX.

Ten wieczór, spędzony u Hanki, zostawił Ryżniewskiemu wrażenie śpiewnej strofy. Jej błada i smutna twarz, jej oczy, ogromne, zalęknione, nieśmiały szept nieśmiałej spowiedzi, jego

własne słowa, niezmierna tęsknota dwu serc, jej chłodne ręce, których dotknięcie zapamiętały jego dłonie, jej bolesne i uległe „tak panie“ — to wszystko były akordy spiewnej strofy. Z sercem, przepehionem tą pieśnią, wyszedł od niej i wracał pustemi już ulicami do siebie.

Padał gęsty śnieg wielkimi płatami, i Rzyźniewskiemu wydało się, że to jest także pieśń, jakowaś biała pieśń, złożona z cichych słów, że padają śnieżne wyrazy, że powstaje z nich biały poemat. Cicho i wolno kroczył po zasypnym chodniku. W pewnej chwili zatrzymał się, zadął głowę i wystawił twarz pod słodkie łechcące muśnięcia lecących płatów. Całowały mu usta, oczy, czoło — tajały...

Potem pochylił się i wziął z nieskazitelných, nietkniętych stopą ludzką puchów garść śniegu, zanurzył w nim wargi, całą twarz... Chciałby być jako ten śnieg, chciałby stanąć przed nią niepokalanie białą, czystym—zmywał z siebie wszelką skazę...

Ten poryw nie był „robionym,“ ale w Rzyźniewskim mieszkał czujny widz obok aktora, i widz szepnął mu zaraz, że to pragnienie czystości jest ładne, że pomysł jest oryginalny... że należy go zużytkować.

Szedł dalej po miękkim kobiercu. Nadzieja grała w nim hejnał ochoczy, z głębin wstawały nastroje, zapomniane oddawna i, zdawałoby się, martwe oddawna, wracała młodość, skrzydlata i jasna ze swoim darem bezcennym — z napojem złudzeń.

„Kocham“ cisnęło mu się na wargi, jak niegdyś, jak w onej pierwszej godzinie, ale bał się, że zabrzmi śmiech — niszczyciel na ustach widza, więc ostrożnie z szacunkiem, jak gościa, który kiedyś może być jeszcze potrzebnym, wypychał za drzwi nieproszonego widza i zamykał na klucz laboratorium, gdzie pracował stale ktoś z twarzą znudzoną, z uśmiechem lekceważącym — ów widz, drugi on sam...

Nie chciał myśleć. Powtarzał sobie wiersz, który ułożył mu się w głowie, cieszył się, że pada śnieg, z lubością wdychał precudną woń tego śniegu... Poszedłby chętnie daleko za miasto, żeby usiąść gdzieś wśród szczerego pola w mroku, w ciszy niezmiernej, pod milczeniem niebios, żeby słuchać jak słodko szepcą, jak słodko całują ziemię lecące płatki... Miał skrócić do ogrodu miejskiego. Ale dom był już blisko.

Zdziwiło Rzyźniewskiego, że okna jego mieszkania są oświetlone. Albo zapomniał zgasić, albo przyszli z nową propozycją ci od pojedynku... Mój Boże, cóż go obchodzi pan Prosper Kannelle! Cała ta sprawa, wywołana niepotrzebnie, którą bawił się

kilka dni, teraz wydała mu się nadzwyczajnie nudną. Zgodziłby się ustąpić, gdyby nie był upierał się tak długo i gdyby akt przebaczenia nie przypominał nudnych rozdziałów z cnotliwych powieści.

Przekreślił klucz w zatrasku — i nie potrzebował już pytać, kto czeka na niego. Zapach znanych perfum przypomniawszy, przemówił, powiedział... Zmarszczył się.

— To pan! Jestem tu od dwu godzin...

— Widzę — mruknął.

Niechętnem, prawie złem, spojrzeniem przywitał piękną kobietę, która powstała, zimno podał jej rękę.

Ona pochwyciła tę rękę i zaczęła szybko mówić:

— Nareszcie! Wysychałam z tęsknoty — gasłam — zamierałam i już dłużej nie mogłam. Przyszłam tu, czekałam dwie godziny, postanowiłam poczekać... Postanowiłam, nie wyjdę stąd.

— O co pani chodzi? Doprawdy nie wiem...

— Mam prośbę miłości... rzucę się do nóg — i pan wysłucha... pan obieca — przyszłam tu sama, ale proszę w imieniu narodu — tak tragicznie, że zakrawało to na komedię, błagała kobieta.

— Pani, w imieniu narodu? Proszę... — powtórzył pisarz i ścisnął mocno jej palce.

— Tak. Za mną tłumy tych, którym pan ukazał słoneczne szczyty, radosne południe... na tych szczytach ja płaszałam, słuchając pieśni.

— Niezła przerośnia! — przerwał Rzyźniewski.

Patrzył kobiecie w twarz i coraz mocniej ścisnął jej palce. Bawił się. Położył jej dłonie na ramionach, gładził jedwab sukni i myślał, że to jest ona, ta upragniona niegdyś, że on te usta całował, w te oczy zaglądał i szukał w nich tajemnicy, że to był płomienny jego hymn...

Pod tem spojrzeniem, pod dotknięciem jego rąk zadrżała. Zbladła także, ale zapanowała nad sobą i wołała dalej:

— Pan dziwi się, że odepchnięta, pogardzona przyszłam tu znowu. Pan zapomniał, ale pana zapomnieć!... Coraz to nowe dusze wprowadza pan do świątyni wieczności, coraz to inne dusze pan całuje na łożu nieskończoności, a one wierne wszystkie, oddane na zawsze i miłujące... I ja za panem, jak cień... Pan podniosły, pan wielki.

Rzyźniewski ziewnął i odtrącił ją lekko. Usiadł przy biurku, przeglądał wieczorną pocztę.

— Dowiedziałam się — odezwała się kobieta, wciąż tym samym przesadnie tragicznym głosem — że pan w cukierni zniewa-

żył skromnego człowieka, mszcząc się za jakiś artykuł, że będzie pojedynek... Ja drzę o życie pana... pan nie ma prawa, pan nie powinien narażać się... Przyszłam błagać...

Rzyźniewski dziwił się coraz bardziej. Nie poznawał panny Malinowskiej.

— Poco pani urządza ten melodramat — rzekł sucho.

— Ona zaś złożyła ręce, jak do pacierza, i patrząc w niego złym wzrokiem, prosiła dalej:

— Jeśli moje uczucie nie znaczy już nic, to ja przemawiam do tego, który jako zwiastun, jako wybraniec, jako mocarz samotny, nie może, nie powinien...

— Co to wszystko ma znaczyć... czego ty chcesz ode mnie?— znowu, już gniewnie, przerwał pisarz.

Taką nie była nigdy. Kochała bez granic, wielbiła, pokornie słała się u jego nóg, a on deptał ją, zdobywszy bez trudu, i wyniośle przyjmował tę miłość, którą nazywał rozkoszą skwaru letniego, a, gdy zerwał znudzony, odeszła w milczeniu, cofnęła się z jego drogi bez zwykłych w tych wypadkach płaczów, wyrzutów zazdrości, wybuchów rozpacz. Czyżby teraz po tylu miesiącach miała odegrać się ta scena? Uniknął jej szczęśliwie w chwili krytycznej tylko po to, żeby w dniu szczęścia zamąciła mu kilka jasnych godzin?... Mimo rozdrażnienia postanowił zachować spokój. Przerzucał jakąś książkę.

Panna Malinowska usiadła po drugiej stronie biurka i długo milczała. Przyglądała mu się.

— Dowiedziałam się—zaczęła znowu, przechodząc nagle na ton szydery i zimny — że w pewnym małym mieście dwie ubogie kobiety, matka i ułomna córka wpadły w ostateczną nędzę, że obcy człowiek, który dawał im wsparcie, umarł, że syn tej matki i brat tej siostry ułomnej, wybraniec narodu i zwiastun...

— Lekcyja moralności—syknał Rzyźniewski—kazanie o opuszczonej matce... Więc tego tu przyszedł?

— Dowiedziałam się jeszcze — jakby nie słysząc ciągnęła dalej kobieta — że w tem mieście, że do tego miasta przybyła dziewczyna, czysta, wąta, bezradna, że pan roztacza nad nią opiekę, że pan chce duszy jej nadać dostojęństwo. Otóż ja, jedna z tych, którym pan nadał już dostojęństwo, proszę, żeby pan nie „wprowadzał jej do świątyni wieczności i nie całował jej na łożu nieskończoności.“

— Pan obieca to zaraz i pan dotrzyma—prawie groźnie szepnęła kobieta.

Rzyźniewski zaśmiał się.

— Pan dotrzyma — powtórzyła kobieta — bo ja...

— Co pani? — niespokojnie spytał pisarz.

— Pójdę do niej, opowiem wszystko, uprzedzę, ostrzegę...

— Tak! Jaka szkoda, że nikt nas nie słyszy... Niczem Duże... Pani naczytała się złych romansów... Upadła kobieta, która czuwa nad dziewicą, niby Anioł stróż... Prześliczny epizod! — tłumiona wściekłość była w jego głosie.

— Pan obiecuje? — chłodno nalegała panna Malinowska.

Rzyźniewski nie odpowiedział.

— Więc tak.

Było milczenie.

Panna Malinowska wstała i, nie spojrzawszy nawet na pisarza, wyszła.

— Zastona opadła! — zawołał za nią.

I rozłożył na stole wieczorną gazetę, udając, że zabiera się do czytania. Nagle zmienił postanowienie, dopędził kobietę i z wyszukaną uprzejmością podał jej futro.

— Niech pani się otula! pada śnieg.

Nie patrzała na niego. Wyciągnęła rękę po kapelusz.

Z upodobaniem utopił wzrok w jej obfitych, przecudnych włosach, gdy stała odwrócona do niego plecami. Ogarnęła go nieprzeparta chęć zanurzenia rąk po raz ostatni w tych cudnych, miękkich, jedwabnych włosach... Objął jej głowę, bawił się włosami.

Z pogardą uwolniła się od tej pieszczoty.

— Pan chce kupić mnie czułością — rzekła cynicznie — ale ja...

I nie dokończywszy wyszła.

Rzyźniewski wrócił do biurka i przeglądał dzienniki. Potem położył się — ale nie mógł zasnąć, i wiele razy zapalał świece.

W pokoju był zapach perfum, mocny, nieznośny...

Nad ranem udał się do zamiejskiego lasu i — przestrzelił Kannelemu dłoń... Nawet i ta okoliczność nie poprawiła jego humoru.

X.

Hilary Kamieniecki był gorąco zajęty rautem dla przyjezdnego dziennikarza. Rozesłał mnóstwo zaproszeń, składał osobście wizyty, obmyślił *menu* obiadu, wykończył swój memoriał — i o 5-ej w oznaczonym dniu stał na progu sali i przyjmował.

Każdego wchodzącego brał na stronę i, jeśli to był ktoś z kategorii „nasz człowiek,” mówił mu poufnie:

— On (to jest dziennikarz) jest trochę uprzedzony i trochę szowinista, ale ja właśnie podkreślam państwowość i pan w prywatnej z nim rozmowie...

A jeśli gość należał do niezupełnie pewnych to, dziękując za przybycie, dodawał:

— Ten pan jest najlepszych chęci, dziennik — bardzo wpływowy, trzeba ich dobrze usposobić...

W tych słowach mniej więcej odezwał się do Pawła, na którego był zły za odmówienie pożyczki. Ten zaś, ile że od pewnego czasu nabrał pewności siebie, wyduł wargi i odparł:

— A godność narodowa!

— Wy zawsze z godnością narodową, jak z monstrancją...

— Właśnie ojciec dobrze przyrównał. Godność narodowa, to taka świętość — chciał wykładać Paweł.

— Panowie krzyżują tu szpady w kwestyi religijnej — przerwał Obroński.

— I pan — uprzejmie witał go Kamieniecki — dziękuję, że pan przyszedł. Zależy nam na tem, by najwybitniejsi...

— Do których pan pierwszy mnie zalicza. Jestem w roli widza — trochę szorstko odpowiedział Obroński.

Ale Kamieniecki nie dosłuchał i skoczył żywo ku drzwiom na przyjęcie dziennikarza.

Był to wysoki pan w binoklach z długimi włosami i brodą, blady, zgarbiony, niezgrabny, a bardzo spokojny i pewny siebie. Szedł przez salę, pełną wykwintnych i możliwych panów, trochę jak znudzony dygnitarz, niedbale witał się, niedbale odpowiadał. Otoczyli go zaraz kołem, ciekawem i uprzejmem. Stał i mówił od niechcienia, chuchając na swoje binokle i przecierając szkła.

Obroński nie kwapił się do niego.

— Jakaś kanalia źle wychowana, a my tu prezentujemy mu broń... Wyjedzie stąd z przewróconą głową...

— Ja właśnie przed chwilą mówiłem o godności narodowej — podchwycił Paweł.

Obroński dotknął zlekka ziewających ust.

— Godność jak godność, ale rozum...

— Może pan zabierze głos i otworzy im oczy.

Obroński zmierzył Pawła zimnem, zdziwionem spojrzeniem.

— Proszę pana, przyszedłem tu, jako gość na zebranie prywatne i chyba nie po to, żeby robić skandal. Zostawiam panu tę rolę.

— A odwaga zasad!... — zaperzył się Paweł.

— Różnimy się bardzo z panem—postawił kropkę, znudzony tą rozmową Obroński.

I po chwili dodał, patrząc Pawłowi w oczy:

— Spotkałem przed godziną żonę pana u Zamorskich...

Tego jednak nie zdrasnął już dziś zatruty grot.

— Moja żona się bawi, ja politykuję — odparł obojętnie, szukając wzrokiem na sali bohatera dnia.

I poszedł mieszać się z tłumem, który słuchał uważnie.

— Ja panowie — łamaną polszczyzną mówił gość — bardzo cieszę się, mnie bardzo cieszy to dobre usposobienie, które tu znalazłem... I gdyby całe Polskie towarzystwo... Rząd pójdzie na spotkanie, od was zależy... wy musicie zrobić początek, rząd pójdzie na spotkanie — tłumaczył, wpatrując się w najbliższego sąsiada, którym był Paweł.

Słuchano ze skupieniem. Wszystkie spojrzenia utkwily w dziennikarzu, nikt nie przerywał. A ten spokojny i niedbały, z rękami w kieszeniach, zadowolony z roli wyroczeni wykladał.

— Jakto! my mamy zacząć, my ustąpić! z czego?—obruszył się nagle Paweł — my ciemieni, zduszeni, wyzuci ze wszystkiego... chyba umrzeć... to jedno możemy — głos złamał się Pawłowi.

Dziennikarz nie mieszał się bynajmniej.

— Pan pyta, z czego ustąpić? z marzeń, z pretensyi... Ustąpić jedno morze i drugie morze — uśmiechnął się rad ze swego dowcipu—chyba Rosya, największe państwo słowiańskie, ma prawo do obu mórz, a wy nie chcecie nam przyznać...

Paweł nie dał za wygraną i wystąpił jawnie do walki. Nie szczędził ostrych słów, najprawdziwszych zarzutów, nie obwijał nic w bawełnę dyplomacyi, nie zatajał uczuć. Porwany zapałem, chwycił siekierę i walił nią bez namysłu w most, klefony pracowicie i przebiegle przez Kamienieckiego. Prysłły sztuczne wiązania...

Dziennikarz słuchał z uwagą, z niekłamanem zajęciem.

Czasami, gdy siekiera prawdy rąbnęła zbyt mocno, uśmiechał się pobłaźliwie, zdejmował binokle i przecierał szkła. I patrzył dwuznacznie na otaczających, mówiąc tem spojrzeniem: a co? oto wasze enfant terrible odsłoniło grę... a co?

Hilary Kamieniecki, doprowadzony do pasyi tem nieprzewidzianem wmnieszaniem się zięcia, poprosił o głos i zabrał się do odczytania swego memoriału.

Potem był obiad i liczne toasty, była gawęda przy czarnej kawie, wymiana uprzejmości i figlarny deszcz anegdot, ale rozmowy politycznej unikano już do końca i nastrój panował oziębły.

Paweł miał minę tryumfatora.

— Nagadałeś mu pan — wieszowano mu w przedpokoju — tamten mienił się na twarzy, przestępował z nogi na nogę...

— Bo jakże! taki sobie pan ośmiela się w tem mieście... uraga... a panowie uprzejmie słuchaliście...

— Posłuchać zawsze można, a wysłuchać należy każdego — tłómaczyli się tak zwani niewyraźni, których, jak zwykle i wszędzie, było najwięcej.

— Trzeba coś zrobić — odpowiadano Obrońskiemu, który wyszedł i Pawła i dziennikarza i całe zebranie.

— Robotą potrzebną, ale nie każdą, to zaś nawet nie robotą. Ten dziennikarz nie reprezentuje nic, a powtóre wy, najrozumniejsi ludzie w kraju, występujecie zawsze z takim Kamienieckim...

— Więc chodźmy do Żymirskiego.

— A od Żymirskiego do socyalistów, potem znowu do Kamienieckiego i tak dalej w kółko — szydził Obroński.

— Pan także do Żymirskiego? — zaczęli go Paweł.

To już ostatecznie znecierpliwilo Obrońskiego.

— Proszę pana — rzekł, biorąc Pawła za guzik — ja nie należę do żadnego stronnictwa i to zapewne jest źle, ale już zgoła nie rozumiem tych, którzy ze swemi przekonaniem niby z walorami biegają po giełdach politycznych i spekulują na zwyżkę.

— Pan stosuje to do mnie?

— Jeśli pan chce, tak.

Była chwila milczenia.

— Gdy ja rozpocznę działania, to runą te wszystkie, jak pan je nazywa, giełdy — dumnie odparł Paweł. I pan pod ich gruzami — dodał.

— Czekamy! — zaśmiał się Obroński i wskoczył do swego powozu.

Konie ruszyły z miejsca i tupot ich zagłuszył ostatecznie słowa Pawła, który nie chciał pozostać dłużnym w odpowiedzi.

Obroński lubił szybką jazdę i pędził teraz przez ludne ulice, niby pustą wiejską drogą. Doskonały furman lawirował zręcznie wśród dorożek, między tramwajami, czasami z wysokości kozła ofuknął przechodnia — nie zwolnił ani razu.

Obroński wpadł w niedbałe, prawie beztreściwe zamyślenie tak przyjemne, jak przyjemnie kołysały wyborne resory i przyjemnie mknęły znakomite konie. Pałac papierosa, patrzył w liberyjne guziki na plecach stangreta. Tłum, który płynął po obu stronach, nie obchodził go zupełnie. Było za ciemno na to, by przelotnem spojrzeniem taksować idące kobiety, zresztą w tej części

miasta szykowne i strojne panie stanowiły rzadki wyjątek. Lafirynd ulicznych, które śpieszą zatroskane z książkami pod pachą, albo papierową torbą z pieczywem i podnoszą zaszargane spódnice nad podtuptanem i wykrzywionem obuwiem, Obroński nie uznawał.

Skręcili w zaułek ciemny i głuchy. Smutnie świeciły ubogie okna nędznych domostw, w powietrzu unosił się smród, buchający z podwórzy, z pod ogumowanych kół przyskało lipkie błoto.

Obrońskiemu, który miał przewlekły i ostry zatarg z robotnikami, przesunęła się myśl, iż z którejś bramy może wypaść czyhający nań wróg — z nożem, z rewolwerem, z bombą, że epidemia morderstw klasowych grasuje już w sąsiednim mieście, że żalby było młodego życia — ale ani na moment nie doznał trwogi. Był odważny z natury.

Koło fabryki wyminał „nocną zmianę“ i zinnym, śmiałym, wyniosłym wzrokiem przebiegł po twarzach pochmurnych i złych. Spotykały się spojrzenia.

— Obrzuca nas błotem, jucha! — krzyknął ktoś za nim.

I naraz wszyscy poczęli wyrzekać.

Obroński ani drgnął. Powoli wysiadł z powozu — zadzwonił — czekał.

Robotnicy zbliżali się. Wiedział, że będą musieli przejść koło niego, więc, chociaż drzwi były już otwarte, stał jeszcze. I znowu szedł chłodnym, obojętnym wzrokiem od twarzy do twarzy. Milczeli teraz...

W biurze Obroński przyjął delegatów, wysłuchał żądań, twarzą postawił swoje warunki, zagroził zamknięciem fabryki, wyśmiał zapowiedź strajku i odjechał, nie załatwiwszy zatargu.

Z powodu dużych i zyskowych a terminowych obstalunków rządowych, mógł w razie wybuchnięcia bezrobocia ponieść znaczne straty, postanowił wszakże nie ustępować. Popierwsze z zasady, powtóre, że żądania wydawały mu się sztucznemi i narzucenemi z góry.

Od dwu tygodni trwało nieporozumienie, i delegaci wciąż w kółko powtarzali to samo jak pacierz, dobrze wyuczony, mimo, że on punkt po punkcie zbijał te żądania i wykazywał ich bezpodstawność. I oni także nie chcieli ustąpić...

Gniewało go to tem bardziej, iż płacę podniósł oddawna i zaprowadził wszystkie, zdawało mu się, możliwe techniczne i higieniczne udoskonalenia, że twardy w przestrzeganiu swoich praw i szorstki w obejściu, starał się być bezwzględnie sprawiedliwym, że zaczął domyślać się przyczyny wrzenia.

Zrozumiał, iż to są pierwsze oznaki burzy, która nadciągnie nieodzownie, że podziemna robota nie ustaje ani na chwilę, że obfity posiew zakiełkował i szkodliwa trucizna przedostała się do umysłów, że wybuch jest bliski, że on, dziś jeszcze zwycięski, kiedyś będzie zmuszony złożyć broń... Zżymał się.

Zły szedł do powozu i, jadąc cichymi ulicami przedmieścia podejrzliwie zaglądał przez okna do mieszkań, przez bramy do podwórzy, jakgdyby szukając tych niewidzialnych, a wszędzie obecnych, niestrudzonych, chytrych, wytrwałych, niebezpiecznych pracowników, którzy podkładają miny, przygotowują podkop, dzień po dniu, nitkę po nitce; niby pajęczyną coraz gęściej, coraz szczelniej osnuwają kraj zdradziecką przędzą swojej idei...

I zdawało mu się, iż słyszy głuchy, wydobywający się z podziemi stukot młotów, którymi ci ukryci grabarze wybijają, drażą śmiertelny kurytarz podkopu pod gmach ustroju...

Gdyby wiedział, gdzie są, w którym miejscu jest gniazdo groźnego wroga, bez wahania oddałby ich w ręce władz...

Pochmurna zaduma osiadła na czole Obrońskiego. Co chwila gaś papieros. Przyjemny stan niedbałego, beztreściwego zamyślenia, związany z szybką jazdą po mieście, nie towarzyszył mu tym razem.

Dopiero przed domem coś tknęło go nagle, niby błyskawica radości. Obroński spojrział na zegarek, wyskoczył pośpiesznie, żwawo podążył w głąb podwórza do oficyny, ukrytej w ogrodzie. Przez szpary zatrzaśniętych starannie okienic wymykały się wąskie nici światła. Służba przygotowała wszystko wedle rozkazu, służba nie zapomniła, — on zapomniał.

Ale jej jeszcze nie było. Nie długo czekał.

W umówiony sposób zastukała w okienicę. Poszedł otworzyć.

Weszła z niewyraźnym uśmiechem, z mdłym spojrzeniem dziecka, które złapano na gorącym uczynku, ale wnet odzyskała równowagę. Rzuciła mu się na szyję, sama, pierwsza całowała...

— Czy nikt?... czy nikogo?... bałam się... przyszłam piechotą... boję się — spytała, gdy skończyło się powitanie.

— Nikt i nikogo. Mąż politykuje. Był na jednym zebraniu, udał się na drugie...

— Mąż... wiem... zresztą nie o niego... — śmiała się.

I poszła po wszystkich pokojach, żeby przekonać się oświadczyć, że dom jest pusty, że drzwi zamknięte, że wszędzie są okienice.

— Ja tylko na chwilę... ja zaraz wyjdę — rzekła wróciwszy. Obroński pomyślał, iż wszystkie, ile ich było w tym domu, mówiły to samo. Uśmiechnął się.

Ale tym razem omylił się.

Pani Aga siadła do kolacyi, trącała się kieliszkiem, zjadła wszystkie cukierki, przyjmowała pieszczoty, obsypała mu twarz pocałunkami — i wyrwała mu się z objęć...

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

POLSKA

przed wojną siedmioletnią.

Kości zostały rzucone; nastąpił zwrot nieodwołalny. Rząd Augusta III zerwał sojusz ze stronnictwem „familii,“ aby go nigdy nie wznowić. Od chwili podpisania reskryptu, oddającego Ordynację Ostrogską w ręce królewskich administratorów, od tej krytycznej daty 2 listopada 1754 r. ród Czartoryskich ostatecznie przestaje być podporą dynastji wettyńskiej w Polsce, opuszcza dworskie komnaty i gabinety, odjeżdża do województw. A odjeżdża z piętnem „haniebnem.“ W gazetach publicznych czyta ogół o spełnionym fakcie, z komunikatów rządu warszawskiego, z relacyj własnych rezydentów dowiadują się o nim dwory europejskie. Najoczywiściej rząd warszawski ma słuszość, sprawa dotychczasowych jego przyjaciół jest najwidoczniej nieczysta. Trudno nie doznać moralnego zadowolenia na widok ukaranego grzechu, nagrodzonej cnoty. Oto klika żarłocznych możnowładców, Czartoryskich i Lubomirskich, Małachowskich i Sapielów, spiknęła się na rozdrapanie własności publicznej, nie pytając o pozwolenie sejmu, króla, ani sąsiadów, spisała pieniacką ręką transakcye kolbuszowsko-sandomierskie o podziale ordynacji, zburzyła tem samą podstawę milicyi ordynackiej, utrzymywanej na osłone bezbronno-go kraju, łaknącego aukcyi sił wojennych. Oto wielki hetman Branicki, zdjęty oburzeniem na krzywdę Rzeczypospolitej, zaprotestował, zadzwonił na alarm; z jego ramienia młody, natchniony rycerz Mokronowski szybką okupacją dubieńskiego zamku uratował milicję; prawdziwi patryoci od Nakła do Orszy, od Pucka aż do Tartakowa wzmogli się na ducha, przyklasnęli

i aklamacją poparli hetmana. A wtedy monarcha, rozważywszy po czyjej stronie jest prawo, wysłuchał głosu narodu, poskromił swawolę, gniewne oblicze pokazał winowajcom, obrońców zaś dobrej sprawy hojnie udarował.

W powyższem przedstawieniu rzeczy jest sporo prawdy, ale jest i milczący fałsz i złudzenie. Nie całą prawdę odsłania ten wykład niegdyś urzędowy, dziś popularny, zawsze powierzchowny. Nie wyjaśnia on ani pobudek, ani trybu postępowania działaczy, ani sensu ówczesnego politycznego przewrotu. W ukryte sprężyny i niedostrzegalny podkład wypadków 1753—54 r. musi wejrzeć każdy, kto chce zrozumieć ludzi ostatniego dziesięciolecia epoki saskiej.

Za kulisami sprawy ostrogskiej stał na czele licznych satelitów człowiek możny, wpływowy, wybitny. Jako mąż stanu, nie przeprowadził on skutecznie żadnej większej idei politycznej, po zgonie nie zostawił nic, prócz galeryi obrazów, ładnie oprawnej biblioteki, mnóstwa garniturów i kłamliwego testamentu. A przecież zawisł nad całą generacją nieznośnem wspomnieniem bezcelowych namiętnostek i porywów, zaciążył nieskończoną nicością zczepłych na marne żywotów, co się z jego żywotem związały. Swem technieniem wypędził szlachetniejszą treść z tysięcy dusz, na niwach pracy publicznej szerzył, gdzie zajrzał, bezrobocie. A zaglądał ten człowiek wszędzie, żył na swój sposób ze wszystkiego. Henryk, hrabia Rzeszy Brühl, pierwszy i tajny saski minister gabinetu i konferencyi, rzeczywisty tajny radca, generał piechoty, ober-szambelan, ober-podkomorzy, prezes Kamery, naczelny dyrektor podatkowy, generalny dyrektor akcyzy, wyższy dyrektor deputacyi obrachunkowej, generalny komisarz do wrót morza Bałtyckiego, nadinspektor manufaktur porcelanowych, szef i ober-komendant polowania *par force*, kapitularyusz katedry miśnięńskiej, proboszcz katedry budziszyńskiej, głównodowodzący saską kawaleryą w Polsce, pułkownik jednego regimentu lekkokonnego i jednego pieszego, kawaler orderów: pruskiego Orła Czarnego, rosyjskiego św. Andrzeja, saskiego św. Henryka — to jeszcze nie wszystkie cudzoziemskie tytuły Brühla. Polska tytułatura jest nieco mniej szumna: hrabia na Ocieszynie i Brylewie, herbu Jastrzębiec, generał artyleryi koronnej, lipnicki, piaseczyński, bolimowski i spiski starosta, dziedzic na Turwi, Sowinach, Pakosławiu, Miechanowie, Gołębowie, Górcie, Łodzi etc., wójt bydgoski, kawaler orderu Orła Białego. Znaczenie jednak Brühla w Polsce niemniejsze było jak w Saksonii. Królowi najpoddanej służył wierną radą, obu narodom niezliczone wyświadczał u króla

przysługi. Za stosowne wynagrodzenie, przelane bądź do własnej jego kieszeni, bądź pod wskazanym przezeń adresem, ułatwiał interesantom dostęp do Pana i do jego łask. Miał zawsze na podporządku posłuszny zastęp bezprzekonaniowych kreatur, niemniej zbutwiałych, jak owe ciała wyborcze, na których wspierał się współczesny rząd brytyjski. Miał nadto sprawny korpus dyplomatów ze szkoły flemingowskiej, przez których załatwiał zagraniczne sprawy Rzpltej w duchu potrzeb raczej saskich niż polskich, właściwie zaś w duchu własnego interesu i ambicji. Ci dyplomaci, z tajnymi radcami na czele, dźwigali ciężar polityki brühlowskiej zagranicą. W domu pracowała za premiera machina urzędnicza, armia fachowców, pomagali gospodarować sprytni zausznicy, różni radcy Justowie, Schmidtowie, Stainowie i Unruhowie, przedewszystkiem zaś tajny radca legacyjny Saul, głęboko wtajemniczony w rzeczy polskie i zaprzędany Czartoryskim. Cała korespondencya zagraniczna i najważniejsza domowa szły przez ręce Brühla; o tem, co zależało od decyzji najwyższej, on monarche referował, sam od dobranych sprawozdawców informowany. Wcisnąwszy się między tron i społeczeństwo, hermetycznie oddzielił pierwszy od drugiego, dostosował wybornie wielostronne swe talenta do wszechstronnej apatyi Augusta, dyktował mu każdą enuncyacyę, wyręczał okiem, uchem, myślą, wolą. Niesłusznie też pomawiano go o lenistwo. Z niezmordowaną czujnością dostarczał monotonnych uciech swemu panu, w dzień i w nocy to grzeczny i wylany, to wytwornie nonszalancki, gibki, śliski, podchlebny, uśmiechnięty, służył komplementem i protekcyą każdemu, kogo potrzebował, zbierał łapówki, okradał kasy saskie, oszukiwał i demoralizował opinię, ogłupiał króla, psuł mu pożycie z rodziną, szpiegował królową, królewietę i cały kraj. Udawał toleranta acz głęboko religijnego, wydrukował „*Die wahre und gründliche Gottseligkeit der Christen insgemein nebst einer Anleitung zum Gebet*,” nieraz dawał się po faryzeuszowsku zaskoczyć przy modlitwie w kaplicy. Wyborowy okaz faworyta, uzupełniał cechy właściwe temu typowi cynizmem i szarlataneryą XVIII wieku.

Z takim doborem kwalifikacyj był dla króla i dla wyprzegowanych przez się miernot nie do zastąpienia. Liczył podówczas lat 54 i czułby się na swem stanowisku nietykalnym, gdyby nie pewna słabość. Minister był ojcem rodziny, wprawdzie nie tak wzorowym, jak August, bo obok austriaczki żony, hrabiny Maryanny z Kolowrat-Krakowskich, pielęgnował polsko-saskie ideały: Moszyńską, Sztajnowną-Lubomirską—ale o przyszłość progenitury dbał. To też, zgadując pod pokrywką życzliwości niechęć

i pogardę ku sobie dumnych i zasłużonych statystów saskich: Flemmingów, Wackerbarthów, Vitzthumów, Rexów, Lossów, widząc nienawiść całej zmaltretowanej Saksonii, podrażnionej świętym zgnieceniem resztek samorządu stanowego, drżał przed wybuchem jej zemsty i na wypadek swojej lub królewskiej śmierci wiał dla dzieci gniazda wśród cieplejszych Sarmatów. Tędy trafiły doń wpływy polskich stronnictw, gotowych popierać go na sejmach i trybunałach wzamian za protekcję u tronu.

Przez długie lata sprzedawał swe usługi Czartoryskim, od nich nawzajem forytowany w Polsce. Nie zbywało związkowi na pozorach trwałości, bo obie strony w Rosyi wspólną miały przyjaciółkę, nie zbywało i na harmonii, gdyż ministerya polskie i saskie występowały nazewnątrz, jako siły równorzędne. Znałaży się wszakże powody do waśni. Brühl był zdania, że za urzędy i królewszczyzny należy mu się, prócz łapówek, wdzięczność dozgonna. Książęta, *fratres et consanguinei* Jagiellonów, pieczętujący się Pogonią, choć niezbyt dawno wydobyli z nicości przez feldmarszałka Flemminga, spoglądali przez ramię na dorobkiewicza nędznej krwi i nędznych obyczajów, jakim był Brühl: żądali zatem za swą dostojną przyjaźń nietylko wakansów, ale i pomocy w dążeniach reformistycznych. Brühl czynił temu zadość, póki się nie zraził paru niepowodzeniami i póki potrzebował Czartoryskich. Zapragnął mieć zięcia w Kazimierzu Poniatowskim, potem synową w Elżbiecie Czartoryskiej, wojewodziance ruskiej, ale i tu i tam dostał odprawę. Odkąd też stał się z łaski „familii“ hrabią na Ocieszynie, odkąd nie bez jej udziału spowinowacił się z Mniszchem, szwagrem wodza opozycyi, hetmana Potockiego, odkąd nietylko ze słów zięcia, ale i z postępowania wrogów wymiarkował, jak dalece gotowi są oni za cenę łaski monarszej uwielbić, co dotąd palili — zabezpieczył sobie tyły, rozszerzył rynek zbytu wakansów i przestał pomagać Czartoryskim. Po sejmie nadzwyczajnym 1750 roku reformy poszły w kąt. Brühl jak-gdyby domyślił się, że i bez nich można się wygodnie rozgościć w Rzpltej, a nawet zamówić u sąsiadów następstwo tronu dla jednego z królewiczów. Zakrzątnięto się koło desygnacyi przyszłego króla, już się napozór zacieśniał niezbędny dla tego dzieła sojusz dworu z Czartoryskimi, przeciwny obóz, wciągnięty do dynastycznych planów księcia Contiego, zdawał się oddalać i topnieć, gdy opór dwóch cesarzowych zmiótł ze stołu sprawę sukcesyi. Robota stanęła w zawieszeniu i stosunki wewnętrzne w Polsce ukształtowały się nie według szerszych wskazań politycznych, lecz w myśl osobistych rachub ministra.

Wodzowie familii wiedzieli co się święci. Ster wyślizgiwał im się z rąk. Widzieli, jak na drzewie rodowem Potockich wyrósł pasorzyt Mniszech, jak ten wróg wytrwale wspina się ku górze, głaszcze teścia widokami przyjaźni Pilawitów, robi ich, Czartoryskich, zbytęcznymi, skupia koło siebie zazdrosnych... Za nim zbliża się nie tęga, spoista falanga ludzi przyszłości, przed którąby warto i skapitulować w nadziei, że kraj na tem zyska—lecz tylko zbiorowisko zwyrodniałych epigonów, chaotycznych głów, warcholskich serc, zgodnych jedynie w ślepej ku Czartoryskim nienawiści, czereda, która nigdy programu swego Brühlowi nie narzuci, a tylko siły narodu do reszty zneutralizuje, unicestwi. Jeszcze przynierze Augusta z Francją, Prusami, Turcją i republikantami przeciw Rosji, jakkolwiek z punktu widzenia „familii“ niebezpieczne, miałoby wygląd przyzwoity. Ale sojusz dworu z przyjaciółmi Francji, z kwintesencją nałogowego konserwatyzmu, przy zachowaniu związków z Rosją i Anglią, musiał wydawać się nonsensem. Dla dobra kraju, pod naciskiem solidnej opinii, ministerya rezygnują z władzy, lecz żaden wzgląd nie każe im ustępować przed ludźmi bez jutra, wołającymi: „Ote toi de là que je m'y mette!“

Przelicytowani w usługach dla Brühla, Czartoryscy, ustępowali, walcząc rozpaczliwie. Pojmowali, jak wiele znaczy w decydującym momencie grupowania się partyj, tradycyjne uprzedzenie i współnictwo. Natychmiast po sejmie grodzieńskim 1752 r., w oczekiwaniu dwuletnich, jałowych szanotań, spróbowali jaskrawą manifestacją lojalności zacieśnić rozluźniający się węzeł prawicy, wciągnąć do niej i raz na zawsze pokłócić z lewicą hetmana Branickiego. Złośliwy przypadek pomieszał im karty, manifest, potępiający zerwanie sejmu, zginął w płomieniach. Uważali potem, jak dwór skwapliwie wycofuje się z przedsięwzięcia, kokietuje Potockich, jak się ustala wszechwładztwo tych ostatnich w trybunale. Lada głośniejszy zatarg, a niełaska książąt stanie się jawną i zupełną. Wtedy to, parci do opozycji, umyślili z góry zdezorganizować przeciwnika. Zdarzyło się, że wojewoda ruski należał do wierzcicieli rozrzutnego i rozpustnego marszałka nadw. litewskiego, ks. Janusza Sanguszki, który niemogąc wybrnąć z długów, zechciał spłacić je rozdaniem dóbr ordynacji ostrogskiej. Książęta rozejrzeli się w towarzystwie przyszłych donataryuszów i uchwycili rzecz w swoje ręce. Oprócz kanclerza kor. Jana Małachowskiego i księcia Augusta, do transakcyi podziałowej przystąpili tacy koryfeusze patryotyczni, jak krajczy koronny Franciszek Salezy Potocki, starosta oświęcimski Adam

Małachowski, stolnik litewski Józef Jabłonowski, dalej Sapielowie: Paweł, wojewoda smoleński i Ignacy — mściśławski, siedmiu Lubomirskich: Antoni, woj. lubelski, Aleksander, starosta kazimierski, Franciszek, starosta olsztyński, Stanisław, strażnik koronny, tegoż imienia podstoli kor., Jerzy, starosta bogusławski, Józef, podstoli litewski. Jeżeli darowizny księcia marszałka, jak było do przewidzenia, dadzą hasło walki partyjnej, to któż nie stanie po stronie donataryuszów? Czyż dwór, t. j. Brühl, ośmieli się zarwać z tak silną nową formacją? Manewr wydawał się bezpiecznym, korzystnym i nieodpartym. Był obliczony może na pewien protest antagonistów, na stłumienie tego protestu, wreszcie na to, że partya francuska, zniszczona dezercją, pozostanie w opozycji. Chodziło o wyzwanie i zgnębienie partyjnej nie zaś powszechnej opinii. Prawna strona tranzakcyi nadawała się do tego, budziła bowiem wątpliwości. Zapis fundacyjny ks. Janusza Ostrogskiego, kasztelana krakowskiego, ulegalizowany przez konstytucyę 1609 roku, przewidywał, po wygaśnięciu wszystkich powołanych do dziedziczenia linii, przejście masy spadkowej na rzecz zakonu maltańskiego Joannitów. Wszelako już od 80 lat przestano wykonywać wolę fundatora. Gdy wymarli Ostrogscy, Zasławscy i najbliższa linia Radziwiłłów, ordynacyę otrzymał od sejmu 1673 r. nie obrany legalnie przez sejmik krakowski kandydat, marszałek H. A. Lubomirski, lecz Dymitr Wiśniowiecki w tymczasowe posiadanie. Z rąk wdowy po Wiśniowieckim przejął był bezprawnie spadek syn jej z drugiego małżeństwa, Aleksander Lubomirski, po którym znów samowolnie, bez względu na zabiegi Augusta II i protest Augusta Czartoryskiego, pełnomocnika Joannitów, opanował ordynacyę szwagier nieboszczyka, Paweł Sanguszko; arcysłusznie tedy napiętnowany został przez Augusta III syn Pawła, książę Janusz, jako *illegitimus, usurpativus et abusivus possessor*. Na utrzymanie milicyi wystarczała, zwłaszcza przy lepszej, niż Sanguszkowska, gospodarce, czwarta część dochodów; uczestnicy też podziału w samej tranzakcyi obiecali sobie nadal utrzymać milicyę. Bezwątpienia, układ był nielegalny, skoro Rzplta recesem 1677 r. zawarowała sobie prawo rozporządzenia ordynacyą, gwałcił prawa zakonu maltańskiego, a pośrednio—interes Rzpltej, która nie omieszkałaby prędzej czy później wyzyskać swych praw zwierzchniczych do terytorjum ostrogskiego. Większość kontrahentów z pewnością kierowała się samą prywata. Ale też osoby interesowane dołożyły wszelkich starań, byle oczernić „tysą radę kolbuszowską.“ Gromada darmożjadów, siedząca na dobrach ordynacyi bez prawnych tytułów,

złękła się, że nowi nabywcy wytoczą im proces. Wraz podniesiono krzyk, że byt milicyi jest zagrożony. Wpadli w świątobliwe oburzenie ci sami, co dotąd zwalczali wszelką próbę aukcyi wojska. Wyciągnęły się błagalne ręce do hetmana. Branicki i jego francuscy przyjaciele wyzyskali chwilę niezgorzej. Nastąpiła nielegalna, jak i akt kolbuszowski, okupacja Dubna. Potem nieskończone polemiki, agitacye, obrabianie opinii publicznej: i tutaj, zwłaszcza na sejmikach poselskich, ujawnił się fatalny błąd w kalkulacyi Czartoryskich. Z jednej strony, ogół nie wyzuł się tak dalece z poczucia legalizmu, aby nie oceniać należycie, naprzekór kunsztownym dedukcyom wołczyńskim, prawnej strony podziału; skądinąd, na strunach żywiołowej niechęci drobno-ziemiańskiej ku magnatom wybornie umieli zagrać ci panowie, którzy na własne szczęście nie chcieli lub nie potrafili docisnąć się do stołu kolbuszowskiego. Znaczna większość narodu zszeregowała się pod znakiem pogwałconych praw Rzpltej, mało kto wzruszył się samowolą buławy. Brühl, który długo nadśluchiwał skąd wieje wiatr, przekonał się podczas sejmu, że donataryuszów bronić nie warto. Taił przytem wyborną myśl, aby w charakterze *tertius gaudens* zagarnąć jabłko sporu bądź dla królewiczów, bądź też dla siebie: niedarmo jeden z jego synów pisał się kawalerem maltańskim. W odpowiedzi na ułożoną i podpisaną staraniem Mniszcha petycyę 31 senatorów, August III prawem kaduka polecił dobra ostrogskie opiece 5 administratorów, osobnej komisyi z 11 osób kazał spisać szczegółowy inwentarz ordynacyi i sprawdzić tytuły „posesorów,” t. j. użytkujących z niej szlachty dożywotników. Administratorami zostali bądź to partyzanci buławy, bądź „panowie bezstronni,” t. j. zależni tylko od dworu: Szofdrski, wojewoda inowrocławski, Woronicz, kasztelan kijowski, Michał Czetwertyński, podkomorzy braclawski, Tomasz Sołtyk, chorąży lubelski, Wereszczyński, sędzia ziemski chełmski. W skład komisyi weszli: Andrzej Stanisław Załuski, biskup krakowski, Mikołaj Dembowski, biskup kamieniecki, hetmani wielcy Branicki i Radziwiłł, Rzewuski—polny koronny, jako zastępca pierwszego; Stadnicki, podkomorzy podolski, Rostkowski, starosta tyszowiecki, Renard, starosta rożański, Szumlański, chorąży halicki, Łętowski, podstoli krakowski, Mogilnicki, starosta nieszawski i Łopuski, miecznik chełmski.

Po wielu tedy fluktuacyach z dwojga bezprawi potępione zostało kanclerskie, usankcyonowane hetmańskie; przez potępienie arystokratycznej uzurpacyi ocalał honor uzurpatorów mniejszego kalibru. Decyzya zapadła pod presyą ambasadora francuskiego,

hrabiego Broglie, a wbrew radom przedstawicieli Rosyi i Anglii, Grossa i Williamsa. Zaszczytne odznaczenia złotym potokiem spłynęły na nieprawomyślnych dotąd republikantów. Nasuwało się przypuszczenie, że cały dwór Augusta przywdzieje barwy francuskie, a władzę obejmie w kraju stronnictwo francuskie. Takie wrażenie odniósł sam Broglie. Wszelako i on i jego przyjaciele pojmowali, że Brühl jeszcze nie sfrancuział. William i Gross zarzucili Brühlowi, że pracuje dla dobra Francyi i Prus, ale i oni nie uwierzyli, iżby tego przewrotu niepodobna było odrobić. Nie mogli w to uwierzyć i Czartoryscy. Przecież dwór saski bez bagnetów rosyjskich i bez angielskich gwinei istnieć w Polsce nie może, przecież czyha nań Prusak, a Francuz oddawna zamknął dlań swą kasę, nie bacząc na powinowactwo dynastji (przez delfinową Maryę Józefę). Rzeczywiste atoli zamiary dworu uragały wszelkim przewidywaniom. Premier nie myślał ani o zmianie aliansu, ani o przywróceniu „familii“ do łask. Krótko mówiąc, przedsięwziął on na chybił-trafił próbę podwójnej emancypacji, spróbował uwolnić swoją wewnętrzną polską politykę od nacisku dworów ościennych, lecz zarazem oddalić od wszelkiego wpływu na politykę zewnętrzną i wewnętrzną polskie społeczeństwo. Oto początek i racya bytu nowej, dworskiej partyi, która nie zechce, aby dwór jej celom służył, lecz sama u niego zaciągnie się w służbę.

Obozy polskie nie odrazu przeniknęły ten sens utajony kryzysu ostrogińskiego. Nie zgadły, że zanoszą się na walkę bez końca wszystkich przeciw wszystkim. Donataryusze za głównych wrogów uznali Brühla i Mniszcha, zaniedbali nieco walkę z patryotami. Ci nie wyzbyli się dawnej zawziętości na „familie“, a przytknęli oczy na ideowy antagonizm swój z dworem. Tymczasem Brühl, jedyny kompetentny znawca swoich zamiarów, kłócąc się z donataryuszami, wiedział dobrze, jak z konieczności ułożą się jego stosunki z patryotami. Skutkiem było, że familia straciła wielu stronników na rzecz republikantów, republikantom zaś groziło uciekinierstwo do obozu saskiego. Dwór najmniej tracił na tych zapasach w ciemności, bo też nie wiele jeszcze miał do stracenia. Żadna z potęg, spierających się o rząd nad duszami, nie wierzyła w możność poruszenia mas propagandą wznioślejszych programów i idei. Czartoryscy od samego początku kryzysu usiłowali zagłuszyć głosy nagany manifestami, w których legalizowali, jak mogli, tranzakcyę. Jeżeli w oczach niektórych ocalili tem swą reputacyę, bądź co bądź nie zażegnali reskryptu listopadowego i jego skutków. Od skompromitowanych, bezsilnych od-

wracały się sympaty. Setki Matuszewiczów wcześniej zwęszyły niełaszkę i poszukały szczęśliwszych opiekunów; ale też niejeden dziesiątek szlachetniejszych Pułaskich stracił wiarę w obywatelską czystość „familii.“ Zapominano o innej stronie przewrotu. „Na sprawę ostrogską — konstatował w lutym wojewoda ruski — ogół zapatruje się dotychczas, jak na sprawę interesowanych nią donataryuszów, czas i okoliczności okażą chyba lepiej, że *ex praedjudicato et absurdis*, jakie za nią idą, sprawa ta dotyka całego narodu.“ W marcu inaczej już charakteryzuje książę usposobienie kraju. „Duch wzniecony i rozpowszechniony przeciwko sprzedaży dóbr ostrogskich przez księcia Sanguszkę, znikł zupełnie; wszyscy myślą, że cokolwiek zdziałano przeciwko czynowi tego księcia, pochodzi z widoków prywatnego interesu i z pobudek zemsty osobistej. Ogół jest przekonany, że ta Rzplta nie odniesie nigdy żadnej korzyści z sekwestru owych dóbr. To zrobiło go wrażliwszym na nielegalne postęпки i gwałtowne procedury, któremi naruszono i pogwałcono nasze najświętsze prawa fundamentalne.“ W gruncie rzeczy ogół nie wzruszył się ani patetycznym manifestem Sanguszki przeciw sekwestrowi (podanym do grodu warszawskiego w wielki czwartek), ani równie patetycznym remanifestem. Szybko zgasł słomiany ogień oburzenia na donataryuszów, lecz żaden nowy na jego miejscu się nie rozpałił.

O byt polityczny walczyli teraz książęta starymi środkami. Gorliwie strzegli solidarności kolbuszowskiego bloku, naprzemian to kuszonego, to napastowanego od przeciwników. Podstoli koronny zbyt ostrą zaczepką Branickiego w jakimś manifeście ściągnął na siebie szereg kondemnat i groźbę egzekucyi wojskowej; rodzina jednak nie dała się tem nakłonić do ugody. Sapięha mścisławski i stolnik Jabłonowski wyrazili gotowość zrzeczenia się donatyw, każdy pod warunkiem, że komisya zostawi go w posiadaniu pewnych kilkudziesięciu wsi z okręgu bazalijskiego na mocy dawniejszych tytułów. W nagrodę za to, a za rekomendacją Francyi otrzyma niebawem nawet stolnik litewski województwo nowogrodzkie. Komisya jednak żądała przedewszystkiem i bezwarunkowo recesu, a gdy Jabłonowski zwlekał, pozostawiła sporne wsi w ręku uleglejszego Sapięhy. Krajczy Potocki jeden z pierwszych wycofał się, rozgłaszając, że go wsadzono „w tę dyspozycyę (kolbuszowską), jak Piłata w *Credo* dla ostentacyi *ignoranti populo*.“ Wnet otrzyma za to województwo wołyńskie, krajczostwo obejmie Adam Małachowski, który w lutym zawiadomił ambasadę francuską o swym recesie, tudzież o proponowanej sobie od donataryuszów lasce marszałka konfederackiego wraz

z pensją 100,000 fr.; ile w tem było prawdy, trudno dociec, to pewna, że pomimo awansu, jeszcze w grudniu komisya dubieńska nie posiadała formalnego recessu krajczego. Kanclerzowi Małachowskiemu Mniszech zaproponował recess przez księdza sekretarza Łubieńskiego, lecz złą wybrał drogę, rozdrażnił magnata i zwiększył jego zatwardziałość. Lepszym kanałem dobierał się do kanclerza i prymasa sam Brühl. Sekretarz Małachowskiego, radca wojenny Aloy, służy tu za pośrednika. Przywędrował z Piemontu, zajmuje swą posadę już od lat 20, pobiera żołąd rosyjski; sam ambitny i pomysłowy, podsyca w pryncypale chęć wywyższenia się nad Czartoryskich. W stałej korespondencji z niemniej dwuznacznym sekretarzem ambasady rosyjskiej Rzy-szewskim, tytułuje się „*bon républicain et bon russe*.“ Pracuje nad przeprowadzeniem ugody z Brühlem, na mocy której kanclerz byłby „kanałem“ między premierem i Polakami, do kanclerza zaś wprowadzałby interesantów pan sekretarz. Poczynając od stycznia, raportuje on do Drezna, że Komorowski i Małachowski gotowi są porozumiewać się z Brühlem szczerze i bez ogródek, że na ich uległość można rachować, że się zastosują do wszystkich insynuacyj Brühla, czynionych przez Aloego, a odepchną wszelkie inne. Już w tej korespondencji ujawnia Aloy żyłkę do snucia intryg za plecami mocodawcy, i to intryg chybionych, gdyż ani Komorowski, ani Małachowski nie myślą na seryo o zerwaniu z „familją“ w dodatku zaś Brühl ma już bezinteresowny „kanał łask“ w osobie zięcia, i wdzięczności polskiej z nikim dzielić nie zechce. W połowie lata urywa się wątek konsyliarzowej przędzy. Prymas utwierdzony w wierności sprzymierzeńczej przez strażnika Lubomirskiego Ignie po dawnemu do Czartoryskich, których popleczniczce Rosyi zawdzięcza tysiączne srebrniki; cheiwy kanclerz tem mniej ma ochoty tracić wraz z honoraryum rosyjskiem intratną darowiznę Sanguszki. Nie wzgardziłby kompromisem, gdyby się obeszło bez strat. Ostatni wreszcie z wybitniejszych donataryuszów, Paweł Sapielha, opozycjonista nałogowy, spalił za sobą wszystkie mosty wiodące do protekcyi francuskiej, buntuje Wielkopolskę przeciw dworowi, oblatuje, gdzie może, manifesty przeciw zajazdowi Dubna. Rdzeń koalicyi kolbuszowskiej zostaje tedy staraniem „familii“ nietknięty i wspólny swój interes rzuca na szalę przedtrybunalskich oraz trybunalskich zapasów.

Stracony teren spodziewali się Czartoryscy odzyskać za pomocą interwencyi zagranicznej. Nie dążyli do zamachu stanu, do natychmiastowego rokoszu, chociaż podobno parli w tym kierunku niektórzy z Lubomirskich. Stosownie do tego, co zapowiadali Wil-

liams i podległy jego wpływowi Gross, Anglia miała zagrozić, że nie wznowi wygasającego przed św. Michałem traktatu subsydyjarnego z Saksonią, Rosya—że nie pozwoli na prześladowanie swych przyjaciół. To miało nastraszyć dwór, zainponować ogółowi i przywrócić „familię“ do takiej potęgi, jaką posiadała przed pięciu laty. Do dalszego terminu odroczone nowe próby reformy. Sir Charles przedstawił swemu dworowi postępowanie Brühla, jako zdradę koalicji, Czartoryskich odmalował w najróżowszych kolorach. Na ręce petersburskiego kolegi Guy Dickensa, posłał wraz z listami książąt do kanclerza Bestużewa obszerną apologię ich czynów.

Chcąc jednak, aby zabiegi nad Newą nie ugrzęzły, trzeba je było pechać energicznie, tymczasem petersburski kolega, wolny od polonofilskich uprzedzeń, miał sprawy pilniejsze do załatwienia i wstrzymał się od mącenia miejscowych stosunków uboczną intrygą; więc apologię schował dla siebie, a o staraniach Williamsa ostrzegł saskiego rezydenta, sprawnego Funcka. We wzmiankowanych miejscowych stosunkach tkwiła niedość znana „familię“ przyczyna dalszych trudności. Aleksy Bestużew Riumin, płatny po kolei od wszystkich zaprzyjaźnionych dworów, prowadził politykę pod ustawicznym ciśnieniem to zagranicznych chleboborców, to stołecznych kabał pałacowych; i ta właśnie mnogość powziętych zobowiązań pozwalała mu własne swoje tendencje pozorować przed niezadowolonymi przyjaciółmi potrzebą liczenia się ze współzawodnikami. Bez Funcka nie mógł się obejść, Brühlowi przez szczególną słabość nie chciał psuć szyków w Polsce zbyt natrętnem wstawiennictwem. Wtajemniczeni wiedzieli, że rosyjskie kolegium spraw zagranicznych jest areną walki Bestużewa z wicekanclerzem Woroncowem i członkiem Ołsufjewem, których popierają potężni Szuwałowowie: Iwan (bez teki), zwany „męskim Pompadourem,“ Aleksander, straszny naczelnik tajnej kancelaryi, Piotr, wszechwładny w prawodawstwie, zarządzie finansowym, handlowym, wojskowym, szafarz łaski cesarskiej, dalej pani Piotrowa, sprawująca „ministryum uciech.“ Wiedziano też, że każdy reskrypt kolegium jest wyrazem chwilowej przewagi jednej z walczących w niem frakcyj, że wreszcie poseł Gross, kreatura Bestużewa, lawiruje pomiędzy rozkazami ministeryalnymi, a sprzecznymi z nimi osobistymi zleceniami pieczętarza. W samem Dreźnie piastunem przeciwkanclerskich knoń był jego rodzony brat Michał, marszałek dworu, umyślnie trzymany zdala od cesarzowej; z Warszawy pisywał kompromitujące Grossa relacje sekretarz Rzyzewski, prześladowany przez Bestużewa, forytowa-

ny na rezydenta przez jego adwersarzy. Kto znał te stosuneczki, mógł przewidzieć, że Woroncow i Szuwałowowie wypowiedzą się za interwencją w kwestyi polskiej, ponieważ Bestużew jest jej przeciwny. Lecz w jakiej chwili zachwieje się szczerzy kanclerz, trudno było przewidzieć. Williams wierzył, że nic mu się nie oprze, i nie czekając na skutek, zabrał się do Brühla. Zaraz po Nowym Roku, dał mu do zrozumienia, że dalsze subsydia zależeć będą od jego raportów o sprawach polskich. Premier niespokojny zapukał do Londynu. Zaprzeczenia nie usłyszał, tylko odpowiedź dylatoryjną. Wtedy przez ministra konferencyi Rexa i Saula zrobił Williamsowi nadzieję ugody. 24 stycznia zaprosił się Anglik z Grossem do Brühla na konferencję. Obie strony uderzyły w ton oskarżycielski. Przez 2 godziny w obecności przezornie milczącego Grossa Williams wyrzucał premierowi stronność na rzecz Prus i Francyi, ucisk „dobrze myślących,” powstawał na Mniszcha i Potockich, to znowu Brühl deklamował o niewdzięczności Czartoryskich, o lojalności ich przeciwników; Francuzom odmawiał wszelkiego wpływu na przesilenie. — Ależ Broglie chełpi się, że on to sprawił — nacierał Williams. „Broglie jest największym łgarzem pod słońcem,” zasłaniał się Brühl. Skończyło się na słowach. Wkrótce potem, gdy Williams ponowił zarzut odstępstwa, usłyszał dawne tyrady o powadze królewskiej, o niewdzięczności etc. z interesującym dodatkiem, że można się obyć bez angielskich subsydjów, redukując armię saską; jeżeli zaś bezowocne były dotychczas propozycje zasiłku, stawiane przez Francję, to tylko dzięki wierności, z jaką August trwa przy dobrym systemie. Williams wiedział od usłużnego Saula, że dwór wersalski właściwie żadnych propozycji nie czynił; wistocie napomknął tylko o przymierzu posłowi saskiemu, hrabiemu Bellegarde, jakiś dygnitarz w ministeryum francuskiem; nie tracił więc Anglik otuchy, że następny atak się uda.

Zawiódłby się srodze, gdyby o wszystkim decydował Bestużew, któremu Brühl niebawem posłał drastyczniejsze odpisy przejętej korespondencyi malkontentów polskich. Lecz ci potracili inne struny. Wojewoda smoleński, spowinowacony przez żonę (Skawrońską z domu) z Woroncowem, a nawet z samą Elżbietą Piotrówną, oraz Małachowski z pomocą Rzyszewskiego dotarli do najwyższych sfer. Dogadzając im, Ołufjew, najtęższy mózg wśród rosyjskiej opozycji, przytem zajadły wróg Sasów, odkiedy mu urwano tysiąc-rublową pensję, wygotował i przeforsował w kolegium piorunujący ukaz do Grossa, który kanclerz musiał wyekspedycować w tajemnicy przed Funckiem. Wstęp zawierał

naganę za milczenie na styczniowej konferencji; pierwsze pięć §§ „przyjaźnie“ ale szorstko i z naciskiem krytykowały stanowisko dworu polskiego w sprawie ostrogskiej; w punkcie szóstym Rosya uznawała całą awanturę za domową i wypierała się zamiaru interwencji, o ile nie włączają się obce mocarstwa; w punkcie siódmym spostrzegła się, że „zresztą“ w razie rozruchów domowych ma prawo do interwencji na zasadzie samego traktatu 1716 r. i że nie mogłaby uchylić się od okazania pomocy i wszelkiego poparcia stronie, mającej słuszość. Gross 31 marca wyrecytował Brühlowi dosłowny wyciąg z ukazu, ale wywołał skutek niepożądany: rozzłościł go. Raz po raz przerywał lekturę wykrzyknikami. „Snać zachowanie się Czartoryskich źle przedstawiono cesarzowej, inaczej nie ujmowałaby się za nieprzyjaciółmi króla.“ Poseł przypomniał, że nikt inny, tylko on informuje cesarzową. „Cesarzowa wstawia się nie za nieprzyjaciółmi króla, a za dawnymi, życzliwymi stronnikami obu naszych dworów.“ „Nasza Anglia — wtrącił przytomny Williams — jest państwem nie mniej liberalnem, jak Polska, jednak u nas przeciwni dworowi członkowie parlamentu nie nazywają się nieprzyjaciółmi króla.“ — *Le Roi ne pliera pas devant eux* — w kółko powtarzał Brühl. „Król sam wszystko robił, to władca nadzwyczaj pilny, sam wszystko bada, pracuje więcej, niż każdy inny monarcha w Europie!“ — oburzał się na aluzje do *cudzych intryg*. Słyszcząc zarzut, że nowa partya rządowa składa się przeważnie ze stronników Francyi, zapytał: „Kto to mianowicie?“ Gross wymienił Branickiego i Potockich. „Hetman, zdaje się, dopiero od paru miesięcy oddany jest francuskim interesom; za Potockich, z wyjątkiem wojewody bełzkiego, mogę ręczyć; ale widzę dobrze, że przez Potockich jest tu rozumiany mój zięć, hr. Mniszech, jako ich dawny przyjaciel. Mogę jednak przysiąc, że Mniszech jest człowiekiem jaknajuczciwszym i przeciwnikiem francuskich interesów i że król nigdyby nie okazał łaski notorycznemu stronnikowi Francyi.“ Potem wojewodzica smoleńskiego, głośnego, nawiasem mówiąc, rozpustnika, który sobie nad Nową wyprosił polecenie do starostwa kowalewskiego, nazwał „nicponiem“ (*Vaurien*). Czartoryskich oskarżył o wyzyskiwanie łaski królewskiej dla osobistych celów. Król, słyszcząc o ich nieposłuszeństwie, miał się wyrazić, że gdyby nie przysięga, wyrzekłby się tronu! „W razie zaś naruszenia traktatu 1716 r. tylko do króla należy użycie środków restytucyjnych.“ Tu Williams zauważył: „Traktat został zawarty między królem i stanami Rzpltej, nie może więc król być naraz stroną i sędzią; dlatego też Rosya wzięła na siebie gwarancyę. W bliższy roz-

biór umowy warszawskiej nie wdawano się. Premier zapowiedział odpowiedź zgoła nieprzychylną Czartoryskim.

Frondujący książęta trzymanii byli zdala od tych pertraktacji. Williams serdecznie życzył im zwycięstwa, ale obawiał się kroków gwałtownych. Gdy Lubomirscy przechwalali się, że Rosya da im 30,000 wojska, a Anglia zasiłki pieniężne i przechwałki te Brühl zacytował, poseł zaprzeczył im najformalniej. Energetycznie też ostrzegał w początkach marca prymasa i wojewodę ruskiego przed pokusą konfederacji. Odebrał odpowiedzi uspokajające. „Upewniam Pana pod słowem — pisał, nie bez ostentacyi może, Czartoryski — że nie znam ani jednej osoby, któraby przedsiębrała kroki do wzniesienia takiego ognia, sam partykularnie nigdy się nie pokwapię pechać rzeczy do takich ostateczności i wystawiać wszystko na hazard. Bieg wypadków dostarcza nam niekiedy fortunnych sposobów (*expedients*) wyjścia; będę ich oczekiwał, nie tracąc nadziei, że naturalna dobroć i sprawiedliwość naszego króla otworzy mu kiedyś oczy.“ Że dwór nie myśli o stałym przymierzu z partya francuską, na to mieli Czartoryscy niezbite dowody. Istniała tylko obawa, że Mniszech zechce skorzystać z dotychczasowego pozornego aliansu dla pogwałcenia „familii.“ To też, gdy rozeszła się nowina o bliskim przyjeździe króla do Wschowy na radę senatu, książęta postanowili świecić nieobecnością. Byłoby to afront, niyb pierwsze votum nieufności, do którego, jak nie bez podstawy rachowano, przyłączyłaby się z różnych powodów cała Litwa i większa część Korony. W połowie kwietnia kanclerz, otrzymawszy od Williamsa mocno obciążony tekst remonstracyj Grossa (bez punktu o interwencji), „z wielu konsyderacyj“ postanowił ściągnąć famię do Wschowy. Pilno mu było wrócić na dawny przy dworze posterunek. Zdawało się, że jeszcze jedno natarcie, a Brühl ugnie się. Protektor Anglik, świeżo mianowany ambasadorem w Petersburgu, przed sanym wyjazdem z Drezna, pospołu z Grossem, przypuścił trzeci szturm do Brühla i zrobił sromotne fiasco. Tym razem w obecności umyślnie zaproszonego hr. Sternberga, posła austriackiego, premier wysłuchał najspokojniej perory Grossa, i nagle obezwładnił go odpowiedzią, ugruntowaną na autentycznej nocie petersburskiej. Dowiódł mu, że carowa może obojętnie patrzeć na ucisk swych przyjaciół. Po jednobrzmiących przełożeniach marcowych, Funcke otrzymał rozkaz wyrazić rosyjskiemu kanclerzowi, jak niemiłe były one dla Augusta III, który obiecywał sobie, że Jej Cesarska Mość nie da tak odrazu wiary jednostronnemu i partyjnemu wykładowi rzeczy, a zasięgnie wiadomości u dworu warszawskiego,

jak się rzecz ma w istocie; wprawdzie Jego Królewska Mość uważa, że nikomu nie potrzebuje się sprawować ze swych czynności, ale dla przyjaźni, łączącej oba dwory, pragnie, iżby cesarzowa sama zmiarkowała z przesłanego jej komunikatu (*species facti*), jak bezzasadne są skargi Czartoryskich i jak ciężko uchybiła ta rodzina powinemu względem króla uszanowaniu. Na co odpowiedział kanclerz rosyjski Funckowi, że Elżbieta Piotrówna daleka jest od chęci dyktowania królowi jakichkolwiek wskazówek lub wyznaczania jego postanowieniom kresu i miary; sprawę ostrogską uważa za domową i pozostawia ją do decyzji królewskiej, rekomendowała zaś jego łasce niektóre osoby tylko o tyle, o ile na nią zasłużyły. Ton był jeszcze nieco wyniosły, ale sens zakrawał na przeprosiny i dla Brühla wystarczał: wszak zadawał kłam nagabywaniom Grossa. I Williamsa nie oszczędził premier: podzielił się z nim świeżą wiadomością z Londynu, że Jerzy II zamierza odnowić umowę subsydyarną; ponieważ zaś nowinę tę zawdzięczać należy panu posłowi, składał mu należne dzięki. Sir Charles przyjął komplement, zagryzłszy wargi.

W tryumfujących minach i ironicznych półsłówkach dworaków przeświecała nadzieja, że ingerencji rosyjskiej na dłuższy czas zamknięto usta. W jaki sposób, wyjaśni to krótki a nieodzowny komentarz. Jest on tem konieczniejszy, że historycy rosyjscy, malujący okazałą postawę Grossa na konferencji marcowej, nie nie piszą, a może i nie wiedzą o mniej efektownem zamknięciu; tem konieczniejszy nadto, że odsłania psychologię ówczesnych ministerjalnych wystąpień Petersburga, poucza, jak owe groźne teksty i gesta rozumieli Brühl oraz Czartoryscy. Owóż Funcke, powiadomiony od pryncypała o niemiłej niespodziance, natychmiast skropił „ciepłym deszczem“ łapczywe ręce sekretarza kollegium Wołkowa, dostojnemu zaś przyjacielowi zrobił scenę. Przyjaciel zażenowany jął się tłumaczyć, że kollegium robi mu ciągle na złość, a on samotny, nielubiany przez carową, musi niekiedy ustąpić, aby „krytyczni koledzy“ z rozpędu rozbiłali sobie łby o ścianę (*mit der Stirn an die Wand laufen möchten*). Ale dlaczegoż Brühl sam nie dał sobie rady z Grossem? Toż szósty artykuł noty kollegialnej wywraca do góry nogami całą jej treść!... Oczywiście, nauka interpretacji rosyjskich memoriałów była spóźniona, ale Bestużew zmaszał winę, dając Funckowi wiadome nam wyluszczenia. Upiekł dwie pieczenie na jednym rożnie: pofolgował swej złości na kolegów, a Brühlowi ułatwił niezły kawał dyplomatyczny. Nota kanclerska zdążyła do Drezna na czas, aby dworowi uprzyjemnić podróż do Polski.

Czartoryscy na razie ciężko się zawiedli. Zamiast Wschowy ujrzeni przed sobą Canossę. Williams spróbował godzić ich z dworem za pośrednictwem Saula, lecz napróżno: Brühl żądał upokorzenia się. Gross i przybyły z Wiednia stary życzliwiec obu stron, Kayserling, śpiewali już tylko o pojednaniu. Pozostała nadzieja, że Williams oraz młody Stanisław August Poniatowski, starosta przemyński, przeznaczony mu na towarzysza, naprawią interesa w Rosyi; ale tu najbliższa przyszłość mogła zdyskredytować „familie“ w oczach ogółu. Jakgdyby przeczuwała „familia“ czego wiedzieć nie mogła, że Mniszech nosi w tece gotowy memoriał o złożeniu sądów nadzwyczajnych na zdrajców stanu i winnych obrazy majestatu, według wzoru konstytucyi 1736 r. Gdy w styczniu i lutym przebąkiwano o konfederacyi, umyślił marszałek tymczasowo wyjednać reskrypt królewski do sędziów, mianowanych w r. 1736 z pośród ministrów, senatorów i ze stanu trzeciego, zwiastujący bliskie zwołanie sesyi. Mniemał, że postrachem zapewni dojście projektowanego sejmku extraordinaryjnego. Z jednej strony zaprzeczenie Williamsa, z drugiej remonstracye Grossa sprawiły, że wykonanie pomysłu zostało odroczone, ale nie poniechane. Bądź co bądź na represyę dworską nie byłoby już sposobu. Szybko zdecydowała się „familia“ schylić głowę przed ciosem. Wbrew nieprzejeđnanym radom Konstancyi Poniatowskiej, postanowiono się godzić. Książę Michał, stanąwszy przed królem, przeproszał go w imieniu rodziny za jej postępowanie podczas ostatniego sejmku, wyrażał żal, że przez nie sprawiła królowi tyle przykrości, a na siebie ściągnęła jego niełaskę. Król odpowiedział, że przyszłe postęпки Czartoryskich będą najlepszym dowodem szczerości ich żalu; odzyskają łaskę, gdy się rzetelnie poprawią. Zastanawiało, że nie poszli do Canossy ani sędziwy kasztelan krakowski, ani ks. August. Miało to znaczenie taktyczne. W niepewnych sytuacyach zwykł chodzić na pierwszy ogień ks. Michał, obrotny i stanowczy, mógł on coś zrobić przez prędkość, mógł się potem cofać; tymczasem za akt niecofniony uchodziłyby dopiero chłodne, rozważne kroki dbałego o decorum młodszego brata. Obecnie odwrót z góry był przewidywany. Nie zawarto żadnego układu, wytargowano ledwie stolnikostwo litewskie dla „przemyskiego“ i jakieś starostwo dla podkanclerzego Sapięhy. Takiej zgody „familia“ nie chciała! Daleka od skruchy, ugięła się, jak stal, aby z całą sprężystością odskoczyć.

Na ów odskok wypadło jej czekać dość długo. Epilog bowiem sprawy ostrogskiej, kierowany nad Nową przez Williamsa,

sprowadził nowe rozczarowanie. Wystrychnięte na dudki tuzy petersburskie z pewnością nie chciały dawać za wygraną. Woronców zarzucał Bestużewowi, że zaniedbuje interesa rosyjskie w Polsce; jako powinowaty Sapiehów, czuł się szczególnie dotknięty „nicponiem,” głosił za punkt honoru, aby „najwyższa rekomendacya Jej Cesarskiej Mości nie została bez skutku (*w tunie*). Ołsuffew obrabiał w kollegium nowy gwałtowny ukaz do Grossa. Ale Funcke czuwał nad niestatecznym przyjacielem, nie dał mu tchórzyc. Niezmordowanie oświecał i nawracał potentatów nadnewskich, pozyskał dla Brühla orędownictwo dotychczasowych posłów angielskiego i austriackiego. Wprawdzie domniemany następca tego ostatniego, hr. Zinzendorf, piastun najtajniejszych zamiarów Maryi Teresy, jeszcze w Dreźnie nawrócony przez Williamsa, apologetyzował Czartoryskich; wprawdzie sfery, oparte o faworytów, czekały tylko na przyjazd młodego ambasadora z nowym atakiem. Wszystko to udaremnił jednak Funcke. Bestużew schował srogi ukaz do biurka i obiecał, że na nim „trawa wyrośnie;“ na wszelki wypadek zawczasu posłał do Grossa antydotum — wskazówkę, aby poseł z reskryptu nie robił użytku. Nawzajem przeciwnicy schowali do biurka niemniej srogi reskrypt, którym kanclerz zamierzał zmiażdżyć Rzyszewskiego. Czartoryscy na swe skargi żadnej pono od Bestużewa nie doczekali się odpowiedzi. Co ważniejsza, zaledwie Williams stanął w Petersburgu (16 czerwca), gdy hr. Zinzendorf, dążący w myśl swych tajnych instrukcyj do pojednania wszystkich potrzebnych Austrii dygnitarzy, a przeświadczony zwłaszcza o niezbędności Funcka, zakomunikował mu na wstępie, iż kanclerz w tym tylko razie poprze jego negocyacye o traktat obronny, jeżeli sprawa ostrogska nie będzie poruszana. Williams, ufny, że szybko załatwi się z przymerzem, przyrzekł i słowa dotrzymał. Gdy Woronców po powitaniu zagabnął go o ordynacyę, usłyszał wręcz, że cała sprawa została zakończona we Wschowie. Uszom własnym nie wierzył wicekanclerz — i mienił się na twarzy: pozbawiono go patryotycznego konika!

Akt submisyi we Wschowie był skutkiem i wyrazem zmiany orientacyi walczących obozów polskich. Podyktował go „familii,” prócz innych „konsyderacyj“ widok tego, co się działo między dworem a patryotami. Niedarmo poplecznik tych ostatnich, pruski sekretarz legacyjny Benoit, napisał o owym akcie, iż „niema na świecie podłości, którejby Czartoryscy nie użyli względem Brühla i Mniszcha.“ Prusak się gniewał, bo gniewali się

jego informatorzy republikanci. Oto „familia“ wbijała się klinem w szczerbę, oddawna już widoczną między nimi i dworem.

W tetralogii Wagnera dwa mityczne wielkoludy, posiadający wspólną pracę pierścieni i skarb Nibelunga, niezwłocznie wszczy-nają o nie walkę na śmierć i życie. Krócej trwała zgoda wśród zbawców ordynacyi ostrogskiej. Pękła, zanim zabezpieczono przed wrogiem ten symbol władzy nad polskim światem. Bo też rozry-wało ją wszystko, sprzęgały tylko utopie kilku półtrzeźwych po-lytyków. Była chwila, gdy w głowach paru wodzów patryoty-cznych zakiełkowała nadzieja trwałego związku między, Augu-stem III, a tem, co oni nazywali zdrową częścią narodu. Sas, niewygodnie siedzący na obcych bagnietach, miał się przenieść na barki ludzi, którzy wzdychali do jego detronizacyi, przeklinali saskich przybłędów i wszystko, co saskie. Myśl podobą się hra-biemu Broglie, olśniła go mirażem wielkiej koalicyci antyrosyj-skiej. Już czuł w swem ręku róg obfitości pełen wakansów, wi-dział wyrugowany z Rzpltej i Europy wpływ moskiewski, zgnie-conych Czartoryskich, wygnanych „w pustynie“ spadkobierców Piotra Wielkiego. Pierwszym krokiem do tego byłoby zniewole-nie Augusta III francuską monetą; wstępnym krokiem—pozyska-nie dla nowej idei rządu wersalskiego. Jawny rząd francuski mi-nisteryalny, zlokalizowany w „radzie królewskiej“ (*Conseil du Roi*) umiał stapać tylko wydeptaną ścieżką, bał się inowacyj; zresztą on to w r. 1750 orzekł, iż nie opłaci się dawać Sasom zasiłków. Broglie zwierzył się przed swym sekretnym mocodawcą, księciem Conti, którego miał kiedyś ozdobić koroną Jagiellonów. Nieste-ty, książę nie dał sobie wyperswadować, że można dlań budować w Polsce tron ręką polsko-saskiego dynasty. Uznał cały pomysł za bezużyteczny, ba, nawet niebezpieczny. Projekt pozostał w te-ce ambasadora, wraz z nim ulotnił się jedyny możliwy łącznik między koroną a większością narodu. Wynalezienie innego łą-cznika leżało w interesie owej większości, spadało na odpowie-dzialność jej wodzów. Nastął dzień próby. Komenda partyjna „familii“ złożyła dowód, że można dużo przemyśleć, tego chcieć, a nie mieć instynktownego przeczucia prawdopodobieństw. Tej trzeciej próby nie przeszli ich antagoniści, ulegli bowiem już na egzaminie z charakteru.

Sztab francuskiego obozu mieścił się na Podlasiu, w otocze-niu wielkiej buławy. Siedemdziesięcioletni prawie hetman i wo-jewoda krakowski, Jan Klemens Branicki, pan na Białymstoku, hrabia na Branicach, Ruszczy, Tyczynie i Tykocinie, wnuk Czarnieckiego po kądzieli, wyrósł podobnież nie z soli ani z roli,

gdyż w agronomii nie celował — ale i nie „z tego, co boli.“ Lubił przypominać królowi swe wierne służby podczas bezkrólewia, kiedy to uciekł pod opiekę feldmarszałka Lasego, zresztą nie miał dramatycznej przeszłości, karku nie nadstawiał i zdrowia nie sterał. Kochał się w kobietach, pałacach, fajerwerkach, parkach i klombach, w wiwatowych salwach armatnich, we francuskim teatrze nadwornym, w świetnej asystencyi oficerów. Był bezdzietny, więc wolny od prywatnej troski o szczęście rodziny, miał 600,000 złp. rocznego dochodu, mógł sobie niczego nie odmawiać, nie gardził jednak starostwem ani królewszczyzną, boć splendor imienia i szarzy nie pozwalał mu kępować się w wydatkach. W oczach szlachty był z niego „pan wspaniałego humoru i bardzo poważny, ale wcale niepyszny, a dla wszystkich przyjemny i miły; przytem wielkiej rzetelności i sprawiedliwy.“ Już jako hetman polny sympatyzował z Potockimi; dotknięcie wielkiej buławy oddziało nań magicznie: zdeklarował się, jako republikant i zaczął pobierać pensję francuską. Z wujami żony, kasztelaneki krakowskiej, nie mógł wyżyć w harmonii, bo sam zapragnął komenderować partyą; to też klienci nazwali go „wodzem“ przez pochlebstwo, a Czartoryscy przez drwiny. Do „sekretu królewskiego“ nie został dopuszczony, a przynajmniej nie odrazu; lecz i jawna dyplomacya narobiła mu tyle kłopotu, że bez cudzej rady nie umiał się obejść. W zasadzie nie miała głosu doradczego nadobna hetmanowa Izabella z Poniatowskich, ponieważ mąż obiecał sobie nie być pantoflarzem i zakazał jej wtrącać się do polityki. Tem swobodniej rozpolitykowały się inne damy: Egerya Branickiego, Katarzyna Mnischowa, podkomorzyna litewska, „bezinteresowna“ entuzyastka, osobista nieprzyjaciółka „familii“, zasługująca na tem większe zaufanie ajentów francuskich, że zazdrosna jest względem szwagrowej, hrabiny Amalii Brühlówny; dalej siostra gospodarza, Lubomirska, starościna bolimowska, mająca „więcej siły i wzniosłości umysłu, niż rozległości tegoż i wykształcenia,“ też „bardzo bezinteresowna,“ nieco próżna, bez ambicyi, niemniej przecież cenna, bo rozżalona na donataryuszów... podobno za wyłączenie jej z tranzakcyj. Sympatye matki dzieli starościanka bolimowska, księżna Marya, rozwódka po Karolu Radziwille, według świadectwa Brühla, mała osóbką, zła, jak tygrys, „dyabeł nie kobieta.“ Przez usta całego otoczenia przemawia namiętny duch „fakcyantki“ Kossakowskiej, kasztelanowej kamińskiej, zawzięwszy już może na dwór, niż na „familie.“ Osobistym urokiem działają sprytna Starzeńska, starościna brańska, zalotna pułkownikowa Węgierska, damy bez wyrazistej barwy poli-

tycznej. Praktyczny starosta brański, „człek głęboki i rozumny,“ bo umiał brać honorarya i z Wersalu i z Drezna, najwygodniej usadowił się przy biurku polskiej ekspedycyi hetmana; zdradza on Mniszchowi sekreta białostockie, Branicki wie o tem, ale rozumie, że bez starosty nie da sobie na świecie rady; oboje państwo Starzeńscy spekulują jakoby na wielkie zapisy po dobrodzieju. Andrzej Mokronowski, teatralny bohater Grodna i Dubna, uczestnik „sekretu,“ prawdziwie bezinteresowny pomimo pensyi francuskiej, niema uprzedzeń niezwalczonych, w czułych *tête à tête* z hetmanową zapoznaje się z puławskimi zasadami. Pułkownik Jakubowski jest akredytowanym przy hetmanie ajentem francuskim. Dorywczy udzielają Branickiemu rad komisarze dubieński Rostkowski i Mogilnicki, prozelita patriotyczny Pułaski, starosta warecki. Za najmądrzejszego w całym gronie uważa siebie dość słusznie Jan Beck „*natione* Szwajcar, sekretarz cudzoziemskiej ekspedycyi, człek bystrego rozumu i wielkich obrotów i w kredycie pańskim wysoko położony,“ główny motor patriotycznych występów Branickiego, funkcjonujący pod wpływem francuskich i pruskich insynuacyj. Walczy zwycięsko ze Starzeńskim, umie trochę po polsku, mieni się „patriotą,“ ale pomiata Polakami podobnie, jak rosyjski republikanin Aloy. Hetman zaszczyca sekretarza politycznym dyskursem, choć czasem traktuje go z góry. Jak sekretarz traktuje hetmana, widać z jego listów pisanych do ambasady francuskiej: „... Należałoby związać p. wielkiego hetmana tak mocnymi pętami, aby nie mógł bez naszego pozwolenia stąpić ani naprzód, ani wstecz, ani odwrócić się; trzeba go wciąż mieć na oku; znasz Pan konstrukcyę tych pęt, ponieważ tedy trzymamy już za koniuszek prawej ręki, nietrudno będzie złapać go wpół. Pomijając kwestyę należytej grubości postronków, koniecznie trzeba polecić p. Mokronowskiemu, aby nas na krok nie odstępował i był odpowiedzialny za konduite naszego więźnia.“ Od czasu do czasu zaglądną do Białegostoku podesłani przez wodzów „familii“ szwagierkowie Poniatowscy, niekiedy zjeżdża na niebezpieczne „rozhowory“ sąsiad wołyński, sam książę Michał lub teść, kasztelan krakowski. Niezmiernie przykra bywa wśród tyłu doradców rola starego sybaryty. Przez wszystkich na wylot przenikany, sam ich nie rozumiejąc, wciąż trapi się refleksyą, którą Mefisto podsuwał Faustowi:

„Posunąć chcesz, a jesteś posunięty.“

Waha się, odczuwa swą śmieszność, wreszcie rozpaczliwie zdobywa się na jakiś krok gwałtowny, wprawiający w zdumienie

swoich i obcych: że też ten „wódz“ przezorny, na wszystkie strony gotów do odwrotu, zdecydował się na coś podobnego! Lecz efekt prędko pierzcha, po wyładowaniu energii następują żale i wymówki pod adresem inspiratorów odważnego czynu.

Natchmienia płynęły zazwyczaj nie ze swojskiej krynicy. Obóz francuski po śmierci Józefa Potockiego stracił do reszty jedność kierownictwa. Dumny, możny, szeroko zestosunkowany ród Pilawitów nie obojętnie patrzył na umkniętą sobie buławę. Najwybitniejszy z nich, Antoni Potocki, wojewoda bełzki, statysta szerszej miary i przedsiębiorczego ducha, po prymasie Teodorze prawdziwa głowa domu, wielki *leader* trybunalski i sejmikowy, większy zrywacz sejmów, doznawszy niepowodzenia w swych zamysłach konfederackich, zabrnawszy w beznadziejne długi, nie próbował zagarnąć władzy w swoje ręce. Gdy go posądzano, że Branickiemu zazdrości, protestował szczerze i szlachetnie; ale nie mając środków do akcji, marnował się, tracił zapał. Jeżeli Antoni w czystości zachował opozycyjne z a s a d y Potockich, to o p o s a d a c h najwięcej myślał Franciszek Salezy, we Wschowie nagrodzony województwem wołyńskim za wyrobienie nowych wyroków sądowych, uznających szlachectwo Brühla. Z fałszywą naturą dwukrotnego apostaty łączył pychę i aspiracye do buławy nieusprawiedliwione ani mądrością, ani charakterem, ani żadnem zgoła uzdolnieniem specjalnem. Na zarzut odstępstwa odpowiadał Francuzom, że znajdują go w potrzebie. Ledwo umywszy ręce po robocie kolbuszowskiej, gromił Sapiechę smoleńskiego za współnictwo z Czartoryskimi, lecz taką dostał odprawę: „Przypominam i ja JWP. Dobrodziejowi, jakoście mocno utrzymywali klejnot wolności, szlachectwo, na czem się pękały trybunały; cóż się dzieje teraz, kiedy też same, które się JWPanom nie zdały, pod imieniem JWPanów potwierdzone w Lublinie dekreta?... Tym, którzy przedtem tak robili, przejęliście JWPanowie rękę i staliście się, jak oni przedtem byli, instrumentami woli dworu. Boga wzywam na świadectwo, że *ambitus* do tych kroków JWP. Dobrodzieja prowadzi, a postrzedz się nie możesz, że to, co ci obiecują, są to obłudne oferty, byleby swoje interesa wyrobili i JWPanami spychali drugich, a tymczasem szukają kreatury wynieść, które-miby się posłużyć mogli na spychanie znowu JWPanów, dyskredytowawszy ich *apud gentem*. Za moje sentymta się nie wstydzę, *et in hostile laudo virtutes*, a w największym przyjacielu chwalić nie mogę zawziętości i złości. Przyjdzie do tego, że się wszyscy postrzeżemy, ale podobno, jak ginąć będziemy.“ Adresat nie omieszkał zadenuncyować prawdomównego korespondenta przed

Mniszchem. Niewyraźny Eustachy, cześnik koronny, przeznaczony przez Broglięgo do podskarbstwa lub hetmaństwa, niczem nie usprawiedliwi pokładanych w sobie nadziei. I on, i Stanisław Potocki, wojewoda kijowski, i szereg innych, żadną nieojalnością nie narażają się już dworowi. Rękojmnię tego stanowi poniekąd małżeństwo wojewodzianki kijowskiej ze stolnikiem koronnym, Augustem Moszyńskim, oraz niebezowocna negocyacja o ślub Fryderyka Brühla, syna premiera, z córką Franciszka Salezego. A jednak sąd Brühla o Potockich wypadłoby odwrócić: tylko za wojewodę bełzkiego można było ręczyć, że się nie ustatkuje, inni sami nie byli pewni siebie. Pilawici wyzbyli się politycznej jedności, zachowali tylko solidarność rodową, którą świeżo popisali się, osłaniając przed sądem szatawile Mikołaja, starostę kaniowskiego, pijanego sprawcę krwawej burdy we Lwowie.

Zarozumiali a naiwni książęta z Prussów Jabłonowscy, w szczególności Jan, wierszokleta i wojewoda bractawski, oraz nowy wojewoda nowogrodzki, Józef Aleksander, erudyta, akademik francuski, znany, jako założyciel *Societatis Jablonovianae* i fałszerz pieniędzy, pielęgnują bezpośredni związek z Lunewilem i Wersalem, w polityce są nieszkodliwi. Z innych dawnych patriotów Tarłowie znikli ze sceny, Lubomirscy zdradzili, expensyonaryusz francuski, Rudzieński, wojewoda mazowiecki, chylił się ku Dreznu, marszałek Bieliński zaczyna się wstydzic francuskich upominków, za które się nie wywdzięcza. Pozostałe rody koronne są w rozsypce albo w rezerwie. Wiernie służą patronom Potockim takie osobistości, jak pułkownik Chojecki, major Gadowski, ruchliwe popychadło Spinek. Na niezliczony tłum republikantów koronnych oraz litewskich, Radziwiłłów, Ogińskich, Pocięjów, Brzostowskich, którzy wszyscy bezmyślnie utożsamili swój patriotyzm ze zwalczaniem „familii,” kierownik stronnictwa nie mógł rachować w żadnej kolizji z dworem. Tę okoliczność, znakomicie łagodzącą jego odpowiedzialność, równoważyła inna, obciążająca—czynne i życzliwe stanowisko Francji wobec Polaków.

Rząd Ludwika XV, zatrwożony postawą Rosyi i Anglii w sprawie ostrogskiej, od jesieni 1754 r. podwoił starania, aby Turcyę zainteresować sprawami polskimi. Podczas warszawskiego sejmu uradzono w ambasadzie Broglięgo wyprawić do Stambułu pułkownika Karola Malczewskiego, któryby wytłómaczył Turkom, jak dalece rządy rosyjskie w Polsce, tudzież kolonizacja Nowej Serbii zagrażają ich własnemu bezpieczeństwu. Zwlekał hetman parę miesięcy, niechcąc drażnić przychylonego od niedawna

dworu. Zgon sułtana Mahmuda I (13 grudnia 1754 r.) i zapowiedź uroczystej notyfikacji o wstąpieniu na tron jego brata Osmana III nastęrczyły pretekst do misyi. Na tę zapowiedź hetmanowi wolno było i wypadało wywzajemnić się pod adresem wielkiego wezyra; do etykietalnej grzeczności łatwo było przypiąć memoriał przeciwko Rosyi. Wcześniej wywiedziała się o zamiarze dyplomacya koalicyjna rosyjska, angielska, austriacka i saska. Reprezentanci tych dworów Obrezkow, Porter, bar. Penckler i bar. Hübsch zawczasu przedstawili Malczewskiego nad Bosforem, jako niewierzytelnionego włóczęgę. Nikt prawie nie przeciwdziałał im, bo jeszcze przed Mahmudem umarł był i poseł francuski hr. Desalleurs. W Dreźnie Gross, Williams i Sternberg nacierali na Brühla, aby król przeszkodził missyi. Tem chętniej zgadzał się na to premier, iż chciał siebie i Mniszcha oczyścić z podejrzeń o sympatye francuskie. August III napisał do Branickiego (24 lutego), że Malczewski nie potrzebuje jechać, gdyż z rady senatu zostanie posłane nadzwyczajne poselstwo. Nie mógł się łudzić hetman, że senat poleci osobę niezależną od dworu. To też, gdy generał Zboiński, faworyt i agent Mniszcha do szczególnych poruczeń, doręczył mu w Dubnie list monarszy, Branicki udał, że gotów jest zatrzymać emisaryusza, jeżeli ten nie przekroczył jeszcze granicy; zarazem jednak kazał Beckowi przynaglić Malczewskiego do wyjazdu. Zajście to nie było tajemnicą dla Czartoryskich; łatwo zgadnąć, że przyzwyczajeni do zwalczania pospołu z dworem konszachtów republikańsko-tureckich, ufnie w powrót do władzy z rosyjską pomocą, szkodzili, jak mogli, planom Branickiego. Oni to ostrzegli Williama przed Malczewskim, za ich namową podskarbi Sedlnicki głosił, że nie da pieniędzy na przyjęcie świeżo przybyłego nad granicę (w początku lutego) tureckiego ambasadora, jeżeli hetman sprowadzi go do siebie, zamiast skierować do Warszawy. Gdy Branicki zaapelował do króla, podskarbi przestał mu czynić wstręty. Sam dwór krzywo spoglądał na kontakt Turka z patriotami, pomyślał nawet o sprowadzeniu go do Drezna. Wprawdzie konstytucya 1736 r. kazała przyjmować posłów w senacie, jeżeli nie na sejmie; ale skoro przy wzięciu w sekwestr ordynacji dość było zacytować prywatną radę „znacznej większości senatu,“ to czemużby na audyencyi nie mieli uosabiać tegoż Mniszech, Bieliński, podkanclerzy Wodzicki i parę kreatur brühlowskich? Nie remonstracye też spytanych o zdanie ministrów i kasztelana krakowskiego, a obawa, że skarb koronny nie zechce łożyć na koszt pobytu poselstwa w obcej ziemi, skłoniły Brühla do zaniechania projektu.

W takim stanie zastał rzeczy polskie w marcu nowy minister pełnomocny francuski, Durand, człowiek czynny, jak Broglie, przytem daleko trzeźwiejszy, wytrawniejszy i mniej ekscentryczny, zawodowiec, obeznany z korupcją parlamentarną brytańską, nie żaden wielki pan dyplomatyżujący po dyletancku. Dość szablonową przywiózł instrukcyę z Wersalu. Grzecznie miał przyjąć ewentualne pojedyncze kroki Czartoryskich, ale strzedz się, by tem nie zrazić Potockich, przypominać tym ostatnim, że w czasach niełaski dobro ojczyzny, a nie osobiste było przedmiotem ich dążeń; oświecać drobiazgi szlachecki, jak się odróżnia mocarstwa, protegujące Polskę od tych, co ją pragną ujarzmić; zarazem jednak baczyć na pruskiego kolegę, którego pan ma jakoby apetyt na Prusy Zachodnie i Gdańsk; utrzymywać wreszcie styczność z nowomianowanym posłem w Konstantynopolu, kawalerem de Vergennes, aby zapewnić Polsce opiekę padyszacha. Ambasador przed odjazdem do Paryża (26 lutego) zaopatrzył Duranda w charakterystyki patryotów i patryotek, pozwolił mu odświeżać widoki sasko-francuskiego przymierza, szczególny zaś nacisk położył na zapobieganie sejmom konfederackim, jako niebezpiecznym dla *liberum veto*. Książę Conti dodał od siebie rozkaz: przekupywać w wojsku oficerów, a nie szaraczków, których niepodobna skontrolować, czy spełnią zobowiązania. To wszystko brzmiało po dawnemu, ale bieg wydarzeń, zarówno polskich, jak europejskich, zmuszał Francję do szlachetniejszego traktowania Rzpltej.

Dwór drezdeński nie skory był do wypowiedzania walki patryotom, w komisji wszakże dubieńskiej sztydło wylazło z worka i zdradziło hetmanowi istotne uczucia Mniszcha. Ordynaci ostrogscy mieli prawo dowolnie rozdawać u siebie szarże wojskowe oraz przywiązane do nich majątki „służne.“ Reskrypt listopadowy ogólnie pominął kwestyę, kto obejmie po nich tę prerogatywę. Tymczasem otworzyło się parę wakansów, delikatna materya stanęła na porządku dziennym komisji. Prawie wszyscy członkowie przyznali sporne prawo buławie, wbrew argumentom Wacława Rzewuskiego, który je chciał zarezerwować dla korony. Wyczuł Branicki swą przewagę i jak tylko z Drezna nadszedł spóźniony reskrypt opiewający, że nadal hetman przedstawiać będzie królowi do nominacyi trzech kandydatów na każdy wakans, komisya na jęgo prośbę udała, że o niczem nie wie i odroczyła się do 5 maja. Prezes Załuski chciał z początku temporyzować, ale gdy go połączano nadzieją wyjednanego kardynalskiego kapelusza za pośrednictwem Francyi, poszedł za prądem i zgodził się przedłożyć królowi motywy komisji. Obaj z Branickim poprosili

króla o zawieszenie decyzji, Mniszcha upomnieli, „aby tylko nie mieszał dwór komisji reskryptami,“ gdyż obniżenie jej powagi byłoby wodą na młyn „ludzi złej woli“ (malevolorum). Natomiast administrator Tomasz Sołtyk w memoriale, przesłanym Mniszchowi, wywodził, że „jeżeli było *juris Majestatici*“ ustanowić komisję i administrację, to tembardziej należy do króla regulacja szczegółów gospodarki ordynackiej. Oczywiście, August reskryptu nie zasuspendował. Zapowiadała się wojna buławy z łaską nadworną o protektorat nad paru tysiącami posesorów i ich parenteli; z drugiej strony misya stambulska rozbijała zgodę z Brühlem.

Wobec takich perspektyw wykonał hetman demonstracyjny manewr w stronę „ludzi złej woli.“ W marcu odwiedził Czartoryskiego w Wołczynie, zagadywał z nim o potrzebie wspólnej akcji przeciw dworowi; nieziszczalna była to na razie próba, ponieważ „familia“ jedynie na północy widziała wówczas zbawienie. Skomplikowała tylko grę stronnictw politycznych. Odtąd Brühlowi grozi związek malkontentów obu odcieni, „familia“ zyskuje widoki kompromisu z „patriotami,“ Branicki musi czuwać i politykować na dwa fronty. Z Drezna straszą go, że Sasi mają już w ręku najtajniejsze instrukcje Malczewskiego, Puławy i Łańcut grożą to konfederacją, to jakimś spiskiem szlachty przemyskiej, to funtami sterlingami, to czterdziestopięcio- a nawet ośmdziesiątyścienną armią moskiewską, wrzekomo obiecaną już ks. Augustowi przez samą carowę. A jednocześnie Mniszech każe wierzyć w swoją przyjaźń, donataryusze ofiarowują 40,000 dukatów za samo odstąpienie od procesu przeciw podstolemu koronnemu. Z kim tu się godzić, z kim zrywać ostatecznie?

Nie czekał na rozwiązanie tych wątpliwości Ali-Aga, siwobrody ambasador osmański, zdążający do Dubna przez dzierzawy Potockich — Brody, Krystynopol, Radzyń. Patrioci opanowali go skwapliwie, boć od jego relacji zależeć mógł sukces Malczewskiego. Sama śmietanka francuskiego obozu, wojewodowie: krakowski, bełzki, braclawski, mściślawski, rawski robili mu honory w Dubnie, Beck i Mokronowski, nasadzeni od Duranda i Benoita, towarzyszyli mu potem do Warszawy, tam wziął Turka w obroty Durand. Inteligentny starzec ukształtował sobie poglądy jaknajprzychylniej dla patriotów. Nie mógł tylko obronić się przed wrażeniem, że biednym Polakom trudno będzie pomódz, skoro w ich kraju wszyscy wojują przeciw wszystkim. W tych samych dniach, gdy kanclerz litewski bił się w piersi przed królem, z ust Mniszcha sypały się gromy na Mokronowskiego. We Wschowie

rozegrała się na małą skalę komedia sejmowa. Trzydziestu pięciu senatorów rozprawiło (23—24 maja) o potrzebie przeniesienia części archiwum z Krakowa do Warszawy. O tem, co wszystkim leżało na sercu, milczano. Pustkę oracyj zamknął marszałek nadworny panegirykami na cześć Augusta i dziękczynieniem za powszechnie okrzyczaną monetę saską. Z Drezna przywieziono gotową uchwałę o nominacyi podkomorzego litewskiego Jana Mniszcha na poselstwo do Turcji; przy wyborze postarano się o osobę „nienazbyt doświadczoną w interesach państwa,“ za to „dobrze usposobioną“ i zdolną do „trzymania się tylko litery instrukcyi.“ Zarazem w sekrecie gabinetów wśród targu o wakanse, dokonał się inny akt polityczny: Mniszech, korzystając z nieobecności Branickiego, przeciągnął na swoją stronę prezesa i większość członków komisji dubieńskiej. W decydującej chwili obie te bagatele zaważają na szali wypadków.

Hetman koronny nie wiedział, że podkomorzy litewski otrzyma tajemną instrukcyę od brata, aby odmawiać charakteru poselskiego Malczewskiemu i dawać uspokajające wyjaśnienia Turkom nawet w razie grożącego Polsce przemarszu Rosyan; uważał go za republikanta szczerego i uległego namowom małżonki. Nie goniłby też na ostre z Brühlem, gdyby nie surowy list królewski, wysłany doń (26 maja) ze Wschowy. August pisał: „Ludziom zawistnym i zazdroszczącym Ci łaski przypisujesz, że Ci zaszkodził w moim umyśle, mówiąc mi nie w porę (*mal à propos*) o poselstwie do Konstantynopola Twego adjutanta Malczewskiego. Dodajesz, że na skutek mych rozkazów chętniebyś mu kazał zawrócić z drogi, gdyby nie był już zadaleko i nie przekroczył granicy. Otóż wiedz, że więcej mi jest wiadomo o tej misyi, niż sobie wyobrażasz i to w sposób zgoła niewątpliwy. Łatwo też było Ci odwołać Malczewskiego, zanim minął granicę królestwa.“ Styl był zbyt twardy, aby mógł podzielać odrazu. Branicki bał się Koenigsteinu, jak ognia, rychłoby się zmęczył kłótnią z Brühlem, ale przed prowokacyą nie mógł się korzyć, jeżeli nie chciał tracić naraz powszechnego respektu. Wytrwał więc przy swej prerogatywie hetmańskiej aż do chwili, gdy życzliwe usta wyjaśniły mu całą ówczesną jej doniosłość dla kraju.

Chmurzył się bowiem widnokrąg na najdalszym Zachodzie. Starodawna rywalizacya anglo-francuska rozżarzała się aż na drugiej połowie kuli ziemskiej, w koloniach amerykańskich. Gazecciarze gadali o krwawych podczas pokoju potyczkach nad Ohio, wśród preryj i sawann zaatlantyckich. Anglicy i Francuzi zbroili, poili whiską czerwonoskórców, rozpałały się żądze, ostrzyły się

noże do obcinania skalpów. Gabinet francuski z niepokojem śledził postęp kroków nieprzyjacielskich; znał naprężenie stosunków na wschodzie między Rosją a Turcją z powodu zakładanych wbrew traktatom kolonij nowoserbbskich. Na pierwszą wieść o ambasadzie Williamsa w Petersburgu, domyślił się, że celem jej będzie wynajęcie armii rosyjskiej na obronę hanowerskich interesów Jerzego II. Następstwem byłyby przemarsz Rosyan przez Polskę do serca Europy, jak przed 7 laty, z tą różnicą, iż nie obeszłoby się bez uporządkowania w williamsowym duchu zawichrzonej Rzpltej. Przebywający właśnie w Paryżu hr. Broglie umiał o tem dużo opowiedzieć. Dopiero co urwały się pertraktacye z Anglią o pas graniczny w Ameryce. W powietrzu wisiała zawierucha, brzemienią zagładą francuskich wpływów na wschodzie. Minister spraw zewnętrznych, Rouillé otrząsnął się z apaty. Rozkazem z d. 16 maja polecił Durandowi wyjaśnić patryotom, jakie poniżenie zagraża ich ojczyźnie, zagrzać ich do odporu i wyrobić u Branickiego nowe pełnomocnictwa dla Malczewskiego, odpowiadające powadze sytuacji. Tęsamem wypadło przyspieszyć tempo akcji w Konstantynopolu. Pierwotne, lutowe instrukcyje Vergennesa ogólnikowo wyrażały się o zwalczaniu rosyjskiego wpływu w Polsce; nawiasem mówiąc, Ludwik XV nie omieszkiał pokrzyżować ich sekretne zleceniem, aby nakierować Turków do propozycyi formalnego z Francją traktatu przyjaźni, oraz konwencyi o zabezpieczeniu na przyszłość swobody Polski. Jeszcze Desalleurs napróżno biedził się nad wyciągnięciem od Porty takiej propozycyi, gdyż Arcychrześcijańskie ministerium wstydziło się sojuszu z niewiernymi. Teraz Rouillé upoważnił Vergennesa do użycia na rozruszanie Turków „milion franków i wyżej:“ chodziło na wypadek wyprawy rosyjskiej o protest Porty, zrazu dyplomatyczny, w ostateczności nawet military. Turkom najwięcej musiało zależeć na nietykalności ziemi polskiej, która z „przedmurza chrześcijaństwa“ kolejną losów stawała się wałem ochronnym półksiężyca przed krzyżem prawosławnym. Stary emigrant ukraiński, Orlik, uczestnik dawnych szwedzko-tureckich zamysłów konfederacyjnych Potockich, gorąco zachęcał teraz Rouillégo do utworzenia ligi polsko-turecko-tatarsko-kozackiej dla obrony Polski i wyzwolenia Małorusi. Liczono w Paryżu potrosze i na węgierskich, nawet na nieokreślonych bliżej rosyjskich i kurlandzkich malkontentów. Zajmująca partya agitacyjna i dyplomatyczna wywiązała się na dwóch teatrach, nad Bosforem i nad Wisłą. Mrzonki hrabiego Broglie stawały się ciałem.

W początkach lipca Durand wykonał swe posłannictwo w Białymstoku. Niezbyt dawno, na radzie senatu 1748 r. Branicki nie szczędził wyrazów ubolewania kolegom odpowiedzialnym za inwazyę granic. Obecnie oświadczył się z gotowością „oddania życia w obronie ojczyzny przed taką zniewagą.“ Rouillému przyrzekł na piśmie, że „wszystko poświęci,“ byle uniknąć od ogółu zarzutu, że nie skorzystał ze swej władzy. Czy tylko Francya zdecydowana jest popierać pieniędzmi konfederacyę? pytał Duranda. Poseł musiał wyznać, że nie zna co do tego intencyj dworu, i z kolei zapragnął wiedzieć wysokość potrzebnej sumy. Wódz wymienił 1½ miliona liwrow, poczem prosił o rychłą rezolucyę, aby mieć czas przygotować się do boju i na pierwszą wieść o najeździe ogłosić za wrogów ojczyzny wszystkich, coby mu sprzyjali.

Nie zbrakłoby w Białymstoku stylistów do ułożenia podobnej ekskomuniki; trudniej było o śmiałych agitatorów, a zwłaszcza o organizatorów sił zbrojnych. Komputowe pułki i chorągwie znajdowały się w stanie godnym politowania. Według prawa miały one składać się z 24,000 ludzi; wedle etatu za rok 1755 polski autorament w koronie wynosił 3,990 pancernych, 1000 husarzy, 1000 ułanów czyli lekkiej konnicy; cudzoziemski 4,626 piechurów i artylerzystów tudzież 1,736 dragonów, razem w koronnej armii 12,352 ludzi i 7,726 koni. Litewski komput składał się z 400 husarzy, 1,200 petyhorców, 460 Tatarów, 240 kozaków, nadto z wojska cudzoziemskiego autoramentu: 1850 piechoty, 1,500 dragonii, 150 artylerzystów, 300 janczarów, razem z 6,200 ludzi i 4,050 koni. Było więc naprawdę jeszcze o półszóstą tysiąca ludzi poniżej onego mizernego komputu. Pancernego i husarskiego towarzystwa było w niektórych chorągwiach ponad komplet; w innych rodzajach wojska w rzeczywistości widniały luki. Niektóre litewskie regimenty liczyły po 80 żołnierzy zamiast 300 (w dragonii) lub 425 (w piechocie), co, zdaniem nieuprzedzonego świadka, pochodziło „z łatwości, jaką mają hetmani wielcy w udzielaniu stopni wojskowych i z przyswojonej władzy rozporządzania porcyami.“ Innemi słowy, żywiono nadetatowych oficerów żołnierskiemi porcyami. Co gorsza, nie na całej armii można było polegać. Gwardya piesza koronna (1,585 ludzi) miała za szefa Augusta Czartoryskiego, litewska (1,000) podskarbiego Fleminga. Litwini wszyscy trzymali się albo dworu, jako klienci i podkomendni hetmana wielkiego Radziwiłła, albo „familii.“ Hetmana pełnego koronnego znamy, jako narzędzie Mniszcha, litewski, Massalski, był przyjacielem Wołczyzna. O talentach oficerów, sprawności szeregowców trudno coś powiedzieć. Ambitniejsi wojskowi nie chcieli

służyć w takiej armii, szukali fortuny u Sasów, Prusaków, Austryaków. Chorągwie nadworne utrzymywał niejeden z panów republikańskich, ale mało co mniej posiadała ich „familia.“ Mówiono, że wojewoda ruski ma 1,000 żołnierzy, Flemming i obaj kanclerze litewscy — po 600. Milicję wojewody kijowskiego szacowano na 600 piechurów, 200 dragonów, 200 janczarów, kozaków—do 2000, prócz tego miał on dwa dość mocne zamki, Stanisławów i Brody ze stu bronzowymi armatami; wojewoda wołyński miał 450 ludzi regularnego wojska i mógł jakoby zgromadzić 5 do 6 tysięcy kozaków. Cóż kiedy zamiary obu Potockich były równie nieobliczalne, jak i Hieronima Radziwiłła, chorążego litewskiego, posiadacza kilkotysięcznej „armii!“

Największą ufność pokładano w masach szlacheckich, których spodziewano się posadzić na koń 20,000, a przy zapewnionej pomocy pruskiej lub tureckiej — do 60,000. Tak wypadało głosić w przededniu wybuchu. Dziś, znając stan rzeczy wcześniejszy i późniejszy, niepodobna nie stwierdzić, że od czasów niefortunnej konfederacji dzikowskiej komenda hetmańska zaniedbała wszystkiego, co by mogło podźwignąć rozpadające się żołnierstwo, partyjna zaś komenda patryotyczna nie zrobiła niczego, co by frazesy szowinistyczne zastąpiło wiarą w przyszłość i głęboką miłością kraju.

Było więc nad czem pracować w wojsku, po jarmarkach, sejmikach i dworach, nie zwlekając, aż Wersal rozwiąże swój trzos. Ale Branicki miał pretekst do bezczynności: Porta Ottomańska milczała. Malczewski stanął w Perze 20 maja, nazajutrz powitał świeżo przybyłego posła francuskiego. Odrazu postawił się na stopie równej i niby przyjacielskiej z Hübschem. Partnerzy byli gotowi, prawie wszystko ludzie bez świetnych tytułów, ale wytrawni i obcy z gruntem. Ciężka praca czekała obrońców Polski. Nie przeto, iżby nie dorównywali przeciwnikowi: Vergennes, choć żaden geniusz, był wybitną siłą w dyplomacji, o naszym pułkowniku zgodnie zaświadczyli wrogowie, że Branicki nie mógł wybrać lepszego agenta. Atoli szanse były nierówne. Cały ciężar ospałego Lewantu kładł się na szalę Obrezkowa. O padyszachu Osmanie III przedwcześnie puszczono ogłos, że chce naśladować Solimana. Wyhodowany zdala od polityki w ciepłe serajów, był on sobie człkiem sierszistym i kapryśnym, tępym i podejrzliwym, zmieniał wezyrów, reis-effendich, kislar-agów, kiałów, muftych, jak rękawiczki, a z całą ojcowską pieczołowitością doglądał w przebraniu, gdzie biurokracya gnębi poddanych. Humor takiego władcy, jak wicher, rozrzucał co chwila karty grających. Do-

świadczyli tego pierwsi przedstawiciele koalicji petersburskiej. Pomimo ich zabiegów Malczewski został przyjęty nie jak wło-
częga, bo lepiej od ajentów saskich i florenckich, z ciałem dy-
plomatycznym żył po koleżeńsku. Ramazan, wczasy i upały letnie,
zaraza spowodowały, że dopiero w sierpniu on i Vergennes z po-
mocą życzliwego Alego doczekali się posłuchu. Tu na wstępie
pułkownik usłyszał od wielkiego drogmana wymówki, dlaczego
Polacy pozwolili na przemarsz Rosyan w r. 1739. W memoryale,
podanym wielkiemu wezyrowi 7 sierpnia, przypomniał Malczewski
dobroczynny efekt, sprawiony na sejmie 1754 r. wystąpieniem ta-
tarskiego posła, przedstawił niebezpieczeństwo dla wszystkich są-
siadów z możliwego odbioru ordynacyi przez donataryuszów i Ro-
syan, nie pominął Nowej Serbii i Kurlandyi, wspomniął o przemar-
szu, grożącym w razie dojścia sojuszu anglo-rosyjskiego; w trzecim
zaś artykule pokoju pruskiego—konkludował—Najjaśniejsza Porta
chciała, aby Rzplta była wolna od wszelkich wstrętów (impedi-
mentis) i rad moskiewskich. Tem motywował prośbę o dyploma-
tyczne wstawiennictwo przed Rosyą, i motywował niezbyt szczę-
śliwie, ponieważ traktat pruski, nie odnowiony przy belgradzkiej
pacyfikacji 1739 r. wątpliwą posiadał powagę. Na wypadek, gdy-
by tę ostatnią zakwestyonowano, trzymali patryoci w zapasie de-
klaracyę cesarzowej Anny, daną Ignacemu Ogińskiemu w r. 1740
i wypierającą się jakoby zamiaru „traktowania“ o nowy przemarsz
armii przez Polskę, jak również czynienia wszelkich zmierzają-
cych do tego manewrów, przeciwnych przyjaźni między obu mo-
carstwami. Nie ręczymy za autentyczność tekstu tej deklaracyi,
bądź co bądź, zbyt cennej dla udzielnego państwa, a nie wystarczą-
jącej do uzasadnienia interwencji tureckiej. Jasną było rzeczą,
że Porta jeżeli zechce, wykręci się z łatwością. Wielki wezyr
zabrał się do studyowania traktatów i obiecał, w razie potwier-
dzenia nowiny o przymierzu, oświadczyć spodziewanemu za kilka
miesięcy nadzwyczajnemu posłowi rosyjskiemu, że Porta nie może
widzieć obojętnie pogwałcenia p r a w i s w o b ó d Rzpltej. Ter-
min był daleki, a o terytoryum nie było wzmianki. Wielki dro-
gman, pozyskany przez Portera, wyraził się w rozminowie z Ver-
gennesem tak, że lepiej nie mógłby mówić sam Obrezkow: „Jeżeli
Rosyane pójdą do Polski, nie będzie to bez powodu; ilekroć tam
chodzili, czynili to albo dla okazania pomocy sprzymierzeńcom,
albo dla utrzymania polskich wolności i elekcij.“ Trudno mi
uwierzyć—odparł Francuz z wymuszoną flegmą—aby Porta chcia-
ła uznać i przyznać Rosyi prawo do opieki nad Polską. Wido-
cznem było, że Ali Aga zbyt jaskrawo odmalował po powrocie

rozterki polskie. Aby nie zakrawać na intrygantów, woleli Vergennes i Malczewski wstrzymać się od dyskredytowania urzędowego poselstwa Rzpltej.

Gdyby w interwencji tureckiej leżała jedyna nadzieja Polaków, wszystko byłoby stracone. Do zbrojnego ruchu należało się przygotowywać natychmiast, nie czekając aż wielki wezyr pomówi z nadzwyczajnym posłem rosyjskim. Minister Rouillé niedość miał animuszu, aby go jeszcze udzielić polskiej klienteli. Krzywił się on na myśl o rozstrzelonej ruchawce, pragnął konfederacji „porządnej“, któraby jednak nie zakończyła się uporządkowaniem i umieżależnieniem Rzpltej za pomocą „ustaw, zgubnych dla jej wolności.“ Słusznie też przewidywał, że o ile Francya zachęcać będzie Polaków do tego, czego oni sami chcieć powinni, w razie klęski odpowiedzialność i wyrzuty spadną na Ludwika XV. Lecz bez obcej zachęty patryoci nie myśleli zadzierać z Brühlem i Rosyą. Na szczęście hr. Broglie nie zasypiał sprawy. Znał na wyłot biaostockiego przyjaciela i od początku nie obiecywał sobie łatwych tryumfów. Wypatrywał tylko sposobności, aby przynajmniej uwolnić Branickiego od kłopotu z Brühlem. W ostatnich dniach lipca wybiła upragniona godzina. Paryżanie byli oszołomieni, oburzeni zdradzieckiem porwaniem przez Anglików dwóch fregat na wodach amerykańskich. Wtedy to ambasador rzucił na stół ministeryalny swój projekt wielkiej koalicji antyrosyjskiej. Jedynie pozyskanie dworu drezdeńskiego mogło Polaków postawić na nogi, zabezpieczyć Francyi odwet w Hanowerze. Aliści związku tego nie życzył sobie Fryderyk II, z którym dopiero co zdecydowano się odnowić przymierze. Broglie zabrał się do zwalnia tej zapory. Dnia 4 sierpnia przedłożył radzie królewskiej „memoryał o obecnym stanie spraw politycznych w Niemczech i w Polsce,“ z konkluzją, że owszem, i tu i tam dla obrony francuskich interesów niezbędne jest odświeżenie związku z królem pruskim, który, jak sądził ambasador, nie odepchnąłby i aliansu saskiego, odradzanego dotychczas nie z osobistej niechęci ku Brühlowi i Augustowi III, a tylko z uwagi na ich złą gospodarkę. Datę 10 sierpnia nosi inny memoriał Brogliego, wprost już dowodzący, że do opanowania rozdawnictwa wakansów w Polsce i pokierowania przyszlą elekcyą nieodzowny jest traktat subsydyarny franko-saski. Na skutek tych zabiegów zawiadomiono Duranda o wyznaczeniu na poparcie polskiej konfederacji żądanej sumy 14 miliona liwrów, Broglie upewnił Branickiego o swym niechybnym powrocie. Aby wszakże nie wyglądało, że król Arcychrześcijański ubiega się o pomoc „prawowiernego“ kolegi, sekretarzowi

ambasady w Dreźnie, panu de Linau, polecono zapytać formalnie, czy August III, mając do wyboru jednakowe oferty od Anglii i Francji, oddałby pierwszeństwo tej ostatniej. Linau w wykonaniu tych rozkazów oświadczył, że jeżeli Saksonia ma jeszcze ręce wolne, albo zerwie układy z Anglią, to poseł francuski w 2 tygodnie stanie nad Łabą. We wrześniu nadeszła z Dreznia depesza, że Brühl zawiesił negocjacyę z Londynem, ale dopiero 10 października, gdy już w Europie szeroko rozprawiano o uwięzionem dziele Williamsa, przedmiot misyi Brogliego zarysował się wyraźnie.

Zmobilizować cały system koalicyjny burboński na obronę Polski — oto idea, którą mozolnie, wszechstronnie i troskliwie opracowywał nasz opiekun. Pierwszy błąd wytknął mu nielitościwy los palcem Branickiego. Wódz narodu, „bóg opiekuńczy“ szlachty ordynackiej, mając zapewnioną kwotę, za którą mógł uzbroić i utrzymać armię, mało co mniejszą od etatowej, medytował nad tem, kogoby zrobić marszałkiem konfederacyi: Mokronowskiego, krętacza wojewodę bełzkiego, czy też wygadanego i „stałego“ Adama Małachowskiego. Pozatem nie robił nic. W pierwszych dniach września pisał jeszcze do Duranda: „Nie podejmuję się zwyciężyć Rosyan w regularnej bitwie. Nie obiecuję nawet przeszkodzić ich dojściu do miejsca przeznaczenia, ale będę ich nękał (*harcellerai*) w pochodzie, przeciwstawię im mój zapal (*zèle*) i nienawiść mej partyi, stanowiącej jądro narodu.“ Ale i w roli harcownika trudno było sobie wystawić wygodnisia Branickiego. To też, gdy ministerjum francuskie radziło nad odpowiedzią na jego ofertę, i Rouillé skłaniał się wyzyskać ją choćby z największem narażeniem Polski, troskliwszy Broglie przeforsował reskrypt (3 października), pozwalający na konfederacyę tylko w razie pewnej pomocy tureckiej, nie odmawiający jednak zasiłków przyszłym konfederatom, nawet gdyby powstałi nie czekając na nią, Ludwik XV bowiem nie chce, aby mu zarzucano, że najpierw zachęcał ich do wybuchu, a potem opuścił.

Takich rad Branicki nie potrzebował. Już miał dosyć kłótni. Nigdy jeszcze tak długo i tak ostro z dworem nie wojował. Drżał na myśl o kozakach, plądrujących jego majątności, bał się męczeństwa w Koenigsteinie lub na Sybirze. Starczyłoby mu może męstwa do zimy, gdyby Durand nie skąpił brzęczącej zachęty; cóż kiedy opiekuni nie mogli uwolnić się od obawy, że z posiadanych przedwcześnie liwrów wyrosnie zamiast kadmowego rycerstwa coś nakształt Kadmei w zaciszu białostockich parków! A tu pieniędzy trzeba było na gwałt. Kończyła się kadencya trybunału

piotrkowskiego; gdyby w następnym zwyciężyli Czartoryscy, jeden wyrok skasowałby dworsko-republikański stan posiadania w ordynacji. Na myśl o powrocie Czartoryskich do władzy, hetmanowi zrobiło się żal marszałka nadwornego. Ze wspólnych obaw wynikły w sierpniu układy między Branickim i Mniszchem, z tych układów—dalsze targi o wakanse, podczas których już i odwołanie Malczewskiego brane było pod rozważenie. Hetman gotów był „poświęcić swój resentyment dobru publicznemu,“ ale to okazało się zbyt kosztowne. Tanim kosztem, chociaż po zażartej walce wyborczej, zdobyli patryoci niepodzielne panowanie w nowym trybunale. Tracili zato czas na jałowe próby porozumienia z dworem w chwili, gdy tylko stanowcze parcie do własnych celów miało racyę bytu. Z podkomorzym litewskim umówił się hetman przed jego wyjazdem do Stambułu, że w razie zawarcia anglo-rosyjskiego przymierza, zwróci uwagę króla na niebezpieczeństwo, poseł zapyta w tym wypadku dwór o nowe rozkazy, Malczewskiemu zaś nie odmówi należnych wyróżnień. Odtąd był spokojny o Jana Mniszcha. Nie łudźmy się, że to było udawaniem: hetman szukał kompromisu, byle nie narazić na szwank swej dystynkcji. I na odwrót, szukał zwady z Francuzami, aby na nich zwalić winę zerwania.

Od początku już października Beck niby od siebie ostrzegął Duranda, że jeżeli Branicki nie dostanie znacznego zasiłku, będzie musiał „rzucić się w objęcia dworu.“ Zasiłki bowiem, płacone kapanią, na aktualne potrzeby agitacji sejmikowej, niedość podniecały wodza. Październikowa depecha Rouillého wcale go nie zachwycała. Wyrozumiał z niej, że rada Ludwika XV uważa konfederacyę za rzecz dopuszczalną, lecz niewiele obiecującą, gdyż oczekuje większych korzyści po przymierzu saskim. Widać nie zależy jej już na powodzeniu polskiej insurekcji; żałować więc musi hetman, iż Turkom przedstawiał rzecz, jako gotową—i nadal nie chce o tem gadać. Na to Durand udał, że się gniewa. Oziębłe wyraził Branickiemu zdumienie, że ofiarność Ludwika XV tak małe zrobiła wrażenie; monarcha ten jednak nawet nieprzyjaciółom zwykł dawać czas do poznania swego błędu i znieść wyrozumiale obojętność osób, które ceni. Zdawałoby się, że po takich wywnętrzaniach obu stronom niewiele pozostało do powiedzenia sobie. Lecz Durand był cierpliwy, a Branicki nie zawzięty. Obaj też potrzebowali siebie nawzajem. Po wznowieniu odraczanej dwukrotnie komisji hetman miał ochotę zaimponować szlachcie pięciu województw cudzą hojnością; Durand pragnął przy tej okazji donieść nareszcie dworowi o ja-

kimś fermentacyjnym, zaraźliwym ruchem narodowym w Polsce. Żadna strona nie uczyniła pierwszego kroku, jeden zwlekał z agitacją, drugi z wypłatą pieniędzy. Potoccy, zaproszeni do robót przedkonfederacyjnych, zachowywali się obojętnie, masy szlacheckie pozostawały w półśnie. W połowie listopada spadł na Branickiego grom z jasnego nieba: komisya, tak zakochana niegdyś w „wodzu“, zaakceptowała reskrypt Augusta III o wakansach ordynackich. Wyszła na jaw zdrada Załuskiego, Mogilnickiego, daremnie broił przywilejów buławy sam jeden Rostkowski. Wódz, ujrawszy siebie strąconego z piedestału. Brühla i Mniszcha zwycięskich w dobrej zgodzie z Francją, pofolgował swemu strapieniu w szeregu inwektyw na Francję. Czas przerwać tę grę! On nie chce jej służyć za maryonetkę, wycofa Malczewskiego, aby ocalić swe włości przed zniszczeniem, swą osobę przed aresztem! Francuzi uchylają się od spełnienia zobowiązań, poświęcili go w Dreźnie, pokłócili go z własnym jego monarchą, zrobili podejrzanym dla przyjaciół, ale nie uda się wy kierować go na igraszkę dla wrogów!

Tyle wskórał hr. Broglie całą swą zapobiegliwość. Czegoś brakowało w skonstruowanej przezeń międzynarodowej baryerze antyrosyjskiej. Na poszczególnych posterunkach źle się sprawiali obrońcy. Lewe skrzydło, Szwecya, prawie nie wchodziło jeszcze w rachubę. Prawe, turecko-tatarskie, oglądało się na środek i milczało. Stojący tam niedoszli konfederaci, których czynności miał aprobować i pokryć swą powagą sprzymierzony z Francją August III, nieufnie oglądali się na rezerwy drezdeńskie. Berlińska rezerwa też milczała zagadkowo, bo sytuacja nie zachęcała jej do wydania marsowego okrzyku. Dwóch zdań nie może być co do tego, kto najmniej zdziałał na swem stanowisku: ci, w czyjej obronie szykowała się cała armada. Tylko ferment powstańczy w Polsce, idea niepodległości, elektryzująca tłumy, niepohamowana w ekspansyi, mogła pociągnąć do boju Turków, zniewolić Augusta groźbą detronizacji. A właśnie w tych dwóch kierunkach postawa wodzów patriotycznych oddziaływała deprymująco. Branicki 20 września dał sobie wyłudzić nie nowe rozkazy, a „reflexye“ dla Malczewskiego, mające przekonać wątpieli stambulskich. Mianowicie kazał tłumaczyć niemoc Rzpltej jedynie, jako skutek wywołanego przez Rosyę rozłam, interwencją Porty, jako jedyną deskę ratunku, konfederację, jako zwykły środek w ostatniem nieszczęściu, którego Polacy użyją dopiero po krokach wojennych Porty, rozpoczętych na skutek rosyjskiego przemarszu; dążyć należy do tego, aby sama deklaracja turecka powstrzymała Rosyan,

gdyż Polacy wojny nie życzą, wołają ją wszakże niż ciągłą opresję i niewolnictwo. Nie takich wezwań usłuchaliby Turcy. Nawet do ofiarowania swych dobrych usług nie mieli przyzwoitego pretekstu. Znalazł się w listopadzie na urządzie Reis Effendiego człowiek z nerwem i ambycją, Sopasallan Ahmed, który skrytykował bierną politykę Porty za Mahmuda i przez Vergennesa zażądał od Branickiego listu do wezyra z wyszczególnieniem krzywęd od Rosyi, zaopatrzonego w podpisy szefów patriotycznych. Na szefów mało kto liczył, ale i Branicki nie myślał kompromitować się czarno na białem. Przesłał tylko Malczewskiemu nowe listy wierzytelne, wezyra nie prosił o nic prócz remonstracyi posłowi rosyjskiemu skarg, jakie wyłuszczy pułkownik. Już był w zupełnym odwrocie, zdecydowany poprzestać na protestującym manifestie, nakłaniał do tegoż Potockich i kolegę Radziwiłła. Potem uczepił się myśli, że większy skutek zrobiłaby mocna deklaracya pruska, pouczająca Sasów, iż Rzplta ma jeszcze opiekuna niezależnego od systemu dworu drezdeńskiego. Na bezwarunkowy rozkaz Augusta, aby odwołać Malczewskiego, który brał się do rzeczy „wyższych nad swoją sferę”—odpisywał, iż Malczewski nie robi nic bez jego rozkazu, i pozostanie w Konstantynopolu aż do przybycia Mniszcha, aby ten, jako bezstronny świadek skontrolował jego postęпки. Jeżeli kłamał, to już nie przed dworem a przed Durandem, któremu zakomunikował ów dowód swej nieugiętości. Właśnie posłał był ukradkiem pułkownikowi nowe instrukcyje z formalną zapowiedzią, iż sam, ze względu na możliwe spustoszenia, sprzeciwi się ewentualnemu wkroczeniu tureckich posiłków. Popsuć sprawę już nie mógł, odkiedy wojowniczy Sopasallan znikł z horyzontów stołecznych. Ostatni raz spróbował Malczewski poruszyć Portę memoryałem 10 stycznia 1756 r., w którym oczyszczał się z obmowy, że się wtrąca do nieswoich rzeczy, ale też zastrzegał się starannie, iż „chodzi nie o wypowiedzenie wojny, nie o kroki nieprzyjacielskie, a tylko o ową przyjacielską interpolicyę, co nieraz skuteczniej niż oręż, najpożądańsze sprowadza wyniki.“ Niewinnej tej przysługi nie mogła Porta odmówić. Podobnej treści memoryał Vergennesa dostał się aż do rąk sułtańskich i pozostał w nich do chwili, gdy można go będzie skonfrontować z przełożeniami Mniszcha.

Hetman koronny zrzucił z siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo granic, król nie poczuwał się do niej nigdy i nie potrzebował się poczuwać, gdy go nikt o to nie pytał. Na stracony zatem posterunek jechał do Drezna inicjator wielkiej akcyi polonofilskiej, ambasador nadzwyczajny Ludwika XV. Przybył tam

w początkach listopada z drobiazgowo obmyślonym planem negocjacyi. August III, jako elektor saski w ciągu ostatniego dziesięciolecia, z dwóch źródeł kosztował obcych subsydyów. W r. 1746, gdy Francya wyteęzała siły przeciwko Austryakom, Sabaudczykom, Anglikom, Hanowerczykom, Brühl zawarł z nią tajny traktat wersalski (21 kwietnia) w którym za obietnicę neutralności wyłudził dla Saksonii dwa miliony franków rocznego zasiłku, jednocześnie wytargował małżeństwo królowny Maryi Józefy z Delfinem. Uzyskał ten traktat za pomocą *bluff'u*, bo atut 12,000 wojska, którym nastraszył Francję, nie istniał. Co więcej, tajny charakter umowy pozwolił mu niedotrzymać ustnego przyrzeczenia, danego przez ambasadora hr. Lossa w chwili jej podpisania, że August III przestanie nadal współdziałać z dworami cesarskimi. Zapóźno zrozumieli pp. d'Argenson i Puyzieulx, jak bezwartościowa jest dla Francyi przyjaźń saska. Po wygaśnięciu umowy wersalskiej Brühl jeszcze bardziej zbliżył się do mocarstw morskich, traktatem drezdeńskim 13 września 1751 r. zapewnił Augustowi 48,000 funtów rocznego subsydyum, wzamian za korpus posiłkowy sześciotysięczny lub większy, „jeżeli co do tego nastąpi zgoda“ we właściwym czasie. Do czego stosowało się to „jeżeli,“ do zwiększonych posiłków, czy też do przewidzianych w umowie—tę wątpliwość Brühl i Williams świadomie zamazali za pomocą dwuznacznej interpunkcyi. Rzeczywistym równoważnikiem funtów szterlingów miała być tym razem deklaracja głosu elektorskiego na rzecz arcyksięcia Józefa przy obiorze króla rzymskiego, zdobycz bezużyteczna od chwili, gdy obiór odłożono na lepsze czasy.

Twórcom obecnej misyi hrabiego Broglie, a w pierwszym rzędzie samemu ambasadorowi, nie zależało wcale na wynajęciu 6,000 Sasów. W myśl instrukcyi gabinetowej miał on jednak żądać przyjęcia za podstawę układów umowy drezdeńskiej, a nie wersalskiej; za maksymalną kwotę 2,000,000 liwrów rocznie miał wymagać prócz współdziałania Augusta z Francją w sprawach Rzeszy, owego kontyngensu wojska, i dopiero gdy Brühl, głośny dezorganizator armii, przeraził się tym warunkiem i uprze się przy „podstawie“ dawnych paktów wersalskich, zamierzał ambasador ustąpić, lecz zaraz upomnieć się o przyrzeczenie moralnego i czynnego poparcia walki patriotów z Rosyą, odwołania Hübsha z Konstantynopola i o rozdawnictwo wakansów w Polsce według francuskich poleceń. Ten ostatni punkt, drażliwy, bo uszczuplający prerogatywę Augusta, (czytaj: dochody Brühla) chciano załatwić z premierem ustnie za pomocą i pod gwarancją 100,000

liwów strąconych z rocznej sumy zasiłkowej do prywatnej szkatuły ministra. Książę Conti po daremnych oporze przeciw „niebezpiecznym“ projektom, mógł już tylko skrepować ich wykonawcę, redukując subsydia do sumy 1½ miliona i czyniąc z szafunku wankansów warunek sine qua non aliansu. Wszelako ani skąpstwo polityki sekretnej, ani szczodrość ministeryalnej, nie oddziaływały na rezultat ostateczny.

Brühl poprostu nie mógł rozstać się z anglo-rosyjską przyjaźnią. Nie pomogłyby na to żadne upominki. On nie należał do ministrów przekupywanych, a sam przekupywał innych. Własny interes zmuszał go do dbałości o bezpieczeństwo Saksonii, z której czerpał władzę i dochody. Austria i Anglia broniły Saksonię przed Fryderykiem II, Rosya nadto przed niechętnymi Polakami. Związek z Francją odstręczyłby dotychczasowych opiekunów, nie dałby żadnej rękojmi przed Prusami. Tych wskazań niewzruszenie trzymali się zarówno premier, jak ministrowie konferencyi, tajni radcy królewscy, hrabiowie Rex, Hennicke, Loss, Schönberg. Przyjęto by traktacik handlowy z Francją, tajną umowę o neutralności, lecz żadnych stypulacyj przeciw Rosyi. Czempredziej też wtajemniczył premier w oferty wersalskie Grossa, a za jego pośrednictwem Anglików. Podejrzliwość jego wzmożyła dwie okoliczności z tej kategorii, którą się zwykle kładzie na karb „pechu.“

Obaj kaptowani przez Francję sojusznicy, Fryderyk II i August III nie powinni byli właściwie nic wiedzieć jeden o drugim; inaczej obaj zraziliby się śmiertelnie do nieproszonej pojednawczyni. Tymczasem sekretarz Linau nie zawahał się już w sierpniu zakomunikować posłowi pruskiemu, hrabiemu Maltzahnowi francuskich propozycyj. Wiedział doskonale Prusak, co o całej sprawie trzyma jego pan: on to właśnie w sprawach saskich był mężem zaufania Fryderyka. Czy odebrał odeń jakie nowe rozkazy co do wyzyskania niedyskrecyi młodego kolegi, czy sam zgadł intencje dworu, dość, że w miesiąc potem fakt wynurzeń Francuza doszedł do wiadomości Brühla. Premier uderzył się w czoło: toż to najniewątpliwiej „ukryty atak Prusaków pod francuską flagą na pozycje austro-rosyjsko-saskie!“ Pożądańszej konkluzyi nie mógł mu podszeptać sam Fryderyk. Do reszty zaprzepaścił sprawę niezgrabny pan Rouillé. Nie czekając aż ambasador przybędzie do Drezna, wygadał się w rozmowie z posłem saskim, hr. Vitzthumem, że Ludwik XV nie obstawałby może przy żądaniu kontyngensu wojskowego. Broglie, nic o tem nie wiedząc, zaraz po otwarciu pertraktacyj kategorycznie zażądał kontyngensu, ja-

ko istotnego warunku „podstawowej“ umowy drezdeńskiej 1751 r. Brühl się zniecierpliwiał. Czy Francya naprawdę chce przynieść—depeszował do Paryża—„czy też chciano tylko zabawić galeryę?“ Hr. Vitzthum, słysząc, że mu zadają kłam, upomniał się o wyjaśnienie u Rouillégo. Wtedy minister, przyparty do muru, wyznaje najtajniejszą myśl, z którą, jak z zasadzki, zamierzał wypaść na Sasów Broglie. A uczyniwszy owo wyznanie, donosi o niem ambasadorowi w sposób tak niezrozumiały, że ten do końca nie może zmiarkować, czy Brühl wie już o wszystkim.

Jeżeli samą „podstawę“ rokowań, w szczególności klauzulę o współdziałaniu z Francją w sprawach cesarstwa, radcy drezdeńscy uznali za „podchwytliwą, nieprzyzwoitą, niemożliwą,“ to jakże świetnie potwierdziły depesze Vitzthuma domysł o „pruskim ataku pod francuską flagą!“ Skutkiem mogło być tylko natychmiastowe utknięcie rokowań. Tajni radcy z całą gruntownością wywiedli, na czem polega różnica między saskim i francuskim punktem widzenia, Broglie z całą stanowczością dał do zrozumienia, że bez nowych pełnomocnictw — w niczem nie ustąpi. Odebrane niebawem nowe rozkazy brzmiały, aby czekać aż Sasi pierwssi zmiękną. W połowie grudnia zgasła myśl narzucenia Augustowi III narodowego polskiego programu.

Starania zato o środki na gabinetowo-karnawałową administracyę saską ze wszystkimi jej skutkami dla Polaków, toczyły się coraz gorączkowiej. Próżno Brühl przez cały rok pchał swego Wiedmarcktera do rozmów o przymierzu z angielskimi sekretarzami stanu, to znów, podbijając się w cenie, naglił aby korzystano ze zwłoki w natarczywych propozycjach Brogliego. Próżno puszczono w ruch dobre usługi dyplomatów rosyjskich, Grossa i Kayserlinga. Próżno umyślnie sprowadzony z Wiednia hr. Karol Flemming, najdostojniejszy z saskich dyplomatów, asystował królowi Jerzemu i lady Yarmouth podczas letnich zabaw w Herrenhausen, upewniając pierwszego o serdecznej przyjaźni Augusta. Lady nie była markizą Pompadour, ani też król Jerzy Ludwikiem XV. Jerzy dziękował za komplementy, ale wzbraniał się obiecać cośkolwiek w materji pieniężnej zdala od rady ministrów. Niepomni na kwietniowe zapowiedzi ks. Newcastle, któremi Brühl tak oszołomił Williamsa, lordowie z Whitehallu nie garnęli się do podpisania traktatu. Na domiar przykrości zapytali, czy jest w pogotowiu korpus sześciotysięczny, którego nie chcieli uważać za fikcyę. Brühl zgodził się w przyszłym traktacie zrezagować ten punkt bez dwuznaczników, ale i to nie pomogło. W grudniu Newcastle nie chce już robić żadnej nadziei, Fox wymawia się, że

sprawy saskie nie należą do jego wydziału, Münchhausen, druh hanowerski Brühl, otwiera serce ze szczerem ubolewaniem, lord Holdernesse wzrusza ramionami i powiada, że „stan rzeczy się zmienił...“

Co się zmieniło? Coś niepojętego było w postępowaniu Anglii. Czasy były niespokojne. Zarzewie wojny kolonialnej rozlało się za oceanem. Hanower był zagrożony. A przecież odkąd Welfy i whigi panują w Anglii, aksyomatem ich polityki lądowej było kupować na obronę Hanoweru i Ameryki korpusy chłopów niemieckich, aksyomatem zaś niemieckich ojców ojczyzny było sprzedawać tych chłopów za grube pieniądze. Miałaby Anglia teraz zmieniać cały system? Wprawdzie to kraj parlamentarny, jak słusznie twierdzi uczony Kayserling; takiego rumaka trzeba obłaskawić, aby się nie znarowił. Opozycja w świeżo otwartym parlamencie rzuca się właśnie z niebywałą zajadłością. A jednak ratyfikacya traktatów z Rosyą i Hesyą przeszła w izbach ogromną większością! Nadchodzi styczeń 1756 r. Sasi wciąż czekają. Dziwne szeptki krążą od niedawna po gabinetach mocarstw, zalatają do Dreżna. Tajemniczy Starhemberg, austriacki poseł w Wersalu, ostrzega Vitzthuma, że to król pruski utrudnia porozumienie Francyi z Saksonią. Brühl potrząsa głową niedowierzająco: Starhemberg przesadza, Fryderyk chce tylko usidlić Augusta, bo ktośby pogardził sprzymierzeńcem w tak ciężkich czasach. Styczeń mija...

Nagle rażący blask bije w pomrokę z Londynu. Anglia — zmieniła system. Siostrzan z wujem, Fryderyk z Jerzym, podali sobie ręce. 16 stycznia podpisana została w Westminsterze konwencya aliansowa angielsko-pruska, gwarantująca terytoryum i spokój Rzeszy Niemieckiej przed jakimkolwiek obcym najazdem. Potężna ręka Fryderyka Wielkiego jednym pociągnięciem pióra przekreśliła rachuby saskie, rachuby republikańskie, plany Brogliego i plany Williamsa.

Był to prolog dramatu, którego miano — Wojna Siedmioletnia¹⁾.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI.

¹⁾ Dowody źródłowe ogłoszone będą w przypisach większej pracy: „Polska w dobie Wojny Siedmioletniej“, która ukaże się w jednym z najbliższych tomów: „Monografij w zakresie dziejów nowożytnych.“

Ruch literacki w Niemczech.

Pragnąc dać dokładny obraz życia umysłowego, nie zawsze poprzestać można na dziełach specjalnie literackich lub naukowych, w naszych czasach, w których każdy niemal objaw w wielkiej masie wydarzeń posiada tendencję do wcielenia się w szatę literacką. Stąd też częstokroć owe liczne utwory, nie dające się pod żadną rubrykę zarejestrować, ciekawe jednakże dla badacza teraźniejszości. Ze utwory tego rodzaju należą do najpopularniejszych, że pamiętniki osób „ciekawych,“ któremi kronika skandaliczna się zajmuje, opisy przygód niezwykłych, fantazyje na temat technicznych zwycięstw, na temat wojen i przekształceń polityczno-socyalnych, na temat czynów bohaterskich agentów policyi tajnej i t. p. największe dziś przynoszą zyski autorom, jest niestety, objawem bardzo naturalnym.

Brak zupełny wszelkich zalet artystycznych jest zazwyczaj cechą znamioną dzieł podobnych. Bywają jednakże wyjątki. Do nich zaliczyć należy powieść „Cavete,“ pierwszy utwór belletrystyczny nieznanego dotychczas autora Emila Sanda. Przed rokiem mniej więcej pojawiła się w Niemczech dość udatna fantazyja wojenna „Gwiazda Morska,“ osnuta na tle możliwej wojny ogólnoeuropejskiej. Utwór ten wywołał cały szereg podobnych angielskich, francuskich i niemieckich naśladownictw, o czym w jednym z poprzednich sprawozdań donosiłem. Na tak podatny grunt pada powieść „Cavete,“ która, nie będąc wprost utworem wojennym, dotyka jednak w bardzo znamieny sposób militarystyki dzisiejszego, dla którego zbrojna Europa posiada, jak wiadomo, szczególne sympatyje. Tym razem autor o bogatej fantazyi Jules Verne'a i zdolnościach kombinacyjnych Bellamiego, stwarza z tak przekonującą logiką i zadziwiającą plastyką całość o takiej sile sugestywnej, że czytelnik „Cavete“ przeżywa ze zdziwieniem jeden

z owych paroksyzmów, które w latach chłopięcych wywoływała zazwyczaj lektura o krwawych przygodach w walce z czerwono-skórymi, o romantycznych robinsonadach lub fantastycznych podróżach kapitana Cooka. Interesujące wydarzenia, opisane przez autora „Cavete,” przedstawiają historię przewrotu, wywołanego w życiu całego świata ucywilizowanego przez wynalezienie udoskonalonego balonu, nadającego się do żeglug napowietrznych.

Balonu takiego dotychczas jeszcze, pomimo licznych i ciągłych usiłowań nie wynaleziono, ale pierwsze akordy introdukcji, poprzedzającej tę znamiennej epokę w dziejach ludzkich, już przedarły się do uszu naszych. Powieść Sanda nabiera przeto, pomimo swej fantastyki, ogromnego prawdopodobieństwa, a połączenie pierwiastku fantastycznego z uczuciem prawdopodobieństwa stwarza napięcie, będące główną przyczyną ogromnego powodzenia powieści, która w tysiącach egzemplarzy już się rozeszła.

Mało kto przypuszczał wówczas, gdy Jules Verne opisywał w jednej ze swych powieści fantastycznych konstrukcję statku podwodnego, aby sprytowi ludzkiemu udało się kiedykolwiek urzeczywistnić tak śmiałe fantazje, a jednak jeszcze za życia Verne'a statki podwodne zostały wynalezione. Dziś nikt nie wątpi, że wynalezienie balonu, nadającego się do żeglugi napowietrznej, jest jedynie kwestią czasu. Kto wie, może jutro już rozniosą gazety po całym świecie wieść, że człowiek stał się nareszcie panem powietrza. Dlaczegoż woła Sand zionkom swoim owe ostrzegające Cavete? Na okładce książki, zawierającej wizerunek fantastycznego statku napowietrznego, unoszącego się nakształt potwora ponad skałistem wybrzeżem morskiem, w blaskach nowej jutrzemki, widzimy wykrzyknik przecinający swym czarnym klinem miecz złamany. Złamany miecz — to złamana potęga militarizmu dzisiejszego, gdyż z chwilą wynalezienia udoskonalonego balonu, wszystkie dotychczas środki władzy: armaty i bagnety, pancerniki i wały forteczne, stracą rację bytu. Czy w przewrocie tym mogłoby leżeć niebezpieczeństwo dla pojedynczych narodów?

Trudno przypuścić, aby wynalazek takiej doniosłości mógł zostać zmonopolizowany przez którekolwiek z mocarstw w celach zaborczych. A wszak ta myśl jedynie mogła była wywołać obawy, które znalazły wyraz w tytule i treści powieści Sanda. Wynalazki w czasach dzisiejszych nie dadzą się w podobny sposób monopolizować. Jeżeli państwa nie są dziś w stanie zabronić swoim fabrykantom dostawy broni dla obcych mocarstw, jeżeli podobne tragikomedye jak np. strzelanina w Chinach do wojsk niemieckich z dział obstalowanych przez Chińczyków u Niemca

Kruppa mogą się wydarzać, to skądże w razie tak ważnego wynalazku, jak statek napowietrzny, jedno państwo posiadałoby dość mocy i środków do zagarnięcia dla swoich celów egoistycznych dobytku, który powinien być własnością całej ludzkości. Zresztą nieunikniona droga dla wszystkiego, mającego pewne znaczenie, „złota“ droga kapitalizacji przedstawia dostateczną rękojmię przeciw takim uzurpatorskim marzeniom, w razie gdyby rzeczywiście jeszcze gdziekolwiek pojawić się miały. Kapitalizm bowiem, owo wszechpotężne państwo w państwach, jest potęgą międzynarodową. Pominąwszy ten jedyny zarzut, któryby można było autorowi „Cavete“ zrobić, utwór jego jest niezaprzeczonym dowodem talentu. Architektonika powieści, wyjąwszy kilka niepotrzebnych liryzmów, doskonala, postacie pełne życia, plastyka, z jaką nam autor opisuje wszystkie szczegóły techniczne, dotyczące żeglugi napowietrznej—nie pozostawia nic do życzenia. Od pierwszej stronicy do ostatniej znajdujemy się pod czarem tej dziwnej książki, którą czytać trzeba jednym tchem. Ustępy takie, jak np. listy Amenarda, byłego właściciela biura wywiadowczego, trywialnego Żydka-materyalisty, z pierwszej podróży napowietrznej, są dowodem rzadkiej zdolności umiejętnego zrównoważania kontrastów. Wizja ta nowej ery, odzwierciadlająca się w zeszcłej duszy takiej pchły, jak Amenard, jest epizodem godnym pióra Cervantesa. Stosownie do założenia, powieść Sanda kończy się u stóp tronu. Wynalazca, inżynier Rusart, przekonawszy się, że nadzieje jego na rozbrojenie Europy nie dadzą się urzeczywistnić, oddaje cesarzowi Wilhelmowi II swój wynalazek. Zakończenie to, wychodzące daleko poza ramy utworu beletrystycznego, jest wynikiem fałszywego założenia, i o ile entuzjastycznie zostało przez wszystkie żywioły arcy-niemieckie przyjęte, o tyle zupełnie słusznie poza granicami państwa osłabi ogólne wrażenie powieść, której polityczne alluzyje wyjść na dobre nie mogą.

Autor „Cavete“ jest hamburczykiem, któremu wieloletnie podróże po świecie dały sposobność, jak wielu zresztą synom tego międzynarodowego portu, rozszerzyć znacznie swe widnokreśli. Ta znajomość świata nadaje dziełu jego specjalne zalety. Emil Sand wstępuje dopiero jako czterdziestoletni mężczyzna w szranki literatury, co w naszych czasach utrudnionej walki o byt, hamującej częstokroć naturalny rozwój, nie jest rzadkością.

*

*

*

Obok „Cavete“ cieszy się ogromnem powodzeniem najnowsze dzieło znanego podróżnika Schillings'a: „Czar Eleleszo“ (Der Zauber des Elelescho)—Eleleszo! Nazwa pełna jakiejś nieokreślenie miłej melodyi, tajemnicza a jednak znajoma. Jak gdyby przez dale mgliste głos matki-natury nas wabił. Ale jak niewiele jest w stanie zrozumieć jej szept! Jednym z takich tłumaczów i proroków natury jest Schillings, znany autor dzieła: „Mit Blitzlicht und Büchse,“ które odbiło się donośnem echem nie tylko w Niemczech, ale przedewszystkiem w Anglii i krajach rasy anglo-saksońskiej. Schillings jest zupełnie nowym typem podróżnika-myśliwego, dla którego fotografowanie odgrywa większą rolę, niż samo strzelanie. Miłość dla dzikich puszczy afrykańskich, dla fauny i flory tych dziewiczych krain, jest głównym motywem jego wypraw. Śród tego obcego nam życia, pośród lwów, lampartów, żyraf, słońi, nosorożców i niezliczonych zastępów drobniejszego zwierza, zamieszkującego lasy, stepy i błota afrykańskie, stoi myśliwy tam wróg i przyjaciel zarazem i patrzy na świat ten dziewiczy zdziwionym wzrokiem pierwszego człowieka. Eleleszo!—I nas otacza Eleleszo „ów wiecznie dziewiczy czar natury.“ Zrozumienie otaczającej nas natury, miłość dla niej, jest dopiero prawdziwem poznaniem tego czaru, bez którego życie nasze byłoby tak smutne, jak kamienna szarżyzna wielkich miast. Co to jest właściwie Eleleszo? Tem pięknem mianem ochrczyły kocujące plemiona Masai krzak o srebrno-szarych liściach, który nadaje ich puszczołom ojczystym jedną z najbardziej charakterystycznych cech. Botanikom znany jest krzak ten pod nazwą *Tarchonantus Camphoratus*. Specyjalnym urokiem Eleleszo się nie odznacza, ale zapach tej skromnej rośliny napełnia powietrze, nadaje wodzie, a więc i napojom i pokarmowi, specyjalny aromat i towarzyszy turyście na każdym kroku. Słowem i fotografią stara się nam Schillings udostępnić czar ojczyzny Eleleszo. Fotografie jego są bezpośrednio odzwierciedleniem tajemnic tej natury, zdobytem częstokroć po niezliczonych mozolach i z narażeniem własnego życia. Z metodami autora mieliśmy już sposobność, poprzednio w pierwszym jego dziele się zapoznać. Jak niebezpieczne musiało być naprzykład zdjęcie: —lwa gotującego się do skoku, albo młodych słońi w swem legowisku, strzeżonem przez żyrafę. Fotografie te, których nowe dzieło Schillingsa zawiera przeszło 300, cieszą się wielkiem uznaniem w świecie naukowym i artystycznym. W ostatniem dziele metoda autora została nawet jeszcze pogłębiona. Ludzie, zwierzęta, rośliny, rzeki, krajobrazy, poranki, wieczory, wszystko ujęte, mówiąc słowami Zoli, w ramy temperamentu autora, widzia-

ne jego wzrokiem pełnym podziwu i miłości, składa się na imponującą, jednolitą całość, która sprawia wrażenie dzieła sztuki. Utwór Schillingsa pełny jest, że się tak wyrażę, nastrojów. Ilustracye służą w nim, jako pogłębienie i uzupełnienie żywego słowa. „Strzeżcie i chrońcie czar Eleleszo, czar pierwotnej, niesplamionej natury, bo czyż nie jest ona źródłem nieprzebranych piękności!“ Tak zdaje się wołać autor. Władza ludzka nad naturą i światem żywotnym powinna być protektorem. W przeciwnym bowiem razie sami na gruzach zbezczeszczonej, zrabowanej natury zginie my. Myśli te dadzą się nie tylko do Afryki zastosować; i nasi tępiciele lasów, zwierzyny, mogliby przestrogi te wziąć do serca. Anglicy, owi typowi i najbardziej szczęśliwi koloniści świata, na tym fundamencie zbudowali gmach swej potęgi, która jest w gruncie rzeczy niczem innym, jak jednym wielkim, rozumnie skonstytuowanym protektorem. W angielskich koloniach oddawna już istnieją specjalne puszcze i knieje, w których życie pierwotne, fauna i flora danego kraju, z całą pieczołowitością zostały zachowane przed zniszczeniem; pozatem istnieją w koloniach angielskich specjalne, bardzo surowe przepisy, dotyczące ochrony zwierzyny. Zwierzyńce w afrykańskich koloniach Anglii, a mianowicie: we wschodniej Afryce, Sudanie, Somali i Środkowej Afryce—tworzą obszar pięć razy większy, niż olbrzymie jezioro Victoria. O podobne urządzenia dla kolonij niemieckich dopomina się Schillings, zapewne nie bezskutecznie. Ale czyż największa pieczołowitość będzie w stanie zapobiedz nieuniknionemu wymieraniu tych reprezentantów bezpowrotnie minionej epoki? Szybki zanik ich jest naturalnym wynikiem zetknięcia się z cywilizacją nowożytną. Główna zasługa Schillingsa polega właśnie na tem, że zawczasu wskazał drogę i metodę, jak zbierać materiał o tym skazanym na zagładę świecie, który z przerażającą szybkością topnieje z roku na rok. Wymownym przykładem raptownego zaniku życia egzotycznego pod naciskiem cywilizacji jest cała południowa Afryka, która dziś już prawie że nie posiada grubszej zwierzyny. Kto czytał sprawozdanie dawniejszych podróżników, przekona się, że przed stu laty zaledwie, widok stada, składającego się ze stu kilkudziesięciu nosorożców, setek słoni lub antylop, był dla podróżującego po Afryce południowej rzeczą powszednią. Gdzież podziała się owa obfitość życia? pyta ze smutkiem autor „Czaru Eleleszo.“ Biały nosorożec, który wówczas nie był bynajmniej rzadkością, jest dziś czemś tak niebywałem, że na wagę złota nawet trudno byłoby go dostać. Zaledwie kilka muzeów w Europie posiada go po kilka egzemplarzy.

Książka Schillings'a jest dziełem niezwykle nauczającym nie tylko jako jeden z najbardziej interesujących pamiętników podróźnika myśliwego, jakie kiedykolwiek napisano, ale jako wymowne napomnienie do pielęgnowania i szanowania czaru natury, która jest dla człowieka źródłem najpiękniejszych i najtrwalszych rozkoszy.

*

*

*

Pomijam trzecie dzieło, które obok „Cavete“ i „Czaru Eleleszo“ należy do „książek sezonu“: „Pamiętniki byłego kancлера księcia Hohenlohe“ niedyskretnego wujaszka cesarskiego. Sensacyjna ta publikacja, która zwróciła na się uwagę całej Europy i została już nawet przetłumaczona na język japoński, wchodzi w zakres polityki. Natomiast zwrócić należy uwagę na inne pamiętniki, będące nieocenionym dokumentem dla psychologa. Pamiętniki te wyszły w nakładzie „Wiener Verlag“ pod tytułem „Bekemtnisse einer Prinzessin“ (Wyznania księżniczki). Kim jest ta księżniczka, łatwo się każdy z czytających pamiętniki domysli. Na dworze królewskim w Ebenstadt panuje bardzo surowa etykieta. Stary król, ponury i zazdrosny, jak tyran z ballady, nie mogący znieść samodzielności obok siebie, gnębiący dwór, ministrów i rodzinę—naród gnębić się nie daje—królowa, brzydka, płacząca przy lada okazji, bezdzietna, przejęta prawdą aksjomatu, że księżniczka krwi królewskiej nie potrzebuje być piękną i kochaną, ale „uwielbianą“; następca tronu, żyjący wraz z dziećmi i swą morganatycznie zaślubioną żoną—kobietą z ludu, zdala od dworu, w niełasce; pozatem postacie, jakich prawdopodobnie nie brak nigdzie na tego rodzaju dworach. Na dworze w Ebenstadt żyje, nudzi się i pisze pamiętniki nasza księżna pani. Księżna ta jest żoną jednego z książąt krwi, który po niespodzianej śmierci następcy tronu awansuje na to najwyższe po królu stanowisko w kraju. Księżna jest naturą żywą, otwartą, wesolą... aż do lekomyślności—słowem, nie nadaje się wcale do tonu, który panuje na dworze w Ebenstadt. Zato naród lubi ją bardzo i na każdym kroku okazuje jej swe sympaty, co króla w passję wprawia. Tysiące powodów do bezustannych utarczek. Pozatem posiada przyszła królowa jeszcze jedną wadę: czyta Nietzschego i wiele innych książek, nieodpowiednich dla księżniczki krwi, chodzi często

do teatru i wszelkimi sposobami stara się wyłamywać z pod pałacowego letargu. Oburzony król coraz surowsze stosuje kary względem krnąbrnej siostrzenicy i zatruwa jej życie, gdzie i jak może. Nikt nie odważa się stanąć w obronie pokrzywdzonej. Nawet mąż jej, następca tronu, którego nasze pamiętniki w bardzo niekorzystnym i śmiesznym świetle przedstawiają, pozostawia ją na pastwę nienawiści króla. Jedyнным powiernikiem jej jest dziennik, a później po kolei, oprócz dziennika: sekretarz jednej z ambasad, lekarz nadworny, młody oficer i malarz cudzoziemiec, z którym w końcu ucieka.

Z zadziwiającą otwartością wtajemnicza nas księżniczka ta we wszystkie detale własnego życia, które nie wypadają zawsze na jej korzyść, ale potęgują zato autentyczność tych pamiętników. Na opinii świata zbyt wiele jej widocznie nie zależy. Upragniony cel został osiągnięty, a celem tym była zemsta. Ciekawe przedstawia się nam widowisko. Z prawdziwie kobiecą bezwzględnością wymierza „pokrzywdzona“ swe razy, a każdy trafia do celu. Że sama sobie przez to w oczach całego świata szkodzi, odrzucając maskę niewinnie prześladowanej, jest widocznie na razie, wobec rozkoszy zemsty, rzeczą obojętną. Pamiętniki te są wymownym dowodem, jaką potęgę posiada dziś pisane słowo, potwierdzają pozatem słuszność spostrzeżeń psychologicznych Szekspira, tak świetnie wcielonych w dramatach królewskich.

Pamiętniki wyszły w małym, eleganckim formacie o śnieżno białej pretensjonalnej okładce i licznych, odpowiadających treści, pełnych pikantnej kokieterii, winietach. Zły papier odpowiada niedbałemu językowi, który w niczem nie różni się od stylu tak bardzo od roku popularnych „pamiętników upadłych.“ Dalsze ciekawe analogie możnaby polecić spostrzegawczości czytelników.

*

*

*

W dziedzinie najbardziej poczytnej beletrystyki dzisiejszej w Niemczech, największym uznaniem cieszą się nazwiska takich powieściopisarzy, jak Heer, Stratz, Hegeler, Herzog, obok starych ulubieńców publiczności, jak Wilbrandt, Heyse, Ganghofer, Perfall, z którymi łączy ich pewne pokrewieństwo duchowe.

Zadziwiająca rzecz, jak niewielki wpływ wywarł dotychczas na belletrystykę niemiecką ruch modernistyczny, który w liryce i dramacie stworzył nowy styl. Jest to fakt zasługujący na uwagę, że poezya epicka wogóle najmniej dotychczas okazała się podatnym gruntem dla eksperymentów modernizmu. Spokojny i szeroki rytm epicki wynaga przedewszystkiem harmonijnego światopoglądu i wielkiej pewności instyktów, czego zupełnie brak było młodemu dotychczas. Polemiczny przeważnie charakter młodej sztuki nie nadawał się do formy epickiej. Stąd zupełny brak w Niemczech kształtów nowych na tem polu. Jednostronna technika powieściowa niemieckiej sztuki modernistycznej, polegająca przedewszystkiem na zbyt subiektywnem traktowaniu tematu i charakterów, na zagłębianiu się bez potrzeby w najbliższe szczegóły psychologiczne, zacierające wyrazistość akcji, na niedbałem traktowaniu tła, pomimo zapewnień, że mądrość swą czerpie ze skarbcza belletrystyki francuskiej—dotychczas nie stworzyła nic, co by się dało porównać do dzieł takich mistrzów, jak Flaubert, Balzac, Zola. Iluż naśladowców miał np. Zola w ostatnich dwudziestu latach w Niemczech. Żaden z nich nie stworzył dzieła zasługującego na uwagę. Czem np. różni się Max Kretzer, który jako twórca wielotomowych powieści z życia berlińskiego, uchodził od dawna za najbardziej utalentowanego ucznia Zoli, od takiego powieściopisarza, jak Rudolf Herzog? Ostatnia powieść Kretzera: „Was ist Ruhm?“ przedstawia nam wprawdzie w bardzo gładkiej i strawnej formie życie w berlińskich pracowniach malarskich, nie wychodzi jednakże poza granice powierzchownych obserwacji, które w każdej przeciętnej powieści znaleźćby można.

Obok zręcznego i niezwykle płodnego Stratzka, który przeważnie „robi w powieściach alpejskich“ (der Weisse Tod, Montblanc, die Törichte Jungfrau), a niedawno wykończył powieść aktualną, na tle stosunków odeskich (Gieb die Hand), obok poważniejszego nieco i bardziej sumiennego Wilhelma Hegelera (najlepsze powieści jego są: „Pastor Klinghammer i „Inżynier Harstmann“)—największem powodzeniem cieszy się dziś Rudolf Herzog. Rudolf Herzog jest niewątpliwie najbardziej utalentowanym autorem tej grupy. Szczególniej ostatnia powieść jego „Die Wiscottens,“ z nadreńskich ognisk przemysłowych, składa na to dowody wymowne. W powieści tej rozwijający się bezustannie zdrowy, ale przyziemny talent tego powieściopisarza dosięga granic ostatecznych swego bezwiednego rozwoju. „Die Wiscottens“ powieść, mająca być pieśnią pochwalną na temat pracy, przedstawia nam losy fabryki, która dzięki wspólnej pracy 6-ciu

niezwykle energicznych braci zdobywa znaczenie wszechświatowe. Pełne życia, świetne postacie tych sześciu braci Wiscotten i matki Wiscotten udały się autorowi znakomicie; szkoda tylko, że tendencya powieści zmusza go do nastrajania całej akcji do harmonii sztucznej. Herzog jest optymistą, ale optymistą nie głębokim. Optymizm ten, który mu zjednał sympatye mas, skłania go częstokroć do robienia ustępstw na niekorzyść swych zresztą plastycznie i zajmująco pisanych powieści.

Estetyka tego pisarza nie odznacza się również zbyt subtelnnością. W powieści swej „Der Graf von Gleichen,“ która jest poniekąd jego artystycznym wyznaniem wiary, pisze pomiędzy innymi... „Zwycięzca jest najbardziej nowożytnym człowiekiem. Najpiękniejsze marzenia nie stanowią o wygranej. Marzenia zapominają się wobec wygranych bitew;“ albo w innym miejscu: „Wiek nasz musi być wiekiem próbowania siły mięśni i ostrza miecza. Dlatego, my nowożytni, musimy być pełnymi zdrowia, a ponieważ sztuka jest kazalnica, więc i nasza nowożytna sztuka musi być przede wszystkim zdrową...“

Oto tajemnica powodzenia Rudolfa Herzoga, jako „zdrowego“ dostawcy „zdrowej“ stawy duchowej... dla czytelnika.

*

*

*

Tem zdrowiem nie cieszą się zazwyczaj literaci, którym się w naszych tak literacko usposobionych czasach niezbyt świetnie powodzi, jak o tem czarno na białym świadczy autor ciekawej powieści z berlińskiego świata: „Handlarze Sztuką“ (Kunstkaufleute) Józef Jellinek. Powieść ta zajmuje się bardzo wyczerpująco ujemnymi rysami w życiu literackim.

Potęga prasy stała się w naszych czasach przysłowiową. Jak wielkie centra przemysłu, wyrosły w ciągu ubiegłego stulecia wielkie ogniska publicystyczne, odgrywające dziś w życiu narodów rolę znamioną (ciekawym dokumentem dla historii tego rozwoju jest 4-ro tomowe dzieło zasłużonego publicysty Salomona „Historja dziennikarstwa w Niemczech“). Ale w podobny sposób, jak udoskonalenie produkcyi i wprowadzanie maszyn stworzyło w przemyśle żelazne łańcuchy zależności, zdając pracownika

na łaskę lub niełaskę pracodawcy, wzrost prasy połączony jest z wieloma ofiarami.

Publicysta... literat!... przywykliśmy, niestety w ostatnich czasach wymawiać te słowa z taką pogardą i lekceważeniem, jak gdyby obaj byli najszkodliwymi pasożytami. Powtarzamy bezmyślnie okrzyk bojowy pewnych twórców, dla których walka z tą lub ową kliką literacką posiadała zgoła inne znaczenie i którym pewną przesadę pod tym względem wybaczyć można; dla wielkiej publiczności literat jest nie tylko pożądanym, ale niezbędnym pracownikiem na niwie cywilizacyjnej. Nie zaprzeczam, że poziom ogólny prasy dzisiejszej pozostawia jeszcze dużo do życzenia, że powierzchowne jej traktowanie najpoważniejszych, najgłębszych zagadnień bytu, wydawać się musi częstokroć świętokradztwem, że jej tendencyjne fałszowania prawdy przynosi dotkliwe szkody; ale trzebaż koniecznie, zwalczając te wady, miotać przekleństwa na instytucję? Prasa, jako jedna z ważnych funkcji naszej cywilizacji, jest objawem niezbędnym i pożytecznym, i również niezbędnymi są literaci i dziennikarze, jako pracownicy umysłowi.

Pracownicy umysłowi! ileż mąk, zawodów, ofiar niemych kryje się pod imponującym płaszczem tego słowa. Nauczyliśmy się już rozumieć słuszność żądań klas robotniczych, dopominających się coraz donioślej o bardziej ludzkie warunki bytu, ale czemuż jest ich położenie, w porównaniu z dolą owego szarego, głodnego, wstydliwego proletaryatu umysłowego, którego nie zorganizowane, beznadziejne zastępy mrą bez skargi na ustach, nieme z wdzięczności, że wolno im nosić miano inteligencji. Artyści, literaci, dziennikarze, drobni urzędnicy prywatni... któż zdoła ich wszystkich wyliczyć! Wszędzie też sama nędza, toż samo martyrium. Artyści przywykli już uważać męczeństwo za nieodłączny niemal atrybut swego idealizmu, ale reszta... Ze światem tej reszty zaznajamia nas bliżej powieść Jellinka.

Co rok napływają do stolicy ze wszystkich dzielnic kraju zastępy ufnej w swe siły i zdolności młodzieży. Jednego wygnała w świat nuda życia prowincjonalnego, drugi wierzy w swoją gwiazdę i marzy o bogactwie i zaszczytach, innego znów wabią nieuchwytnie obrazy czarodziejki tęsknoty lub gna palące pragnienie zdobycia wawrzynów. Stolica zagarnia ich wszystkich, niby olbrzymie, szare, nienasycone bożyszcze, i głucha na ich przekleństwa i płacze pożera po kolei. Najprzód najdelikatniejszych, najmiększych, najbezzradniejszych, potem nawet silnych i twardych. Nie wielu zwycięża w tej walce. Tak powstaje proletaryat duchowy wielkich miast. A jakież potwory krwiożercze czekają

w ciemnych kryjówkach tych szarych miast na pełnych nadziei i ufności przybyszów! Oplątać, obezwładnić, wyssać, wyzyskać i w końcu rzucić na śmietnisko wielkiej nędzy—oto system tych bezkrwistych, zimnych polipów i wampirów wielkomiejskich, karmiących się ciepłą, młodą krwią. W sploty dwóch takich polipów dostaje się bohater powieści, młody, trochę słaby i niezaradny, ale zdolny literat Feininger, który, porzuciwszy swe miasteczko rodzinne na Morawach, udaje się do Berlina, w nadziei wywalczenia sobie uznania i stanowiska niezależnego. Powieść jest właściwie opisem smutnych losów jednego z wielu, który powróciwszy w końcu jako rozbitek do miasteczka rodzinnego, na grobie ojca odbiera sobie życie wystrzałem z rewolweru. Dokładna znajomość stosunków berlińskich daje autorowi możność stworzenia dokumentu. Tak np. jeden z tych polipów, dr. Lehmann, prezydent ogólnego niemieckiego stowarzyszenia dziennikarzy, małej korporacyi, podszywającej się najniesłuszniej w świecie pod imię ogólnego stowarzyszenia dziennikarzy, żywcem wzięty jest z natury, jak zresztą większa część osób odgrywających pewną rolę w losach Feiningera. Zaznajamiamy się z życiem nocnem w kawiarniach literackich, gdzie za filiżankę kawy można zdobyć sobie prawo przeczytania jednemu z głodnych kolegów ostatniego manuskryptu swego, z pstrokacizną owych eleganckich kawiarni, jak Café Westminster „pod Lipami,“ gdzie zbiera się popołudniu cały świat teatralny i literacki, z machinacyami owych drobnych wydawców i redaktorów, żyjących z dnia na dzień i nie cofających się przed żadną formą szantażu, z wyzyskiem fałszywych opiekunów sztuki, którzy pod pozorem walczenia w imię spraw ogólnych szukają sposobności do bezpiecznej grabieży na własną rękę—cała przepaść brudu i złości ludzkiej otwiera się przed wzrokiem przyzwyczajonym ślizgać się po powierzchni tych zagadnień, która ani razi takimi dyssonansami, ani w przybliżeniu dać może pojęcie o właściwym stanie rzeczy. Kto zna ciężką dolę literata dzisiejszego? Jak łatwo rozprawia się z nią większa część dostawców poczytnej literatury!

— Niech acan buty szyje, jeżeli nie potrafi piórem na chleb zarobić. Prawdziwe talenty prędzej czy później wywalczą sobie muszą egzystencję przynajmniej! Tak się to mówi. A tyśiące mra, a wielki, szary potwór żuje i łyka bezustannie blade, oplątane, wyczerpane, oszalałe hekatombie. Każda epoka ma swoje specjalne tragedye. Dziś, w czasach ogólnej oświaty ludowej, tragedye te przybierają częstokroć charakter intelektualny. Z jednej strony posiadamy zbyt wiele wiedzy martwej, nie dającej

się zużytkować, a o rzeczach najpotrzebniejszych nie mamy pojęcia, z drugiej przeciętna produkcja duchowa jednostki straciła na wartości.

Jak stosunki te odbijają się na bycie pracowników umysłowych, możemy się przekonać studyując obecny stan tej klasy w Niemczech. Stan literacki należy dziś do najbardziej dotkniętych tą ewolucją. Niegdyś w zamierzchłych czasach musiano być myśliwym w walce o byt, w średnich wiekach każdy ćwiczył się w rzemiośle rycerskim, dziś musimy być kupcami i literatami zarazem. Żyjemy bowiem w wieku towarzystw akcyjnych i... feljetonów; a feljetony te, które dziś robią poważną konkurencję książce, dostarcza nie cech ludzi specjalnie uzdolnionych i wykształconych — ale cały świat. Publiczność coraz częściej sama bierze udział w pracy publicystycznej, a doba gazet, redagowanych przez abonentów — nad czem August Scherl, znany wydawca „Wochen“ i żarłoczny rekin w wielkiem jeziorze gazetnianym, już od dawna pracuje — jest prawdopodobnie tylko kwestyą czasu. Urzędnicy, nauczyciele, uczeni, podróżnicy, ludzie w ten lub ów sposób znani, awanturnicy i nędzarze, zastępy walczących o swobodę kobiet i panie, mające sporo wolnego czasu — wszystkie te elementy są za bezcen na usługi prasy i obniżyły wartość pracy literackiej do śmiesznie niskiego poziomu. Przeciw takiej konkurencji tworzące się literackie organizacje fachowe zbyt wiele jeszcze zdziałać nie potrafiły. Setki tysięcy Feiningerów jeszcze padną, zanim lepsza jutrzienka zabłyśnie literatom naszego „literackiego“ stulecia.

*

*

*

Ciekawą powieścią ze świata literackiego jest także powieść autobiograficzna Karola Bleibtreu'a „Geist—Geschichte einer Mannheit.“ Powieść ta jest znów namiętnem „j'accuse!“ znanego ze swej kłótności autora. Bleibtreu należy, jak wiadomo, do najpłodniejszych pisarzy współczesnych w Niemczech. Wystąpiwszy już w 20-tym roku życia z bardzo obiecującą, oryginalną epopeą „Gunnlang Schlangenzunge“ obdarza literaturę od 27-miu lat co rok przynajmniej jednym nowym dziełem, częstokroć nawet kilkoma. Twórczość jego obejmuje najróżnorodniejsze dziedziny: belletrystykę, poezję, krytykę literacką, dramat, teozofię. Największą popular-

ność zdobyły sobie liczne jego opisy bitew, dramat napoleoński „Przeznaczenie“ i pełna żółci powieść „Grössenwahn“ (Mania wielkości). Pomędzy nowszemi utworami Bleibtreuera zasługuje na szczególną uwagę piękna i głęboka tragedia „Karma.“

Wobec tylu niezaprzeczonych dowodów talentu, niesmaczny obrachunek, któremu na imię „Geist,“ robi wrażenie przygnębiające. Pycha Bleibtreuera przybiera częstokroć formy manii wielkości, w powieści tej, przypominającej niejednokrotnie napisane w napadzie manii prześladowczej „Inferno“ Strindberga. Tylko że Bleibtreu ostrzej, bezwzględniej, bardziej po grubiańsku rozprawia się ze swymi quasi wrogami. Powieść jego jest ściekiem nagromadzonych od lat wielu wyrzutów, antagonizmów, nienawiści, pomimo motta Lamartina, które autor uważał za stosowne nalepić na ów rozerwuwar żółci:

Mon coeur lassé de tout meurt de l'esperance.
N'ira plus de ses vœux importuner le sort.

„Wieczne siedzenie pod pompą powietrzną niepowodzenia“ może naturalnie napełnić goryczą, może nawet zepsuć żołądek, ale do takich paroksyzmów wściekłości, jak u Bleibtreuera, doprowadza tylko natury nieokrzesane i nieskupione. Największą zaciekłością odznaczają się naturalnie napaści Bleibtreuera na swych kolegów po piórze. Hauptmann, jako wytworny jenerał jezuitów literackich, Sudermann, jako Hermann der Rauschebart, Kerr (pod pseudonimem Doktor Murr), baron Detlef von Liliencron (jako Freiherr Ralf Hakon von Merscheburg) Stefan George (jako Karolus Hunyadi), liryk Jacobowski (jako Popobowski), Arno Holz, znani aktorzy Kainz, von Barnay—skarykaturowani zostali ze śmieszną nienawiścią. Najgorzej dostało się znanemu humoryście O. E. Hartlebenowi, w którego pismach pośmiertnych znalazło się kilka ciętych epigramatów przeciw Bleibtreuowi. Karykatura Hartlebena pod przejrzystym pseudonimem Edgara Axela Leberhardt'a przybiera wprost groteskowe kształty. Pośród tych oskarżeń i pospolitych napaści na literatów, na świat wojskowy, który nie chciał uznać wielkości Bleibtreuera, jako pisarza wojskowego, na wszystkie niemal objawy życia dzisiejszego, szczególnie zaś na Żydów, dla których Bleibtreu pała nieprzejednaną, srogą nienawiścią—wykwita naraz, jak biały kwiat lotusu, wizya ze świata tajemnic białej magii. Ustępy te, odznaczające się rzeczywistą poezją, szczególnie poemat na temat praegzystencyi splatającej życie Russa, Byrona i Fryderyka Geista (czytaj Karola Bleibtreuera) w girlandę mistyczną—zasługują na uznanie. Ustępy te tworzą

znów pewną analogię z okultystyczno-mistycznymi, ponuremi fantazyami w „Inferno.“ W końcu, jakby na potwierdzenie kompletnej umysłowej anarchii, wybucha po niespodzianem salto mortale logicznem dawny furore teutonicus Bleibtreua, jako nieuleczalna snadź mania tego utalentowanego, ale obciążonego wyolbrzymia-łemi wadami swej rasy, autora.

*

*

*

Podobne typy, jak Fryderyk Geist, nie są objawem wyjątkowym w społeczeństwie niemieckiem. Spotykamy je również w powieściach Jakóba Wassermanna, znakomitego twórcy wspaniałej epopei: „Aleksander Wielki w Babilonie.“ Wassermann, jako Żyd, obserwuje je i przedstawia z zupełnie innego stanowiska. W swych „Żydach z Zirndorfu“ (Juden von Zirndorf) i w „Renacie Fuchs,“ które po ostatecznem przerobieniu powieści „Żydzi z Zirndorfu“ tworzą obecnie jedną całość, szkicuje nam utalentowany autor, aż kilka egzemplarzy tego gatunku. Najbardziej typowym jest może obok brutalnego Lüricha Sperlinga w „Żydach z Zirndorfu,“ wstrętny rządcą z nowelki tegoż autora „Klucznica“ (Die Schaffnerin). Obie powyżej wymienione powieści, malujące nader trafnie położenie Żydów w Niemczech, są bardzo udatnemi utworami belletrystycznymi. Bogata w najsubtelniejsze odcienie kolorystyczne paleta artysty miała tutaj sposobność roztoczyć cały swój przepych. Wassermann jest bowiem nie tylko poetą, ale i malarzem, zadziwiającym na każdym kroku subtelnością, zupełnie nowemi zestawieniami kolorystycznymi. Pod względem stylu stoi wspaniały, orgiastyczny wstęp do Żydów z Zirndorfu na wysokości epopei: „Aleksander Wielki w Babilonie.“

Wstęp ten mieniący się całą tęczą drogich kamieni oplata, jakby pająk kabalistyczny, swem zaczarowanym złotem przedziwem losy głównych osób powieści. Niektóre z postaci, opisanych w Żydach z Zirndorfu, spotykamy później w Renacie Fuchs. Pomimo że tendencya nie występuje nigdzie na jaw, możnaby pierwszą powieść nazwać malowidłem, przedstawiającym w najróżnorodniejszych odcieniach dolę dzisiejszego żydowstwa, drugą zaś połączeniem sprawy żydowskiej ze sprawą kobiecą. Agaton Gejer z „Żydów w Zirndorfie,“ coś w rodzaju nowego messyasza

żydowskiego, łączy się w ostatniej nocy swej pielgrzymki ziemskiej z Renatą Fuchs, z ową dziwnie piękną, interesującą marzycielką, która zasłuchana w szept nieuchwytniej własnej tęsknoty, idzie biała i czysta przez błoto i brud życia.

Agaton Geyer umiera, a pod sercem jej dojrzewa dziecko, owoc tęsknoty całego życia tych dwojga pielgrzymów białych. W dziecku tem łączą się tęsknoty dwóch uciemionych światów. Dzieła Wassermana wyszły w znanym nakładzie S. Fischera w Berlinie, który wydaje obecnie dzieła zbiorowe Ibsena, Hauptmanna i Delunela. Dziewięciotomowe wydanie dzieł ibsenowskich, zawierające oprócz znanych dramatów najwcześniejsze utwory, poezye, mowy, pisma prozą i listy poety, stanowi najkompletniejszy materiał, niezbędny dla każdego pragnącego się bliżej zapoznać z twórczością Ibsena, a nie mogącego czytać poety w jego języku ojczystym.

Dzieła Hauptmanna w sześciu tomach, obejmujące całą dotychczasową twórczość poety, przedstawiają również całość bardzo okazałą. Mniej pomyślnie wypadła zimna i pretensjonalna przedmowa pełna ogólników i pytyjsko-sztynnych orzeczeń na temat pierwiastku sztuki tragicznej. Ostatni utwór dramatyczny Hauptmanna, komedia „Die Jungfern vom Bischofsberg“ został bardzo nieprzychylnie przyjęty przez publiczność berlińską. Prawdopodobnie utwór ten, jak „Schluck i Jau,“ miał być wycieczką w krainy świetlane śmiechu Szekspirowskiego, o czym zaraz, na pierwszy rzut oka świadczy pokrewieństwo pedantycznego, zarozumiałego Doktora Nasta, głównej figury komicznej komedyi Hauptmanna, z sławetnym Melroliem Szekspira. Doktor Grünwald jeden ze szczęśliwych konkurentów o rękę jednej z czterech pięknych siostr Ruschewey z góry biskupiej, zresztą bardzo rozsądny i poważny człowiek, rezonuje zupełnie po szekspirowsku. „Uczepię się jej jak prawdziwy chevalier d'industrie. Zagnieżdżę się tutaj, jak grzyb i nie ruszę się z miejsca, dopóki jeszcze kropla wina będzie w piwnicy, dopóki mnie nie wpakują na taczki, jak bożka drewnianego, i nie wyrzucą za drzwi.“ Akcja cała, o ile wszystko to, co się na górze biskupiej dzieje, można nazwać akcją, kręci się wkoło bardzo błahych wydarzeń. Ukryta w starej cysternie w pobliżu ruin skrzynia, napełniona różnego rodzaju smakołykami, staje się kamieniem probierczym miłości doktora Nasta.

Otto Kranz 17-to letni urwis, brat narzeczonego jednej z siostr Ruschewey, i najmłodsza z siostr Ruschewey, wesoła i rezolutna Ludwika, są sprawcami zamętu i oswobodzają w ten sposób od nieznośnego Nasta wesołych mieszkańców biskupiej góry, przede-

wszystkiem zaś Agatę Ruschewey, która tylko na złość Grünwaldowi zaręczyła się z Nastem. Wraz z Nastem oddała się zagniewana ciotka Emilia, zgryźliwa protektorka i opiekunka jego, z czego się wszyscy serdecznie cieszą, a mianowicie: cztery siostry Ruschewey, poczciwy wujaszek Ruschewey, pełna godności i wdzięku babka sióstr Ruschewey, pani Madelon von Heyder, doktor Grünwald i jego przyjaciel doktor Kozakiewicz, z Poznańskiego, który z iście polską galanterią flirtuje z młodą Ludwiką i bynajmniej nie robi wrażenia chorowitego człowieka, za jakiego nam go poeta uważać każe. Cały ten bezpretensjonalny światek nadaje się do lekkiej bezpretensjonalnej komedyi, skapanej w promieniach złotego humoru. Niejedna z komedyj szekspirowskich stworzona została z podobnych elementów, ale humor jakoś nie dopisał Hauptmannowi, a z wyjątkiem kilku wesołych sytuacji scenicznych, całość robi wrażenie niezwykle nudne i niefortunne. Jedyną zaletą tej nieudanej komedyi jest może zachowany wszędzie z wielką ścisłością koloryt „Biedermeier,“ którego mottem ma być piosnka heinowska:

Kleiner Vogel Kolibri
führe uns nach Bimini.

W każdym razie zamało to, dla takiego pana, jak Gerhart Hauptmann.

*

*

*

Bardzo interesująco przedstawia się dziesięciotomowe wydanie dzieł Ryszarda Dehmela, które obejmuje cały dotychczasowy dorobek duchowy tego najwybitniejszego poety młodych Niemiec. Wydanie to ukaże nam Dehmela w cokolwiek innem świetle, niż dotychczas. Większa część bowiem jego dzieł uległa gruntownej zmianie, inne znów uzupełnione zostały licznymi nowymi utworami. „Erlösungen“ i „Welt und Weib“ tom 1-szy i 3-ci ukażą się w daleko bogatszej i doskonalszej szacie poetycznej, słynne „Aber die Liebe,“ tom 2-gi i „Lebensblätter“ (nowele prozą), tom 7-my zostały zupełnie przerobione, fatalistyczny dramat „der Mitmensch,“ tom 9-ty przemieniony został na tragikomedję; pantomina dramatyczna „Lucyfer,“ tom 10-ty, została znacznie rozszerzona i uzupełniona przedmową, tom 6-ty „der Kindergarten“ i 8-my, „Studya,

aforyzmy i dialogi“ zawierają bez wyjątku dzieła dotychczas nieznane. Jedynie epopea „Dwoje ludzi,“ tom 5-ty zachowała swą dawną szatę. Na specjalną uwagę zasługuje tom 4-ty „Przemiany Wenery.“ O tej teraz dopiero wykończonej rapsody erotycznej pisze Dehmel w przedmowie do tomu pierwszego: „Przedewszystkiem chodziło mi o rozwiązanie problematu erotycznego, w który się przed laty czasowo wplątałem. To było głównym powodem, dlaczego fragmenty znane pod tytułem „Przemiany Wenery“ zużyłem do budowy nowego dzieła... Mam nadzieję, że nowe to dzieło stworzy całość artystyczną o tak znamiennej treści, że wobec niej jaskrawe detale dawniejszych fragmentów nie będą rażyły.“ Może nareszcie wydanie to przyczyni się do rozproszenia dość jeszcze rozpowszechnionego przesądu, jakoby Ryszard Dehmel był jednym z rzeczników „niemoralności.“ „Śród moich około 500 utworów, pisze poeta, znajduje się kilka, traktujących otwarcie o brutalnych instynktach życia płciowego, conajwyżej około 10-ciu, ale pewni czytelnicy moi widocznie tylko te utwory czytają.“ Dotychczas wyszły dopiero pierwsze dwa tomy, z których szczególniej drugi: „Aber die Liebe“ zasługuje na uwagę. Po usunięciu cyklu erotycznego „Przemiany Wenery,“ który został zastąpiony całym szeregiem nowych utworów, całość dostrojona jakby do potężnego akordu majorowego, sprawia wrażenie jeszcze bardziej jednolite, niż poprzednio. Akord ten brzmi jak fanfara Zygfyryda, który wyruszył w świat na walkę ze smokiem. Poza oryginalnymi utworami zawiera „Aber die Liebe“ bardzo pokaźną liczbę przekładów, pomiędzy którymi szczególnie odznaczają się: przekład z Verlaine'a „Do Boga,“ charakterystyczny, wspaniały wiersz Strindberga „Loke bluźnierca“ i kilka bardzo pięknych piosnek Li-Tai-Pe'go. Dwie ostatnie „Der Dritte im Bunde“ i „Frühlingsrausch“ napisane zostały pod wpływem nowej antologii chińskiej, wydanej przez Hansa Heilmann'a w nakładzie R. Piepera i S-ki w Monachium. Ciekawe dziełko to, zawierające przeszło 80 przekładów, pomiędzy innymi utwory Li-Tai-Pe'go, Tu-Fu, a nawet wiersz Li-Hung-Czang'a, (w Chinach bowiem najwyżsi dostojnicy uważają za zaszczyt zaliczać się do grona synów muz) polecić można gorąco każdemu miłośnikowi literatury pięknej. Dziełko to zawiera poza przekładami bardzo interesujące i pouczające studjum Heilmanna o liryce chińskiej.

Z poezji polskiej zawiera „Aber die Liebe“ tylko przekład „Marsza żałobnego“ Ujejskiego. Spotykamy się jednakże tu i owdzie z tematami polskimi, jak np. w „Vierter Klasse“ (Czwartą klasą) wiersz opisujący naszych wychodźców galicyj-

skich i w „Tochter der Sonne“ (Córka słońca), balladzie o hrabianie Franciszce Krasieńskiej. Temat ten wzięty został z pamiętników Franciszki Krasieńskiej wydanych przez Olimpa Chodźkę.

Oddawna już zastanawiały uważnych czytelników dzieł Dehmela pewne nie niemieckie cechy w jego twórczości, dające się zaznaczyć nie tyle może w treści jego utworów, ile w temperamencie poety i charakterze jego twórczości. Czy objaw ten był wyrazem jego odrębności twórczej, czy też inne jeszcze wpływy zewnętrzne odegrały tutaj pewną rolę, trudno było dotychczas wykazać. Bardzo możebne, że skombinowany wpływ Nietzschego i Szopena odegrał tu ważną rolę. Jako przyczynek do tej kwestyi posłuży może wiadomość, że prababka Dehmela musiała być prawdopodobnie pochodzenia słowiańskiego, jak nazwisko jej Czorsz dowodzi. W mniemaniu tem upewnia nas fakt, że rodzina Dehmela pochodzi z okolicy dość gęsto zamieszkałej przez Wendów, co nawet miejsce urodzenia poety Wendisch—Hermsdorf nazwą swą potwierdza. Kto wie, czy nie tam szukać należy źródła słowiańskich sympatyj Dehmela.

*

*

*

O dwóch umarłych jeszcze wspomnieć muszę: o Henryku Harcie, znanym krytyku i poecie, i o Walterze Calé dwudziestotrzyletnim młodzieńcu, którego imię dopiero po śmierci zyskało rozgłos. Walter Calé odebrał sobie życie wystrzałem z rewolwery, spaliwszy przedtem wszystkie swoje prace literackie. Pozostały jedynie fragmenty, będące wówczas przypadkowo w rękach jego przyjaciół, którzy je po śmierci autora ogłosili. Fragmenty te wypełniają mimo to dość pokaźny tom i składają wynowne dowody rzadkiego, zadziwiająco wczesnie dojrzałego talentu. Obok subtelnych utworów lirycznych zawiera puścizna poety całkowity akt dramatu „Franciskus“, kilka urywków z powieści psychologicznej: „Professor Elias Pistocelusz i jego rodzina“, którą Calé był prawie wykończył w ostatnim roku swego życia i dość obszerny dziennik, zawierający sporo interesujących notatek z dziedziny sztuki i filozofii. Mamy więc próby talentu poety ze wszystkich dziedzin twórczości poetyckiej.

Liryka jego odznacza się cichym, rzewnym tonem, w którym, jak się wyraża znany krytyk Fritz Mauthner, autor przedmowy do tych fragmentów, dźwięczy dzwon nowej liryki. Liryka ta, tonem swoim zbliżona do pieśni ludowej, pełna jest prostoty i głębi, jest „tiefsinnig und simpel,“ jak powiada Fritz Mauthner. Jeżeli nie możemy dziś być naiwnymi romantykami, to bądźmy przynajmniej romantykami prostoty. Liryka ta nigdy zupełnie nie zamilkła, nawet w czasach rozbrzmiewających głośnych tryumfów naturalisty Zoli i pseudoromantyka Wagnera. Cichy, źródłany głos jej dźwięczał i sączył się niepostrzeżenie po przez nawały wielkich słów i gestów. Dziś zdaje się nadeszła doba jej panowania. Weźmy naprzykład jedną z pieśni Waltera Calé:

Beim stummen Gange durch die finstern Bäume
und wo nicht Laub und Ast zu flüstern wagen,
da werd' ich stille stehn, in Gruss mich neigen
o Trösterin, o Abendeinsamkeit.

Und bei dem Weiher voll erloschnem Glanze,
der eine Träne auf des Abends Wange,
da werd' ich stille stehn, in Gruss mich neigen
o Trösterin, o Abendeinsamkeit.

Und bei dem blassen Himmel der in Lichtern
die Sonne träumt, die lange sterben musste,
da werd' ich stille stehn, in Gruss mich neigen
o Trösterin, o Abendeinsamkeit.

(W milczeniu idąc pośród ciemnych drzew, gdzie ani liść, ani gałąź nie śmie się odezwać, stanę, witając kornie Ciebie, pocieszycielko, ciszo wieczorna.

U brzegu jeziora o zagasłym blasku, który jak łza jest na licach wieszczka, stanę, witając kornie Ciebie, pocieszycielko, ciszo wieczorna.

Pod bladym niebem stojąc, które w pobłyskach śni o słońcu, co dawno już umrzeć musiało, witać będę kornie Ciebie, pocieszycielko, ciszo wieczorna).

Jakie to wszystko proste i ciche, co za skromny aparat, a ile ekspresji i siły. Obok tych rzewnych pieśni, których czar leży przedewszystkiem w ich melodyi, udają się młodemu poecie niekiedy obrazy ujawniające rękę przyszłego mistrza, jak naprzykład następujący:

Es rinnen rote Quellen
Um mein gesegnet Haus;

Es trinkt ein schwarzer Reiter
Sein schwarzes Ross daraus.

Er lehnt schon hundert Jahre
Vor meinem runden Tor;
Die Zeit wird ihm nicht lange,
Ich komme nie hervor.

Es braucht nur dreien Schritte,
So kann ich bei ihm stehn!
So kann ich mit ihm reiten,
Wie meine Wünsche gehn.

Das ist so schön zu wissen!
Ich sag es tausendmal:
„Es wartet einer draussen!“
Und bleibe doch im Saal.

Der Reiter schläft im Schatten.
Sein Panzerhemd blinkt gut;
Dem Rappen ist sehr schläfrig,
Mir ist sehr froh zu Mut.

(W koło mego błogosławionego domu sączą się źródła czerwone, u których jeździec czarny poi swego konia czarnego. Sto lat już jeździec czeka u moich wrót sklepionych. Czeką cierpliwie, a ja nie wychodzę. — Trzy kroki wystarczą, a byłbym przy jego boku, mógłbym z nim jeździć, dokądby mi się spodobało.

Jak dobrze wiedzieć o tem, powtarzam sobie po tysiąc razy: „tam czeka ktoś na ciebie!“—a jednak zostaję w domu. Jeździec śpi w cieniu, zbroja jego błyszczy, kary jego drzemie, a mnie tak wesoło na sercu!)

Główna siła talentu Calé leży jednakże niewątpliwie w jego twórczości epickiej, o czem świadczą dwie romantyczne nowelle, będące fragmentami wyżej wspomnianej powieści: „Profesor Elias Pistorius i jego rodzina.“ Już w liryce ukazuje się przyszły poeta epicki, lubujący się w rytmach rozlewnych i ciągłych. Poezye jego tworzą prawie zawsze cykle. Wsłuchując się w muzykę tych cyklów mamy wrażenie, jak gdyby melodye ich były tylko jednym nieprzerwanym ciągiem jakiejś jedynej wielkiej symfonii, którą jedynie milczenie podzieliło na części i która trwać musi bez końca.

Wyżej wymienione fragmenty epickie, wplecione w tok akcji powieściowej, dwie nowelle fantastyczne: „Regina del Lago,“ i „Geschichte vom Xaver Dampfkessel und der Dame Musica“ składają rzeczywiście dowód niezwykłego mistrzostwa, które wo-

bec wieku autora wprawia w podziw. Prawda, pokrewieństwo duchowe z Gottfrydem Kellerem i E. T. A. Hoffmannem, mistrzem wszystkich tych, którzy dziś w Niemczech hołdują muzyce romantycznej, daje się skonstatować, ale to nic nie znaczy w porównaniu z nieprzebranem bogactwem oryginalnem poety. Obie nowele zaliczyć należy do najpiękniejszych utworów tego rodzaju w literaturze niemieckiej.

Dramat „Franciscus,“ którego akt 3-ci ocalał od zniszczenia, musiał być prawdopodobnie najdoskonalszem dziełem poety. Wy-mownie odzywa się do nas z tego fragmentu tragedya duszy poety „tragedya niepospolitej duszy, która nie zadawalnia się indywidualnemi objawami życia i starając się ze wszystkiego wyluszczyć cechy typowe, stwarza dla siebie i dla swego otoczenia nie dające się znieść napięcie.“ Temi słowy określa Calé postać swego Franciszka, ale słowa te dadzą się równie dobrze do autora zastosować. Wszystko rozkładający intelektualizm jego niweczy wszelkie pozory i w swem pragnieniu znalezienia absolutnej prawdy piętnuje każdą myśl o możności poprzestania na mniejszem, jako kompromis, jako winę względem absolutnych postulatów duszy. Młodzieniec ten porzucający zmienawidzone swe studia prawne dla uko-chanej poezyi, zdradzający poezyę dla wszechpotężnej filozofii, tracący w końcu wiarę w siebie, w szczerość i prawdziwość własnych uczuć, w możność znalezienia harmonii pomiędzy światem ideału a światem zewnętrznym, należy bądź co bądź do szlachetniejszych umysłów naszych czasów. Szkoda, nieodżałowana szkoda, że zabrakło mu sił do przetrwania tej walki, która powinna była idealizm jego zahartować. Ale któż ma prawo na zasadzie kilku fragmentów z życia ludzkiego wydawać sąd ostateczny. Zbyt mało wiemy o okolicznościach towarzyszących temu konfliktowi duchowemu. Może to, co się nam dziś wydaje brakiem wytrwa-łości i odwagi, dałoby się w końcu zupełnie inaczej zdefiniować.

Puścizna, jaką Henryk Hart pozostawił, obejmuje dzieła wchodzące w zakres poezyi epickiej, lirycznej i dramatycznej. Pozatem odznaczał się Hart jako niezwykle ruchliwy i bystry krytyk, biorący udział we wszystkich ważniejszych walkach ostat-niego dwudziestolecia niemieckiej literatury. Szczególniej jego prace krytyczne ogłoszone pod tytułem zbiorowym „Kritische Waffenzüge“ (1882) i pisane wspólnie z bratem Juliuszem Har-tem, stały się podwaliną jego sławy, jako krytyka. Jako herold Hauptmanna w pierwszej fazie twórczości tegoż, zasłużył się Hart niemało. Lirycznych prac wydał Hart aż kilka (Weltplingsten 1872, Buch der Liebe 1882). Liryce jego nie brak świeżości i siły.

Pośród utworów lirycznych z czasów naturalizmu poezye jego zaliczyć musimy do najlepszych i najgłębiej hołdujących prawdziwemu idealizmowi. Już wówczas, redagując w Berlinie w r. 1885 czasopismo literackie „Berliner Monatshefte für literarische Kritik,“ nie cofał się przed ostrą częstokroć krytyką nagiego naturalizmu. Najlepiej charakteryzują go następujące słowa, zawarte w jednym z artykułów wstępnych wymienionego pisma. „Dalecy jesteśmy od chęci stworzenia szkoły. Realizm, naturalizm, idealizm i wszystkie „izmy“ posiadają jedynie wartość, jako emblematy indywidualne. Co się tyczy nas, to znamy jedną tylko poezycę: poezycę stworzoną przez geniusze i talenty, i jednego wroga—miernotę.“ W późniejszym wieku zajmował się Hart filozofią wschodu i starał się w kilku obszerniejszych dziełach krytycznych zastosować swe nowe poglądy, oparte na nauce Buddy, do estetyki nowożytnej. Główne dzieło jego, olbrzymia epopea składająca się z 24-ch pieśni: „Das Lied der Menschheit,“ pozostało fragmentem. Wykończone zostały tylko pierwsze trzy pieśni, z których każda tworzy specjalną epopeę.

Pierwsza z nich opisuje losy dwojga ludzi pierwotnych, druga życie koczownicze, trzecia powstawanie hierarchii kapłańskiej. W podobny sposób zamierzał poeta w 21 następnych pieśniach dać w olbrzymich zarysach historycę rodu ludzkiego od zamierchłej przeszłości do dni dzisiejszych. Pomimo swego na pozór suchego tematu, pierwsze trzy pieśni odznaczają się zadziwiającą barwnością. Trudno było jednak oczekiwać, aby jeden człowiek był w stanie w ciągu chociaż najdłuższego żywota wykonać pracę o tak babelskich rozmiarach. Prawdopodobnie nikt nie podejmie się jej tak rychło po raz wtóry.

JAN KACZKOWSKI.

JÓZEF CHEŁMOŃSKI.

Rafaël, boski, niezrównany, książę malarzów, przedziwny wyraziciel ziemskiego wdzięku i niebiańskiej słodyczy, w połowie dziewiętnastego wieku począł tracić na reputacyi—tracił potrochu sławę największego artysty świata, sławę, która przez cztery wieki niezmiennie opromieniała to imię najwspanialszymi blaskami w dziejach sztuki. Przyczyną takiej zmiany zapatrywań był pewien charakterystyczny zwrot w estetyce naszych czasów — mianowicie stanowcze zerwanie z ideałami doskonałości klasycznej na rzecz wybitnych przejawów indywidualistycznych, co pociągnęło za sobą przechylenie się sympatyi ogółu ku romantyzmowi wszelkiej postaci i autoramentu. To też ponad czczone poprzednio bez zastrzeżeń imię autora Madonny Sykstyńskiej, fresków w Loggiach i Stanzach wypłynęły nazwiska malarzów mniej może poprawnych, mniej płodnych i zręcznych, ale nieskończenie wyraźniejszych i bardziej zdecydowanych pod względem własnej fizyognomii duchowej, bardziej samodzielnych i oryginalnych. Ścisłejsze badania historyczne wykazały bowiem, że ten sławiony powszechnie malarz był raczej niezmiernie zręcznym naśladowcą, niż naprawdę samorzutnym twórcą, że nikt ze współczesnych nie był bardziej skłonny do naśladownictwa i wsiąkania w siebie najróżnorodniejszych wpływów obcych. Zwłaszcza rewelacye pana Morelli, poczynione przed kilkunastu laty, rzuciły jaskrawe światło na kształtowanie się tego talentu. Baczna analiza dzieł Rafaëla z różnych epok wykazuje najdokładniej przewagę, jaką nad miękkim, obdarzonym niestęchaną wrażliwością malarzem, miały mocne indywidualności innych artystów. Łatwo odnaleźć naprzykład w młodzieńczych jego utworach odbicie niezbyt zresztą wytwornej techniki pierwszego mistrza, jakim był Timoteo Viti

w Urbino, jak następnie obrazy powstałe w Perugii, są jakby naśladowaniem czy przedrzeźnianiem obrazów Perugina, u którego pracował, jako pomocnik, wreszcie niezaprzeczone wpływy Michała Anioła, kiedy spotkał się z nimi w Rzymie przy robotach watykańskich, wycisnęły na nich swoje piętno.

Odkrycia te obniżyć oczywiście musiały wartość artysty w oczach tych wszystkich, którzy właśnie samodzielność twórczą uważać chcieli za jedynie dostojny przymiot prawdziwego geniusza.

Z tego punktu widzenia, całokształt twórczości wielkiego malarza, jakim jest niezaprzeczenie Chełmoński, przedstawia się wprost zdumiewająco. Istotnie, ani cienia wpływów obcych, ani śladu filiacji z jakimiś uznanymi w świecie sztuki powagami, od którychby można było wywodzić genesis jego ducha. Jestto talent nawskroś samodzielny, swoisty, wprost nieprzystępny dla jakichkolwiek oddziaływań innych indywidualności, wprost wrogi wszelkim pierwiastkom, które nie są krwią z krwi, kością z kości jego. Szorstka, kanciasta jego organizacja zda się jeżyć ostrymi kolcami przeciw najogłędniejszemu nawet próbom dotknięcia się jej obcą dłonią, odpychać gwałtownie wszelki nacisk, idący z zewnątrz. Jest on zawsze i wszędzie tylko sobą, wierny jedynie tylko własnym podnietom wewnętrznym, niezdolny, zda się, zgoła do wszelkich kompromisów i przystosowywania się. Idzie swoją drogą niezmiennie, a kiedy chce z niej zboczyć, kiedy nawet próbuje tego kilkakrotnie, staje bezradny, niedołączny, jakby zbląkany.

Idzie sobie tą charakterystyczną polską drogą boczną, wśród pól ornych, ugorów, łąk i mokradł, wśród lasków i zarośli—drożyna, która go zawiedzie czasem do ciemnej kniei, gdzie głuszcze tokują, do dzikich ostępów z fantastycznie poplątanymi wykrotami, to znowu nad uroczyska pełne poezji i tajemniczości, niby jakieś zakłete królestwo z bajki. Brnie po drogach tych w grząskim błocie przy wiosennych rostopach; sady z kopyta, aż ziemia dudni, kiedy jesienią, po sprzętach, puści się konno za lisem; to znowu mknie, jak wichur, w lotnych saniach, niesiony wściekłym pędem ognistych rumaków. Ma wtedy rozmach, impet, swobodę, sentyment, ma werwę, polot i szczerotę, ale na szerokim, utartym gościńcu, wśród modnych, współczesnych urządzeń cywilizacyjnych — czuje się źle i nieswojo.

Witkiewicz w życiorysie artysty umieszczonym w „Tygodniku Ilustrowanym“ z roku 1889, pisze między innymi, że Chełmoński nie jest uczniem Brandta ani Wagnera, jak mylnie u nas

twierdzono — jest jedynie uczniem Gersona, a nadewszystko natury.

Dla obeznanych bliżej ze znaczeniem pedagogicznym warszawskiej szkoły rysunkowej, pozostającej wówczas pod kierunkiem Gersona, aż nadto wyraźne jest dla czego słynny krytyk manifestacyjnie podkreśla, że Chełmoński jest uczniem tego profesora, a nie kogo innego, choć niewątpliwie, wyjechawszy do Monachium, korzystał nasz artysta ze wskazań innych mistrzów i właśnie mianowicie ze wskazówek Wagnera tudzież Brandta, gdyż studyował czas jakiś w ich pracowniach. Dla mniej wtajemniczonych jednak w sprawy początkowego wykształcenia naszych największych dziś malarzy, którzy jednocześnie z Chełmońskim uczęszczali do szkoły rysunkowej, nie od rzeczy będzie przytoczyć, co o niej trzyma w zacytowanym artykule Witkiewicz, także jeden z wychowaućów tej uczelni:

„Gerson, jako wielbiciel i tłumacz Leonarda da Vinci, tego zacieklego realisty i badacza natury, wszystkim swoim uczniom zaszczepiał nadzwyczajną dla niej cześć i zamiłowanie. To też pomimo systemu uczenia, w którego program wchodziła zwykła akademiczna rutyna, wszyscy uczniowie Gersona wyszli od niego przygotowani do pojmowania i odtwarzania każdego kształtu, jaki w naturze spotkali. Gdziekolwiek się znaleźli, na wsi czy w mieście, w salonie czy w polu, obracali się swobodnie i potrafili wszystko rysować. Żeby w równym stopniu byli przygotowani do pojmowania zjawisk barwnych, byłaby to wzorowa szkoła, dająca maksimum tego, co szkoła wogóle dać może.“

Słowa te, dziś jeszcze, po kilkunastu latach doświadczeń, nie tracą na wartości i najzupełniej można przychylić się do zapatrywań krytyka. Rzeczywiście, sucha, surowa, nieco pedantyczna metoda, stosowana przez Gersona w nauce rysunku, jakkolwiek mogła czasem niecierpliwie młodych, rwących się do szerokiego chlastania malarzów, w rezultatach jednak ostatecznych okazała się nader skuteczna, co stwierdzić można na większości obecnego naszego dorobku artystycznego. Niezbyt wybitna indywidualność profesora, jako malarza, nie mogła zaciężać na talentach silniejszych decydująco, nie mogła przytłoczyć ich swą wagą, to też rozkiełzani z przymusu szkolnego, odnajdywali natychmiast zupełną swobodę prężności osobistej, mając zawsze w zysku gruntowną i poważną umiejętność rysunku, nabytą pod przymusem. Z umiejętnością tą, jako najistotniejszą podstawą malarstwa, niby z zadatkiem najwyższej doskonałości, łatwo już było szukać własnej linii w nieskończoności sztuki i odnajdywano ją też naj-

częściej, jeżeli ktoś potem z zagranicznych uczelni nie przyniósł ze sobą nadto ciężkich obarczeń.

Powiedzieć zatem o kimś, że był uczniem Gersona, nie znaczy to bynajmniej, że przejął od mistrza jakiś szczególniejszy sposób wyrazu, manierę, styl, formę, któraby mu dała pewną cechę znamiennej, niby rodowe piętno pochodzenia, ale, że posiadał obiektywną, zasadniczą umiejętność, ażeby się stać dobrym uczniem natury.

Na tem się też ogranicza wpływ szkoły na Chełmońskiego. Z zagranicy, z Monachium i Paryża, gdzie kilka lat przepędził, nie przyniósł nic absolutnie, co by mu mąciło jego własny pogląd na świat, który kochał przedewszystkiem, co by mu suggestyonoowało jakieś tony modne i cenione, jakieś kształty wytworne i wyrafinowane, wrócił takim, jakim wyjechał—dziki, surowy, nieopolerowany, ale ogromnie szczery w swej surowości i ogromnie bogaty z przyrodzenia swej artystycznej organizacyi, czego świadectwem jest urządzona w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, jego wystawa zbiorowa.

*

*

*

W chwili, kiedy Chełmoński wstępował w świat sztuki, kult Rafaela dawno należał już do przeszłości, a raczej niechęć przeciw niemu przechodziła wówczas w stan ostrej idiosynkrazji, jako ostatecznego wyniku wszelkiej reakcyi po zbyt namiętnych uniesieniach. Kopano pamięć mistrza z Urbino z jakąś bezpamiętną zaciekłością, znęcano się nad jego zmiewieściałym, ckliwym sentymentem, nad wylizaną, przesłodką techniką, odmawiano mu czci i wiary artystycznej, jednym słowem doprowadzano rzecz do granic niedorzeczności i dziś, w imię słuszności, z kolei należałoby zwrócić, co się temu genialnemu bądź co bądź twórcy należy. Wtedy jednak na gwałt inne wywieszano znaki, w inne kazano wierzyć bogi pod grozą przekleństwa i przesładowań.

Zresztą przyznać trzeba, że była to epoka ogromnego zróżniczkowania się pojęć, prądów i dążeń estetycznych. Niepodzielne ongi władanie nad smakiem artystycznym ludzkości rozpadło się między licznych diadochów, którzy własne zakładali państewka.

Przedewszystkiem angielscy prerafaelicy, szukając wskazań estetycznych w naiwnych freskach na Campo Santo w Pizie, na jaśnie najwspanialszej gloryi wydobyli nazwiska drzemiące głęboko w mrokach zapomnienia historycznego. Rozbłysły nagle imiona Giottów, Orcagniów, Lorenzettich i wielu innych przedstawicieli prymitywizmu włoskiego, których prostotę, szczerłość i bezpośredniość przeciwstawiono grzecznej i układnej poprawności nadwornego malarza papieżów, Juliusza II i Leona X. We Francyi namiętności kolorystyczne, rozdmuchane przez Eugenia Delacroix, zwróciły upodobania malarzów w stronę wielkich wenetczyków; dalej zachwycono się z kolei Velasquezem, podziwiano światłocień Rembrandta, szalony rozmach Goyi, a nad wszystkim zapanował nowożytny całkiem naturalnie—naturalizm, jak chce Zola, przepuszczony przez pryzmat temperamentu, co prowadziło konsekwentnie do krańcowych manifestacyj indywidualistycznych.

Pozatem odkrycia naukowe i niezmierny postęp techniki wogóle, odcisnęły znamienne piętno, jeżeli nie na twórczości artystycznej w ścisłym słowa tego znaczeniu, to przynajmniej na pewnych formach jej wyrazu. Fotografia momentalna, rozkładając nieuchwytnie zjawiska szybkiego ruchu, prostowała niedokładne dotąd postrzeżenia i wytykała drogę do nowych zdobyczy w tym zakresie. Niezależnie od tego, teorye, czy tylko badania naukowe Chevreuila, Younga, Helmholtza i innych nad istotą światła i barwy, pchnęły artystów do stosowania w praktyce wyniku tych badań dla zdobycia nieznanych dotąd efektów przy zwykłym wyszukiwaniu, niestety, jednakowej zawsze i zawsze niedostatecznie zamożnej palety. Z tych najprawowitszych zresztą usiłowań zwiększenia zasobów technicznych malarskiego wypowiedzenia się w całej pełni z odbieranych od natury wrażeń, zrodziły się nowe dążenia — powstają impresjonizm, wibryzm, pointylizm, weryzm, tysiące prób i doświadczeń, które pod różnemi nazwami chwilowo zajmują uwagę ogółu, chwilowo świecą potężnie niby gwiazda przewodnia na drodze do ostatecznej doskonałości i znów mieszają się z tłumem innych, pozostawiając w pamięci współczesnych jeno ślady szlachetnych, ale płonnych doświadczeń. W rozgwarze krzyżujących się prądów, w zawitym splocie przejawów niespokojnego ducha twórczego, trudno odnaleźć wytyczne w ferowaniu wyroków estetycznych, krytyką też owładnął subiektywizm bezwzględny. Odrzucono wszelkie uznane normy, wszelkie szkolarskie formuły i w sądach artystycznych zapanowała przedziwna swoboda i dowolność. Osobista intuicya i smak krytyka starczyć

musiały wyłącznie przy szacowaniu wartości artystycznych. Porażał on zatem w dziele, które niejednokrotnie nie wytrzymało ścisłego egzaminu dojrzałości artystycznej, dopatrzeć się czegoś, co je pomimo pewnych zaniedbań i niedokładności, stawiało ponad utwory pod każdym względem poprawne i pełne mistrzostwa. Istotnie, jeżeli to „coś“ było naprawdę bardzo szczere, osobiste i oryginalne, okupywało w znacznej części niedociągnięcia techniczne, a nawet wprost rażące, ze stanowiska czysto akademickiego, błędy.

Na Zachodzie eklektyzm, czy lepiej może subiektywistyczna dowolność sądów estetycznych, przyjęła się dość wcześnie. Jakkolwiek znane są tragiczne zmagania się takiego Maneta i innych z opinią publiczną tudzież surowością sędziów wystawowych — Maneta, którego dzieła przez długie czasy nie mogły precyzyjnie się do salonów dorocznych wraz z dziesiątkami tysięcy okazów najpospolitszej produkcji, a po kilkunastu latach zdobyły zaszczytne i wcale wyjątkowe miejsce w galerii Luksemburskiej, nie mniej przecież prawdą jest, że na ogół sytuacja wszelkiego rodzaju nowatorów-indywidualistów była znacznie ułatwiona. Jeżeli ostatecznie nie zdołali wstępnym bojem zająć salonów oficjalnych, skupiali obok siebie zawsze dość liczną garść wyznawców i zwolenników, co w wielkich środowiskach cywilizacji jest o tyle możliwe, że przedstawiają one z konieczności grunt do szerokiego różnicowania się smaku i upodobań.

My szliśmy zawsze nieco w ogonie kultury europejskiej — zwłaszcza w dziedzinie sztuk plastycznych stwierdzić trzeba niewątpliwie i to dość znaczne opóźnienie. Dziennik coprawda dość wcześnie przynosił wiadomości o ruchu artystycznym za granicą, ale prądy tam istniejące poznawaliśmy jedynie z nazwiska i mówiliśmy o nich przy czarnej kawie, jak o żelaznym wilku. Istotnie wszelkie impresjonizmy, wibryzmy i t. d. dla wielu były tylko pustymi dźwiękami bez treści, póki pewna generacja artystów, wróciwszy ze studyów z Monachium albo Paryża, nie pokazała współobywatelom swoim, jak właściwie ów wilk żelazny wygląda w świetle oczywistości.

Wobec tego estetyczne uświadomienie ogółu i krytyki często nie stało na wysokości poziomu twórczego artystów, co pociągało za sobą przykre bardzo nieporozumienia.

Zdarzyło się to właśnie Chełmońskiemu. Nie umiano mianowicie wyczuć tego „czegoś“, co niezaprzeczenie tkwi w każdym z utworów utalentowanego malarza, a co u niego bywa poprostu fenomenalne, poprostu imponujące w swej szczerości wyrazu i nie-

słychanej przenikliwości obserwacyi pewnych charakterystycznych stron natury, ujętych we właściwy sobie, zupełnie osobisty sposób.

Ale Chełmoński nie zawsze bywa zbyt poprawny. Już Witkiewicz, najbardziej przekonany wyznawca kierunku oraz niezaprzeczonego wielbiciel talentu tego artysty, w wzmiankowanej wyżej biografii powiada:

„Jedną z charakterystycznych stron twórczości Chełmońskiego jest nadzwyczajna *nierównomierność* wykonania, wynikająca z nadmiaru kompozycyjnych motywów. Czasem jasne, ściśle i obmyślane, to znowu są jego obrazy niedopowiedziane, niedomyślane i zaledwie naznaczone. Talent jego nie rozwijał się stopniowo i systematycznie, lecz szedł gwałtownymi rzutami, zatrzymywał się na chwilę i znowu porywał się naprzód.“

Otóż publiczność nasza nie dość jeszcze przygotowana do oryentowania się w bardziej skomplikowanych przejawach sztuki, nie umiała w dziełach Chełmońskiego, po za pewnemi niedociągnięciami natury formalnej, po za pewną niedbałością techniki, doszukać się tych rysów znamienych, które jedynie są cechą niezaprzeczonego artysty, nie darzyła więc artysty zbyt dużą łaską, co on sam musiał odczuć dość dotkliwie w początkach swojej kariery. Trzymano się istotnie bardzo nieufnie w stosunku do tych śmiałych, szorstkich, ale ogromnie bezpośrednich wynurzeń szczerze wzruszonego artysty, jakby nie to właśnie miało być najistotniejszą racyą bytu wszelkiego dzieła sztuki, jakby nie to mianowicie było najczystsze źródłem zadowolenia estetycznego.

Zdarzyło się nawet, że Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych miało nieprzezorność odrzucić dwa jego obrazy i to pomimo, iż miał on już za sobą zdobyte w Monachium uznanie w sferach malarskich i ustalony kredyt u handlarzy obrazów. Dopiero powodzenie w Paryżu — niesłychany tryumf, jaki odniósł w stolicy świata, tryumf, który mu dał sławę i dostatki, wyrobił mu ostatecznie należyty szacunek w kraju.

Od pierwszego wystawionego obrazu — zajął on w Paryżu stanowisko najwybitniejszego malarza, nawet wśród tak potężnego, jak tam, ruchu artystycznego. Słynna czwórka koni spienionych, stojąca w śniegu u drzwi folwarcznych, zrobiła odrazu furorę wśród publiczności paryskiej. Kupił ją właściciel wspaniałej galeryi, Amerykanin Stuart, a nawet podobno pośród *jury* salonu głosowało ośmiu członków za daniem wielkiego medalu Chełmońskiemu; handlarz zaś obrazów Goupil, nabył z góry wszystkie obrazy, jakie miały powstać w przyszłości.

„Lecz—pisze biograf—choćby nawet w Paryżu nie poznało się na Chełmońskim, choćby się odwrócono do niego plecami, nie przestałby on być tem, czem jest: jednym z największych, najoryginalniejszych i najbogatszych talentów polskiej sztuki.“

Niebawem jednak artysta nasz syt sławy i złota, wrócił z Paryża, osiadł w kraju, na wsi, zdała od zgiełku miejskiego i pograżył się w pracy—w podpatrywaniu natury, którą umie podejść po malarsku ze strony najbardziej interesującej. Właśnie owoce tej kilkunastoletniej pracy wystawiło Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, a wystawiło je z całą starannością i pietyzmem, jaki się należy jednemu z największych malarzy polskich.

*

*

*

„Wiek XIX—jak powiada Klaczko—ten wiek potężny obszarem swych poszukiwań i rozległością wiedzy, nie potrafi znów nic stworzyć; jego ciekawość wszechświatowa, będzie cechą fatalną jego bezpłodności nieuleczalnej. Raz jeszcze biedna ludzkość ponowi doświadczenie, tylekroć powtarzane, znane już pierwotnemu człowiekowi w pierwszych dniach istnienia, że drzewo wiedzy nie jest drzewem życia.“

Niewątpliwie sztuka tylko na wiecznie zielonem drzewie życia kwitnąć może i owocować obficie, ale też prawdą jest niezaprzeczoną, że wiedza ludzka samo drzewo przekształca i uszlachetnia, że przez właściwą kulturę, przez system szczepień odpowiednich dzikiej płonce, rodzącej drobiazgi kwaśny i cierpki, każe wydawać owoc wspaniały, słodki i soczysty. Proroctwo, rzucone przed kilkadziesiąt laty z wysokości galeryi w kaplicy Sykstyńskiej przez głośnego swego czasu estetyka — rzucone w chwili, kiedy przytłoczony niejako gigantyzmem Michała Anioła, spotkał się oko w oko z ową *terribilità* renesansu, przy której współczesność cała wydała mu się nikłą i szarą — jest jeno w części słuszne, a sceptycyzm względem zdobyczy wiedzy jeno w części uzasadniony. Dziś, kiedy możemy już zamknąć bilans tego, jakoby bezpłodnego wieku, musimy uznać, że nawet w rubryce sztuk pięknych, istotnie nieco upośledzonych wobec rozwielmżnienia się techniki i przemysłu fabrycznego, pozostał jednak wcale pokaźny dorobek.

Wprawdzie architektura, ściśle biorąc, nie skryształizowała się dotąd w znamieny, własny styl epoki i przezuwając kształty dawne, kompilując wszystkie znane w historii formy — od klasycznej prostoty doryckiej do przesadnego barokowego rozwydrzenia—kręciła się bezradnie przez lat dziesiątki w jakimś bezosobowym, bezlicowym naśladownictwie, ale przecież z drugiej strony współczesne hale i mosty żelazne są rzeczą bezprzecnie nieznaną dawniej i oryginalną.

Nowe pierwiastki konstrukcyjne stać się muszą wątkiem do powstania nowych form budownictwa—nowego stylu. Przedziwne, zawrotne łuki, przerzucane dziś przez przepaści, nad szerokimi przestworzami — rozpięta, niby tkanka pajęczna między ścianami skał niebotycznych, sieć drutów, po której pędzi pociąg błyskawiczny, urąga najśmielszym pomysłom architektów gotyckich, wznoszących dumnie strzeliste sklepienia tumów średniowiecznych i jest niewątpliwie imponująca.

Budownictwo to należy do przyszłości. Wiek ubiegły przygotował materiał—kiedyś przyjdzie geniusz i ożywi go duchem swoim.

Rzeźba i malarstwo biegną pokornie za naturą, wydzierając jej tajniki krok za krokiem, podpatrując ją chytrze na gorącym uczynku stawania się nieskończonej różnaitości zjawisk. Droga jest pewna i z góry nakreślona, nie mniej przecież pełna zadziwiających niespodzianek. Wielcy artyści dziewiętnastego wieku stali na wysokości zadania i w produkeyi ich muszą się niewątpliwie znaleźć dzieła nieśmiertelne.

Co prawda, kiedy sztuka odrywała się od życia i chciała oprzeć się na suchej teorii, lub rozplywała w mglistych spekulacjach filozoficznych, więdła szybko na kształt uszczkniętego z łodygi kwiatu, storczyka dziwnych kształtów, co przypięty do gorsu kobiety na balu, kona natychmiast z braku odżywczych soków ziemi. Ale jeżeli owoc sztuki dojrzeje na drzewie życia — życia bogatego wiedzą wszystkich ubiegłych pokoleń, wzmożonego wszystkim ich doświadczeniem, przekazywanem z ojca na syna, uszlachetnionego całą ich długą kulturą, wtedy będzie on piękny, słodki i soczysty, jak nie był dotąd żaden owoc w tym ogrójcu.

Przebrzmiwały wibryzmy, pointylizmy, przechodzi symbolizm, kończą się modne szkoły i kierunki, a sztuka za mistrzynią swą naturą idzie niezmiennie, jedynie coraz bogatsza i pewniejsza siebie, choć miewa czasem chwile omdlenia, zniechęcenia i rozpaczy.

Chełmoński jest jednym z najwierniejszych uczniów natury, ufa jej bezwzględnie, ale jakby pozwoilił wyprzedzić się życiu,

jakby w przystępie zniechęcenia zrezygnował z pewnych zbyt górnych ambicji dla swojej sztuki, ustaje przed samą metą, waha się i nie wypowiada ostatniego słowa.

Wyraża to się w tem, że znaczną większość wystawionych obecnie w Salonach Zachęty utworów pod wielu względami tak niepospolitych, zadziwiających i pełnych duszy nieśmiertelnej, każe jakieś niedomówienie artystyczne, jakieś techniczne niedociągnięcie, jakiś brak, psujący wrażenie całości, jakiś ton niedostrojony, wyrywający się zgrzytliwie z ogólnie pięknej harmonii.

To, co Witkiewicz już w roku 1889 zauważył i nazwał „nierównomiernością“ wykonania, na wystawie zbiorowej, gdzie znalazła się ogromna z najrozmaitszych epok twórczości pochodząca ilość obrazów, narzuca się ze szczególną wyrazistością.

Słuszność każe przyznać, że znakomity artysta niema tu prawie ani jednego płótna, któreby nie posiadało w sobie najprawowitszej racyi bytu artystycznego, któreby nie było przynajmniej z pewnej strony najistotniejszem dziełem natelnienia, któreby pozbawione było owego „czegoś,“ co widza przekonywa bezwzględnie, co go porywa siłą tajemnych, nienazwanych oddziaływań i unosi przemocą w świat przez artystę stworzony. W każdym z najmniejszych wagą malarską obrazków, jest zawsze coś, co zdumiewa, zachwyca i wywołuje mimowolny okrzyk rozkoszy estetycznej, jako zjawisko nawskroś artystyczne, ciekawe i nowe.

Rzeczywiście, czy to będzie rozkołysany od wichru żóraw studzienny, czy zziębnięte z nastroszonymi piórkami kuropatwy, drepczące po śniegu wśród zawiei, czy skręcone w kłębki kundle wiejskie, drzemiące w ciszy nocnej na księżycowej poświacie, czy to będzie szalony ruch konia w galopie, czy charakterystyczny gest chłopa, czy furkoczące w impecie szybkiej jazdy poły rozwianego chałatu żydowskiego, wszędzie w sposobie ujęcia zjawiska, w sposobie podpatrzenia go i wyboru tkwi nadzwyczajna samorzutność i oryginalność; wszystko ujawnia organizację wybitnie indywidualną i samodzielną. Znaczący się to znamienne, kiedy artysta wyczuwa nastroje mroźnych wieczorów zimowych, czy wczesnych brzasków wiosennych, kiedy różowy świt oprze na obłoku promienne blaski i świeci nad znojną orką, kiedy wiatr o poranku rozgania opalowe mgły nad wodami, kiedy rechoczą żaby w błotnistym stawie skrwawionym purpurą zachodu, kiedy deszcz chłapie, śnieg pada, zawodzą wichry, kiedy szumi wezbranymi wodami zalana łąka.

Są tam wszędzie szczegóły poprostu bajeczne pod względem ścisłości obserwacji i doskonałości malarskiego wyrazu, a jedno-

cześniej razi jakiś szmat nieba, maźnięty surową, niestonowaną, brudną farbą, jakieś niedociągnięcie w rysunku pierwszoplanowych przedmiotów, jakieś nieustosunkowanie perspektywicznych wielkości w przestrzeni, lub brak należytego zagłębienia przy zbyt twardem, brutalnem modelowaniu dalszych planów.

Razi to tem silniej, że braki podobne występują obok zalet najwyższych, obok cech niezaprzeczonego talentu pierwszorzędnego, głębokiego sentymentu malarskiego, poezyi i uczucia.

Jest w tem jakby umyślna pogarda dla wiedzy zawodowej, jakby lekceważenie zewnętrznych form sztuki, co nawet było niegdyś w pewnych sferach dogmatem przemijających wierzeń estetycznych, co jednak szkodzi wielkiemu artyście w obliczu historyi.

Obrazy Chełmońskiego psują się—żółkną i czernieją, tracąc zalety pierwotne.

*

*

*

Wystawa obejmuje okres trzydziestoletniej pracy artystycznej malarza i daje w pewnej mierze przynajmniej dokładne odbicie ewolucyi, jaką talent jego przechodził. Oczywiście niepodobna było zgromadzić wszystkich dzieł mistrza i, niestety, brakuje może najlepszych, najbardziej cenionych, gdyż znajdują się one w muzeach, lub u prywatnych posiadaczy za granicą, nie mniej przecież każda epoka twórczości jest scharakteryzowana przynajmniej przez jedno dzieło doskonałe.

I tak przegląd rozpoczyna utwór z roku 1869, kiedy jeszcze Chełmoński, przed wyjazdem na Zachód, pozostawał pod wpływem profesora Gersona. Tytuł płótna tego: „Rozpłaty robotnika.“ Dalej idziemy prawie krok za krokiem za stopniowo rozwijającą się indywidualnością artysty: „Deszcz,“ „Czwórka“ i „Sprawa u wójta“ należą do epoki Monachijskiej, to jest do epoki, przypadającej na lata między 1871 a 1873. Krótki ten okres czasu zdecydował ostatecznie o stanowisku artysty w dziedzinie sztuki polskiej, gdyż występuje tu już jako mistrz skończony, czego świadectwem może być „Sprawa u wójta,“ będąca obecnie własnością Muzeum Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

Następne obrazy, jak „Jesień,“ „Stróż nocny“ i parę innych, malowane były w Warszawie po roku 1873 mniej więcej do koń-

ca roku 1875. Z czasów pobytu w Paryżu, gdzie bawił do roku 1888, niewiele stosunkowo znalazło się okazów, a zwłaszcza niema tu najbardziej typowych, gdyż, jak wiadomo, w owej chwili dzieła Chełmońskiego korzystały z ogromnego popytu na rynkach wszechświatowych, pozostały też w większości za granicą. Na wystawę dostał się jedynie „Napad wilków,” tudzież kilka mniejszych szkiców, a między nimi doskonała, pełna charakterystyki i humoru „Trójka,” którą rozbijają się po miasteczku dwaj mocno podchmieleni dygnitarze wojskowi. Doskonały jest zwłaszcza „jamszczyk” w tułubie wydętym, jak balon.

Stanowczy zwrot w twórczości Chełmońskiego zaznacza się po powrocie z Paryża. Przystaje malować ogniste, rozhukane, pełne ruchu konie, które mu tyle zjednały już sławy i przerzuca się do scen rodzajowych z życia ludu; tudzież przedziwnie podpatrzonych scen z życia zwierząt, tych dzikich mieszkańców pól, łąk i lasów naszych: „Powrót z kościoła,” „Wnętrze kościoła,” „Dziewczyna z wianuszkiem pod figurą,” „Bociany” tudzież przepyszne „Kuropatwy,” arcydzieło przenikliwej obserwacji, tworzą dorobek tej epoki. Ostatnią fazę upodobań artysty stanowi pejzaż z głęboko odczutą naturą kraju.

Józef Chełmoński urodził się we wsi Boczki, w ks. Łowickiem w roku 1849. Posiada medale honorowe, otrzymane na wystawie w roku 1889 w Paryżu tudzież w roku 1891 w Berlinie.

T. JAROSZYŃSKI.

Z CYKLU

„*Sonetów Mytologicznych.*“

Pallas Athene.

Athene, boską stopą deptąc ziemskie wzgórza,
Nad miastem swoim staje, gdzie srebrne oliwy
Z wiatrem wieczornym gwarzą w swej zieleni siwój
I winnicami górskie stroją się podnóża.

Płomienny wóz Heliosa w morzu się zanurza
I różowi bogini szyszak złotogrzywy
I w tarczy jej spiżowej nieci blask łyskliwy
I siny cień jej włóczni po ziemi wydłuża.

Świetlany wzrok Pallady skrami dumy tryska:
W jej gród, co się białością kolumn opromienia
I w zórz purpurze świątyń marmurami błyska,

Po tysiącach lat przyjdą ludzkie pokolenia
Przez łyż pozierać będą na święte zwałiska
I Piękności w nich boskiej szukać — i Natchnienia!

Prometeusz.

Ponad nim piorunowe chmur skłębionych zwały.
Przez nie kędyś, jak poprzez niedowarte wrota
Błędego słońca jasność przemyka się złota
I draśnie czarne, śniegiem przypruszone skały.

On do głązów przykuty, sam jak skamieniały
Ani drgnie, gdy sęp nad nim skrzydłami łopota
I dziobem krwawe trzewia targa mu z żywota
I szponem żywe ciało rozdziera w kawały.

Zaciął zęby i w niebo dumnym okiem ciska,
Bo wie, że tam, gdzieś, pod nim na ziemskim padole
Ludzkie plemię po chatach rozpala ogniska...

Zeus w błękitach brwi zmarszczył na pochmurnem czole,
Zerwał się z tronu, gromem na skazańca błyska,
Ale czemu są gromy — na niezłomną wolę?!...

Syzyf.

W górę — gdzie ołowiane kłębią się obłoki,
Zrąb turnic przysłaniając i urwisk załomy —
Czołga się zwolna jeden wielki głąz ruchomy
Po skalnych spadzistościach, przez oślizłe stoki.

W górę, w górę... sam zda się ten kawał opoki
Pełznąć o własnej mocy po ścieżynie stromej
Bo człowiek, co go dźwiga, ledwo, że widomy,
Pod kamiennym brzemieniem ugiął grzbiet szeroki.

W górę, wciąż w górę wlecze skałę niestrudzony
 Głowę i kark podstawia pod ostre krawędzie,
 Prze kolanem żylastem, tęgiemi ramiony...

Staął bez tchu... Głaz runął i stracił go w pędzie,
 Jęknął Syzyf, lecz zaraz powstaje skrwawiony
 I znów ciężar swój w górę, w górę dźwigać będzie.

Ixion.

Na samem dnie piekielnej czeluści w Tanarze
 Ogniowe koło w ciągłym wiruje obrocie
 I w czarną pustkę miota skrawych żagwi krocie,
 Piasty, młyńcem płomiennym latają w pożarze.

Z kołującej pożogi czasem się ukaże
 Nagi kształt ledwo ludzkiej podobien istocie
 I twarz bólem strętwiła mignie gdzieś w przelocie
 Błada, piękna, jak bogów marmurowe twarze.

To Ixion w krąg ognia wpleciony się toczy,
 Śmiał kochać Herę — za to wieczną kaźń odbiera...
 Zda się już nie czuć męki, przymknął krwawe oczy

I z półsennym uśmiechem w głąb duszy poziera,
 Pod powiekami wid mu jawi się uroczy:
 Dumna, białoramienna, czarnooka Hera!

Lew Nemejski.

Na niebios do białości rozpalonym sklepie
 Żarami zieje słońce... w powietrzu spiekota,
 Wiatr nie wionie, nad ziemią ptak nie zatrzepota...
 — W skwarze kroczy Herakles po Nemejskim stepie.

Lew mu drogę zaskoczył. I zielone ślepie
Wlepią weń, błyskawice nań z podełba miota,
Kły wyszczerza i grzywa jeży mu się złota
I potężnym ogonem po lędźwiach się trzepie.

Rzucił się nań Herakles. Lew na zadnich łapach
Wspiął się i w mierz mocarza zatopił pazury,
Paszcze rozdarł, krwi ludzkiej wężąc ciepły zapach...

Lecz bohater kolaniem pierś mu przygniół z góry,
Gardziel dławi mu w garściach aż dech świszczy w chrapach...
Lew drgnął—i z nozdrzów buchnął strumieniem purpury!

Ares i Afrodite.

Słońcem jaśnieją Kipru zielone wybrzeża
W różach i czarnych bluszczach. Na perłowej pianie
Czasem delfiny srebrne łysną niespodzianie
Wśród fali turkusowej, co na brzeg uderza.

Nad morzem, w cieniu laurów zbroica rycerza,
Miecz, hełm leży porzucon i strzały w kołczanie.
Ares niezbrojne dłonie oplótł na kolanie
I siedzi, sparłszy nogę o krawędź puklerza.

Patrzy—krew młoda w skronie bije mu jak młotem:
Przed nim, jak marmur biała stoi Afrodyta,
Odziana jeno włosów rozpuszczonych złotem...

Zerwał się i za biodra śnieżne w pół ją chwyta,
Śniadych ramion potężnym ogarnia opłotem --
Ona warg jego szuka, miłości niesyta!

Hermes Psychopompos.

Po najsmętniejszej w świecie piaszczystej równinie,
Gdzie z głuchą ciszą zurok się wiekuisty ściele,
Przez grząskie trzęsawiska i rdzawe topiele,
Nad potokiem, co jęcząc wśród szuwarów ginie,

Codzień przechodzą duchy o zmierzchów godzinie.
Hermes, przewodnik zmarłych, leci na ich czele,
Trącając kwiaty grobów, blade asfodele
Stopą skrzydlatą, lekko ponad ziemią płynie.

W ślad za nim, jak żórawie, ciągną trupie mary
Za ręce się trzymając... Wszyscy, jakby gnani
Zimnym podmuchem, suną przez mgliste opary...

I zatrzymał się Hermes przed progiem otchłani
Laską węzową stuka we wrota pieczary
I tułaczów do cichej wprowadza przystani.

KILKA LAT Z ŻYCIA SŁOWACKIEGO.

1837—1842.

„Najwięcej czasu przepędzam sama — pisał dla nienarazania matki pod imieniem Zofii z Paryża r. 1839—pisząc sobie i bazgrząc różne awantury i przywidzenia, z czego korzyść taka, że mi samej życie złości i różnemi okrywają tęczami. Są to miłe mi okienka w chacie mojej, przez które widzę wiele rzeczy i twarzy znajomych; czy życie takimi snami jest życiem, nie wiem, ale to pewne, że mię od wielu rozpaczy broni a czasem przyjemność sprawia.“ Poeta żył przeważnie wspomnieniami wrażeń młodości, one były pryzmatem barwiącym mu wszystko i ojczyznę idealną jego duszy. Postępując w lata, oczyszczał się do pewnego stopnia z tego, czem ta młodość napoiła go zrazu, dojrzewał i wydoskonalał się moralnie; oddalał się więc od niej, ale jednocześnie wszystko widział pod jej kątem, wracał niejako do pojęć i uczuć najwcześniejszej młodości, w pragnieniu spokoju i zadowolenia wewnętrznego zapełniał próżnię nie tylko rojeniem wyobraźni, ale i dążeniem do nieskończoności, którego wstrzymać teraz nie mogło nic. Był niejako porwany prądem, wyzwolony kierunkiem, uniesiony ideami czasu; nie starał się odtąd upiększać siebie, ale tłómaczyć w dziełach najlepszą część duszy, by być pomocnym swemu narodowi, by pracować poniekąd dla potomności. Uspokajał się, wchodząc w siebie samego, jak morze w brzegi, stawał się milczący, skupiony; mógł powiedzieć o sobie, jak pani de Staël, że brama jego serca jest zamkniętą. Chciał wszystko zrozumieć, żyć wewnątrznie, czuć się częścią uduchowionego organizmu świata, w którym wszystko ma swe znaczenie i do najwyższego celu dąży w związku z całością. Była to epoka, w której filozoficzna

spekulacya panteizmu stała się niejako zasadniczym poglądem romantyki, w której wyobraźnia mogła marzyć swobodnie nie tylko o jedności wszystkiego, ale i o owym tajemniczym środku tej jedności i jego odbiciu w indywidualiach. Wszelkie dążenia ludzkie otrzymały religijny charakter, wszelkie usiłowania i uczucia mistyczne zabarwienie; wedle pojęć czasu, duchowi oprzeć się nie może nic, świat jest pełen zagadek rozwiązalnych tylko przez miłość, jednoczącą wszystko i będącą początkiem wszystkiego. Słowacki kryje się ze swem dążeniem do wyświeślenia sobie zagadki bytu, ale że widzi w około siebie takie dążenie, czuje się tem dążeniem bardziej ośmielony i roznamiętnia zwolna do metafizyki, która jest u niego nieokreślona i niepewna.

Ma teraz ku niej polot silny, w regiony mistyczne wzlecieć chce i pożąda. Ale trudno wydobyć z jego półsłówiek jakąś doktrynę, niemożliwem prawie, mimo zmiany, jaką umysł jego przebył, dać jego definicyę Boga, świata, ludzkości, sztuki. Niewątpliwie, będąc w tych latach zbliżony pojęciami, jak George Sand, do Lamennais'go, uważa swą misyę za wielką i świętą, życie poczytuje za wieczną i surową walkę, a pod względem religijnym, wyznaje rodzaj platonizmu chrześcijańskiego z dodatkiem Swedenborga, który nie przestaje imponować mu od dzieciństwa. Wedle poety, wszystko zależy od wyroków Boga, każdy ma być złotym aniołem w ojczyźnie na straży, sztuka to zapewne środek świata, a jej twory dalekiem odbiciem piękności świata. Wbrew Matuszewskiemu, który utrzymuje, że antropomorficzne poglądy Swedenborga nie mogły pociągać poety później, dało się stwierdzić ich ślad w Genewie¹⁾, znać go we Florencyi w teoryi zlania trzech duchów w jeden, w wierszu *Wiesz Panie*, gdzie sam poeta wyzna kiedyś, że

... zbiegał świat szeroki,
Szukając jednej prawdy człowiekowi.

W Genewie pragnął już, by dusza świata odbijała się w jego dziele, by miała piękność filozoficzną, by naśladowała dziwną jedność przyrody. Tem więcej pożądał tego dzisiaj, gdy miał wzlecieć w sferę słońc i gwiazd i uciekać od rzeczywistości dalej, niż dawniej, choć jednocześnie zapalać ludy skrą z serca złotego i czystego, którego nie miał Anhelli. Na pierwsze lata osiedlenia się w Paryżu, przypada, bez wątpienia, zajęcie się ponownie także

¹⁾ *Młodość Słowackiego* przez Tadeusza Grabowskiego, patrz „Biblioteka Warszawska,” 1905, str. 304.

Schellingiem i pokrewnymi mu duchem mistykami. Już Krasiński upatrywał współcześnie w poezji przyjaciela ton panteistyczny a mniej katolicki; on sam był wtedy heglizującym katolikiem i z lubością upatrywał w rzymskim przyjacielu ulubiony sobie kierunek, który otwierał widoki w nieskończoność. Zaklinał go tedy, by trzymał swą harfę wśród powiewów nieba, by grały na tej harfie myśli Boga, promienie gwiazd, skrzydła przelatujących aniołów, by była jak „białe lilie, rosnące niewinnie na łąkach błękitnych przestrzeni.“ Rady te musiały zapadać w głąb duszy poety, który widział przyjaciela filozofującym zawzięcie i jeżeli nie był dotąd poetą filozofem, jak tamten, nie bywał nigdy obojętnym na zagadnienia krążące w całej poezji ówczesnej, drgające na ustach wszystkich. I w nim budził się potężny zmysł dla tego, co zaświatowe i nieznanne, bo bez tego nie można zbliżyć się do jedności, do boskości, do środka świata. Najpotężniejszym czynnikiem w świecie jest miłość, Bóg sam jest miłością, ogniem, entuzjazmem; w środku świata są: miłość, życie, piękność. Mistyka sama jest miłością, przez którą powstał świat i przez którą gwiazdy zjednoczyły się w melodyjne koła. Bóg obejmuje wszystko, wszystkiego jest początkiem, w Jego kochającej mocy jest początek świata, ludzkości, poezji. Natura jest odbiciem Boga, świat Jego arcydziełem, religia Jego poczuciem; śmierć stanowi tylko powrót do pierwotnej miłości, do żywej wszechjedności. Przed poezją, która wyszła z miłości, nikną wszelkie tajemnice, z niej wyłaniają się pierwotna piękność i pierwotna miłość środka świata.

Rzeczywistość, wedle ówczesnych pojęć jest tylko ucieleśnioną alegorią nieskończonego ducha, ludzkość wykwita z tej nieskończoności, jak kwiat, im więcej oddalamy się od rzeczywistości, tem bardziej zbliżamy się do prawdy, pierwotności, rzeczywistości duchowej. I dlatego Anhelli uważa przeszłe życie za sen, o tajemnicach przyszłych rozmyśla ze spokojem i bez obawy. Wszędzie spotykamy boskość, człowiek jest częścią tej boskości, żyje z innymi, przez innych, dla innych. Więc odosobnione życie nie jest rzeczywistością, jest nią wielkie, silne, wolne życie w jedności. Anhelli nie żył w tej jedności i dlatego zgryzota jego okropniejszą jest od okropności ziemi i piekła. Człowiek stoi zaś między skończonością i nieskończonością w środku, jednostką będąc w całości, ma swe zadanie i przeznaczenie, duch jego jest wszystkim, a poezya, to instykt nieskończoności, to pierwotna siła środka, której wyobrazicielem Dante. Z tym poetą romantyków szedł Słowacki tem śmielej do celu, poezję uważał, jak wszyscy romantycy, za pierwiastek życia, tworzenie za czynność istoty, będącej

częścią boskości. Czy Dante nie był bowiem takim poetą nie-skończoności, czy nie ogarniał wszystkiego, czy nie widział wier-nie i prawdziwie rzeczywistości, zawsze pełny tajemniczego zna-czenia i w zetknięciu z tem, co jest za granicami widzialności? Dante świecił mu jako ideał poety filozoficznego, filozofię i poe-zyę miał za najwyższe siły ludzkości i o ich ścisłem połączeniu marzył już teraz pewnie. Czy nie pamiętał zresztą określenia Krasińskiego, że jego poezya jest rozptylnieniem, powrotem do szer-zy, do płynności światła, do gry tęcz, do fal muzyki, do woni kwiatów, do wszystkiego, co tylko chce się rozprysnąć i rozwiać na wszystkie strony, by znaleźć nieznanego Boga? Jego poezya, zdaniem Krasińskiego, odbijała wszechświat, obejmowała wszechświat, miała właściwości nieprzystępne ludziom codziennym i średnim. Nic dziwnego, że po takim określeniu i poczucie wła-snej wielkości wzrosło w Słowackim, że chciał i mógł się uważać za jasnego i wysokiego przedstawiciela swego narodu, że przypisał sobie wyższą świadomość wszechświata, niż ktokolwiek wtedy u nas. Znany mu Schelling uważał geniusza za ogień świata, za świat w zmniejszeniu, za szczyt ludzkości, za osobnik, który przy-szłość i przeszłość wiąże w sobie, za wieszczą, który widzi wieczną piękność i harmonię wszechświata oczyma poety. Taki wieszcz musi mieć własną religię, własny pogląd na świat, objawić ten pogląd i zapośredniczyć między wszechjednością i ludzkością, obja-wić to, co jest za granicami zwykłej świadomości.

Uduchowić bardziej poezję na wzór Dantego stało się celem Słowackiego i, gdy miał ocenić utwór przyjaciela, wyrażał w swym sądzie o nim niejako własny ideał poezyi. „Oddech nadzmysłowe-go świata jest już ujęty w słowa — pisał w recenzji *Nocy letniej* Krasińskiego — szmer niewidzialnego wpływu już gra na hartie poety... i wtóruje mu tak, że mimowolnie włosy na głowie po-wstają — i nie jest to próżna fantasmagorya umysłu, ale wszyst-kowidzenie serca ognistszego niż inne, ale przedarcie się śmiel-szego poety wśród duchów... ale pojęcie harmonii najfatalniejszych naszych czynów z myślą Boga o świecie. Takie anielskie granie lutni człowieczej musi nareszcie ludziom ohydzić podłość i ma-łość—takie zwierciadła na ludzi wieczną piękność odbijają. Tu jest dowód, że poeta miał teraz pełną świadomość swojej własnej twór-czości, że nie chciał ją mieć jednostronem podniesieniem życia uczuciowego, ani gonitwą za snami wyobraźni, ale rozwiązaniem zagadki bytu, poczuciem wspólności z jednością, czemś, co jest dalszym ciągiem systemów religijnych i filozoficznych i co poezya ostatecznie rozwiązać musi i rozwiąże. Był już optymistą boja-

cym się sceptycyzmu i uważając poezję indywidualną za odbicie światowej, za święte misteryum, za duszę i wiedzę życia, był cały przejęty jej ważnością, a sam siebie miał za człowieka o głębokim spojrzeniu i zrozumieniu rzeczy, za przedstawiciela narodu, za wyższą świadomość tajemnic bytu, która pośredniczy między wyższymi i niższymi duchami. Studya mistyczne otwierały przed nim nowe horyzonty, czuł w sobie jakby tłum ludzi o doskonalszem uduchowieniu, czuł też wyższą wiedzę i moc, która umie nie tylko widzieć w głąb nieskończoności, ale ma też dar przedstawienia swego poglądu, stawiający go nad filozofem i czyniący go całym człowiekiem.

Jeżeli poezya nie wiąże się z całym światem ducha, nie ma wartości, wedle niego. Ma ona być zwierciadłem nieskończoności, ma wiązać się z tą ostatnią nieustannie. Swedenborg, ów filozof jego młodości mistrzujący mu i teraz, wziął sobie za zadanie wyjaśnić stosunek świata naturalnego do nadnaturalnego i sądził, że świat objawia się pod dwiema formami, a ziemia odtwarza niebo; życie obecne jest kluczem do przyszłego, aniołowie, duchy, ludzie są trzema stopniami bytu. Na mocy pokrewieństwa duchowego i stopnia doskonałości, do której dążył życie całe poeta, jest łączność między hierarchiami bytów, istoty ludzkie dążą do wyższych duchów, od nich do aniołów. Powtarzał to za nim Saint Martin, ulubiony od dawna Mickiewiczowi, który też musiał obudzić dlań zajęcie w Słowackim. Stosunek człowieka do Boga, potrzeba doskonalenia się wewnętrznego, bezwartościowość rozumu ludzkiego, potrzeba wzniesienia się nad ziemię, łączność z jednością i przyrodzeniem, panteistyczne pojęcie swej roli i znaczenia w świecie tkwiły już w Mickiewicz; widzenie, sen, objawienie, niosące w zawrotne krainy wszechbytu, rysowały się już w *Widzeniu* tego ostatniego, nieznanem wprawdzie wtedy ogółowi, ale wskazującym, że wieszcz litewski i Słowacki szli poniekąd jedną drogą. Związek ze światem duchów swedenborgiański stanowił tedy podstawę mistyki poety, resztę brał on od Saint Martina, którego cenił już mocno Chateaubriand, a obecnie Mickiewicz. Mistyk francuski obrzydzał obu poetom sceptycyzm przeszłowieczny, radził szukać wiedzy nowej, której zarodki tkwią w każdej duszy, w intelligencji i uczuciu jednostek. Pochodzi to stąd, że jesteśmy częścią Boga, że tęsknimy za dawnym bytem, że nasze pojęcia są niejako tylko przypomnieniami. Gdy przychodzimy na świat, materializujemy się niejako i winniśmy wrócić do pierwotnej świętości. Bywają jednak ludzie wyjątkowi, którzy oświecają innych i niewątpliwie za takiego uważał się zmartwych-

wstały Anhelli. Wyszedł on z pojęć Schellinga, który kazał poecie być zwierciadłem wszechbytu, skupić wszystkie siły ludzkie w doskonałej czynności i jedności, nie oddzielać wreszcie także myśli od czynu. Miał teraz serce spokojne, otuchę, że dusza jego będzie policzona między jasnemi, pogodę wewnętrzną, choć samotność otaczała go stale i bolała niekiedy. Sprawiało to, że Krasziński rósł, jako przyjaciel, w jego oczach, że jego i siebie uważać począł, gdy Mickiewicz zerwał już z poezją, za dwóch pierwszych związanych z sobą nierozłącznie. Był sam, jak zawsze, patrząc ze swego wyniosłego mieszkania paryskiego w rozległy horyzont niebieski i rozpalając tworzeniem w sobie nowe ciepło i ogień. Był już na drodze do poematu filozoficznego, ale nie spieszył się z jego wykonaniem. Brakło mu jeszcze treści, pojęć dość określonych, a on dbał przecież o idee, choć był marzycielem i artystą w pierwszym rzędzie. Wierzy w Boga osobowego, ale tworzy się w nim koncepcya panteistyczna a przynajmniej skłonność do panteizmu i konstrukcyi w tym duchu. Pierwej jednak miał stworzyć ów myt o dwóch wodzach na tle dramatu o polskiej Antygonie, myt o postaciach, jako łańcuch, łączący dwóch Wenedów ręce nawet w śmierci godzinie. Ustęp z Byrona, legenda szwajcarska o czynie córki, uwalniającej ojca z niewoli, nieustraszona postać kapłanki Velledy, zagrzewającej Gallów do boju z Rzymianami, druidzi celtyccy i kamienie druidyczne, dwaj bracia walczący razem Chateaubrianda, ustęp z dramatu o Tellu Schillera i inne pokrewieństwa, wykazane drobiazgowo, stanowią niewątpliwie ważny przyczynek do genezy dzieła, ale nie rozświetlają zasadniczej jego idei o podkładzie daleko mniej osobistym, niż poprzednie. Przepęlnia je owa miłość, która poczęła ożywiać Anhellego, ale teraz wezbrała potężnie i żywiołowo. Ojczyzna Wenedów kona, jak owa, którą rozdierają swary emigracyjne, więc harfy druidów są płaczące i rozstrojone, jak poezya Słowackiego. Ale Roza Weneda ma na swe usługi chmury, pioruny, szatański głos, moc wskrzeszania zmarłych, smutek i los, czyli poezye, która od czasów genewskich uderzała w ton patryotyczny i anheliczną ofiarą z mąk duszy, miała odkupić sprawę zgubioną. Roza nie zna kompromisu i wie, że kości poległych w rozpaczynym boju dadzą posiew dla nowych bojowników sprawy. Roza wierzy tylko w walkę i nie szczędzi nikogo, zimna, jak żelazo i nieugięta, jak ono. Trzeba nowej pieśni, nie rozplakanej, nie miękkiej, by lud nie stracił serca, a choć ostatnia walka zawiedzie, popioły zwyciężą jeszcze. Ona jedna nie traci nadziei, Lilli poświęcenie uratuje tylko życie jednostek, ale nie narodu. Święty Gwalbert

zachęca ostatnią do ślubu czystości. ale nie przeszkadza, by Gwinnona szczyła z niewolników i z ich mocy moralnej, którą chlubi się Derwid, a przed którą blednąć mają wrogowie. Nie bledną, skoro Derwid traci oczy, nie bledną, skoro przedstawiciel religii, dającej światło duszom a życie wieczne biednym, stoi niemy podczas strasznej sceny i nie wybucha przeciw wściekłości najezdника gromem oburzenia. Czy nie jest on symbolem stanowiska Grzegorza XVI wobec powstania? Zdaje się, że tak, a wiadomo, że Słowacki nie raz pierwszy już się wyraził w tym duchu, by przypomnieć scenę z *Kordyana* i poematu florenckiego. Zaguba grozi ludowi, zaguba, przed którą drżał Anhelli, więc poezya podnosi swój głos a

Z ust się wydziera krzyk o zemstę Boga,
Czekamy wszyscy, drżąc, na piorun z chmur,
A kiedy milczy niebo—śpiewa chór,
A kiedy śpiewa chór—drży serce wroga!

Tego chóru przodownikiem chce być Słowacki, który, jak Lamennais, przeniknięty jest teraz ideami demokracji chrześcijańskiej i do Rzymu, stojącego w obronie dawnego porządku, odnosi się z niechęcią i bez zaufania. Wtedy święty Gwalbert, stojący spokojnie w chwili, gdy mordują najlepszych synów narodu, nie wyda się figurą komiczną, ale mającą swe uzasadnienie i rolę. Tragedyi bohaterką będzie zaś Roza a nie Lilla, godna współzawodniczka chateaubriandowej Velledy i postać wykuta z materiału, którego próżno szukać wśród dawnych kobiet poety.

Ona tylko wierzy, że poezya zwycięży narody, ona nie udaje się w prośby do wrogów, choć Derwid wisi na hańbiącym drzewie, choć Polelum, by wybawić brata, ma wykonać znany rzut toporem. Tylko poezya żali się nad ofiarami gwałtu, tylko harfiarze biadają nad losem niewolników, tylko ich harfy, jakby ożywione duchem Rozy, wzywają do zemsty, będącej jakby echem pieśni mickiewiczowskiego Konrada. I zjawia się taki wódz o dwóch głowach, sercach i oczach, który walczy jedną bronią, jak teraz Słowacki i Krasiński, a wroga przejmuje strach zabobonny i złowrogi. Zdaje się, że nawet święty Gwalbert zdobył się na odwagę pójścia na dwór Lecha, by pocieszyć zapewne dręczzonego Derwida, a może wyrzucić Lechowi jego okrucieństwa. Wbrew oczekiwaniu, nie ciska mu ich jednak w oczy, wdaje się tylko w rozmowę ze Ślazem i pokrywa się śmiesznością, która nie była nieumyślną, ale obmyślaną zrećźnie i rozmyślnie. A harfiarska pieśń staje się tylko podnioslejszą i żywszą, bo z chwilą, gdy ona ści-

chnie, krew walczących oziębnie bez ratunku. Czy z taką pieśnią można być zwyciężonym? Czy można uleść, gdy się ma Rozę nieugiętą w swej nienawiści i wytrwałą w swym patryotyzmie, ale nie znajdującą serca w Wenedach, którzy nietknięci żelazem, upadają jednak na duchu. Ironia, towarzysząca wędrowcowi na grobie Agamemnona, wciela się tu w postać wieszczki, ale nie tylko ironia, ale i cała płomiennosc i namiętnosc uczucia narodowego bez pozy i szyderstwa dawnych lat. Roza wyprowadza na walkę podwójnego wodza, poezya daje narodowi dwóch wieszczów, którzy przemogą srogość przeznaczenia. Czemu jednak święty Gwalbert błogosławi na drogę Lecha? Czy tak dalece zamarło w nim sumienie, że brał stronę silniejszych? Czy rola jego ma się ograniczyć do grzebania trupów po chrześcijańsku? Czy konającą sprawę może ocalić tylko harfa Derwida, której zabrakło? Nie, Roza wiedząca wszystko, sprowadziła wszystkich na pewną śmierć, Roza chciała, by wszyscy polegli snem leonidasowym. Wódz podwójny ginie na stosie, wyzywając do walki pioruny w chwili, gdy wróg przyniósł niewolnikom życie, a święty Gwalbert wiare. I tu zaznaczyć wypada, że chateaubriandowy pomysł podwójnego wodza, sam w sobie poetyczny istotnie, symbolizował łączność obu genialnych poetów, ale był symbolem naciągniętym, był objawem wdzięczności Słowackiego dla Krasińskiego, ale doczepionym niejako, ale nie sięgającym w głąb utworu. Czy Lelum i Polelum przypominają bowiem w czemkolwiek obu poetów? Nie, oni mają pozory i kształty mityczne, jak i walka Lechitów z Wenedami, ale nie wyrażają niczego. Jeżeli jest pokrewieństwo własnej sprawy poety ze sprawą Wenedów, to wypada ono czysto przypadkowo i poeta, tak zawsze szczerzy w wyznaniach listowych, z pewnością zaznaczyłby je z naciskiem. Niema dowodu, by Słowacki sprawę umierającego narodu wiązał z własną sprawą, która żyła przeciw i weszła w nową fazę rozwoju. Niema też dowodu na to, że moralną przewagę odnoszą Wenedzi, a zjawienie nadziejskie nad stosem bohaterów ma tylko rzucić nieco światła na tę ponurą scenę. Przecież ani Wenedzi, ani Lechici nie znają religii chrześcijańskiej, gdy bohaterowie Krasińskiego rozumieją znacznie krzyża i nie obca jest im chrześcijańska moralność.

To zjawienie jest tylko efektem bez znaczenia, właściwym efektem tej sceny jest tylko Roza, którą zapłodnią popioły rycerzy, zgasłych w ostatnim boju narodów i która pomści wszystkich. Duma i godności narodowej jest ona strażniczką po ostatnim pogromie, jak organem otwartym tej dumy i godności pozostała poezya emigracyjna. Zakochany w Dantem, poeta nie mógł nie

zawrzeć symbolu w tej postaci, która góruje nad celtycką druidką, Velledą. Niema wątpliwości, że reminiscencye były, ale Roza nie dopuszcza się ohydneho mordu na starcu swego plemienia, by uczynić z niego ofiarę bogowi, Roza nie daje do siebie przystępu żadnym uczuciom ludzkim i broni przed rozpaczą swój lud, Roza nie trawi się miłością dla Rzymianina i nie myśli dla niego popełnić samobójstwa w falach morza bretońskiego. Bohaterka Chateaubrianda jest bladą, bezkrwistą, uroczystą istotą w duchu sztuki ówczesnej i psychologii ogółu kobiet francuskiego poety. Roza ma męskość, siłę, patos tragiczny i niezrównany. Miłość druidki Velledy dla Rzymianina Eudore, to sielanka na tle epickiem; tu milczy miłość a przemawia bohaterstwo skończone i potężne. Miłość Velledy do Eudore, to tylko scena nieszczęśliwej miłości romantyków na tle kataklizmu żywiołów przyrody, scena nieco deklamacyjna, chłodna, egzaltowana, nudna, gdy tu jest w grze pierwiastek bohaterski, obcy wszelkiej słabości i anhellizmowi. Co najwyżej, znać tutaj smutek ciężki i przytłaczający, zwyczajny zresztą u Słowackiego, który jednak nie miał siebie na myśli, wchłonął w siebie całą nędzę i rozpacz narodową, był wywołany srogością reakcyi, nie oszczędzającej nawet najbliższych poecie. Owo zjawienie było może w tym smutku wyrazem religijnych uczuć poety, które kładły balsam na jego patryotyczny ból. Ale ten ból stworzył obraz tak głęboki nastrojem, tak przejmujący treścią, tak szarpiający do dna, tak bajecznie cudowny i tęczowy, prosty i odczuty, jak florenckie freski Giotta, a wzniosły bez wysiłku i pełen niezwykłego czaru, jak kreacye Rafaelowe. O tem dziele można powtórzyć słowa poety, że mówiło po prostu, a z krzykiem, a zarazem nakazywało poezyi, by wlewała w pierś narodu kojące dźwięki nadziei i otuchy:

Uciszcie wy rękami rozplakane lutnie,
 Brońcie, by między ludzi ta pieśń nie wybiegła,
 Brońcie, by grobu dusza ludu nie spostrzegła...

III.

Wzmaganie się mistycyzmu. Zetknięcie z towianizmem.

„Smutna jestem, ale temu los winien nie ludzie—pisał 1 lutego 1840 r.—jestem jednak mniej teraz smutna, niż dawniej, i rozsądek bierze górę nad marzeniami, a byle tylko nowe na mnie nie

uderzyło nieszczęście, będę wdzięczną Bogu za mój los, zsumowawszy wszystko złe i dobre.“ Znaczy to, że uspokojenie następowowało w nim zupełne, że tworzenie pochłaniało go odtąd po nieco jałowych czasach florenckich, że w mózgu jego roilo się od obrazów, będących odbiciem i przetworzeniem rzeczy widzianych. Wzrastała w nim równocześnie skłonność do marzeń, na co wskazywały pojawiające się często sny symboliczne, sny nie bez wpływu na usposobienie i nastroj codzienny. Dotyczyły one osób znanych w młodości, dotyczyły różnych wydarzeń przeszłych, miały jakąś słodycz i naiwność w sobie, wychodziły z duszy pogrążonej w zadumie mistycznej, przenikniętej kultem dla myśli i dążącej do formuły tej myśli, wyraźnej i stanowczej. Nie oddzielał się od świata, nie żył w czystej myśli, lekcewał jałowy dyletantyzm, wirtuozyę, grę słów; prawdziwa poezya miała, wedle niego, objąć ziemię i niebo, sprawy ludzkie i boskie. Nie wykluczają one własnej indywidualności, ale poeta winien być, jak Dante, prawdziwym wodzem ludu; sceną jego działania jest społeczność ludzka, której winien oddać talent na usługi, nieść ją w błękity, utrzymywać w czci dla rzeczy wielkich i pięknych. Tak należy rozumieć to, co odpowiada w obronie własnej marnym krytykom tych lat, podniosłość poglądów, którą prznosił na wszystko, czyniła go jednak mniej obserwatorem a więcej utopistą i fantastą. Obdarzony uczuciowością nadzwyczajną, drżał cały przy najmniejszym wzruszeniu i był jakby delikatna roślina na skale, szarpana wichrem i sieczona deszczami niechęci i ironii tych, którzy mu nie dorosli do kolan. Szukał oczyma życzliwości, jak roślina słońca, a znajdował szczęścia najwięcej w tworzeniu, zdudzeniu, widzeniu. Pod pozorami szyderstwa odrodzony Anelli krył skarby czułości i uniesienia, a jeżeli ich nie pokazywał światu, to przez obawę profanacyi, przez obawę odkrycia się, przez szacunek dla siebie zapomnianego i na ustroniu. Godził się z tym losem i wierzył w wyzwolenie po przebyciu pustyni próby, był dumnie spokojnym i dalekim od czczości i zniechęcenia, co wskazywało na wzmożenie się religijności i rozmyślań dalekich od rzeczy ziemskich.

I wtedy znów kobieta weszła w jego życie, a na pierwszy rzut oka trudno nawet zrozumieć, jak poeta-mystyk, tracący związek z rzeczywistością, przerzucał się do nastroju wręcz przeciwnego dotychczasowemu. Zapały i szały miłosne, jęki i żale, krzyki duszy żądnej uczucia i ciała spragnionego zaspokojenia, to była rzecz niezwykła u tego, który żył całym marzeniem i pojmował miłość najidealniej z poetów. Namiętność przybierała w nim formę gwałtowną odrazu, to też Słowacki był zawsze krańcowym i na-

miętym niesłychanie. A ta kobieta, która go przywiązała na chwilę do siebie, miała pewne piętno moralnych cierpień na sobie, miała posagowość kształtów, miała niewątpliwie, wedle zdania poety, odbłask wiecznej piękności, do której miłość ziemską pierwszym jest stopniem. Wydała mu się pewnie Beatrice świetlaną i uroczystą, widział w niej tajemnice duchowe i wieczne pod formami cielesnymi, które budziły zmysłowe pragnienia. I zapal dla niej przybierał kształt kultu religijnego, listy miały zakrój modlitwy, stosunek był jakby tajnem misteryum. Zjawiała mu się w mroczny ranek listopadowy, jak widziadło i olśniła samotnika odrazu. „Widzę blask złoty straszego słońca i twarz Pani oświeconą, i oczy i usta w pół otwarte, strój nawet Pani jakiś ciemny, obszerny, w złote łaniający się fałdy, i pytam się, jaki to żurnal poradził Pani krój i kolor tej sukni, w której mi się Pani pokazałaś w Paryżu—pisał w pięć lat potem.—Tak ubierała się matka Grachów, ostatnia po prorokiniach dawnej Judei, a po matce Grachów już nikt przez dwadzieścia wieków płaszcz z błyskawicy wschodniej nie wdziewał, aby ukryć smutek i twarz zachmurzoną ozłocić.“ Ekstaza była więc zupełną, ale namiętność była w poecie czemś nienormalnem w jego życiu. Nie nie zmaćiło dotąd tak spokoju duszy wychodzącej z ciała i po słupie światła księżycowego wracającej do ojczyzny, białej i poważnej, w smutku, ulegającej nagle słabości zmysłów bez oporu. Czy ten epizod zmienił się jednak w wewnętrzną tragedję? Nie, zranił wszakże duszę, dawszy jej czas jakiś nieco zadowolenia i związku z życiem, by natchnąć potem najcudniejsze wiersze. Może przypominał sobie biblijną Daliłę i niewieście kłamstwo i zdradę, może i sam przypominał sobie, że dał z siebie stosunkowo mało i że była to tylko podniesiona forma egoizmu. A on, geniusz poetycki, chciał odnosić wszystko do samego siebie i może przekonał się potem, że był sam przyczyną nieszczęścia. Nadużył sam siebie, ofiarowując serce tej, która była tylko częścią odwiecznej piękności. Ale przez chwilę zdawało mu się, że niebo otwiera się przed nim, że nie ściągają go już nieżyczliwość i złe spojrzenia niechętnych, że aniołem mu ona i natchnieniem dobrej rady także. A wszystko to czyni dawna kochanka Krasińskiego przez litość siostrzaną, przez błękit własnej duszy, przez obłąkaną gwiazdę własnego losu, przez moc nad sercami, która poruszy harfę zamilkłą i zbawi na zawsze. Wśród wypadków życia realnego pozostał poeta, dla którego miłość nie była przecież już jedyną racją bytu, dla której nie wyrzekał się swej działalności, mimo której spełniał swą funkcję

poety słowa, uważając wkrótce epizod z Bobrową za rodzaj przelotnej podniety artystycznej.

Ale nie minął on bez walki z nią i sobą. O niej mówił tonem religijnym, kryjącym zmysłowość, idealizmem pokrywał tę miłość ziemską dla kobiety, której godność i pamięć przeszłości nie dozwoliły ustąpić.

Teraz mi wezglowiem

Jedno kobiece serce,

roił sobie w duszy i pragnienie szczęścia wzbierało w nim potężnie. Chciał go i nie miał więc zapalał się namiętnością prawie dziką i nieposkromioną, płonął i drżał w wątlm ciele, które wołało o zaspokojenie. Jest w tym romansie platonizm i zmysłowość, jak w romansach George Sand'a, gdzie pierwszy spiera się z drugą i gdzie druga nie odgrywa wcale podrzędnej roli. Że ona czuła dla niego przyjaźń, gdy widziała go smutnym i rozdrażnionym, niema wątpliwości. Wszak był słynnym poetą, miłym człowiekiem, szlachetnem sercem. Zawiązała się między nimi przyjaźń ciepła i poufna, w której pocieszali się wzajemnie, ale i rozstali, by znaleźć się, jak mówi poeta, na łonie Bożem i zniknąć, by znaleźć się w przyszłości. Nie tak prędko to przyszło. „Serce moje, długo zimne i ostygłe — pisał do matki na wiosnę r. 1841 — doznało teraz, że jeszcze może wiośnianem oddychać powietrzem, i charakter mój, zimny tak długo, zaczął mi znów figle płatać; szalałem, kochałem się latałem za marą szczęścia w różne strony, płakałem, śmiałem się, jak człowiek szczęśliwy, żyłem.“ Czy można wyobrazić sobie usposobienie więcej pogodne? Ona była spokojną i posagową, on cały kaprysem, nerwem, temperamentem prawie kobiecym. Był o nią zazdrosny, wpadał w rozdrażnienie, wzbierał namiętnością po brzegi i płakał zapewne, bo o tzy było mu nie trudno. Łączyła ich inteligencya, ale nie serce zapewne, smak i opinia zgadzały się pewnie, ale głębie dusz pozostawały utajonymi. W niej tkwiła pamięć dawnej miłości, w nim jego duma, ukochanie marzeń, niestałość, zajęcie raczej sobą i szukanie siebie w sercu innych. A że człowiek genialny podobny jest w miłości do zwykłego człowieka, więc i on począł niepokoić ją swą zmysłowością i drobnymi zabiegami, które miały przygotować jej oddanie się zupełne.

Czuł już podobno bicie jej serca, niepokój w oczach, spowodowany może więcej czytaniem jej dyalogiem między Beatryczą i Gianim, w tragedyi szkicowanej właśnie. Próbował wystąpić gwałtownie, ale spotkał się z oporem, był więc roztropnym, a wro-

dzona drażliwość i duma nie pozwalały na podobne próby ponownie. „Jam był przyszedł do tego stanu—pisał później do matki—żem zerwał wszelki związek z duchem piękności, lat temu pięć nazad, w jednej chwili, stojąc w ogrodzie frankfurckim, otoczony mnóstwem kwiatów, wśród brzoź i drzewek, nagle uczułem się martwy, jakby martwą naturą otoczony... te brzozy, które mi dawniej na Podolu tak dziwne rzeczy szeptały, stały przedemną, jak obce figury, myśl zimna poleciała po ich gałązkach, niebo i ziemia zatrwożyły mię, nic nie mówiąc do mnie... Ta chwila była jedną z najstraszniejszych w życiu... ale mię zaraz Pan Bóg obudził—albowiem tego wieczoru wicher taki wyjący powstał i tak przeraźliwie zaczął przewiewać przez okna czarne eleganckiego, w którym byłem, salonu, że mi nigdy dawniej nie doznane uczucie strachu włosy podniosło na głowie i przez to wstrząśnienie obudzona była moja sympatyczna natura duchowa.“ Straszna choroba duszy, która mogła być następstwem podobnej miłości, bo i miłość była tylko złudzeniem, grą wyobraźni, fantasmagoryą świetną, ale bez rzeczywistości. Ona była zapewne odporną i pełną rezerwy, on czułym i skłonny do wynurzeń, ale bez określonego przedmiotu kochania. On lubi kochać, ale o oddaniu się jej na wieczność pewnie nie myśli, o sobie nie zapomina, rzecz całą traktuje sarkastycznie. Jego uczuciowość nadto mało była pochłonięta tą sprawą, nadto mało zwrócona do jednej osoby, wyobraźnia głównie wytworzyła następnie z przyjaznego stosunku romans i tragedję. Czemu jednak pędził za nią do Frankfurtu, czemu odbiegł drukującego się *Beniowskiego*? Ta przyjaźń odjęła mu przecież pewną czczość życia, dała mu kawał tego życia, zbliżyła go do prawdy i rzeczywistości. Może dlatego nazywał tę przyjaźń miłością, która, jak mówi Pietro, w jego dramacie rzymskim:

Z przeciwieństw często jedność dziwną tworzy,
 Jak ona dziwna platońska istota,
 Androgynsem nazwana...

Ale Pamfilus w dramacie o Beniowskim, szkicowanym wtedy, nazywa bohatera szalonym Orlandem, który przez miłość ma być powrócony czystym władzom duszy. Czy to może ironia wiecznie towarzysząca mu i mająca wybuchnąć w całym blasku w drukowanym właśnie poemacie? Zapewne. To ironia człowieka młodego, zawsze krańcowego w uczuciach, pełnego czułości, szlachetności, ambicyi, gniewu, zapału dla piękna, zmysłowości nawet, zajęcie sobą i pożądanie kochania siebie i innych. A na dnie tych

skłonności widniał smutek wdzięczny i poważny, smutek czujący potrzebę silnej podpory w przyjaźni niepospolitej kobiety, smutek szukający jakichś idei, które napełniłyby próżnię serca i inteligencji.

Tajemnicą czaru poety była właśnie jego osobowość swobodna i naiwna, był akcent własnej drażliwości i niepokoju, była nuta melancholii i rozplakania, która śpiewała dla siebie i o sobie. On jej smutek odczuwa doskonale, gdy mówi pod postacią Beniowskiego dramatu, że turkus jej oczu wiódł go w boju i karmił uśmiechem, choć nie uchodził jego spostrzegawczego oka i leżał na czole kochanki,

...jak błękitno-złota

Chmurka na niebie...

Od niej rozplomieniał się dom jego ducha, jak alabastru słoneczna bryła, ale i drżał przed tą miłością, skoro ironista Pamphilus radził mu zakochać się raczej

...w marach, co błyszczą,

Takie miłości żywota nie niszczą.

Mówi szczerze, pisze szczerze, tak, że czujemy go w tym romansie ludzkim i naturalnym. Werwa swobodna, którą widzimy następnie w poezji, jest echem usposobienia tych czasów, werwa pamiętna żartami i ukłuciami, werwa tryskająca szyderstwem i dowcipem pierwszorzędnym. Czujemy się oczarowani, zdumieni, olśnieni szyderstwem, którego próbki rzucał już poeta w czasie podróży na Wschód, a którą łączył z obrazowością najwdzięczniejszą i trudną do okiełzania, obrazowością, przerywaną dygresjami lirycznymi, obrazowością, zwijającą się w kapryśne sploty i świecąca blaskami bez liczby, barwami bez ceny. W dziwny kraj wprowadzał nas poeta-mystyk, który na chwilę chciał zabawić się w donżuana, ale przypomniał sobie, jak prawdziwy panteista, że tylko Bóg jest bezwzględna pięknnością pożądaną przez wszystkich, że ten Bóg wszystko obejmujący, tajemniczy, kochający, godny jest większej miłości, niż marna, znikoma, cielesna forma kobieca, z którą spotka się zresztą na łonie wszechpiękności. Dla tego zaświatowego istnienia wyrabiał w sobie zmysł równy chyba Novalisowi, w naturze widział odbłask boskości, w każdym jej objawie cząstkę nieskończonego Boga. Nie wątpił, że ciała są z ducha, bo był dzieckiem idei czasu, nie wątpił, że wszystko na ziemi jest symbolem nieba, wierzył, że najwyższem objawieniem bytu na ziemi jest poeta geniusz, arcydzieło uduchowionej ludzkości. Abso-

lut objawia się w świecie, jako dzieło sztuki, czynnością człowieka uduchowionego jest moment twórczy, wszystko jest poematem, w którym wieczna piękność i harmonia się wyrażają. I piękność tworzył też Słowacki, który, jak jego bohater podolski, wyjeżdżał na boje z krytykami i antagonistami.

Zwracając się najchętniej do przeszłości i uważając młodość za najpiękniejszy z krajów, odwracał się również chętnie od tego, co go otaczało i snuł wątek poematu z dziejów Barszczan. To odsuwało go od bagna współczesności emigracyjnej, tu usprawiedliwiał się ze swego smutku, który wypłynął częścią z młodości i przejść osobistych, częścią z ogólnego smutku narodu w kajdanach. Że występował przeciw Rzymowi, nic dziwnego, skoro od lat kilku pozostawał pod wpływem Lamennais'go i George Sand'a i widział w teoryach wolności i równości daleki owoc Ewangelii. Chciał być poetą i ludem, chciał wzbudzić sobie żar miłosny dla tych tłumów bezimiennych, które stworzyły przeszłość i od których zawisa przyszłość. Skłonny, jak w ogóle romantycy, do marzeń o ludzie i poezji ludowej, miał gorącą duszę mistyka, który rozumiał głęboki demokratyczny charakter nauki chrześcijańskiej i chciał ją mieć wcieloną w ustroju politycznym. Więc czynił się z niego zawzięty demokrat, który wyklinał królów w chrystusowym poemacie, teraz Rzym, jaką podporę reakcyi i stawiał nad wszystkim, jak Michelet, świętą figurę ludu szlachetnego i uciśnionego, wielkiego i czystego, nieogarnionego i tajemniczego, jak wszechświat, jak natura, jak Bóg. Mistycy bywali zwykle rewolucjonistami, a że jego treścią były w istocie czułość, zapal, entuzjazm, więc nie mógł nie iść za hasłem czasu i stawał się zwolna cały miłością, która lubi się rozlewać i wyrażać najobficiej. Ogarniała go litość dla wydziedziczonych i upośledzonych, których pragnął podnieść i uduchowić słowem poety. Nie sądził zaś, że życie jest tylko walką naturalną i fatalną ślepych sił, ale dążeniem wszystkiego do najwyższego celu, w którym każda jednostka ma znaczenie. Już jadąc na Wschód, zaznaczał otuchę w demokratyczną przyszłość Europy i nadejście gwarancyi przeciw reakcyi i krzywdom, gdy mówił, iż wierzy,

... że idą ludy, jako chmura
 Pelna błyskawic, na trony zachwiane,
 Wierzę, że nawet królewska purpura
 Pruchmieje w trumnach...

W tę wiarę wchodziła, prócz uczuciowości, także wyobraźnia, albowiem mistyk, jak zaznacza Faguet, kocha tem bardziej, im

bardziej widzi wszystko przez pryzmat marzenia, kocha marzenie także.

Całe dzieje przedstawiały mu się jak ogromny poemat epicki, gdzie wszystko było określone i rozwijało się zgodnie z najwyższą ideą. Wiara i artyzm szły u niego razem, dzieje świata zdążyły, wedle jego myśli, do demokracji, bo wszystko dąży do uduchowienia, wszystko kupi się koło jednej myśli, ludzkość jest jednym wielkim organizmem, rozwój jest prawem wszytkiego, udoskonalenie urzeczywistnieniem królestwa Bożego. A że Rzym potępił demokratyczne dążenia Lamennais'go, więc na niego padają gromy poety, podobne do tych, które czytano w *Paroles d'un croyant*. Kto nie jest trupem lub padalcem, idzie z ludem i stroni od bagna, jak poeta modlący się o lepszą przyszłość dla ludu już na grobie Syna Bożego:

Czołem bijący w marmur Chrystusowy,
Kiedym się skarżył na klątwy i zdrady,
Tom się i o ten kielich krwi octowy
Upomniał—i grób zaparł się, że gady
Z niego nie wyszły...

Anhelli miał być niejako ofiarą w sprawie tego ludu, teraz stawał się nią poeta gotów do walki, jak Beniowski, i gorączkowego pełen animuszu. Jego indywidualizm nie roztopiał się jednak w tej doktrynie, dbał o niego, jako o wyższe zjawisko rozwoju, jako o geniusz o nieograniczonej zdolności pojmowania i ludzkość w zmniejszeniu. Artysta ma sam w sobie środek świata, rodzi swe mary z serca i głowy, z wiedzy przyszłości i natchnienia, rodzi je wierszem, który nagina się pod ręką czarodzieja, lśni jak mozaika, śpiewa, jak słowiki. W nadziemski kraj wiedzie poeta, pod lazury wyobraźni, przetkane obłokami ironii, a naturalność, wdzięk, dowcip, fantazyjność nie miały w tym rodzaju nic równego w poezji polskiej. Zjednoczyły się przedziwnie i dziwiły tem bardziej, że z tych kryształowych przezroczy, z tych barwnych obłoków błyskały skry gwałtowne, strzelały gromy mocne, wylały burza przedrzeźnień i sarkazmu. Mimo to treść była wyrafinowaną, środki zdumiewały delikatnością, urozmaiconą, dowcipną, swobodną rozmowa wierszem była czemś jedynem dotąd u nas. Cały język najgiętszy i najbardziej rewolucyjny, jak treść poematu, był jakby cudem, girlandą obrazów, przekładem wrażeń, a nie figurą stylową. Duch poety napełniały wrażenia żywe, prawdziwe, dobrane, wzmocnione i powiększone wewnętrzną potęgą artyzmu pewnego i tworzącego wielką sztukę. Wszelkie myśli

przybrały kontury i barwy, poglądy oderwane stawały się wrażeniami zmysłowemi, obrazami plastycznymi. Nagromadziło się ich tyle, że cały poemat stał się kaskadą obrazów, rzeką obrazów-mysli, której ruchy i kierunek określał sam mistrz, wyśpiewujący oktawy na cześć tego misteryum poetyckiego:

Ktoś to powiedział, że gdyby me słowa
Mogły stać się nagle indywiduami;
Gdyby Ojczyzną był język i mowa,
Posągby mój stał, stworzony głoskami,
Z napisem *patri patriae*...

I dytyramb na swą chwałę nie był więcej zasłużonym i usprawiedliwionym, jak w tej właśnie chwili.

Serdeczną pogodą opływała dusza poety, otaczało go marzenie, jak nurka toń, pod tęczową kopułą poezji było mu tak swojsko, jak ptakowi w przestworzach. Tu był kapłanem i mistrzem i, gdy rzeczywistość przychodziła wstrząsnąć ten gmach marzeń, rwało się wszystko i poeta wpadał w zwykły smutek i melancholię. Obracał się w świecie marzeń swobodniej, niż w rzeczywistym i gdy on się rozwiewał, wpadał w ton sarkastyczny i bryzgał szyderstwem częściej może, niż gryzł sercem. Drwił z tych, którzy wątpili, czy kochał się w istocie, drogą swego życia nazywał poezję i nie mylił się w tem zupełnie. Świat był dla niego za brutalny i płaski, to, co wyrzucał z piersi, napełnionej uczuciami, z głowy, śniącej dziwy najbardziej magiczne, nazywano rzeczą niezrozumiałą, temu odmawiano nazwy poezji, to mianowano kościołem bez Boga. Więc nie pesymizm dawny zrywał się w poecie, odzywała się tylko gorycz genialnego człowieka, którego pieśni miały bez echa. A przecież był on obrazem idei wieku, był ogniwem łańcucha idei, które tworzą wewnętrzne dzieje ducha ludzkiego. Nie przeklinał, bo to byłoby objawem słabości i zaprzeczeniem miłości, jedną próżnością więcej, ale skarżył się dumnie i wzniosłe. Widział siebie odosobnionego i, gdy szyderstwa miał za wiele, poczynał się skarżyć bardziej po męsku i dojrzałej, niż Anhelli, a z godnością, która świadczyła o istotnem udoskonaleniu i wyanieleniu tej duszy mistyka, który objawić miał tajemnice bytu, jako Novalis w symbolicznej bajce mistycznego dramatu, bajce wieszczącej powrót wszystkiego na łono wszechbytu. Srebrny anioł duszy oczyszczał się wtedy z ziemskich słabości i pod wymalowaną, jasną, księżycową kopułą poezji snuł wątek najbardziej kunsztowny z dotychczasowych. W locie ku nieskończoności wiódł za sobą chimeryczne krajobrazy, miękkie przymglenia, przy-

ćmione blaski, nieuchwytnie odcienia, jak orszak fantastyczny, na którego czele wlatywał sam w nastroju pogodnym, w natchnieniu świeżem, w tonie wesołym, bez goryczy i żalu. Jego świat był całkiem idealny, zależał zupełnie od niego, niknął, gdy chciał, zjawiał się, gdy pragnął, wszystko było prawdopodobnem w tym świecie zawieszonym między niebem a ziemią, a ruchomym, jak figury teatru maryonetek.

„Cierpliwy, spokojny i smutny—pisał w jesieni 1841 r.—przeżyłem nudne chwile życia; teraz z uśmiechem patrzę na to, co minęło...” Oddał się cały swemu powołaniu i było mu z niem dobrze; ledwo skończoną miłość uważał już za sen smutny, ale wyrrywający go z odrętwienia, które odbić się mogło źle na tworzeniu. Uleczenie przyszło prędko, z burzy zmysłów wyszedł zmęczony i uspokojony, poczynął nawet opowiadać o sobie cudowne historie, podobnie jak to czynił w młodości, nasycił swe kaprysy wyobraźni, bawił się sam i upajał opowiadaniem, rzucając je w całej żywości i barwności, ledwo ukształcone a czasem niedokształcone. Pociągnął za sznurek magiczny i jego ulubiony bohater jechał dalej, bohater najszczególniejszy i najosobliwszy, a jego twórca improwizował bez końca, szczęśliwy łatwym szczęściem, mieszając rysy realne z bajką, ironizujący i fantazyujący na przemiany w sposób, który przenika i pociąga bezwiednie. Nie lękał się popolitości, jak dawniej, chciał tą popolitością zamknąć usta niewierzącym na prawdę w jego poezję, chciał dać całą duszę sprawie, której poświęcał się dawniej połowicznie a rymem kasać czasem po dantejsku tych, którzy mu byli niemili. Ten rym ulegał mu bez oporu, obrazy powstawały same, łączyły się bez wysiłku, jak się to zdarza tylko u artystów genialnych. Nigdy bardziej poezya nie wydawała się w nim funkcją życia, nigdy mniej tworem bez pracy i woli. Artysta z natury szedł za natchnieniem, które wynika, wedle zdania jego, z łona wszechpięknosci

I płynie, jako szalone okręty,
Z fal odrzucany do niebios błękitów,
Gdzie mu *początek był i koniec będzie*,
Gdy śmierć na żaglach okrętu usiedzie.

Poezja była duszą jego życia, więc, gdy to życie zagaśnie, wróci skąd przysła; jest ona i być musi oczywiście pełną tajemniczego znaczenia i związku z tem, co niewidzialne i niematerialne. Transcendentalność jest jej czynnikiem głównym, wypływa ona z najciemniejszej głębi ducha, który studjami filozoficznymi ubogacił się niezwykle i rozszerzył zarazem, nim poznał się z to-

wianizmem. Kto wytknie sobie drogę prostą, może do słońca zalecieć, mówi ksiądz Marek, co czuł chyba i sam poeta; sercu zadał śmierć i uleczoney przez trucizn użycie, ożył na nowo z sercem Anhellego bardziej męskiem i dojrzałem, niż dawniej. W odrodzonym sercu rozżarzyła się miłość Boga płomiennie, rozpałała się i miłość kraju, a obie były nie tylko efektem, ale i skłonnością artystyczną. Wszzechboskość jest nie tylko bowiem miłością, ale i pięknem, z którego bytem i stawaniem się czuje się on w ściślejszej łączności, widzi je koło siebie, wyczuwa. Pojęcie piękna łączy się u niego ściśle z pojęciem boskości i jego Bóg jest wszędzie w tem, co najzrozumialsze, najbliższe, najwięcej dotykalne, jak błękitne niebo ukraińskie, wielki stęp z mogił girlandą, przestrach natury, Golgota, ruiny, uczucie młodości, nawet stokrocie i niezapominki. Jego Bóg jest też Bogiem nie tylko pospolitego tłumu, ale i tych, których Schelling chce widzieć obciążonymi przeszłością i teraźniejszością, noszącymi też w łonie przyszłość, czyli zmysł dla nieznanego.

Ten mikrokosm świata, ten wieszcz kryjący w sobie to, co zmysłowe i nadzmysłowe, ma za sobą lud, który pójdzie własną drogą, nie da się zwabić na lep hasel słowiańskich, które zniszczyłyby jego odrębność, ani pokus Rzymu, który jako przodownika reakcyi potępił Lamennais. Chrześcijański demokrata Słowacki, zwracał się teraz cały ku przyszłości, która wydawała mu się, jak tantomu, promienną i świetną i gdy niegdyś stronił od religijności i demokratyzmu Lamennais'go i jego zwolenników, teraz, gdy ten ostatni zrywał z Rzymem, łączył się z nim do walki z prądami, które wydały mu się zgubne, chciał stać się poetą demokratycznym i ludowym. Polskość była w nim dumną, jak on sam; przyszłość tej polskości łączył ściśle z teoryami mistycznymi, które poczęły w nim rozwijać się ostatecznie. A jednocześnie załatwiał rachunek osobisty z Mickiewiczem, który, jak dowiódł świetnie prof. Tretiak, nie byłby wszedł wcale do zakończenia piątej pieśni poematu, gdyby nie ów artykuł o improwizatorach niedowarzonego krytyka paryskiego¹⁾. Psuje on nam głębokie wrażenie, towarzyszące czytaniu poematu, wrażenie, które zdaje się udzielać wszystkim zmysłom, przenikać przez wszystkie pory, jak przyroda sama, lazur nieba, woń łąk, barwy kwiatów i obłoków. Ale tłómaczymy go nerwowością poety, skłonnego do wybuchów, które przemijały prędko i gasły bez śladu. Nie wdawajmy się zbyt głęboko w analizę jego ówczesnego creda politycznego, nie rozbierajmy całego

¹⁾ *Józef Tretiak: Juliusz Słowacki*. T. I, w Krakowie, 1904, str. 237.

stosunku nieco przykrego między nim a Mickiewiczem; jego dusza artysty dotykała wszystkich rzeczy naiwnie i szczerze, jego uczuciowość i dumne przekonanie o swej wielkości raziło to, co w przeciwniku było zawziętym litewskim uporem i poczuciem wyższości wobec młodszego i mało zrównoważonego współzawodnika. Więcej obchodzić nas winien ten zdumiewający czar, który nadawać on umiał wszystkiemu, czego dotknął, a więc naturze, przeszłości, polityce, własnym przejściom, które pozbywają się dawnych póż i teatralności, które wyrażają się harmonijnie i dyskretnie. Nie przypominał teraz nikogo, szedł prostą drogą syntezy, uczuwał potrzebę wielbienia Boga w jego dziełach. W tym kierunku stwarzał rzecz przedziwną. Odczuwał Boga w przyrodzie, brakło mu tylko systemu, kanonu, creda filozoficznego. Był chrześcijaninem, wierzącym w Boga osobistego, ale i koncepcya panteistyczna, mieszająca Boga ze stworzeniem i zbliżająca Boga do rzeczy, nie przestawała zaprzętać jego umysłu artysty. A i człowieka uważał pewnie za Boga spadłego z niebios; taka istota niebieska żyje czas jakiś wśród świata ziemskiego, cierpi nędze ziemskie, jest skazaną umrzeć i ożyć kilka razy w biegu wieków, by wrócić przez własny wysiłek do pierwotnej czystości i anielskości. I on sam musi się uważać za takiego anioła, który przez cierpienie i odrywanie się od zmysłowości wznosi się ku górze, odnawia się w tem, co jest boskiego w nim, odtwarza w sobie niebo i wraca do światła, na łono wszechboskości, przez cierpienia i ofiary. Taki pogląd zdaje się wydobywać z rozproszonych tu i owdzie aluzyj i wzmianek, gdy jednocześnie ton staje się zwolna bardziej łagodny, elegijny, miękki, a poemat snuje się dalej prawie bez satyry, żółci, ironii.

Może to wpływ Krasińskiego, wzywającego przyjaciela do ukorzenia swej dumy, może przekonanie, że w tej dumie zaszedł za daleko i że nie odpowiada ona anhellicznej miłości ludzi i wyanieleniu duszy. Dalszy wątek poematu potoczył się pasmem spokojniejszym. Wyrzucał sobie pewnie, że dał się unieść zbyt niechęć do ludzi i przypominał, że i na nim ciążyły grzechy, które miała zmyć służba sprawie i zapomnienie siebie:

Bo serce twoje potępiane, próżne,
Straszne, jak księżyc pod myślową chmurą,
Ale bez związku z ludźmi i naturą.

Nie umiał w tworzeniu zachować ciągłości, nie zachęcano go też do dalszej pracy, dalsze pieśni miały jednak tę potęgę słowa, którą jaśniały pierwsze. Kozak Sawa nie ustępował Beniowskie-

mu, jak giętkość, miękkość, śpiewność strofy olśniewały zawsze, jak obrazy nie były kopiami rzeczywistości, ale jakby lekkimi alluzjami umysłu, który unosi się nad naturą, jak Lamartine. Pograżony w sobie samym, w duchowości, w marzeniach mistycznych starał się uczynić wszystko lekkim, lotnym, przejrzystym, nieuchwytnym, niematerialnym. Kontury rozwiewały się w fantastyczne zarysy, obrazy rozpraszały się przed ukształtowaniem, jakaś halucynacja dawała pojęciom oderwanym kształty zmysłowe, choć nieokreślone i zmienne. A jednocześnie treść przybierała charakter objawienia, które wyszło ze stosunku z światem niewidzialnym:

W północy—stają mi włosy na głowie,
I zadziwiony słucham—i to słyszę,
Co muszą boscy słyszeć aniołowie—
 Jaką okropność przyszłą, co kołysze
Światem... i miastom zapala na głowie
 Straszne korony... Czujcie (ja wam piszę
Z ciemnego duchów świata list przestrogi)
 Ludy, bo wkrótce będziecie, jak Bogi.

Czuł wyraźnie ruch tych mas, które miały przyjść do rządów światem, swą wyobraźnię przestraszał na nutę narodową, gdyż czysty artyzm stawał się igraszką bez wartości, zapatrywaniem się w przeszłość, leczył rany teraźniejszości i nie tworzył, jak mistyk w duchu Saint Martina, lecz przypominał. Chciał zmartwychwstania skrzydlatych husarzy, wskrzeszenia zmarłych bohaterów, wojska bohaterów na bój leonidasowy, w którym szeregi wiódłby on, tworzący dzieło boskie, nieśmiertelne, będące wynikiem pierwiastku wypełniającego świat. On był tylko

Iskierką jego treści dotykana,
Ludzkiem filarem wspartą i widzialną.

Chciał dać teraz dzieło pełne głębi i majestatu, wzniosłe i groźne, patetyczne i pełne *terribilità* Michała Anioła, które jemu dałoby wielkość a ludzi wyanieliło i wykuło na miarę bohaterów.

Anhellego jadła zgryzota dla ojczyzny, która uratować jej nie mogła, mogły ją uratować nowa Salamina, nowy Bar, w którym udział ludu wydawał mu się niezbędnym. Wstawało w nim pragnienie czynu, im wyraźniej dostrzegał, że w około wre i burzy się, jak w części przynajmniej oddalonej ojczyzny gotuje się myśl wyzwolenia w związku z ruchem, ogarniającym masy. Wydał się sam sobie dzieckiem zepsutem, egoistą w gruncie zbyt

drażliwym na obrazy, nadto zmysłowym, hołdującym mussetowskiemu dandyzmowi do nadmiaru i malował się sam nieco w dramacie pełnym sarkazmu i szyderstwa niespodziewanego. Potrzebował zaś tylko paru wydarzeń, by stworzyć arcydzieło. Obok potężnej wyobraźni, głębokiej uczuciowości, skłonności do myślenia, które było raczej marzeniem, do myślenia obrazami, miał to, czego brakło Krasieńskiemu, to jest dowcip. Roznamiętniony dla piękna, umiał wydobyć utwór z silnego wzruszenia serca, powiększyć swe widzenie wyobraźnią, szydzić wytwornie i z dystynkcyą. Świeżość, smak, wdzięk bez szumności i sztuczności, odróżniały go często od przyjaciela; gdy malował siebie, czynił to z prostotą i wprawą taką, że przenikamy niejako do jego wnętrza, pieścimy się wizjami jego duszy, wyczuwamy akcent, który nie oszukuje i nie łudzi. Poeta nie jest w tej chwili dla nas, pisze i marzy dla siebie i o sobie. To dno jego sztuki, to treść temperamentu artysty, jakim w tym stopniu nie był nikt u nas:

... same jakieś światła

Chodzą po mojej głowie—jak u dzieci—
 Zielone, jasne, czerwone—jak na tła
 Żółte rzucone przez Wenecyanina
 Świętych postaci; różne jakieś tony,
 Z których ton każdy mi coś przypomina
 Smutnego, a ma niewytlómaczony
 Urok dla ducha...

Wspomnienia mają dla niego pewien dźwięk, barwę, woń. Słyszcy, widzi, czuje własne uczucie, jakby rzecz dotykalną i przystępną zmysłom. Szczegół nader cenny. Jego wrażliwość na wrażenie chromatyczne jest nadzwyczajną, a zamięłowanie do błękitu, żółtości, srebrzystości niesłychane. Długo pamięta wrażenia, które zostawiły mu mozaiki na tle złotem weneckie, obrazy Cimabuego i Fra Angelica, będące orgią tych kolorów na tle złotem, lubi wszędzie światło, które zatapia i przenika przedmioty. Im dalej w lata, tem więcej szuka poeta barw, w pojmowaniu dźwięku, barwy, woni uczucia objawia się subtelność jego artyzmu. Lekkość, nieokreśloność, płynność jego wyobraźni osiąga wtedy szczyt i łączy się z nastrojem dobrego tonu, z pewnem opuszczeniem, mającem granice, z wykwintną finezyą i lekką impertynencyą artysty i człowieka towarzystwa. Było mu dobrze we wszystkich regionach, ale najlepiej w najwyższym i średnim, gdzie czuł się swojsko i u siebie.

I dramat o Fantazym, to fantazyja wyszukana i delikatna, ironiczna i smętna, przeniknięta od czasu do czasu prądem uczucia głębokiego i poważnego. I tu jeszcze dowód, że jego miłość dla Bobrowej nie była poważna, skoro mógł wydrwiwać jej konterfekt Idalię, skoro stosunek do niej opowiadał jako lekką i miłą awanturę, skoro charakteryzował ją złośliwie, jako osobę

Któraby dała dziesięć lat życia
Za jaką scenę głośną i tragiczną.

Uważał się za szalonego, gdy pragnął jej posiadania, nie mógł przecież zaprzeczyć, że była mu ona natchnieniem czas jakiś, że uczucie dla niej było też źródłem sztuki. Czemu więc wyszydzał jej poglądy na miłość, jej cierpienie w samotności, jej ofiarę siostrzanego przywiązania, która mu dała nastrój swobodny i lekki w ostatnim poemacie, widoczny jeszcze w dramacie o Fantazym? Byłaby to zemsta za niespełnione pragnienia, jak fakt niewydania dramatu za życia objawem rzetelnej dyskrecyi? Przypuszczam, że tak było w istocie. Ale jednocześnie żałował swego kroku, skoro Fantazy w scenie na cmentarzu nazywa oczy Idalii źródłem świata, skoro wpada w ton mistyczny i wierzy, że w około niego powietrze

Ma w sobie duchy piękne i niezgodne,
Jak ja, wyrwane z ciała, dawno poczęte,
Pełne miłości jak ja, niewidziane,
A kształtem swoim świat rozpierające.

Duchy jego i Idalii zleją się po śmierci w jeden, a o czemś podobnem mówił i list do Bobrowej dość rozpaczliwy z tego właśnie czasu. Pocieszał się w nim poeta myślą, że kiedyś odnajdą się oboje w łonie Bożem, gdzie wszystko wróci do wszechjedności. Wszak zajmowały go te zagadnienia od dawna, gdy jeszcze ze Spitznaglem bawił się w okultyzm więcej zapewne z ciekawości, niż z chęci rozwiązania zagadek bytu. Istnienie Boga, świata, złego, duszy ludzkiej i jej stosunku do otoczenia, rozwiązywał dotąd zgodnie z teoryami młodości i idealistów niemieckich, które go dzielił z wiarą gorącą i entuzjastyczną. Teraz nabył tylko silniejszego przekonania, skoro zetknął się z człowiekiem, który niejasne wyobrażenia streścił w systemie, odpowiadającym jego nastrojowi najzupełniej, określającym wyraźniej to, co mówili Swedenborg i Saint Martin. Jak poglądy na pokrewieństwo uczuć, dźwięków, barw brał niewątpliwie od mistyków, tak i jego stosunki z ducha-

mi, zbliżyły go odrazu do tego, który, jak Lamennais, wieścił nową epokę ducha, nowe objawienie. Ten system wlewał mu w duszę chęć działania, odrywał od świeżych wspomnień i rozczarowań, był skałą, na której zatrzymał się wśród ruchomych fal i sprzecznych prądów myśli czasu. Okultyzm był w nim utajony, towianizm nie był czemś nagłym i nieoczekiwanem, ale stanowił zwycięstwo tego prądu, który był w nim od dawna. Sądził, jak wszyscy mistycy, że ma esencję religii, że idzie za apostołami tej religii, której ulegały nawet takie umysły, jak Schelling. Otwierała się droga do najśmielszych konstrukcyj, bo przecież wyobraźnię miał chyba najpotężniejszą z poetów naszych, a wyobraźnia ogłoszona była właśnie przez romantyzm narzędziem poznania. On, poeta w świecie, który wedle Schellinga, jest jednością budzącą się do świadomości w poezji, stawał się niejako najwyższą świadomością, gdy za radą Towiańskiego, miał ostatecznie dostroić ciało do ducha i wznieść się na skrzydłach duchowości w regiony dotąd nieosiągnięte.

I wtedy ogarnęło go takie uczucie radości, entuzjastyczne i szalone, że ostateczne wyanielenie tego czystego ducha, który otrząsł z siebie ziemski brud i słabości, dokonało się bez trudu:

Idea wiary nowa rozwinięta,
 W błysnieniu jednym zmartwychwstała we mnie,
 Cała, gotowa do czynu i święta,
 Więc niedaremnie! o! niedaremnie
 Snu śmiertelnego porzuciłem łoże,
 Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Jego małe i biedne serce zapragnęło pomieścić ludzi miliony, być dla nich zbroją i piorunem, ofiarować swe szczęście dla dobra drugich, a za to osiągnąć spokojność, moc, szczęście. Precz z umarłymi dla nowej wiary, droga ducha jest jedną i pokój ludziom miłującym ofiarność i poświęcenie. Oni zwyciężą i przetrwają wszystko, jak poeta, który modli się, jak kiedyś na grobie Chrystusowym, jak zapewne modlił się w wileńskim kościele w dniach szczęsnej młodości:

Z pokorą teraz padam na kolana,
 Abym wstał silnym Boga robotnikiem,
 Gdy wstanę—mój głos będzie głosem Pana,
 Mój krzyk—Ojczyzny całej będzie krzykiem,
 Mój duch—Aniołem, co wszystko przemoże.

I rzeczywiście, był odnowionym wtedy do głębi, z niebem w duszy, ze światłem w oczach, z sercem wzniesionem ku niedościgłym wyżynom, którego kochać będą mistycy, który poezję stwarza w sobie, jakby w stanie zachwycenia, którego się czyta w wieży z kości słoniowej i którego tłum nie pojmie zapewne nigdy.

IV.

Słowacki i Towiański. Krystalizowanie się doktryny.

Pożądanie boskiego, dreszcz nieskończoności, żądza czynu patriotycznego nigdy wyraźniej nie zaznaczyły się w poezji Słowackiego, jak teraz, gdy zbrojny w krystalizującą się doktrynę mistyczną, stawał do walki, od której dalekim był znużony przejściami młodości i pożerany bólem na widok bólów ogółu, Anelli. Jego ogólnikowa i panteistyczna religijność romantyka zamieniała się w coś określonego, w czem tkwiły pierwiastki chorobliwe, ale i niewypowiedziane czyste, co polegało na życiu z Bogiem, na łączeniu się z Bogiem w sposób ścisły i poufały, na ściąganiu niewyrazonego i nieobjętego na ziemię, nie na modłę poetów w rodzaju Baudelaire'a i idących za nim mistyków współczesnych, ale na modłę Pascala, w której drgają wspomnienia pierwszych modlitw, dyszą uniesienia wieków dzieciństwa, odzywa się dawna mała i czuła dusza która wzniosła się raz pierwszy nad ziemię w krzemienieckim dworku. Ta dusza żyła też teraz, choć dojrzała dawno i raz ujrawszy Boga, szukała zawsze tej wizji zniszczonej sceptycyzmem lat i cierpiała, aż znalazła ją na grobie Chrystusowym, a potem w długich rozmyślaniach mistycznych, potem w zeknięciu z Towiańskim. Żyła, czuła, kochała teraz to, co ogólne i bezbrzeżne, po za tem widziała tylko próżność i złudzenie, uciekała przed głuchym niepokojem, który trawił ją od lat dawnych i starała się uczynić białą, naiwną, zdolną wyrozumieć rzeczy na próżno odgadywane innymi sposobami, starała się wierzyć, jak dziecko i asceta, bezwzględnie i potężnie, szukać wrażeń rzadkich i znanych tylko mistykom.

I w tem było dużo zmysłowości artysty, w ekstazie były też rzeczy ziemskie, ale było i dążenie, zrazu drżące, potem pewniejsze i spokojne, biednej duszy, której dotąd nie uspokoić nie mogło i która nie umiała znaleźć połączenia bezpośredniego z tem, czego pożywała. Nie była to ekstaza przelotna, jak kiedyś w Je-

rozolimie, z której wyszedł pewnie złamany, smętny, z oczyma spalonymi łzami, ale trwała upojeniem, zwycięska zwycięstwem nad materią i nad sobą, pocieszona na wzór biblijnej Samarytan-ki nad brzegiem studni, z której szły ochłoda i ukojenie. W sercu poety rozlewała się świeżość dziwna, w duszy rozkwitała róża mistyczna pysznej woni i niezgłębionego czaru; wyobraźnia była gotową do wstąpienia w łódź prującą bezdenie w kierunku wyspy chimery, do której nie przybiją nigdy sceptycy i której nie posiadają też ludzie żyjący blisko ziemi i jej powabów. Jego dusza sądziła, że ma nici łączące nas z zaświatem, rozumiała, że ma wszystkie zagadki w ręku, zdawała się widzieć w głąb niezbrodzonych bezmiarów, wobec których cofa się umysł uczonego. Myślała, że ma światło w ciemnościach i zalewała się łzami radości na tę myśl błogą i szczęsną. I oto dlatego słowa cisnęły mu się pod pióro, jakby w zachwyceniu, woń jakaś uroczysta płynęła z tej poezyi, podobna do świec płonących w ciemnym pokoju, lub srebrnego wieńca dźwięków, wznoszących się z rozkołysanych modlitwą wieczorną dzwonów. Trudno było go nie kochać teraz, gdy jego wiara naiwna wybuchała z siłą niezwykłą, gdy poezya, zwykle wyrafinowana i delikatna, wywoływała niejako nieskończoność, nabierała koloru objawienia, zapełniała wszechświat istotami, które wyczuwała niby i z którymi obcowała niejako bezpośrednio. Był poetą okkultystą w całej pełni i sile i dawał rozwiązanie, które czyta się jak legendę cudowną, którą odgaduje się jak symbol, która odrywa nas daleko od niskości i okropności prawdy rzeczy, a która była dla niego doktryną, stojącą jak skała wśród fal zwątpienia, doktryną, wypowiedaną w rodzaju ekstazy, rozrywającą niby nieprzeniknioną zasłonę, będącą wyrazem intuicyi artysty przedmiotowego i genialnego.

Od czasów neoplatoników, którzy wywodzili się z platońskiej teoryi o wstępowaniu dusz w ciała i oblekaniu na czas jakiś materyi, wzmagały się: pogarda zmysłowości, wiara w wyższe objawienie w stanie ekstazy, wywodenie dusz z jedności, wykazywanie zależności ciała od duszy, zaznaczanie przedistnienia i poistnienia duszy. Kto oddzielił się od jedności jako istota zmysłowa, winien wrócić do niej cnotą, filozoficznym myśleniem, ekstatycznym wpatrywaniem się w pierwotną jedność bytu. Rozum świata jest odbiciem jedności świata, dusza—odbiciem rozumu świata; zawieszona między rozumem a materią, niepodzielna, niemateriałna, niezależna, wypełniająca ciało, które stwarza sama na tle ogólnej materyi, w której świeci, jak światło w ciemnościach, w której jest określonością w nieokreśloności, formą w nieforemności. A pię-

kno polega na panowaniu wyższego nad niższem, idei nad materią, duszy nad ciałem; sztuka nie idzie za zmysłową postacią rzeczy, ale za ideami, których zmysłowa postać jest odbiciem. Piękność jest w tem, co się widzi, słyszy, myśli, piękność jest kwiatem formy zwyciężającej materię, dusza ma wrodzoną sobie formę piękności i rozpoznaje ją w ciałach, duchowa piękność ważniejszą jest, niż cielesna i zwycięża tamtą. Pięknością zbliżamy się do rozumu świata, pięknością duchowną, która nie jest świetlaną, ale światłem samem, *τὸ μὲν νοετὸν καλόν, τὸν τῶν εἰδῶν ἑξῆς: τόπων*, mieszkaniem idei¹⁾. Tu źródło zachodniego mistycyzmu, tu dążenie do wzniesienia się nad materią, ekstazyjne podniesienie do jedności, powrót do Boga, o którym się zapomnielo w ziemskim byciu. To mówił Plotyn, gdy Proklus szereguje już emanacje jedności monady w podporządkowane sobie szeregi i dzieli dusze na boskie, demońskie, ludzkie, gdy gnostycy, przypisujący objawieniu znaczenie allegoryczne, prawią również o przedstnieniu, tworzą nie tylko spekulacje, ale i kult osobny, nazywają plotynowską jedność doskonałym eonem, z której wypłynęły inne, twórca świata demiurg, dusze ludzkie.

Im więcej w średniowiecznej scholastyce przeważały pierwiastki platońskie, tem silniej uwydatniały się dawne poglądy, przepojone teraz duchem chrześcijańskim, aż wydobyły się ponownie w mistyce niemieckiej. Wyrażały się, jak u Plotyna, ciepło i tonem namaszczone, podkreślały jedność duszy z Bogiem, intuicyą dochodziły do prawdy, także zjednoczeniem się z przedmiotem poznania, a poznanie stawiały jako najwyższy cel duszy. Tylko poznanie nadrozumowe ma prawdę, nie zmysłowe ani rozumowe. Jesteśmy częścią jedności, jedność odnajduje nas przez miłość. Bóg jest wszędzie i wszędzie cały. By Boga poznać, musimy się oderwać od wszystkiego, możemy nawet przewyższyć świętych i aniołów, do czego prowadzi łaska działająca nadnaturalnie i nadrozumowo. Odnowione platońskie i neoplatońskie pojęcia w połączeniu z kabałą wykształcały się zwłaszcza na tle protestanckiem i szły dalej, niż śmiały mistrz Eckhard, wchodziły na tory dotąd nieznanne, fantazyowały, zamiast tworzyć racjonalne konstrukcje u Böhmego, roztaczały mgliste obrazy przyszłości u Swedenborga, wyjaśniającego allegorycznie objawienie, szukały wspólnej zasady religii i mówiły o przedstnieniu u Saint Martina.

¹⁾ *Plotini Enneades cum Marsilii Filini interpretatione castigata iterum ediderunt Frid. Creuzer et G. H. Moser. Parisiis. Ed. Didot 1855, str. 37.*

Nadejście nowej ery wieściły zawsze, zwalczały materjalizm i zwracały nieustannie uwagę na potrzebę moralnego odrodzenia człowieka. I skutek był zawsze nadzwyczajny, skoro trafiły na temperament odpowiednio przygotowany, skoro ten, który głosił podobne idee, był istotnie człowiekiem niezwykłym i wyższym nad innych. Przemiana duchowa zastanawiała, bo i ziarno padało na grunt podatny i budziło tylko śpiące instynkty i nieokreślone pragnienie. Ezoteryzm, wspólny wszystkim religiom, rozwijany był tu dowolnie, panteizm cechował wszystkie w mniejszej lub większej dozie, różniczkowanie się doktryn bywało najrozmaitsze, ale w gruncie rzeczy stojące na podobnym stanowisku i podobnymi dążące drogami. Człowiek był, wedle nich, tylko ucieleśnionym duchem, zjawiskiem pośrednim między duchem i materją, wracającym na łono prabytu, pojętego stosownie do religii, na tle której powstawała okkultystyczna doktryna, stosownie do stopnia naukowej kultury mistyka, do sfery, w jakiej przebywał.

Pierwszorzędnego znaczenia był tym razem Swedenborg, wpływający na rozwój idealistycznej filozofii czasu, zrazu kartezyanin, potem empiryk, w końcu wizjoner i spirytysta mało ścisły i odmawiający rozumowi prawa do stanowienia o tajemnicach bytu. W skończoności i nieskończoności są stopnie, kult natury skończonej wiedzy do poznania i czci Boga. Ale natura nie jest najdoskonalszą nieskończonością, lecz tylko wytworem Boga; obracamy się w niej, jak w labiryncie, ale nie dojdziemy do jej poznania doświadczeniem i rozumem. Pierwiastki poznania są w znacznej części zawarte w biblji, resztę wyjaśnia geometrya, określająca mechaniczną budowę świata i świat organiczny; co się tyczy psychologii, jest, dla Swedenborga, dusza czemś pośrednim między skończonością i nieskończonością, stosującym się do pewnych praw, *fluidum spirituosum*, przenoszącem się dziedzicznie, odbiciem absolutu i życiem boskiego ducha. Im inteligentniejszy jest człowiek, tem wolniejsza jego wola; obok wzroku zewnętrznego jest wewnętrzny, obejmujący całość wrażeń, oraz wyobraźnia mogąca zrozumieć to, co zmysłom jest niedostępne. Stosunek ciała do ducha może wyjaśnić tylko ten, kto zna aniołów i ludzi, czyli świat duchowy i ziemski; oba powstały ze słońca, ale w duchowym jest czysta miłość i mądrość odpowiadająca ciepłu i światłu, które wstępują w człowieka, czyli ciepło w wolę, a światło w rozum. Słońcem ziemi jest ogień nie dający jednak życia, duchowość bowiem pochodzi z zaświata, ubiera się w ciało, czyni, że człowiek jest rozumny i dobry. Można podnieść się nawet do stanu aniołów, stosownie do woli; życie obecne jest kluczem do przyszłego,

choć wszędzie jest jedność, choć wszędzie są stopnie, choć różne stopnie łączą się na mocy pokrewieństw i tylko żyjący dla siebie przeznaczeni są dla piekła. Z rodziny podobnych umysłów, co szwedzki mistyk, musiał być i Towiański, który różnił się jednak od tamtego niższą kulturą umysłową. Tem więcej miał namiętności do podobnych spekulacji, tem śmielsze snuł wnioski, tem potężniej wierzył w stosunek z zaświatem i wartość swego objawienia. Miał wolę i wzniosł się do duchów, nie wątpiąc w swe powołanie i potęgę umysłu, umiejąc postępować praktycznie i zręcznie, przeschczepiając na grunt polski doktrynę raczej Swedenborga niż Saint Martina.

Świadczą o tem te same pojęcia o stopniach doskonałości duchów, ogniu miłości rozświecającym niebo, o znaczeniu woli w rozwoju człowieka, które przyjął po nim Saint Martin, znany ogólnie wtedy i komentowany. Wystarczało zaś, by teorye poparł czyn, to jest praktykowanie myśli wypowiedzianych, urzeczywistnienie ich z apostołskim zapałem upokarzającym sceptyków, by uznano prawdę, której pierwiastki tkwiły nawet w najnędrszych głowach czasu, jak Fichte lub Schelling. Wszak tożsamość materii i ducha jest też dogmatem ostatniego, wszak natura żyje i łączy się z duchem szeregiem istot organicznych i nieorganicznych, wedle myśli idealisty rozczytanego w mistykach, wszak człowiek jest tam pośrednikiem między Bogiem i naturą; epoka przyszła będzie kościołem św. Jana, o którym mówi Towiański. Był on Mesmerem swego czasu, który uwierzył w niego, jak uwierzył w magnetyzera wiek mniej dostępny dla podobnych spekulacji. Działanie jednej duszy na drugą było tradycją wszystkich mistyków i od tego działania zaczął litewski magnetyzer, gdy tłómaczył w Brukseli w r. 1841 swe zasady Skrzyneckiemu i wyjaśniał, że „człowiek jest narzędziem widzialnem, przez które czyni niewidzialna kraina ducha, zamieszkaana przez niezliczone gromady różnej natury duchów.“¹⁾ Zbawienie świata czyni się ogniem miłości i ofiary, nie brakło ich też magnetyzerowi, który te zasady głosił czy w Biesiadzie, czy w odezwie do rodaków w Paryżu, czy w wezwaniu do emigracji polskiej, czy w pamiątce zebrań sług sprawy Bożej, czy w nieskończonych rozmowach ze zwolennikami, z których bije, obok pewnej prostoty i szczerości stylu, siła przekonania i namaszczenia, godna uwagi.

¹⁾ *Pisma Andrzeja Towiańskiego*. T. I, Turyn 1882, str. 1.

Człowiek był niepospolity uczuciem więcej niż inteligencją, natura prostolinijna i jednolita, moralista mający silne pragnienie dobra i umiejący dać przykład dobroci, mierzący wszystko probierzem moralności, niezły obserwator niejednokrotnie dusz ludzkich, które spotykał w swem długiem życiu i w wędrówkach. Zjawił się w chwili, gdy emigracya rozbiła się na kółka i ugrzęzła niejako w obcym organizmie, był zaś dziwnie pierwotny, prosty, dostępny, mało indywidualny w tem, co zostawił po sobie. Artysty w nim nie było, ale taka widocznie natura idealisty marząca o urzeczywistnieniu swych prawd, taka nieskażona treść wewnętrzna, taki kult dla tego co tkwiło na dnie dusz genialnych, taka litewska gorącość i wytrwałość ducha, że zmagnetyzowały też tego, który opierał się dotąd zwycięsko wpływowi ducha, ogarniającego ogół i trwał po części w dawnym trybie tworzenia, który nie był już czystym artyzmem, jak w Warszawie, ale nie obejmował miłośnie w tym stopniu sprawy, jak to czynił Mickiewicz. Inaczej nie byłby się teraz modlił namiętnie o to, by krzyk jego był krzykiem ogółu i głosił, że powstał ze snu śmiertelnego na bój za wiarę i pragnął wolą wszystko przemódcz na podobieństwo Swedenborgiańskiego anioła. Miłość, rozpacz, zniechęcenie, ironia, melaucholia, gorycz, miały w nim tłumacza nieprześcignionego, brakło tylko wiary nieprzepartej w przyszłość, brakło miłosego objęcia dążeń ogólnych, brakło zjednoczenia z ogółem i blizkiego z nim obcowania. Uznawał to sam widocznie w owej przysiędze na służbę, bo sami nie śmielibyśmy sądzić go tak surowo. pamiętni Kordyana, Szczęsnego, Anhellego, Dantyszka, Rożę, Wenedę, Beniowskiego; dochodził jednocześnie do najwyższych wzniesień natchnienia, do wzniesień stromych i niebezpiecznych, ale pociągających trudnością i groźnym czarem przepaści, olśniewających oryginalnością poetyckich skarbów, które z tych wyżyn roztoczył. Jest tu ich tyle, że wystarczyłyby na całe pokolenie; dowodziły zaś swą mnogością, że nigdy z większem natężeniem mózg poety nie pracował. Poeta-filozof przeważał w nim odtąd, poeta ogarniający wszechświat, a nietylko artysta, lubiący dramaty uczuć i odcienie namiętności. Myśli, krążące po jego głowie, odbiły się wszędzie w dziełach, wsączał w nie treść tych myśli, jak esencję nader subtelną i pełną odczucia.

Jego mistycyzm był formą dążności metafizycznych, które stanowiły tło romantyzmu europejskiego, formą, przejawiającą się nawet w miłości przyrody, formą, w której idee oderwane nabierały życia i nerwu. Uważając życie za przedłużenie zaświatowego, przypuszczał, że świat widzialny jest rodzajem mistycznej trans-

pozycyi, która ożywia wszelkie ciało, rozprasza się w świecie w formie fal duchów różnych stopni i kategorii. Swedenborgiańskie reminiscencye ożyły w nim na nowo, tendencye metafizyczne umysłu przerodziły się w koncepcyę mistyczną. Jego mózg rozkoszował się tą koncepcyą, jako artysta znajdował się we właściwym swym żywiole, artysta najbardziej wyrafinowany z poetów polskich i pełen nieskończonej różnaitości natchnień. Dawno już sztuka jego czerpała wyłącznie z głębin wyobraźni, ogłoszonej teraz głównym organem poznania, stroniła od realistycznej obserwacji życia, które drażniło delikatną duszę poety. Dzieła jego miały smak osobny, były jak ze snu sen, były wyrazem jego osobowości, wynikały z tajników tej duszy mrocznej i złożonej ogromnie. Mistyka odpowiadała jej, przez nią wchodziła ona w zakres nieświadomego, które zaludniało jego wyobraźnię nowymi postaciami i rojeniami. W duszy artysty istnieje podobna dążność, ta dusza miała pociąg do mistyki słaby i zyskiwała w niej pierwiastek marzenia, który rozszerzył horyzont jego sztuki i udzielił jej tonu przenikającego, poufnego, potężnego, który nas porywa i podnosi. To część najwyższa jego sztuki, żywioł główny, piękne to jest dążenie do wyrażenia nieskończonego dążenia, dawniej ukryte i dymiące niekiedy przez słowa. Dążności mistyczne, rozrzucone tu i owdzie po dziełach, skupiły się w prąd, który dał poezyi charakter odrębniejszy od dawnej. Jakie były wyniki tych dążności, jaki skutek tej przemiany duchowej, ocenić łatwo.

Dążenie do pojęć ogólnych, idealizacya ostateczna uczuć, uwydatniły się dobitnie, a wiązały z uczuciowością artysty, uczuciowością, szarpaną zagadnieniami metafizycznymi, uczuciowością, przed którą rozwierały się horyzonty bezkresne i bezmierne. Wszedł w sferę nieznanego nie drogą suchego rozumowania, sposobem indukcji filozoficznej, ale drogą uczuciowości pożądającej bezmiaru. I bezmiar go uspokoił. Podziałał na pogłębienie myśli, na potęgę uczucia, na siłę marzenia, dał tej poezyi płynność, mrok, tajemniczość, sławę, charakter apokaliptyczny, rozmiary olbrzymie, które nie były dekoracyą uspokajającą oczy, ale istotnie tworem najwyższym duszy genialnej, jak tworem sił natury są niebowstępne turnie tatrzańskie lub rozłożyste i wiejące morzem traw i kwiecia stepy ukraińskie. Dążenia niewstrzymane tej duszy stworzyły teraz takie postacie, wydobyły takie obrazy, że dawniejsze natchnienia wydawały się czasem muzyką harmonijną i łagodną mazurka lub romanzy w porównaniu z wstrząsającymi akordami rapsody lub sonaty. Dusza poety mówiła, dusza uwolniona z więzów zmysłowości, i nigdy poezya nie przemówiła u niego w strofach tak

silnych, nie ubrała się w szaty tak nadziemskie. Czysty mistycyzm z niej przemówił, mistycyzm, będący wyrazem tej duszy dziewiczej i spragnionej nieświadomego, duszy czującej, kochającej, oderwanej od rzeczywistości i wznoszącej oczy i ręce ku niewymówionym obszarom. Wybuch miał charakter żywiołowy, poeta występował jakby w nadnaturalnej aureoli z doktrynami, które rzucał, jak hasła, w drobnych wierszykach, wzywających do radości i wesela:

Radujcie się! Pan wielki narodów nadchodzi!
 Radujcie się, bo prawdy wybiła godzina,
 Strach już się Boży rodzi,
 Strachem Pan, jako mieczem ognistym przecina...

Podnosząc schmurzone czoło w górę, cieszył się, że skończył się ucisk serc, że żaden los nie może go zatrwożyć, że cała emigracja zagore płomieniem i mocarze przerazi, że polecą zwiastować o tem Polsce niebieskie ptaki, że świat przemieni się i zmartwychwstanie w duchu i przez związek z duchami widzialnymi i niewidzialnymi i nawet natura objawi swe uniesienie na widok cudu, który się spełnił na ziemi i w niebie.

Dla mistyka w rodzaju Słowackiego, doniosłym był jednak nie tylko stosunek człowieka do wszechświata, ale i człowieka do człowieka, duszy do duszy, woli do woli, które poczytywano za siły świadome i zdolne dokonać cudów. Miłość uważano za skutek działania siły magnetycznej woli, przyjaźń również, samą wolę za siłę, która podbija siły słabsze. Ta wola działa na odległość nawet; wola i myśl – to dwie funkcje ludzkie, dwie funkcje, zwłaszcza artysty, który staje się przez nie wszechpotężnym, urabia dusze i rządzi niemi bez podziału. Gdy się ma wolę, przesyła się fluid magnetyczny od siebie na drugą osobę, woli czarnoksięska siła bije w drugich tak potężnie, że pozbawia ich własnej. Tkwiła ta doktryna na dnie wszystkich systemów mistycznych, począwszy od Plotyna, odpowiadała indywidualizmowi romantyków protestujących nawet przez swych filozofów, jak Fichte, przeciw innemu pojmowaniu woli. Celem zaś wszelkiej mistyki było połączenie naszej wewnętrznej jaźni z tem, co nas otacza; wolą można zwalczyć siebie, by doprowadzić do tego połączenia, można zwalczyć uczucie i pożądanie zmysłowe. Jak dawniejsi mistycy, podkreślał i Towiański jej wartość, gdy mówił w r. 1841 do Skrzyneckiego, że „człowiek ma wolę, a chociaż nic nie może czynić sam przez się, siłą własnej tylko woli, a czyni wszystko pod wpływem

i kierunkiem krainy ducha, wszakże wolna wola jego jest źródłem czynności, jest pierwotną przyczyną tego wszystkiego, co z nim dzieje się i dzieć się będzie w wieczności.“¹⁾ Przepuszczał, że są chwile zupełnego działania woli, że miłością Boga uzyskujemy jej moc, że wola, a nie marzeniem, urzeczywistni się ostateczne uduchowanie. To uduchowanie nie dokonało się zupełnie, trzeba je utrwalić i pogłębić, póki praca nie doprowadzi do celu. A tym celem jest zjednoczenie się stopniowe z Bogiem, tym celem jest spotęgowanie w sobie mocy działania na innych, możliwe tylko przez ciągłe wewnętrzne udoskonalanie się moralne i zdobywanie tonu duchów wyższych. Wtedy niejasne stanie się jasnym, nierozwiązalne—przystępnem, najwyższe—osiągniętem, w myśl Anioła Słazaka, który tej doktryny deifikacyi był jednym z poprzedników:

Ich bin nicht ausser Gott,
und Gott nicht ausser mir.
Ich bin sein Glanz und Licht
und er ist meine Zier.

Czy nie wola zresztą uzyskał Towiański uzdrowienie Mickiewiczowej, gdy sam otrzymał wolę Boga, by uzyskiwać drgnięcie ducha dla prawd słowa Bożego? A że w całej mistyce wyobraźnia i uczucie grały pierwszorzędną rolę, że romantyka miała charakter mniej lub więcej mistyczny i dążyła do podniesienia uczucia na wyżyny ekstazy, więc i Słowacki znajdował się teraz w stanie, który Mantegazza nazywa hipnozą uczucia i myśli, którą utożsamiał z wyobraźnią, był niejako po za sobą i rzeczywistością, znajdował się u szczytu swego intelektualnego rozwoju, którego ostatnią ewolucją — mistycyzm.

Mantegazza rozróżnia uczuciową, estetyczną i intelektualną ekstazę, a osiągnął je poeta teraz właśnie, idąc kolejno od pierwszej w Jerozolimie na grobie Chrystusa. Cały jego psychiczny mechanizm był obdarzony wysoką wrażliwością nerwową, częścią wrodzoną, częścią nabytą w samotnem życiu i pod wpływem drażniących okoliczności. Nie małej wagi musiał być w tym procesie duchowym fatalny koniec stosunku z Bobrową, a wiadomo, że nawet w religijnej ekstazie treść pojęć zapożyczona jest ze świata miłości zmysłowej. Świat ów służy niejako za podkład wrażeń doznanych, a to, co się widzi w tej ekstazie, bywa obja-

¹⁾ Tamże, str. 2.

wem czysto podmiotowym, refleksem pojęć zmysłowej świadomości, występującym w formie wizyj, osiagających w halucynacji plastyczne formy, zbliżone też do zjawisk podwójnej osobowości. Tak było z ekstazykami chrześcijańskimi, tak jest z ekstazykami, których zrab pojęć oparł się, jak u Słowackiego, na swedenborgianizmie. Że pociągało to dla poety wielką utratę sił fizycznych, nie ma wątpliwości, żył jednak cały w marzeniu i złudzie, którą uważał za objawienie i czuł się szczęśliwym najzupełniej. Znali te stany: Eckhart, Ruysbroek, Boehme, Saint Martin i o swej tęsknocie do wszechbytu prawili poetycznie i z rozczuleniem. I sam poeta najlepiej nas o tem objaśnił, gdy uspokojony po miłosnym zawodzie nurzał się w ekstazie, czuł się utożsamionym z jednością, patrzył w siebie, jak w pełną tajemnic przepaść, przemawiał proroczym tonem wizyonera i podobny był do tatrzańskiego jeziora, które, ruchliwe i grające blaskami na powierzchni, kryje głębie niezbrodzone i nieprzeniknione. „Nie uśmiechaj się Pani—pisał do Bobrowej—ten list, który trzymasz w ręku, zaczarowany jest wolą moją, zaklęty jest, ma moc i władzę uzdrawiania nawet serca. Serce moje jest jak źródło Syloe na dolinie Józefata, co trzy dni tylko wytryska; trzy dni, przez które nie było w niem wody, były okropne i długie; uczucia szczere nauczyły się, jak jaskółki, odlatywać gdzieindziej po wodę...”

Więc żegnał się z ostatnią miłością, nurzając się w ekstazie intelektualnej i dając życie sztuce, która ma inne podstawy, niż życie. Sztuka ta życia nadmiarem, gdy życie idzie swoją drogą; ta sztuka miała przybrać ton odpowiedni temu, co działo się w duszy żyjącej za życiem, za rzeczywistością. Życie i sztuka poety były związane najściślej z sobą, ale nie było w obu równowagi, a temperament twórczy był taki, że nigdy w grze sił twórczych nie następowała harmonia. Wszystko żyło nadmiarem, siła nadmiaru była treścią twórczości w przeciwstawieniu do Mickiewicza, który był już wtedy wyczerpanym i przedwcześnie postarzałym, gdy Słowacki nie doznał na prawdę nigdy uczucia wyczerpania i starości. A choć nie było w tej sztuce równowagi, był artystą odzwierciadlającym najgłębszy prąd czasu, którego poetycką wielkość oceniać trzeba wedle cudowności powiększenia tego, co niósł ten prąd, wedle stopnia idealizmu, który dzieło zgodne z duchem czasu ożywia, wypełnia, przenika. W tej duszy pesymizm dokonał dużo spustoszeń, które naprawiły lata. dojrzałsze; teraz zostały dążenia wyższe, żądza wiary, pragnienia czynu, do którego pchał poetę cały nowy kierunek poezyi i publicystyki. Zechciał odnowić ducha swej poezyi, zechciał po swojemu objaśnić ludzi i rzeczy.

Dzięki wysiłkowi myśli i artyzmu, miał dać swoim twórcom życie, jak dawniej, miał wyłożyć prawa rządzące tem życiem. Nie było w tych prawach suchych określeń, zwrotów oderwanych, systemu i ścisłości, artysta występował wszędzie i zawsze. Artysta ten wierzył w sztukę najpełniej, nie niszczył, jak Mickiewicz, swych utworów, ani nie łamał pióra, gdyż sztukę uważał za czyn i zdawał się więcej składać hołdu jej, niż sobie samemu.

Miał w takim nastroju potęgę i siłę, która pozwoliła mu postawić przed nami istoty pełne wyrazu, twory wyjątkowe. Nikogo nie miał obok siebie; zapał i entuzjazm, jaki okazywał dla sprawy, równał się bezwzględnemu jej oddaniu Mickiewicza. Miał na skrzydłach natchnień pociągnąć wszystkich w świat czystych radości i w słowach marzenia, w słowach, mających ustalić marzenie, dawał zarys swych myśli wyznanie swej wiary, które powtórzy się i rozwinie potem wielokrotnie. Symbolizm odziedziczony po lekturze Dantego, osobiste wspomnienia odbytych wędrówek, pamięć samotnej młodości i dumań w sobie, skłębiły się w fragmencie, który był niejako spowiedzią mistyka, spowiedzią, tem więcej wzruszającą, że wypowiedzianą z dziwnem rozrzewnieniem, w strofach eterycznych i subtelných, jak zawsze dotąd. Sam poeta rozmawiał ze swym duchem, który zmartwychwstał, jak jego pieśń, i przypomniał mu świeże rozmyślenia i postanowienia. Tego ducha utożsamiał z poezją, która porzucała strojne barwy i przestała odurzać się haszyszem melancholii, wyrosłej z przejść osobistych; znalazła swą drogę, przeobraziła się do dna, wydobyła z siebie to, co tkwiło już na dnie duszy byronizującego studenta wileńskiego. Stało się to oczywiście w czasie podróży wschodniej, gdzie spełnił się cud nawrócenia:

I poleciałam... gdzieś na jakąś górę,
Nad którą słońce w krwi, księżyc w zaćmieniu,
Męka, co całą męczyła naturę,
I krzyż na słońcu w czerwonym pierścieniu.

A ja... w te śmierci otchłanie pomure
Na moich skrzydeł tęczowym promieniu
Lecąca, jako dziś, patrz — upiór bładny,
Ja, pierwsza z różnych piękności Hellady...

Ta poezja straciła wdzięki zmysłowe, nabrała kształtów ascety, którego oczy krysztaliły się, jako szafir, a rany paliły się, jak u największego mistyka chrześcijańskiego, na rękach i nogach. Przyszła do wichrem zbitego wędrowca, przyszła rozpoznać du-

sze samotnika, bijąc niezmierną jasnością z oczu spuszczonech.
A była

Taka miłości w niej ogromna siła,

Że gdy stanęła na ciemnem przezroczu:

Słońce się girlandy — niby zawrócone

Żórawie wiązą w ognistą koronę.

Mimo płomiennych ran była wesołą i rękami złotemi sypała
litosną miłość, by wieścić czas nowy i przestrzegać od zmazania
ust światowym piołunem.

Otchłanny duch poety zechciał tedy polecieć za nią, bo czuł
tęsknotę do duchów wypełniających zaświaty, bo choć obleczony
gliną ziemską, podsłuchiwał głosów duchów, lub porozumiewał się
z nimi za pośrednictwem przyrody. Jak para ptaków, pragnących
ożywić zastygłe pisklątko, niesie je w przestwory, tak i on na
pieśniowych skrzydłach, wolny od łańcuchów i sideł, poniesie
zmarłą ojczyznę; co zaprzysiągł od dzieciństwa, myśli wykonać
teraz. Boga jest wola, by poeta stanął przed światem, poeta nie
niszczący nigdy, co jest w nas żywotnem, poeta mający dziś przyja-
ciół pędzących bryłę świata do biegu, czyli towiańczyków. I wi-
dać już nową Polskę siadającą na stolicy, wysoką swą kopułą
świętych, niską przed Bogiem i czekającą nadejścia Chrystusa.
Matki Bożej, świętych. Wpierw nastąpi jednak noc i zniszczenie
wszystkiego, kruszenie się światów i szczepienie duchów nowych,
wydobycie się z piekła ziemskiego, które iskrę Bożą dusz i nadej-
ście nowego czasu wstrzymuje. To wątek myśli snującej się
we fragmencie, to dowód krystalizowania się pojęć mistyka i twór-
cy fragmentu *Poeta i Natchnienie*. Znać tu platońskie przedist-
nienie dusz, znać swedenborgiańskie pojęcie o związku ze światem
duchów, znać dążność do mistycznej ekstazy, której tworem będą
dzieła lat owych. Rozczytany w mistykach, nie mógł poeta rozu-
mieć, że chrześcijańskie poistnienie wyklucza przedistnienie i wy-
obrażał sobie, że dusze ludzi przeznaczone są na to tylko, by wal-
czyć z otaczającą materią, że poznanie które posiadamy, jest tyl-
ko przypomnieniem, że zadaniem poety mistyka jest dusze z wię-
zienia uwolnić, co da się urzeczywistnić przez filozoficzne myśle-
nie i pogardę zmysłowości:

Ja byłem wtenczas dziecicę — lecz do gliny

Kiedy wejdziemy, my straszniejsi z duchów,

To mamy straszne w dzieciństwie godziny,

Gdzie duch bez żadnych więzów i łańcuchów

Ma ostrzeżenie...

W dzieciństwie miał już ostrzeżenie, którego posłuchał teraz dopiero, gdy zjawił się Towiański. Sądził, jak dzisiejszy mistyk, Carter, że życie jest rodzajem koła, które rozciąga się na jedną i na drugą stronę, że jest proszkiem, które w pyle wieczności drga bezgranicznie przed i za sobą. Podmiot jest stały, ciało jest zmienne. Ten podmiot, to dusza żyjąca przedwiecznie, co podniecało i wzmacniało w nim poczucie indywidualizmu. Ten indywidualizm widział zaś wszystkie pragnienia i zachcenia ziszczone w mistycyzmie; wszystkie moce czuciowe tego indywidualizmu znajdowały cudowne pożywienie w marzeniach o przedistnieniu.

W ten sposób otaczał się ten indywidualizm nadziemską aureolą, w ten sposób poetyzowanie przemieniało się w wizję apokaliptyczną, która pozwala zstąpić na dno duszy mistyka, która odsłania tajemniczą pracę tam się dokonywającą. I poezja nabierała kolorów ciemnych, wchodziła w kraj ekstaz i wizyj, przemawiała symbolami i parabolami, wybuchała co chwile, a płynęła nierówno, stawała się urywaną i gwałtowną, rzucając obrazami tryskającymi z wyobraźni estetyka w sposób mało wspólny z dawniejszym. Nerwy poety były mocno podrażnione, on sam śledził siebie ze skupieniem i natężeniem, by notować wzruszenia wiotkie i uciekające, by zmieniać idee w obrazy, by upajać się muzyką słów i orgią rytmów, które wyrzucał gorączkowo. Wysilał się na wyrażenia rzadkie, obierał formę dyalogu, by odpowiadać niejako samemu sobie. Jego mózg szukał tonów najjaskrawszych, choć przyćmionych, porzucał harmonizowanie barw, chciał nadać tworowi piękno płodu samorodnego i powstałego instynktownie, żywiołowo, w natchnieniu. Nie poprawiał prawie, dawał więcej nowe waryacje, rozwijał ten sam obraz wielokrotnie. A równocześnie dbał, by zagadkowość znaczenia obrazów była utrzymana, czego nauczył go już Dante, w co wprawił się czytaniem mistyków i kabalistów dawnych i nowych. Zmieniła się treść ducha, zmieniła się i poezja tego ducha. „Poznałem albowiem pisał do matki 29 listopada 1842 r.— iż nie na to jesteśmy na ziemi, abyśmy szukali próżnej uciechy i posągów przyszłych, jako aktorowie grający każdy swoją sztukę smutną albo wesołą, ale dla chwały Bożej jesteśmy i dla pracy prostej a czystej i dla wywiązania ducha naszego i dla spełnienia tego, co nam polecono; a nie myśl, abym tak będąc, był dalszym od ciebie, owszem bliższy jestem i mam ciągle twoje serce w mojem sercu, dlatego więc piszę tak, abys i ty, moja droga, miała częśćkę tego pokoju, który jest we mnie.“

Ta treść nie zgadzała się też z treścią heglizującego Krasin-
skiego, bo głosiła ewangeliczne odbudowanie świata, bo potępiała
pogańskość formy poetycznej, z czego rósł rozłam silny i spotę-
gowany wnet rozłamem politycznym między dotąd związanymi
z sobą przyjaciółmi. Rozchodziły się drogi dwóch Wenedów a tym-
czasem rozpogadzał się ciągle horyzont ducha poety, szukającego
odpowiedniej formy na wyrażenie nowej treści. Ta forma miała
być prostą, jak nowa nauka, prawdziwą i będącą odbiciem tonu
dalekiego od dawnej nędzy serca, od dawnego egoizmu i braku
miłości społecznej. A wprawdzie łączność z towiańczykami bywała
dość luźną, ale wysiłek ku łączności był, choć przychodził z tru-
dnością i nie bez walk z sobą i z wrodzoną dumą. Kaznodziejski
ton listów płynął z tego wysiłku, wzywaniu do pracy wewnętrznej,
obowiązujące u towiańczyków, powtarzało się nieustannie, za czem
szło potępienie snów i marzeń dawniejszych. Poezyę dawną po-
równywał do fletu, siebie kazał wystawić „tylko w promieniu słoń-
ca złotego,“ gardził hyronizmem i ziemskością, jaką miała ta poe-
zya. „Otóż poezya ta — tłumaczył matce 5 czerwca 1843 r.—jest
w ciągłej młodości ducha, który, gdy zaśnie, trzeba go z najwyż-
szem wysileniem budzić, krzepić, podnosić... a potem ściągać po-
dług niego w każdej, choćby najmniejszej okoliczności... Poezya
taka nie umiera, jeżeli cel, do którego dąży, jest Boży... entu-
zjazm zaś dla rzeczy fałszywie zrozumianych, nie dość wysokich,
gaśnie i zostawia po sobie śmiertelną nudę.“ Pozostawał tedy całe
życie młodym, mimo lat trzydziestu czterech, w których poczynął
starzec się Mickiewicz.

Indywidualistą nie przestał być i teraz, ale ciepłym, wyla-
nym, żądnym kochania i kochającym, wzniosłym w dążeniu do
udoskonalenia i malującym siebie w sposób, który okazuje go isto-
tnie wyanielonym. Duma opuściła go, stał się lepszym, ale nie
sądził, by poezya mogła przemawiać inaczej, niż ekstatyk z wy-
spy Patmos. Zrazu szukał zadowolenia w marzeniu miłosnem, te-
raz zapomniał o tem i czuł potrzebę przywiązania do tego, co nie
przemija. Znalazł samego siebie, gdy dotąd ulegał wpływowi śro-
dowiska. Stawał się podobnym do świętego i gdy tworzył w po-
dniesieniu ducha, wpatrzony w nieskończone bezniary, z którymi
obcował niby bezpośrednio, tworzył jak święty Franciszek z As-
syżu lub Giacoppone da Todi. Tworzył też, jak prymitywi włoscy
lub Murillo. Giętkość, obfitość, łatwość, podniosłość, kolorystyka
zdumiewały, a wszystko, co rzucał na papier, zdawało się nurzać
w mętnych blaskach rembrandtowskich, w atmosferze mglistej
Correggia. Sceny najwięcej mistyczne imponowały głębokością

odczucia, ich wrażenie przenikało do głębi i był Słowacki jedynym z poetów polskich, któremu udało się sprowadzić najlepiej niebo na ziemię.

Wykonanie mogło podlegać krytyce, rzewność, tajemniczość, zagadkowość, niematerialność, nieuchwytność oddane były z maestryą, która stanowiła przeciwieństwo z realizmem nawet w scenach mistycznych Mickiewicza lub sztucznością nieco strojną i wysiloną Krasińskiego. Nie było zaś poety, któryby lepiej odpowiadał temu nastrojowi, nad Calderona. Niegdyś zachęcili poetę do lektury dramaturga Schleglowie, Sismondi, pani de Staël i inni krytycy romantyczni; on sam czuł się pociągniętym w tę stronę pokrewieństwem natur, które nigdy nie były tak jednoznaczne i dążące do jednego celu. Marzył o studiach nad nim często aż we Florencyi, potem w Paryżu utonął w Calderonie na długo. Podniosłość nastroju, gorącość uczucia, fontanny metafor, nadmiar stylu—były jakby wybraną formą nowej poezyi; potrzeba jej było lawin, obrazów, wrzuseń gwałtownych, wibracyj stylowych, których Calderon dostarczał obficie, a o którym pamiętał wyrażenie Schlegla, że w tym wielkim i boskim mistrzu zagadka świata nie jest sformułowaną tylko, ale i rozstrzygniętą.

W Niemczech romantycy czcili go fanatycznie, mniej we Francyi, co świadczy o szerokim horyzoncie poety polskiego. W ten sposób spodziewał się on stworzyć poezję, którą Schlegel nazywał transcendentalną, czyli nie ogarniającą tylko dziejów i otaczającej rzeczywistości, ale wychodzącej za granice ludzkiego bytu. Poeta, jako odbicie ducha boskiego, wolnego od materji, ma boskie pierwiastki rozwijać w poezyi, ma wydobywać je z głębin transcendentalnej jaźni w twórczym momencie. Taki poeta, to król duchów, tłumaczący zagadkę świata, takim poetą był Calderon. Stąd pociąg do niego Słowackiego, stąd uwielbienie dla jego brylantowej imaginacyi i świętości natchnienia. Były między nimi różnice pojęć i charakteru, były i punkta styczne tak znaczące, że nim nastąpiło zetknięcie się obu, pokrewieństwa uwydatniły się jaskrawo. Gdy to nastąpiło, był Słowacki poetą dojrzalszym i więcej opornym na podobne wpływy, ale bliskim Calderonowi wyobraźnią czyli wrażliwością na zmienne widoki, percepcją szybką i nateżoną barw, żywością w obrazowaniu i łatwością wytłumaczenia wrażenia. Wyobraźnia, jak obrazowo w swem pięknem studyum wyraża się o Wiktorze Hugo Mabillean, była głębokim korzeniem tego geniuszu wielostronnego i ruchliwego. W rozwoju tej zdolności spotkał innego, który oświecił go tylko raczej, niż wyszkolił w nowym stylu, a miał tą wielkość ducha i miłość,

o której zdobyciu marzył długo Słowacki, tę miłość, o której mówi Crespo w *Alkaldzie i Zelamei*:

I no vale tanto el oro
Que el sol engendre en el indio
Suelo y que conduce el mar
Como ser un bienquisto ...

DR. TADEUSZ GRABOWSKI.

ROZMAITOŚCI.

Wspomnienie o Towiańskim.

O działalności Andrzeja Towiańskiego przed rokiem 1841 posiadamy nader skąpe wiadomości. Znanem jest tylko, że pochodził ze starej szlachty polskiej, herbu Gerald, oddawna na Litwie osiadłej¹⁾. Urodzony dn. 1 stycznia 1799 r. w Antoszwiniću, majątku rodzinnym w powiecie wileńskim, gimnazyum ukończył w Wilnie w r. 1815 wraz z Franciszkiem Malewskim i Janem Waszkiewiczem, późniejszymi kolegami uniwersyteckimi Mickiewicza. Długotrwała choroba oczu, którą był w młodości dotknięty, nie pozwoliła Towiańskiemu na systematyczną pracę naukową, już wtedy spędzał długie godziny na rozmyślaniach i marzeniach. Żywa wyobraźnia młodzieńca z łatwością ulegała począł wpływowi mistycyzmu, który popierany w Rosyi przez cesarza Aleksandra I, przedostawał się na Litwę, znajdując tu gorliwych i entuzjastycznych zwolenników. Najwybitniejszym przedstawicielem tego prądu mistycznego był w Wilnie wydawca *Pamiętnika magnetycznego*, Ignacy Emanuel Lachnicki. Poglądy magnetystów niewątpliwie już wtedy znane były Towiańskiemu i wpłynęły na ukształtowanie się jego pojęć o sile woli²⁾. Wprawdzie „mistrz“ wypierał się później wszelkiej wspólności z poglądami magnetystów, być może, iż czynił to przez wzgląd na Mickiewicza, który jeszcze

1) Niesiecki: „Herbarz polski.“ Lipsk, 1842, IX, 103.

2) Chmielowski: „Adam Mickiewicz.“ Warszawa, 1898. II, 338.

z Wilna był wyniósł wstręt do wszelkich „magnetyzowań“ i wróżbiarstwa ¹⁾.

Po ukończeniu gimnazjum uczęszczał Towiański czas jakiś do uniwersytetu wileńskiego, z powodu jednak ciężkiej choroby zmuszony był studia przerwać. W r. 1818 został rejentem sądu powiatowego w Wilnie, do czego ówczesnie nie było potrzeba specjalnych kwalifikacyj naukowych. W dwa lata później w *Tygodniku wileńskim* zamieścił fantastyczny artykuł, p. t.: „Zdarzenie prawdziwe.“ W r. 1826 został asesorem I-go departamentu Sądu Głównego. Będąc urzędnikiem, uciekać się zwykł w razach wątpliwych do natchnień modlitwy. „Kiedy jaka sprawa między Żydem i chłopem przychodziła -- mawiał później — siedziałem ranek w kościele i potem największego trudu trzeba było, żeby mię nie zbito z rezultatu, jaki w modlitwie sobie zanotowałem. Bo nie sztuka—twierdził—zirytować się, wyłajać kolegów, rozpiśać się na wyroku, ale to rzecz, użyć całej miłości, całej mocy, aby postawić prawdę.“ O podobnych do powyższego zapatrywaniach Towiańskiego w sprawach publicznych, a nawet w najdrobniejszych szczegółach życia domowego, jeszcze w epoce wileńskiej, znajdujemy liczne wzmianki w późniejszych pismach „mistrza.“

W wypadkach r. 1831 Towiański udziału nie brał i innych od niego odwoził, przepowiadając niepomyślny wynik wojny. Za granicę wyjeżdżał dość często, przeważnie na kurację do Karlsbadu, gdzie nieraz czas dłuższy spędzał. W latach 1835 i 1836 bywał w Dreźnie i wówczas wszedł w bliższe stosunki z A. E. Odyńcem, który wiele opowiadał p. Andrzejowi o Mickiewiczu. „Niejednokrotnie — pisze Odyniec w liście do Siemieńskiego z 20 kwietnia 1871 r.—opowiadałem o nim to wszystko, co nietylko widziałem sam, albo od niego słyszałem, ale mnóstwo takich szczegółów i rzeczy, o których on sam nigdy przedemną nie mówił, a tylko opowiadali mi inni, najbliżsi powiernicy i towarzysze dzieciństwa jego i pierwszej młodości, jak np. Jan Czeczot, Tomasz Zan i nakoniec sama Maryla.“ Z tego przeto źródła pochodziła u Towiań-

¹⁾ „Byłem zawsze magnetyzmowi przeciwny — pisał Mickiewicz do generała Skrzyneckiego dn. 23 marca 1842 r. — i nawet widzieć doświadczeń nie chciałem. To przekonanie jeszcze z Wilna wyniosłem. Odciągałem wszystkich moich znajomych od magnetyzowań, od panny Lenormand i wszystkich podobnych balamuctw.“ Korespondencya Adama Mickiewicza. Paryż, 1874. I, 250.

²⁾ Lucyan Siemieński: „Religijność i mistyka w życiu i poezjach Adama Mickiewicza.“ Kraków, 1871. Str. 150.

skiego znajomość tajemników życia poety, która tak dziwiła w następstwie Mickiewicza.

Dn. 30 lipca 1841 r. nastąpiło w Paryżu pierwsze spotkanie Towiańskiego z Adamem. Odtąd rozpoczyna się oddziaływanie „mistrza“ na poetę, który odrazu uwierzył w posłannictwo owego „prostego szlachcica litewskiego“ i gorącym stał się jego wyznawcą.

Wspomnienie o Towiańskim, które niżej podajemy, spisane zostało przez p. Edwarda Wołodkę, b. rejenta aktowego, cioteczne-go brata słynnego orientalisty i profesora uniwersytetu petersburskiego, Józefa Sękowskiego ¹⁾. *Wspomnienia* nie zawierają szczegółów wagi pierwszorzędnej, stanowią atoli interesujący przyczynek do życia Towiańskiego w okresie najmniej jak dotychczas znanym, charakteryzując przytem dosadnie, nie bez pewnego zacięcia jowialnego, pierwsze wystąpienia „mistrza“ na gruncie rodzinnym. Jako takie zachęcić mogą przyszłych badaczy do bliższego wejrzenia w istotę towianizmu, biorącego swe początki jeszcze na Litwie w przedostających się tamże prądach socjalno-reformatorskich Europy zachodniej, owianego następnie mgłą poetyckich wizyj i wyobrażeń największych naszych wieszczów.

Wspomnienie p. Wołodki podajemy bez żadnych skrótów, opatrząc je w miarę potrzeby przypiskami, niezbędnymi dla jasności opowiadania.

*

*

*

„Stosunek mój z Andrzejem Towiańskim wyraz „znajomość“ nie dosyć dokładnie określa, gdyż osobista styczność była o tyle małą, iż teraz już nie mogę nawet dokładnie przypomnieć sobie jego powierzchowności. Natomiast dobrze pamiętam, com od dzieciństwa ustawicznie o nim słyszał, jako o bliskim sąsiedzie. Był on też wspólny z prof. Porcyanką ²⁾ moim opiekunem urzędowym.

¹⁾ *Wspomnienia* ogłaszamy za zezwoleniem autora, przy łaskawem pośrednictwie p. E. Majewskiego z Kurlandyi, który między innymi powierzył nam do użytkowania cenne archiwum po prof. Józefie Sękowskim.

²⁾ Konstanty Porcyanko (ur. 1793 † 1841), od r. 1820 był profesorem terapii i chirurgii w uniwersytecie wileńskim. Był człowiekiem bardzo wykształconym, znakomitym praktykiem i dobroczyńcą ubogich.

Towiański, jako dobry znajomy i trochę jurysta, służył matce mojej pomocą i radą. Majątek jego, Antoszwinięcie, w parafii janińskiej, powiatu wileńskiego, położony był od naszych Antagołon o niespełna półtorej mili. Była to średnia fortuna szlachecka, obszaru 50 czy 60 włók ziemi, na owe czasy dawała dochodu około tysiąca rubli. Bywałem tam już po wyjeździe Towiańskich, kiedy Antoszwinięcie, jako należące do emigranta, znajdowały się pod sekwestrem, w administracji p. Karola Mongina, któremu Towiański przed wyjazdem polecił dozór nad dziećmi i majątkiem. Dzięki przychylności administratora część dochodów szła na wychowanie małoletnich. Miano przytem nadzieję, że właściciel powróci i obejmie swą posiadłość.

Mongin żadnych zmian w majątku nie wprowadzał. W Antoszwinięciu, prócz dawnego sadu i ogrodu, Towiański założył rodzaj parku spacerowego, poprzerynął i wyżywiował ścieżki, w pośród dzikich drzew i krzewów zasadził aleje, pourządził altanki, kanapki darniowe, ławeczki lub też wprost duże płaskie kamienie. Wszystko to nosiło nazwy symboliczne. Z tych jedna tylko utkwiała w mej pamięci: *świątynia dumania*¹⁾. Zaś świątynią *tout-court* nazywano kaplicę na niewielkim pagórku, pośród parku. Prowadziło do niej siedm dróg: *Prawdy, Cnoty, Wiary* i t. p. Był to drewniany budynek, w kształcie nieco wydłużonego czworoboku. Front, zwrócony ku domowi mieszkalnemu, ozdobiony był czterema kolumnami, również drewnianymi. Wyglądało to na grecką świątynię, krzyża jednak na owej świątyni, o ile pamiętam, nie było. Wewnątrz za całe umeblowanie służył tylko stół, przy którym, powiadano, że Towiański „msze odprawiał.“ Opowiadano przytem

1) Zwracamy tu uwagę na ciekawy zbieg okoliczności: u Towiańskiego w parku było miejsce nazwane *Świątynią dumania*, p. Towiańska w towianizmie nosiła przybrane imię Filomeny; po Wilnie krążyły w owym czasie ploteczki i anegdotki o nowym kulcie i przypisywanej mu może niesłusznie zasadzie wspólności kobiet. W *Panu Tadeuszu* spotykamy *Świątynię dumania* w związku z niezbyt budującymi postępkami Telimeny. To imię brzmi podobnie do Filomeny. Czy nie kryje się tu żart z ówczesnych praktyk Towiańskiego? Zważywszy, że *Pan Tadeusz* pisany był w latach 1832—34, zanim przeto Mickiewicz „uwierzył“ w Towiańskiego, supozycya powyższa może mieć pewne cechy prawdopodobieństwa. Należy wszakże zaznaczyć, że Mickiewicz gorąco protestował przeciw utożsamianiu Telimeny z którąkolwiek bądź ze znanych sobie, choćby ze słyszenia osób. (List Mickiewicza do Odyńca z Domont, 18 lipca 1836 r. Korespondencya I, 159. Por. „Mickiewicz podczas pisania i drukowania „Pana Tadeusza“—list do syna Adama przez J. B. Zaleskiego. Kor. II, XXI).

w Wilnie, że podczas tych obrzędów stawała na owym „ołtarzu“ kobieta w stroju Prawdy, jako ś-ta Filomena; uważam jednak, że była to jedna z licznych podówczas plotek, kursujących w Wilnie o Towiańskim, utkana, być może, na tle obchodów rewolucyjnych w Paryżu. Na czem atoli polegały owe „msze“ i nabożeństwa, objaśnić nie umiem.

Towiańskiego nie zaliczano w Wilnie do umysłów wybitnych. Posiadał on jedynie zwykłą inteligencję; obdarzony był wielkim darem słowa i bujną, entuzyastyczną imaginacją. Ożenienie się jego świadczy, że mało dbał o przesady kastowe i tradycje szlachecko-obywatelskie. P. Towiańska była mieszczańką, ze spolszczonej niemieckiej rodziny Maksów ¹⁾. Jako nawrócona otrzymała imię Filomeny, zamiast swego dawnego Karoliny. Pamiętam dobrze, jak żartowano w Wilnie, że Towiański przezwiał tem imieniem swą żonę. Ojciec jej był siodlarzem i posiadał sklep w Wilnie przy ulicy Trockiej. Dostatni i wykształcony dał córkom swym wychowanie staranne. Siostra p. Towiańskiej ²⁾ była za doktorem Guttem ³⁾, również spolszczałym Niemcem, a uczniem i przyjacielem p. Andrzeja.

Zasady Towiańskiego znane były powszechnie w Wilnie, uważano je za rodzaj Saint-Simonizmu, zmodyfikowanego w myśl jasnowidzeń nowego apostoła, którego sławę głosił nadewszystko wspomniany wyżej dr. Gutt ⁴⁾. W nauce Towiańskiego, za czasów wileńskich była też zasada wspólności kobiet, która podniosła krzyk oburzenia przeciw nowatorom ⁵⁾. Opowiadano na ten temat

¹⁾ Wyszła za Towiańskiego dn. 1 marca 1830 r. Zmarła w Zurychu 28 kwietnia 1878 r.

²⁾ Anna ur. 19 sierpnia 1804 r., wyszła za mąż w 1838 r., zmarła w Zurychu 12 marca 1878 r.

³⁾ Dr. Ferdynand Gutt, najstarszy syn aptekarza w Wilnie, ur. 1790 r. Należał do filaretów. W r. 1823 ukończył uniwersytet ze stopniem doktora medycyny. Mickiewicz znał go dobrze za czasów wileńskich i od niego zapewne mógł już wtedy wiele słyszeć o Towiańskim, którego również w Wilnie spotykał. Por. Wł. Mickiewicz, Żywot Ad. M-a, III, 93, XVIII. List Chełchowskiego do Domejki z Paryża dn. 9 października 1841 r. Koresp. A. M-a, I, 244. Witwicki: „Towiańszczyzna wystawiona,“ Paryż, 1844. Str. 6.

⁴⁾ Prócz Gutta, przyjacielem i gorliwym uczniem Towiańskiego był Walenty Wańkiewicz, malarz, zmarł w Paryżu 1842 r., wykonał słynny portret Mickiewicza. Por. Wł. Mickiewicz, Żywot, III, 123.

⁵⁾ Szczegół ten, nader charakterystyczny, pozostaje jednak w zupełnej zgodzie z wyobrażeniami ówczesnej epoki, hołdującej zasadom saint-simonizmu

mnóstwo skandalicznych anegdotek. Osobliwie dał się im we znaki blizki sąsiad Antoszwincia, Jan Giecwicz, były kapitan wojsk polskich, przewany kapitanem Zawieruchą, nadzwyczaj żywego i energicznego charakteru, dowcipniś, członek *Towarzystwa Szubrawców*. Bodaj czy nie on się głównie przyczynił do tego, że Towiańskiego poddano badaniu. Pamięć mnie teraz zawodzi i nie wiem, jakiego rodzaju były te badania czy z punktu jurydycznego, jako sekciarza, czy patologicznego, jako psychopaty. Wprawdzie uznano Towiańskiego za nieszkodliwego, badania te jednak zabiły sprawę towiańszczyzny w oczach wilnian¹⁾. W każdym razie, w ten czy ów sposób, kapitan Zawierucha przyłożył do tego ręki. A ciężka to była ręka i w pióro zbrojna, był on przytem i na słowa szermierzem pierwszej wody. Od czasu tego badania, naukę Towiańskiego przestano brać poważnie. Jedni mieli go za niespełna rozumu, drudzy tylko za entuzyastę i zapaleńca, a wszyscy mniej lub więcej przedrwiwali.

Pamiętam, jak raz matka moja, wróciwszy z jakiejś podróży, opowiadała o spotkaniu z Towiańskim i o następującej przygodzie, której była świadkiem.

Mróż był trzaskający. Towiański spotkał na drodze zziębłego biedaka, uniesiony przeto litością zdjął kozuch z... własnego furmana i odział nieszczęśliwego. Furman tymczasem dzwonił z zimna zębami w ciągu paru mil drogi.

i innym teoryom reformatorsko-społecznym. Por. interesujący w tym względzie obraz stosunków we Francji u Louis Blanca „Histoire de dix ans,“ Paris, 1843. Str. 89—140, 343 sq. Ciekawe światło na poglądy Towiańskiego w sprawie wolnej miłości rzuca następujący ustęp z pamiętnika Zofii Komierowskiej, żony towiańczyka, która, opisując bytność swą u „mistrza“ w Zurychu (w kwietniu 1853 r.), dodaje: „Mówiąc o małżeństwie mojem, powiedział mi, że z powodu zbyt wielkiej różnicy wieku między nami (malżonkami), uwalnia mnie zupełnie od wierności małżeńskiej, której zresztą ani Pan Bóg, ani kościół od nikogo nie wymaga, mam tylko uważać, aby Duch tego, który zajmie w sercu mojem miejsce męża był czysty i wolny; co powiedziawszy, zrobił znak krzyża św. na mojem czole, „*Absolve te*“ dodając i gorący pocałunek na twarzy mojej składając.“

Powyższy wyjątek opuszczony został w drukowanych pamiętnikach Komierowskiej („Bluszcz“ z r. 1889. № 1—6). Należy zaznaczyć, że relacye autorki nie zawsze są ściśle i uległy surowej krytyce ze strony Wł. Mickiewicza. Por. „Żywot A. M-a,“ IV, 357—359.

1) Towiański poddany został badaniu w szpitalu wileńskim. Encyklopedia Orgelbranda (większa). XXV, 486.

Wiele też opowiadano o rzekomej ludzkości p. Andrzeja. Podani jego włościanie tak samo byli uciemienieni, jak i gdzieindziej, jeśli nawet nie więcej¹⁾. Dużo o tem słyszałem od Kostrowickich, wspólnych naszych sąsiadów. Więcej jeszcze opowiadał Bolesław Kontrym, też bliski nasz sąsiad²⁾, brat stryjeczny Kazimierza³⁾ a syn Ferdynanda, sekretarza konfederacji targowickiej⁴⁾.

Bolesław nie poszedł w ślady ojca a nawet siedział w więzieniu, podejrzany o należenie do *Towarzystwa Promienistych*, aczkolwiek w rzeczywistości nie należał do niczego, bo mu niedowierzano ze względu na ojca. Zan, Mickiewicz i inni trzymali się cokolwiek od niego dalej, chociaż właściwie bez wyraźnych ku temu powodów. Bolesław Kontrym był człowiekiem zdolnym i wcale niepośledniego umysłu, zagrzebał się jednak na wsi, być może dzięki splamionemu przez rodzica nazwisku. Towiański postanowił go „odrodzić.“ Skorzystał z nadarzającej się sposobności, kiedy Kontrym ciężko zachorował na jakąś gorączkę nerwową. Dr. Gutt leczył ciało, a Towiański kurację prowadził w ten sposób, aby jednocześnie i ducha uleczyć. Nasamprzód należało, zdaniem p. Andrzeja, usunąć z pamięci pacyenta wszystko, o czem wiedział, i dopiero z tak sztucznie doprowadzonego do stanu dziecka utworzyć się miał nowy, doskonały człowiek z wyrobionemi zasadami i pojęciami. Program w części się udał — chory w rzeczy samej pamięć utracił całkowicie! Nie tak łatwo poszło z drugą jego częścią, t. j. „zaszczepleniem idei.“ W miarę, jak umysł odzyskiwał władzę, wracała i pamięć, lecz nigdy już nie dościsła pierwotnego stopnia i Kontrym do końca życia wspierał ją notowaniem w książeczce kieszonkowej. Podziwiano w Wilnie zarówno lekkomyślną zarozumiałość mistrza, jak i zaślepienie adepta, dającego sobą powodować.

¹⁾ Szczegół niniejszy wręcz jest przeciwny ustalonej dotychczas opinii o humanitarnem postępowaniu Towiańskiego w stosunku do włościan. Por. życiorys Towiańskiego w „Roczn. Tow. Hist.-Lit. w Paryżu.“ Poznań, 1879. T. II, 418.

²⁾ Kandydat praw uniw. wil. Trzymał w dzierzawie starostwo niegrodowe inturskie w wileńskiem. Starostwo to należało w 1766 r. do horodniczego Antoniego Towiańskiego, od którego na lat 50 przeszło do Kontrymów. „Słownik geograficzny“, t. III, 298.

³⁾ Adjunkt i sekretarz uniw. wil., literat i działacz społeczny (ur. 1776 † 1836 r.).

⁴⁾ Zażywał smutnej sławy, jako pisarz konfederacji wileńskiej, w następstwie zaś organizator konfederacji w Trokach, przy pomocy wojsk rosyjskich. Smoleński: „Konfederacya targowicka.“ Kraków, 1903. Str. 122 sq., 268.

Kiedym w r. 1838 jesienią odwiedził Kontrymów, żałowano niezmiernie, że nie przybył o parę tygodni wcześniej, gdyż byłbym świadkiem wyjazdu Towiańskich zagranicę na apostołstwo nowej wiary¹⁾. Przed drogą żegnali sąsiadów. Na pytanie, jak mogą pozostawiać dzieci na los szczęścia, wiedząc tembardziej, że majątek ich, jako emigrantów, będzie oddany pod sekwestr, odpowiedzieli: „Bóg, który opiekuje się i ptaszętami, nie pozostawi bez opieki i naszych dzieci.“ Rzeczywiście zaopiekowali się nimi sąsiedzi²⁾. W drogę Towiańscy wyruszyli na zwykłym wozie, litewskiej kolasie, domowej lecz porządnej roboty, na czterech kucych kołach. Jeżeli Towiański mówił prawdę Mickiewiczowi, że przejeżdżał granicę kraju, wioząc żonę na dwukołowej bryce, to chyba ją gdzieś po drodze zdobył, lub też nagiął prawdę stosownie do „widzenia“ poety³⁾. Wóz był wysoko naładowany skrzynkami, faskami, szynkami i przeróżnymi wiktuałami; na samym wierzchu siedziała p. Towiańska z jednym, zdaje się, dzieckiem. P. Andrzej prowadził konia i szedł obok pieszo. Tak wyjechali z Antoszwincia i tak ich widziano w Inturkach u Kontrymów. Co się z nimi potem stało, dowiedzieliśmy się nieprędko, dopiero z książek i pism.“

HENRYK MOŚCICKI.

¹⁾ Towiańscy nastale opuścili kraj rodzinny w dn. 29 lipca 1840 r. Prawdopodobnie przeto szan. pamiętnikarz pomylił się co do roku. Za mistrzem podążyli niebawem państwo Guttowie i Walenty Wańkowicz.

²⁾ Towiańscy pozostawili w kraju pięcioro drobnych dzieci. Rozkaz konfiskaty majątku Towiańskiego wydany został dn. 31 lipca (12 sierpnia) 1842 r. Koresp. A. Mickiewicza II, 48.

³⁾ O tem „widzeniu“ w następujący sposób pisze Mickiewicz w liście do gen. Skrzyneckiego (z Paryża dn. 23 marca 1842 r.): „... w miesiącu grudniu (dnia nie pamiętam), kiedy oglądałem przygotowania do egzekwii Napoleona, miałem w biały dzień widzenie: widziałem człowieka z głębi kraju, jadącego wózkami jednokonnym, w biedzie, po błocie i mgle i uczułem, że ten człowiek wiezie wielkość! wielkie rzeczy! Nie brałem tego za widzenie prorockie, ale za nadzwyczajny, żywy obraz poetycki, chciałem go opowiedzieć, ale spostrzegłem niepodobieństwo do prawdy, dałem pokój. Po poznaniu się z Andrzejem, nie prędko dowiedziałem się o szczegółach jego podróży i uznałem prawdę widzenia.“ Korespondencya A. Mickiewicza I, 249. „W rzeczy samej—pisał potem L. Siemieński—jechał wtedy i sam go widziałem na granicy Francji, ów litewski szlachcic, przebywający w kałamaszce, ciągnionej krzepkim żmudzińskim, który między Francuzami znajdował licznych pretendenców do kupna. Był to Towiański, zdążający do Paryża na uroczystość sprowadzenia zwłok Napoleońskich.“ Pt. „Religijność i mistyka w życiu i poezjach Ad. Mickiewicza,“ str. 120—121.

PIŚMIENNICTWO.

ZYCIORYS STANISŁAWA TARNOWSKIEGO (1837 — 1907).

Dwa spore tomy o pisarzu żyjącym ¹⁾ i ciągle bardzo czynnym — to objaw wyjątkowy, nietylko w naszej, ale i w zagranicznej literaturze. Cóż dopiero monografia poświęcona pisarzowi, którego działalność literacka i społeczna spotykała się od początku z dziwną podejrzliwością, prawie niechęcią, pewnej części ogółu inteligentnego!

Trzeba było wielu szczęśliwych warunków, aby odważyć się na książkę o Stanisławie Tarnowskim: zupełnej niezależności od tego lub owego stronnictwa, zupełnej swobody, pozwalającej na poświęcenie dłuższego czasu jednemu wyłącznie przedmiotowi, wreszcie wielkiego umiłowania opisywanej postaci. Te sprzyjające okoliczności złożyły się pomyślnie na doprowadzenie do skutku zamiaru, który dla innych mógł być pozostać na długo lub na zawsze w dziedzinie niespełnionych życzeń.

Monografia p. F. Hoesicka jest przedewszystkiem owocem głębokiego pietyzmu autora dla St. Tarnowskiego. Z *Przedmowy* do dzieła dowiadujemy się, że wszystko niemal, co dotychczas p. Hoesick napisał, zawdzięcza pośrednio pobudce umysłowej, wyniesionej bądź z wykładów prof. Tarnowskiego, bądź też z jego prac literackich. Poczował się zatem były uczeń do wyrażenia swej czci i wdzięczności dla mistrza, a kiedy nadeszła chwila stosowna,

¹⁾ *Ferdynand Hoesick*: Stanisław Tarnowski. Rys życia i prac. Warszawa i Kraków: Gebethner i Wolff. 1906. Tom pierwszy. Str. XII+272. Tom drugi, str. 366. Z licznymi portretami.

czterdziestolecie pracy literackiej i społecznej Tarnowskiego, postanowił dać „rys“ jego życia i zasług obywatelskich.

Chodziło przedewszystkiem o napisanie prawdy o Tarnowskim, który tak często w życiu swem spotykał się i spotyka dotychczas z sądami kłamliwymi o swej działalności, sądami uwłaczającymi świadomie i celowo już nietylko pracom jego obywatelskim, ale wprost pobudkom i zamiarom czterdziestoletniej działalności.

W dziele tem nie znajdziemy oceny osobistej p. Hoesicka, jego własnych opinij o postępowaniu i pracach literackich Tarnowskiego, ale głównie i przedewszystkiem ściśle rzeczowe skreślenie życia jego i pracy bądź społecznej, bądź literackiej. Oparł się autor wyłącznie na materyale drukowanym, a więc ulegającym powszechnej kontroli, zebrał ten materyał z cierpliwością i dokładnością budzącą podziw i dał podwaliny biograficzno-bibliograficzne dla tych, którzyby w przyszłości kiedyś zajęli się całokształtem tak niepospolitej ze wszech miar postaci.

Całość dzieli się na dwa tomy. Tom pierwszy obejmuje młodość St. Tarnowskiego (1837—1866) tom drugi „Czterdzieści lat pracy obywatelskiej“ (1866—1906). Bardzo starannie zebrał p. Hoesick wszystkie ciekawe szczegóły, dotyczące dzieciennych i szkolnych czasów Tarnowskiego, tak już odmiennych od wszystkiego na co dziś patrzymy; w kreśleniu tych dawnych lat (1846 i następnych) mógł się autor oprzeć na własnych wspomnieniach Tarnowskiego, rozsianych hojnie w biograficznych artykułach *Przeгляdu Polskiego*. Rozdział opisujący „Lata Uniwersyteckie“ należy do najbarwniejszych w tomie pierwszym.

Niemniej ciekawe, choć trochę za obszernie opowiedziane, są „Pierwsze kroki polityczne“ w Paryżu: *Biuro* w Hotelu Lambert i „terminowanie“ przy boku takich czeladników, jak Kalinka i Klaczko. Wchodzi tu autor, zdaniem naszym zbyt często, w drobne szczegóły znajomości paryskich i stosunków towarzyskich tamtejszych, które nie mogły wywrzeć wielkiego wpływu na St. Tarnowskim, z natury i usposobienia bardzo pracowitym i stroniącym zawsze od pustych rozrywek światowych.

Wiele szczegółów mógł tu być p. Hoesick śmiało pominąć lub tylko streścić (np. całe stronicie 187—193). Wystarczało uwydatnić wpływ doniosły Kalinki i Klaczki na tle życia emigracyjnego polskiego. Sylwetki osobistości, skądinąd bardzo ciekawych i charakterystycznych są tu jednak zbyt dokładnie podane, tłoczą się nieraz i zachodzą jedna za drugą, tak np. sylwetka Manna rozrywa charakterystykę X. Kaysiewicza (str. 212). Znadto chce być

dokładnym autor i sam sobie psuje perspektywę dzieła, w którym nieraz zapominamy o Tarnowskim, a widzimy na pierwszym planie wielkie mnóstwo współczesnych osobistości.

Bardzo ważnym jest rozdział V: „Rok 1863,“ opisujący udział St. Tarnowskiego w ruchu narodowym, w tajnej organizacyi *Ławy*, więzienie w Krakowie, Lwowie i w kazamatach Ołomuńca. Dopiero w jesieni 1865 roku odzyskał St. Tarnowski wolność. Te lata więzienne godne są szczegółowej uwagi, zwłaszcza tych, którzy dziś z takim tanim uśmiechem sarkastycznym przebakują o „farysie,“ St. Tarnowskim. W Anneksach pierwszego tomu przedrukował autor rzadkie dziś wiadomości biograficzne, dotyczące ojca Stanisława Tarnowskiego. Jako charakterystyka gniazda rodzinnego i wpływu otoczenia, wiadomości te są pożądane i pouczające; mniej stosownemi wydały mi się wyjątki z pamiętników A. E. Koźmiana (str. 270—272) o charakterze zbyt *intime*.

Z tomem drugim wkraczamy na właściwe pole zasług i znaczenia St. Tarnowskiego. Występuje na widownię społeczną młody krytyk literacki a zarazem pisarz polityczny. Tu jest miejsce na uwagę, dotyczącą planu i układu książki.

O ile w tomie pierwszym sposób pisania ściśle kronikarski i chronologiczny odpowiadał bardzo dobrze treści przedmiotu, t. j. charakterystyce młodości, będącej życia rzeźbiarką, o tyle w tomie drugim można i potrzeba było—zdaniem mojem—odstąpić od schematu biograficznego i dać oddzielne charakterystyki krytyka literackiego i działacza społecznego. Jednym i drugim był i jest Tarnowski. Ale nie był i nie jest tak niewolniczo zależnym krytyk od polityka, historyk literatury od posła na Sejm, izby nie można mówić *osobno*, obok siebie, o tych dwu polach działania i zasług pisarza i obywatela. Rozbiór monografii Małeckiego o *Słowackim* lub Studium o *Dworzaninie* Górnickiego niema przecież genetycznego i ideowego związku z artykułem „O nowym pomysle do ustawy wyborczej“ lub o „Siedmiu projektach konstytucyi w Austrii.“ Zdaje mi się, że czytelnik byłby wdzięczniejszym autorowi, gdyby był otrzymał osobny obraz Tarnowskiego jako estetyka, profesora i historyka literatury, a osobny obraz jego przekonań politycznych i prac na polu społecznem. Dwa te obrazy nie przeszkadzałyby przecież, ani nie przeczyły sobie; ale byłyby bezsprzecznie wyraźniejsze, jaśniejsze, bardziej wypukłe, jako dwa profile jednego i tego samego człowieka, dwie strony jednego medalu. P. Hoessick wolał trzymać się drogi, obranej w pierwszym tomie; dał bardzo szczegółowy, chronologicznie pewny wykaz najróżnorodniejszych prac Tarnowskiego. Wywoła

z pewnością w każdym wrażenie olbrzymiej pracowitości i wielostronności tak płodnego pisarza i tak żarliwego szermierza politycznego—ale może łatwo znużyć samą niekończącą się obfitością mnóstwa prac, studyów, artykułów, mów, sprawozdań, występów posła na Sejm, Rektora Uniwersytetu, Prezesa Akademii, Członka Rady Szkolnej i t. d. i t. d.

Koniecznienależało ugrupować różne rodzaje czynności St. Tarnowskiego i mówić o nich zbiorowo, aby uniknąć ciągłego przechodzenia od rzeczy najważniejszych do mniej ważnych, od dzieł takiej miary, jak *Studia nad pisarzami politycznymi XVI w.* lub monografia o Zym. Krasińskim—do artykułów przygodnych, spełniających wybornie zadanie chwili bieżącej, ale tylko chwili...

Dokładność kronikarska wpłynęła ujemnie na kompozycję książki. Przygodne następstwo chronologiczne artykułów St. Tarnowskiego zmuszało do gwałtownych anakolutów, przeskoków surowych w opowiadaniu samem. Nawet tam, gdzie treść jednolita, literacka ułatwiała poniekąd zadanie, chronologiczny porządek opowiadania utrudniał sprawę. Czasem próbował się z tego wyzwolić autor, ale niezbyt szczęśliwie. Przejście np. od sprawozdania z poezji Ely-ego do *Wacława Garczyńskiego* (str. 68 t. II-go) jest dosyć, jak to mówią „naciągnięte,“ a w dodatku, w porównaniu z Asnykiem za mało, za krótko mówi autor o Garczyńskim, którego ocena należy do bardzo znamiennych studyów Tarnowskiego.

Trafiają się także pewne przemilczenia, mogące dziwić u autora, tak skrupulatnego i szczegółowego, jak p. Hoesick. Tak np. powie on dokładnie, którego dnia wygłosił Tarnowski pierwszy swój wykład uniwersytecki, jako docent prywatny (d. 24 listopada 1869); ale o *czem* mówił wtedy docent Uniwersytetu Jagiellońskiego, tego się nie dowiadujemy.

Mówi nam autor o *tle*, na którym odbywało się owo nauczanie, o smutnych, brudnych, ubogich salach ówczesnych starych *Collegiów*, ale znowu nie wiemy, *co* było przedmiotem w pierwszych latach docentury, jakie epoki literatury polskiej objaśniał młody profesor, czy zaczynał od monograficznego traktowania, czy obejmował całe stulecie i jakie? Ze spisów uniwersyteckich były się łatwo autor dowiedział, że zaraz w drugim półroczu wykładał Tarnowski wiek XVIII, potem przez rok wiek XIX, w następnych cofnął się do wieku XVI-go; (w roku szkolnym 1872/3 wcale nie wykładał). Pierwej miał wykłady o Słowackim (zima 1872/73), potem dopiero (1874/75) „o Mickiewiczu“ (bo tak jeszcze wtedy mówiono i drukowano). Pierwsze „*Konwersatorium* lite-

rackie* (nie seminaryum, jak o tem błędnie inni popisali) zapowiedział Tarnowski w półroczu zimowem 1874/5.

O tych początkach kariery profesorskiej, o audytoryum, o stosunku profesora do słuchaczy, można było więcej napisać; do najdawniejszych uczniów Tarnowskiego należy np. M. Gawalewicz, który byłby może niejedyn ciekawy szczegół dorzucił.

Sława prelegenta rosła nie tylko z wykładów uniwersyteckich, ale głównie z odczytów publicznych, wygłaszanych na cele dobroczynne w Krakowie, Poznaniu, Lwowie, a zwłaszcza w Warszawie. Jak przyjęte były przez publiczność i prasę warszawską odczyty o Fredrze w r. 1876, opowiada barwnie i zajmująco p. Hoesick (t. II, str. 92—97); w sześć lat potem wygłosił Tarnowski (22 lutego 1882 i w kilka dni potem) ostatnie swe, o ile wiem, publiczne w Warszawie trzy odczyty o Zygmuncie Krasińskim, a właściwie o „Nieboskiej Komedji“ przyjęte z niemiejszym zapalem. O tych odczytach mało się dowiadujemy z książki p. Hoesicka. Nie panuje w niej wprawdzie zupełne milczenie, skoro w *nocie* na str. 107 autor wspomina o nich z mylną datą r. 1881 (zamiast 1882), ale zasługiwały one na większe wyróżnienie i dokładniejsze omówienie. Chronologiczne miejsce dla ich omówienia byłoby na str. 140 tomu drugiego. Ale widocznie myśl autora krążyła już około Sobieskiego i jego jubileuszowego roku. Wiążąca się z nimi działalność Tarnowskiego zajęła tak dalece uwagę autora, że zapomniał całkiem o tych odczytach o *Nieboskiej*, które nie przeszły przecież bez wielkiego wrażenia w Warszawie, jak o tem wnosić można np. z kroniki tygodniowej *Prusa* (Kuryer Warsz. z d. 4 marca 1882, № 52) lub ze sprawozdania *H. Sienkiewicza* w „Słowie“ (№ 46 r. 1882). Również „Gazeta Polska“ dała obszernie sprawozdania z tych odczytów, zakończonych „burzą oklaskow“ (ob. N-r z d. 27 lutego 1882 r.) Na dowód, że te odczyty wywołały wprost entuzjazm wśród słuchaczy, przytoczę tu tylko zakończenie ze sprawozdania *Sienkiewicza*:

„Sala ratuszowa, w której odbywały się lekcye, przedstawiała w końcu trzeciego odczytu niezwykle widok. Jasnowiedzenie poety, który tak uprzednio, a tak wyraziście streścił w potężnych a krótkich zarysach jakoby dzieje lat ostatnich i nierozwiązane a groźne zagadnienia, na które sami patrzymy,—jasnowiedzenie to, uprzytomnione wymową prelegenta, wywarło wrażenie *czegoś niezwyčajnego*. Sam też prelegent, doszedłszy do konkluzji, do nauki, płynącej z poematu, począł mówić z niezwykle zapalem, który z kolei udzielił się słuchaczom. Wzruszenie odbiło się też

na wszystkich twarzach — i cały odczyt przybrał charakter prawdziwej biesiady duchowej...“

Gdyby autor z temi słowami Sienkiewicza zestawiał był uwagi mniej lub więcej humorystyczne Prusa, a dorzucił jeszcze jakiś sąd z obozu antagonistów warszawskich, bylibyśmy otrzymali mały, ale charakterystyczny przyczynek do stanu krytyki ówczesnej literackiej w syrenim grodzie. Stanowczo byłoby to większem zbogaceniem treści dzieła, niż np. obszerne anegdoty o obrazie Matejki („Sobieski”), mało mające istotnego związku z Tarnowskim (str. 144—147). Podróż do Rzymu, oddawanie obrazu Matejki Leonowi XIII, mowa Tarnowskiego, zwiedzanie Watykanu i t. d. wszystko to zajmujące, ale za wiele zabiera miejsca w dziele ze szkodą innych, ważniejszych, trwalszych momentów życia i zasług Tarnowskiego, którym nieraz, dla braku miejsca, dostaje się ciasny kącik w nocie u dołu tekstu. Praca autora musiała być wielka; olbrzymia pracowitość Tarnowskiego na wszystkich polach: w Uniwersytecie, w Akademii, w Sejmie, w Radzie Szkolnej, na katedrze odczytów licznych po za Krakowem, w redakcyi i najczynniejszym współpracownictwie Przeglądu Polskiego — to mnóstwo słowa mówionego i drukowanego, zmuszało biografa do wyciężonych poszukiwań i zestawień, aby niczego nie przeoczyć, nie pominąć. Materiał rósł, jak lawina i nie zawsze dawał się ująć w jakieś formy, przystępne do streszczenia lub opowiadania. Autor zdawał sobie sprawę z trudności; w *Przedmowie* sam mówi o „pewnym nadmiarze cytat“ (str. XI) i zadaje sobie pytanie: „czy ich nie zawiele?“ I tak — i nie. Nie zawiele, o ile charakteryzują pisarza lub jego dzieła; ale stanowczo za wiele, ilekroć służą, jako ornament jakiegoś faktu biograficznego, który dałby się łatwo streścić i ująć w kilku zdaniach. Np. ceremonia objęcia rektoratu, powtarzający się rokrocznie, niepotrzebnie opisany jest szczegółowo (str. 169). Mowę prorektora Łepkowskiego i odpowiedź Tarnowskiego, można było krótko streścić. Podobnież skrócić można było opis uroczystego otwarcia nowego gmachu uniwersyteckiego w Krakowie (str. 190—191), bankiety, przyjęcia Arcyks. Rudolfa i t. p. i t. p. Rozumiemy dobrze, o co tu autorowi chodziło: zależało mu na tem, aby postać umiłowanego pisarza stanęła na bogatym tle współczesnych zdarzeń, uroczystości, obchodów i t. d. Tu jednak, jak z kolorami, należało postępować ostrożnie; nie łatwiejszego, jak popaść w przesadę i wywołać przesył.

Natomiast bardzo pożądane i stosowne są cytaty dosłowne z licznych krytyk i recenzyj najważniejszych dzieł Tarnowskiego.

„Cytując zdania innych—a możliwie powstrzymując się od narzucania się z własną opinią, czyniłem to rozmyślnie, z całą świadomością, w tem przekonaniu, że czytelnik tylko dobrze wyjdzie na tej metodzie, bo zamiast dowiedzieć się, co o Tarnowskim myśli jeden z jego uczniów, dowie się bez trudu, co o nim i jego pracach sądzą najświetlejsze umysły w Polsce.“

Mamy tu zebrane najważniejsze wyjątki z recenzyj najpoważniejszych u nas krytyków, jak Chlebowski, Chmielowski, Brückner i Tretiak. Otrzymujemy przegląd krytyczny dzieł Tarnowskiego najważniejszych: o Kochanowskim, Mickiewiczu, Słowackim, Krasińskim i in., o pommikowej Historii Literatury Polskiej. Nie pominął autor zdań i uwag niekorzystnych dla dzieł Tarnowskiego, nie splatał bynajmniej wieńca z samych tylko róż, brał do niego i żółte kwiecie zawodowej zazdrości; pominął tylko i słusznie, zielsko zawistnej i palącej pokrzywy, specjalnie hodowanej w ogródku politycznych wrogów Tarnowskiego.

Jak wszelka bowiem prawdziwa zasługa, tak też i czterdziestoletnia, nieznużona praca Tarnowskiego nie mogła ująć krzywdzących podejrzeń, posądzeń, nawet oszczerstw. Stary to, niedający się już chyba wypłenić chwast nasz społeczny! Czegoż-to np. na emigracji nie nakłamano o ludziach takich, jak Adam Czartoryski i Mickiewicz—a przecież żyje ich cześć w narodzie i trwa obywatelska zasługa. Ma każde nasze pokolenie swego „Ibusia“ (J. B. Ostrowski), swoich Czyńskich i Gołębiowskich. Nie dziwimy się wcale nielicznym zresztą i nienarodowym krzywdzieliom dobrej sławy Tarnowskiego. To ich poniekąd racya bytu i dowód, że coś przecie robią i znaczą, skoro Stańczyka zjadają na śniadanie, obiad i wieczerzę. Kiedy przejdą fale mętne wzburzonych politycznych namiętności i pochłoną różnego kalibru Pankracych, zostanie czysty i nietknięty granit rzetelnych zasług obywatelskich człowieka. W ich rzędzie przedewszystkiem to, w co włożył najlepszą część życia swego Tarnowski: *Historia polskiej literatury*. Nie dorywczo, ale bezstronnie i po dłuższej rozwadze, porównawszy ją z innymi pracami podobnymi, ocenił ją taki znawca, jak prof. Brückner:

„Wrażenie doby i jej cech, odmienności ludzi i czasów, znaczenie właściwe dzieł daje on, nie Chmielowski. U Tarnowskiego *dzieje się coś*, rozwija, odmienia samo przez się—podmucha historii nadyma sam żagle jego dzieła; Chmielowski pracuje znużony i schylony nad wiosłami, popychając mozolnie swą łódkę; Tarnowski roztacza barwne obrazy, daje szczęśliwe, trafne, przekonujące charakterystyki, *porywa i wzrusza* oburza się i rozrzewnia,

napomina i przestrzega—elementu osobistego, własnych przekonań, nawet jawnych predylekcyj, nieraz nawet uprzedzenia, nie pozba-
wił dzieła swego. Książkę jego czytamy z najżywszem zajęciem,
nie słabnącem mimo obszerności wykładu... Książka jego, jeśli
nie przekonywa, olśniewa i porywa nas i *nigdy też nie zestarzeje*
się, pozostanie zawsze zwierciadłem żywym i wielkiem, w którym
odbity się dzieje umysłowości polskiej z czterech wieków, pięknie
i wyraźnie.“

... „nie będę się rozwodził nad stylem Tarnowskiego: każdy
z nas zna i podziwia jego lekkość, finezyę, precyzyę, to znowu
patos, słowo silne, aż namiętne, retoryczne czasami, albo humor.
a nieraz kaustyczność i złośliwą ironię; wszędzie zaś gibkość,
łatwość, płynność, miejscami może nadto sobie folgująca.“

Gdy tak ocenia dzieło Tarnowskiego pierwszorzędnny znawca
języka polskiego i całych dziejów literatury naszej, jakże inaczej
przemawia zaciekłość stronicza:

„Tarnowskiego umysł zupełnie pozbawiony samodzielności,
nie posiadający ani jednej (!) iskry twórczej, wszystko wziął go-
towe, dogmatyczne, od drugich: idee polityczne od Szujskiego,
historyczne od Kalinki, literacko-estetyczne od Klaczki... Tar-
nowskiego wielotomowa *Historya Literatury* jest pozbawiona zu-
pełnie podziału na okresy; umysł, usiłujący ujmować zjawiska
bądź to według artystycznych lub ideowych kierunków, ustąpił
tutaj kronikarzowi, piszącemu „roczniki“ literatury, rozpadającej
się na podziały kalendarzowe; wszelkie filozoficzne pojmowanie
dziejów, syntetyczne ujęcie kierunków i prądów, zostaje w ten
sposób wykluczone.“

Dusza Tarnowskiego „nie kieruje się miłością, ani zrozumie-
niem, ani wszechogarniającą idea, lecz ciasnym, dogmatycznym,
partyjnym utylitaryzmem. To są ostatnie konsekwencye i synte-
zy, jakie wyprowadza z literatury; cele, którym podług niego
sztuka ma służyć.“

„Elementarna (!) jego dusza, oparta o poduszkę dogmatów,
śpi w gnuśności serca (!!), nie odczuwającego, co ludzkość... w gnuś-
ności umysłu, znającego trud mechanicznej (!) pracy, a nie olśnień
natchnienia; a gdy się budzi, to na to, aby gładkim, pustym fra-
zesem w gnuśności pogrążyć drugich... nawoływaniem do litera-
tury... kastratów. I *w tym duchu* wychowuje od lat trzydziestu
kilku pokolenia dojrzewające.“ (Feldman, Piśmiennictwo polskie
1880—1904, tom IV, str. 42, 49, 53).

„Tarnowski po prostu nie zdradza (!) poczucia, ani nawet prze-
czucia prawdziwych zadań krytyka literackiego, traktującego lite-

aturę jako sztukę, ni historyka, śledzącego ewolucję rodzajów. Naczelna zasada, jaką się kieruje, jest kalendarzowo-bibliograficzna. Tarnowski nie usiłuje nawet wnikać w duszę, rozpoznawać naturę czyjegoś uzdolnienia artystycznego, poznawać główne rysy indywidualności poetyckiej, jako takiej.

...„Książka przeobraża się w zbiór szkolnych wypracowań, zaopatrzone w profesorskie noty zadawalniające lub ujemne. Wypracowania niemiłosierne.

„Od pierwszej do ostatniej — na każdej stronie rozsiadł się *niedźwiedź tendencyjności* i ryczy, i mruczy, i ciężką swą łapę kładzie na każdym objawie piękna i wyjada wszystek miód... Zbyt stary, bezsilny, by zabijać, dość mocny, by szarpać i zohydzać... Rozlały się niepowstrzymane strugi namiętności stroniczych, pijany tą namiętnością mózg zatracił zdolność rozumowania i odczuwania zjawisk w istotnej ich prawdzie...“ (Feldman, *Pomniejszyciele olbrzymów*, str. 117, 120, 121).

...„Groteskowość jego pism i mów wszystkich, patos słów, efekciarstwo (!) obrazów i zupełnie elementarny, banalny poziom treści. W młodości także był farysem; ścigał mary (!), sprzyjając powstaniu, wyrażając głośne sympatyje ideałom rozmaitym, które go czyniły w salonach nader interesującym. Wielkie nazwisko i dekoratywność talentu uczyniły też z niego nietyle człowieka pozytywnie pracującego, zasłużonego (!) lub niebezpiecznego, ile *szylt* bardzo jaskrawy, wysunięty na front...“ (Feldman, *Stronnictwa i programy polityczne w Galicyi, 1907*, str. 144, 145).

„Ibuś“ *redivivus!* Odżył J. B. Ostrowski i Czyński w jednej osobie i z niepohamowaną zawziętością stara się podać w publiczne pośmiewisko i ohydę człowieka, który przez lat czterdzieści wiernie i niestrudzenie służył i służy swemu narodowi. Pan Hoesick nie wcielił tych wymyślań do swego dzieła—i zrobił dobrze; ale całkiem przemilczeć ich niepodobna. Te brednie szerzą się w druku, a chociaż fałsz sam się prędzej czy później dobieje, wspomnieć o nim, poniekąd przestrzedz przed nim—należało. Nie bez ukrytego zamiaru powtarzają się te ataki po trzykroć w trzech kolejno ukazujących się książkach tego samego pisarza. Wprawdzie trzykrotne, a nawet stokrotne wydrukowanie tego samego fałszu nie uczyni z niego prawdy, ale przecież przyłgnie coś z tego do wrażliwych, młodocianych unysłów, agitacya zrobi swoje, książki p. Feldmana więcej gimnazyastom zaimponują, niż recenzye prof. Brücknera.

Przecież nie na długo i nie u wszystkich. Znajdą się i tacy, którym nie zbraknie czasu na dokładne przypatrzenie się krzykli-

wym frazesom p. Feldmana. A wtedy, odczytawszy, za przykładem samego Brücknera, ponownie Historję Literatury Tarnowskiego, przywórzają słowom wytrawnego znawcy:

„Literatura Tarnowskiego... nie zarys to mniej lub więcej suchy..., *nie tyrazy to i frazesy...*; lecz o sztuce pisarskiej traktuje z wielką sztuką, *cieplem i zapalem*, nawodząc na myśli poważne, *podtrzymując ducha...* Po przeczytaniu tej książki rozwidnia się w głowach; ona *uczy cenić literaturę...*; nie czyni to uczony tylko, czy estetyczny, ale *obywatelski...* Obraz imponuje rozmiarami, pociąga wykonaniem, *ogrzany duchem obywatelskim i miłością prawdy...* żadna literatura słowiańska nie może się równym poszczycić.“ (Brückner, Pamiętnik literacki r. 1902, str. 476—7).

To jest głos prawdy i sprawiedliwości.

Wróćmy do książki p. Hoesicka. Zjawia się ona w porę, aby przypomnieć ogółowi samem wyliczeniem prac Tarnowskiego, ile mu zawdzięcza literatura nasza i społeczeństwo. Wierny przyjętej zasadzie, aby nie oceniać, ale zdawać sprawę z lat 40-tu trudów obywatelskich Tarnowskiego, p. Hoesick zaledwie na ostatnich stronicach drugiego tomu pozwala sobie na charakterystykę zasług jubilata. Mówi o jednolitości i niezłomności jego zasad, o człowieku charakteru i serca. I tutaj także chętnie przytacza sądy obce, aby go nie pomówiono o pochlebstwo. Zestawiając go z Szujskim pod względem jednakiej u obu odwagi cywilnej, trafnie ją określa p. Hoesick:

„Gorący patriota, który swe całe życie poświęcił służbie dla ojczyzny, a przytem szczerzy niezmiernie, nigdy się nie cofnie przed wystąpieniem w imię prawdy, choćby go to wystąpienie osobiście narazić miało, na szwank wystawić jego popularność.

O *popularitas* nie dba, tylko o dobro i pożytek rzeczypospolitej, a że krytycznie sądzi wszystkie popularne hasła, wszystko, co jest pustym, patriotycznym frazesem, a nie istotą rzeczy, więc popularnym nie jest... Nie oszczędzając siebie, przeciwnie, bardzo często się narażając... czyni wszystko, co jest w jego mocy, ażeby narodowi wskazywać właściwą drogę, ażeby go szczęśliwie przeprowadzić po wąskiej ścieżce, z których jedna zwie się obcą przemocą, a druga własną niemocą umysłową, moralną, polityczną, społeczną, ekonomiczną...“

Dzieło p. Hoesicka, pomimo przeważającego charakteru sprawozdawczego, pomimo tego, że dla wspomnianych już przyczyn, pod względem kompozycji cierpi na przeładowanie treści, spełnia przecieź bardzo dobrze postawione sobie zadanie: uświadczenia ogółu, tego ogółu, który najczęściej po śmierci dopiero uczeić

umie obywatelskie zasługi, ile światła i moralnego zdrowia zawdzięczamy Tarnowskiemu. Za siebie, ale także za wielu i dla wielu przemówił p. Hoesick i w tem zasługa jego mrówczej skrzętności i sumienności w zebraniu olbrzymiego mnóstwa ziarna zdrowego, które siał Tarnowski przez lat czterdzieści.

Pod względem zewnętrznym monografia przedstawia się wykwintnie, pomimo czcionek może zbyt oszczędnych. Dzieło ozdobione jest licznymi ilustracyami i portretami Tarnowskiego, poczynając od wizerunku czteroletniego dziecka. Na czele tomu pierwszego piękna rycina z portretu rektorskiego Matejki z podobizną podpisu. Brak nam spisu treści rozdziałów. Z umysłu, czy z przypadku, niema na końcu tomu drugiego, zamykającego treść słówka: Koniec. Życzymy autorowi, aby po latach dziesięciu, gdy nadejdzie 50-letni jubileusz St. Tarnowskiego, miał obfity materiał do tomu *trzeciego* i opracował go z takim samym pietyzmem, z taką samą dokładnością, jak oba dotychczasowe tomy.

JÓZEF KALLENBACH.

Kronika miesięczna.

Po wyborach. — Klęska na Wołyniu, Podolu i Ukrainie. — Choroby chwili. — Warszawskie Muzeum sztuk pięknych. — Z dziejów cenzury rosyjskiej w Polsce.

Wbrew przewidywaniom pesymistów, wybory zarówno w Warszawie, jak i w całym kraju, odbyły się nie pod znakiem obojętności i apatii, ale, przeciwnie, wykazały silniejsze nawet, niż w roku ubiegłym, zainteresowanie się ogółu walką o mandaty. Zainteresowanie to tłumaczyć należy udziałem w wyborach tych stronnictw i partyj, jakie poprzednio bojkotowały Izbę, tym razem zaś rozwinęły dość szeroką i żywą agitację.

W Warszawie walka toczyła się między koncentracją narodową a blokiem postępowo-żydowskim. Nikłej ilości głosów, oddanych na listę socjalno-demokratyczną, w rachubę nawet brać nie można.

Listy narodowe zwyciężyły w 8-iu okręgach, t. j. tam, gdzie ludność chrześcijańska posiadała większość choćby nieznaczną. Listy postępowe przeszły głosami żydowskimi w 4-ch okręgach, co ostatecznie wyświećla sytuację i pozwala ustalić charakter t. zw. postępu polskiego, opierającego się całkowicie na wstecznych masach żydowskich. Przebieg wyborów naogół był spokojny. Roznamiętnienie partyjne nie przekroczyło granic walki kulturalnej. Ludność Warszawy ponownie złożyła dowód swojego wyrobienia i taktu, powagi i dojrzałości do życia politycznego. Wyjawszy drobne zajścia przed Filharmonią i niefortunny wypadek, jakiemu uległ p. Krzywicki, kandydat poselski bloku postępowo-żydowskiego, w dniu prawyborów nie było żadnego dysonansu. Nie było go także i w dniu wyborów, trudno bowiem przypisywać jakąkolwiek wagę do secesyi wyborców postępowych, będącej prostą konsekwencją unieważnienia głosów, oddanych w okręgu VIII na

pp. Świętochowskiego i Krzywickiego. Unieważnienie to, dokonane na podstawie prawnej, nie może razić nikogo.

Posłami z Warszawy zostali tedy kandydaci, wysunięci przez komitet centralny, pp. Franciszek Nowodworski i Roman Dmowski, obaj dostatecznie znani ogółowi polskiemu, aby należało tu o nich szerzej mówić. Zresztą działalność ich poselska w niedługim czasie wykaże, czy wybór ich był trafny i na słusznem zaufaniu współobywateli oparty.

Poza tem przedstawicielstwo Królestwa Polskiego w nowej Izbie, aczkolwiek zmieniło się znacznie co do swego składu osobistego, ma przecież na ogół ten sam charakter, co i poprzednio. Większość mandatów znalazła się w rękach członków stronnictwa Demokratyczno-narodowego, które w ten sposób utrzymało się całkowicie przy władzy, zdobytej w kraju z łatwością w imię hasel narodowych. Nie jesteśmy zwolennikami tej wyłączności partyjnej w przedstawicielstwie narodu, którego znaczna część obywateli stoi poza wszelkimi partjami, ale nie możemy nie uznać faktu, że stronnictwo, o którym mowa, potrafiło odegrać w ostatnich dwóch latach rolę pierwszorzędną w naszym życiu zbiorowem i umiało, stojąc twardo przy swoim programie politycznym, oprzeć się na szerokich masach ludowych.

Jedynie gub. suwalska, wobec wzmagającego się ruchu narodowego litewskiego, tak nieprzyjaznego Polakom, była w r. b. niepewna, mimo, że posiadamy tam z górą 40% ludności polskiej, a nadto mamy przewagę kulturalną. Na zagrożenie to nie zwrócono jednak widocznie dostatecznej uwagi w czasie właściwym, wskutek czego przedstawicielstwo tej gubernii dostało się w ręce litwomianów, którzy, oprócz nienawiści dla wszystkiego, co polskie, żadnych innych uczuć, ani programów własnych do Izby nie wniosą, a co najwyżej poruszają w niej równoległy do projektu chełmskiego projekt odłączenia gub. suwalskiej od Królestwa.

Znacznie też gorzej, niż w roku ubiegłym, wypadły dla nas wybory na Litwie i Białej Rusi. W pierwszej Izbie mieliśmy stamtąd 13 posłów, obecnie wyszło ich z urn wyborczych tylko 10, przyczem w gub. mińskiej utraciliśmy *wszystkie* mandaty.

Fakt to niewątpliwie bardzo znamieny. Zastanawiając się nad nim, p. Wł. Studnicki w czasopiśmie swoim „Naród a państwo“ wypowiedział następującą uwagę:

„Nie słabością liczebną i materyalną żywiołu polskiego na Litwie i Rusi należy objaśnić niepowodzenie jego przy wyborach, ale *nieudolnością polityczną*. Rosyanie, Żydzi, Litwini — wszyscy występowali w imię hasel narodowych — myśmy tylko nie wystę-

powali w charakterze Polaków pod względem politycznym. Inni swą siłę materyjalną rzucali na szalę polityczną, dla nas siła materyjalna wielkiej własności zdradzała tylko chęć związków, przeciwnych naturze, z rosyjską wielką własnością lub z rządem. Nasi politycy realni mniemali, że istnieje ziemiańsko-szlachecka warstwa w Rosyi, chcieli spoić się z nią interesem klasowym, wyzbywszy się dążeń narodowych. Tymczasem szlachty rosyjskiej niema, są tylko urzędnicy w szlafrokach, dla których majątek ziemski jest tylko źródłem renty. Efektu bezpośredniego wybory na Litwie i Rusi dały nam mało. Cała ich akcja wyborcza była raczej zatuszowywaniem, nie zaś rozniecaniem, naszej świadomości narodowej na ziemiach Polski historycznej.“

Wreszcie wprost ponury jest obraz tegorocznych wyborów w kraju południowym.

Z Wołynia, Podola i Ukrainy, gdzie w rękach polskich znajduje się niemal połowa obszaru większej własności ziemskiej (gub. podolska 48,3%, wołyńska 47,9%), gdzie samych właścicieli ziemskich Polaków jest blisko 6,000, gdzie wszyscy niemal dzierżawcy i większość personelu administracyjnego — to Polacy, gdzie nadto cały niemal przemysł cukrowniczy znajduje się w rękach polskich, tam na 41 posłów do Izby państwowej wybrany został tylko jeden Polak, dr. Lisowski. W ten sposób interesy materyjalne i moralne żywiołu polskiego, tak licznie skupionego w kraju południowym, reprezentować będą chłopci, popi, biurokracya i skrajna lewica.

Taki jest ogólny wynik tegorocznych wyborów. Dowiodły one, że o ile w kraju idea narodowa postawiona jest mocno, o tyle na kresach osłabła ona znacznie, nie wskutek tego, aby roboty rusyfikacyjne poczyniły tam zbyt wielkie postępy, ale wskutek apolityczności zamieszkujących tam Polaków, wskutek ich rozbitcia, nieudolności do akcji zbiorowej, braku porozumienia i łączności.

Niewątpliwie jest w tem także i wina Królestwa. Zbyt zajęte swojemi własnymi sprawami, zbyt daleko zaawansowane w walce na miejscu, zostawiło ono „kraj zabrany“ jego własnym losom, nie czuwało nad rozbudzeniem w niem życia, nie kierowało objawami tego życia i nie starało się sprowadzić ich do łożysk odpowiednich.

Być może, zmiana ordynacyi wyborczej, przyznanie powszechnego prawa wyborczego z mniejszemi okręgami wyborczemi — wskutek czego zmniejszy się przedział, istniejący obecnie pomiędzy wyborcami a kandydatami na posłów i nastąpi łatwiejsze porozumienie — polepszy nasze szanse w kraju zabranym. Nie uwal-

nia nas to jednak bynajmniej od baczniejszego przyglądania się tamtejszemu życiu polskiemu, od pracy nad wzmożeniem jego tętna, nad politycznym uświadomieniem zarówno przedstawicieli wielkiej własności, jak i ludu, którego interesów materialnych i kulturalnych obecne przedstawicielstwo bynajmniej nie jest wyrazem pełnym i jednolitym.

Zorganizowany żywioł polski będzie siłą, która potrafi przyciągnąć szersze nawet masy chłopstwa małopolskiego, bo w chłopstwie tem żyją jeszcze dawne tradycje, ale — aby to nastąpiło — trzeba żywioł polski zorganizować.

Dziś jest on rozbity i przez to rozbitcie swoje słaby, niezdolny do życia na zewnątrz, do walki zdobywczej, która na tym terenie jest naszym posłannictwem dziejowem, jakiego zrzekać się nie mamy ani powodu, ani prawa. Placówki nasze na południu są silne i liczne. Jeżeli potrafiliśmy je zachować w okresie największego ucisku, wbrew prawom, ograniczającym nas w rozwoju i zmierzającym do wyrzucenia nas z ziemi, odziedziczonej po przodkach, to tembardziej potrafimy się na tych placówkach utrzymać obecnie, w warunkach nieskończenie lepszych.

Klęska tegoroczna nie powinna więc nas ani zniechęcać, ani kierować do odwrotu. Przeciwnie—ta lekcya surowa, jaką żywioł polski otrzymał na Wołyniu, na Podolu i na Ukrainie, a poniekąd i na Litwie, może odegrać rolę bodźca, pod którego wpływem Polacy tamtejsi rozejrzą się lepiej i dokładniej w sytuacji, zbiorą siły i pokierują niemi tak, aby w przyszłych wyborach otrzymać taką ilość mandatów, jaka należy im się nawet przy najściślejszem zachowaniu proporcjonalności narodowościowej. A należy się im z pewnością więcej, niż *jeden* mandat d-ra Lisowskiego!

*

*

*

Pauzująca u nas od dłuższego już czasu anarchia życia politycznego i społecznego, wyprowadzonego z normalnych swoich łożysk przez wstrząśnienia natury rewolucyjnej, nie mogła przejść bez śladu i dla dziedziny naszego życia moralnego. Zamęt, jaki ogarnął umysły, brak busoli, która mogłaby prowadzić rozbieżnymi nawet drogami całe społeczeństwo do jednych celów, wreszcie rozwielenienie się hysteryi, wybuchającej od czasu do czasu

w postaci typowych objawów „newrozy rewolucyjnej“ — stały się przyczyną licznych chorób moralnych, jakie w tej chwili trapią naszą skołataną i wyczerpaną długoletnią walką z przeciwnościami losu zbiorowość, szukającą późno dróg, prowadzących do spokoju, ładu i porządku.

Najgroźniejszymi z szeregu tych chorób są w chwili obecnej — politykomania, ogarniająca młodzież szkolną i bezsensowne wiecowanie.

W sprawie polityki w szkole zabieraliśmy głos niejednokrotnie, zwracając uwagę na opłakany fakt udziału naszej młodzieży szkolnej w zajściach ulicznych, podczas pierwszego strejku powszechnego, w czasie pogromu lupanarów, wreszcie podczas wyborów. Piętnowaliśmy wówczas bez zastrzeżeń używanie młodzieży do jakichkolwiek robót politycznych przez jakiekolwiek partie. Niestety, fala wzbierającego pierwiastkami anarchii życia była o wiele silniejsza, niż głosy protestu. Młodzież szkolna, nie tylko, że nadal była używana do agitacji, ale stawała się z biegiem czasu coraz bierniejszym narzędziem — nie w ręku swoich naturalnych przewodników w osobach rodziców, nauczycieli i wychowawców, ale w ręku wykwalifikowanych agitatorów partyjnych, którzy śmiałym krokiem wkroczyli do prywatnej szkoły polskiej i wnieśli do niej ferment walki politycznej. Młodzież naszych szkół podzieliła się na obozy, na partie, na stronnictwa i rozpoczęła nietylko walkę „o zasady“ pomiędzy sobą, ale też i walkę z powagą szkoły i z jej ustrojem. Karność znikła. Reformatorowie wychowania domagali się udziału uczniów w radach pedagogicznych i uczniów do tych rad w niektórych szkołach dopuszczono. Doszło wreszcie do takiego rozluźnienia i rozpasania, iż obecnie Związek nauczycielski widział się zmuszonym ogłosić publicznie protest przeciw wprowadzaniu polityki do szkoły. Protest ten jest tem charakterystyczniejszy, że pochodzi od instytucji, która w początku swego istnienia była organizacją na wskroś polityczną, utworzoną na wzór Związków rosyjskich i oddającą się dobrowolnie pod komendę Związku Związków. Widocznie więc miara się przebrała.

„Młoda szkoła polska — czytamy między innymi w tym proteście — znalazła się od samego początku w warunkach niesłychanie ciężkich i trudnych. Społeczeństwo znajdowało się i pozostaje dotąd w stanie rewolucji, nowa szkoła nie miała nigdzie warunków do szybkiego i pomyślnego urzeczywistnienia swoich ideałów. To też po dziś dzień jest ona chora. Miała ona jednak prawo oczekiwać od społeczeństwa, jako od tej potęgi, która szkołę tę utworzyła, pomocy i współdziałania w sprawie dążenia do zakre-

ślonego ideału; miała prawo oczekiwać, że społeczeństwo będzie ręką w rękę ze swoją szkołą pracowało nad odsunięciem od niej wszystkiego, co złe, niepotrzebne lub przedwczesne, nad stworzeniem pożądanych warunków pracy tej szkoły dla dobra przyszłych pokoleń.“

Zdaniem Związku—szkoła polska zawiodła się na społeczeństwie.

„Partye nasze polityczne—czytamy nieco dalej—zaczęły się ubiegać o wpływy w szkole i nie poprzestając na nauczycielach, werbować sobie zapalonych, bezwzględnych i zapamiętałych sojuszników w dzieciach.“

Wobec tego Związek z najzupełniejszą słuszością protestuje: przeciw wprowadzaniu jakiegokolwiek polityki w życie szkoły polskiej, przeciw odrywaniu jej od nauki, przeciw wyzyskiwaniu w sposób niegodny najlepszych instynktów dusz młodocianych, przeciw podsuwaniu jej przykładów i obrazów wstrętnych, przeciw rzucaniu w nią żarzewia namiętności politycznych i walk partyjnych, przeciw marnowaniu i psuciu przez społeczeństwo tego, co to samo społeczeństwo kosztem ofiar i wysiłków niezmiernych zdobyło.

„Wzywamy niniejszem—kończy rozesłana do wszystkich pism odezwa—wszystkie nasze korporacye społeczne, wszystkich ludzi tak samo myślących, wszystkich rodziców i nauczycieli i samą młodzież, o którą tu chodzi, do przyłączenia się do naszego protestu.“

Ani na chwilę nie wątpimy, że wszystko, co tylko w społeczeństwie naszym trzeźwo jeszcze myśli, podziela w zupełności zapatrywania powyższe i gorąco pragnie dla szkoły polskiej normalnego rozwoju.

Pytanie jednak, czy zarzutu, skierowanego w proteście wyłączenie przeciw społeczeństwu, nie powinna z nin także dzielić szkoła, a przynajmniej niektórzy kierownicy i niektórzy nauczyciele szkół niektórych. Wiadome są powszechnie wypadki, jakie zachodziły w pewnych szkołach, mających nietylko polityczny, ale i wprost wojowniczy charakter. Wiadome jest stanowisko zrzeszenia nauczycieli, tej „postępowej“ organizacji nauczycielskiej, walczącej z „wstecznictwem“, wiadome są dysonanse, jakie powstawały na tle politycznym, nawet w łonie rad pedagogicznych, świadomie zmierzających do rozluźnienia karności szkolnej. Niewątpliwą więc jest rzeczą, że odpowiedzialność za to, co się obecnie dzieje, ponosi także sama szkoła, jako taka i że ona, *respective* jej kierownicy, powinni przedewszystkiem zacząć od walki z polityką,

jako z tym rozkładowym pierwiastkiem, który wnosi do szkoły zamęt i rozstrój. Społeczeństwo może temu przyklasnąć, ale nie ma sił i środków do roztoczenia bezpośredniej opieki nad szkołą, musi więc oczekiwać nie tylko inicjatywy, ale i pracy w tym kierunku od tych, których postawiło na czele swoich szkół, którym powierzyło wychowanie swoich synów i córek.

Dobrzeby też uczynił Polski Związek nauczycielski, aby zamiast ogłaszać publiczne protesty, skupił raczej wszystkie swoje siły w kierunku uzdrowienia atmosfery szkolnej w zakresie, jaki dla jego członków jest dostępny.

Niech więc przedewszystkiem nauczyciele nie bawią się w uświadamianie polityczne uczniów, niech nie odczytują, jak tego były przykłady, broszur i pism agitacyjnych na lekcjach, ale starają się wszczepić w swoich uczniów przekonanie, że szkoła jest wyłącznie przybytkiem nauki i że ta nauka stoi na wyżynach, do których nie docierają odgłosy walki, toczonej przez partie i stronnictwa. Wtedy podniesiona obecna fala namiętności politycznych w szkole zacznie się stopniowo uspokajać, aż opadnie zupełnie. Wtedy młodzież, idąc za przewodem swoich nauczycieli, zrozumie, na czym polegają istotne jej obowiązki społeczne i jaka jest jej rola w społeczeństwie.

Przechodzimy teraz do drugiej *choroby chwili*. Jest nią, jak to już zaznaczyliśmy wyżej, mania wiecowania.

W ostatnich tygodniach roi się poprostu od wieców t. zw. etycznych, odbyły się więc kolejno: wiece matek, wiece córek, wiece, poświęcone reformie małżeństwa, obyczajowości i t. d. Brak jeszcze chyba tylko wiecu... niemowląt.

Doskonale i trafnie tę wiecomanię współczesną scharakteryzował *Przegląd społeczny*, pismo którego niepodobna posądzić ani o brak radykalizmu, ani o jakąkolwiek niechęć dla t. zw. postępowej inteligencji, zwołującej powyższe wiece.

„W baletowo-operowej *Rewolucyi* Tetmajera—pisze *Przegląd*—jest ustęp, w którym autorowi wyjątkowo dopisała intuicja. Wieść niesie, że rewolucja zwyciężyła i oto każdy po swojemu jej zdobycze sobie tłumaczy i własną sprawę pod nią podstawia. Młody lekarz ma projekty zbawienia ludzkości, których urzeczywistnienia oczekuje od nowego rządu. Sklepikarze cieszą się, że będzie odchodzić więcej cukru, herbaty, a nawet droższych korzeni; mężatki obiecują sobie, że pierwszy paragraf konstytucyi zagwarantuje rozwody; młodzieniec etyczny wierzy, że zniknie już miłość nielegalna; studentka rada jest, że będzie można „oddać się, komu jej

się podoba," a pensyonarka dowodzi, że czas już skończyć z kwestyą rodzenia i że powinna być stadnina matek.

„Otóż wiecująca teraz na różne tematy Warszawa ogromnie przypomina ową fantazyę poety. Jeszcze prace nie dokonane, rachunki nie ukończone, rany nie zagojone, a już po świeżem pobojowisku uwijają się tłumy maruderów—niecierpliwych a chciwych łupu. Wypełzły chmary całe karyerowiczów, szarlatanów, maniaków, komedyantów i histeryczek — każdy swą pieczeń do ognia przystawia. każdy zachwala swój specyfik, nawołuje do swego kraniku, skacze na linie i każe się podziwiać. Całe grafomaństwo wszelkich reformatorów i moralizatorów, nowelistek i feministek, które było niedawno plagą tylko warszawskich redakcyj, rozlało się teraz w potokach słów, w dziesiątkach stowarzyszeń i wieców.“

Trudno było określić trafniej istotę tego ruchu, który chce udawać ruch etyczny, a płynie korytkiem płytkiem zdawkowej sensacyi.

Na wiecach bywają tłumy, ale zbierają się tam, jak na przedstawienia humorystyczne, oczekują niecierpliwie na drastyczniejsze momenty, są niezadowolone, jeżeli takich momentów w przemówieniu danego mówcy niema.

Sprawy ważne, sprawy, nad których rozwiązaniem pracują oddawna najpotężniejsze umysły całej ludzkości, których bez pomocy głębokiej wiedzy, szerokiej nauki i rozległego doświadczenia trudno nawet dotykać—na wiecach warszawskich roztrząsają się doraźnie.

Oczywiście jest to zabawa, reforma bowiem tej lub innej instytucyi społecznej nie dokonywa się na podstawach uchwał wiecowych. Zachodzi jednak pytanie, czy zabawy takie są godziwe, czy można otumaniać niedokształcone i pełne rozmaitych fermentów umysły kobiet i dzieci (bo takie są przeważnie audytorya wieców) rozmaitemi teoryami i teoryjkami, które z życiem nic nie mają wspólnego, a bujnie lęgną się w umysłach, nastrojonych chorobliwie, rozhuśtanych i szukających podniety we wszystkim.

Wiece, prowadzone w tej formie, jak dotychczas, są karykaturą dyskusyi w poważnych kwestyach i jako takie mogą się tylko przyczynić do jeszcze większego zwyrodnienia naszej umysłowości.

Jesteśmy i tak społeczeństwem, które bardzo mało czyta, a jeszcze mniej rozważa. Pokolenie dzisiejsze wiadomości swoje o najważniejszych kwestyach czerpało zaledwie z broszur. Brak mu zupełnie przygotowania do rozstrząsania zagadnień naukowych większej wagi. Tymczasem dziś, zamiast przygotowywać się do

tego, zamiast rozszerzać na właściwej drodze horyzonty ciasnego swego widzenia, szuka ono światła w przemówieniach wiecowych.

A kto są ci mówcy wiecowi? Najczęściej maniacy lub agitatorowie, znani z innych wystąpień i na innych polach. O reformie małżeństwa mówił np. między innymi p. Hieronimko, mówiła także p. Iza Moszczeńska, na wiecu „córek“ przemawiała 12-letnia dziewczynka, córka jednego ze znanych działaczy, na innych wiecach przemawiają całe szeregi „Filipów z Konopi,“ którzy pragną zasłużyć na poklask bezkrytycznego tłumu i doczekać tej pociechy, aby ich skromne i nieznane nikomu nazwiska „zblądziły“ na łamy dzienników.

Tak się bawi, a właściwie tak ciężko choruje Warszawa współczesna w chwili, kiedy chmury, wiszące nad nią, bynajmniej jeszcze rozpedzone nie zostały.

*

*

*

Opinia Warszawy „trzeźwej,“ a poniekąd i całego kraju, poważnie jest w tej chwili zainteresowana sprawą budowy gmachu Muzeum sztuki, jako pierwszej instytucji kulturalnej, powstającej za rządów rosyjskich.

Godzi się wobec tego przypomnieć na tem miejscu w krótkości dzieje tych zbiorów, jakie są podstawą przyszłego Muzeum.

W Warszawie, jak wiadomo, istniało niegdyś Muzeum sztuk pięknych, założone na mocy ustawy o edukacji publicznej w r. 1862. Składało się ono z następujących przedmiotów: z kolekcji rycin, znajdujących się w bibliotece rządowej i szkole sztuk pięknych, z obrazów, znajdujących się w tejże szkole, z odlewów gipsowych, oraz z posągów.

Muzeum to znajdowało się pod zarządem głównego dyrektora b. Komisji wyznań i oświecenia, bezpośredni zaś dozór nad niem sprawował dyrektor honorowy. Koszty utrzymania Muzeum ponosił skarb. Obrazy i ryciny znajdowały się w salach b. Szkoły sztuk pięknych, a gipsy w lewym skrzydle gmachu uniwersyteckiego (pałacu Kazimierowskiego). W tym samym gmachu pozostało Muzeum i po zamknięciu i skasowaniu w r. 1866 Szkoły sztuk pięknych, przy jednoczesnem otworzeniu na jej miejsce Warszawskiej szkoły rysunkowej. W r. 1870 zbiory muzealne, z wyjątkiem

gipsów, przeniesione zostały wraz ze szkołą rysunkową do pałacu Paca.

Po założeniu Uniwersytetu warszawskiego, Muzeum przeszło pod zawiadywanie Kuratora Warsz. Okręgu naukowego, który w r. 1875 oddał gabinet odlewów gipsowych na użytek Uniwersytetu.

W następnym zaraz roku (1876) pałac Paca zajęty został przez Sąd okręgowy, wskutek czego Muzeum straciło swoje pomieszczenie dotychczasowe. Załatwiono się z nim krótko i węzłowato. Obrazy pozdejmowano ze ścian, spakowano i złożono na skład w specjalnie wynajętym na ten cel, a opłacanym przez Ministerjum Oświaty, pomieszczeniu. Tam w ukryciu i w towarzystwie przedających swoje nici pajaków, obrazy spoczywały do r. 1900, t. j. przez lat bez mała 25.

Przez ten czas kilkakrotnie wprawdzie była poruszona sprawa wybudowania gmachu na pomieszczenie pleśniejących dzieł sztuki, ale zawsze bezskutecznie.

Po raz pierwszy poruszono ją w r. 1885 podczas bytności w Warszawie cesarza Aleksandra III, który po przedstawieniu mu smutnego stanu Muzeum, miał jakoby wyrazić swoje zdziwienie. Przygotowano już wówczas kosztorys, zatwierdzony przez rząd gubernialny na sumę 150,000 rb., urzeczywistnienie jednak projektu rozbiło się o brak środków.

W r. 1898 zarząd miasta poruszył tę sprawę poraz drugi, występując do ówczesnego generał-gubernatora warszawskiego z prośbą o wyjednanie pozwolenia na wzniesienie kosztem miasta własnego gmachu Muzeum sztuk pięknych i na oddanie na własność miasta zbiorów muzealnych. Kosztorys obejmował mniej więcej rb. 300,000, a miasto brało na siebie obowiązek płacenia przez lat 5 po 60,000 na pokrycie tej sumy, nadto podejmowało się wypłacać corocznie po rb. 8,000 na utrzymanie Muzeum. Zapytany w tej sprawie o zdanie Kurator Warsz. Okręgu naukowego wydał opinię przychylną, poczynił jednakże następujące zastrzeżenia: 1-o, Zarząd Muzeum ma należeć do Komitetu, złożonego z przedstawicieli Warsz. Okręgu naukowego i administracji miejskiej, a dozór nad niem poruczony będzie dyrektorowi, zatwierdzonemu przez generał-gubernatora warszawskiego i 2-o, gabinet figur gipsowych ma być w określone dni otwarty na użytek studentów uniwersytetu miejscowego.

Projekt w tej formie przedstawiony został Ministerjum spraw wewnętrznych, które wszakże odpowiedziało, że podobne obciążenie miasta uważa za nieodpowiednie, że budowa Muzeum jest spr-

wą, która obchodzi nietylko Warszawę, ale kraj cały, że więc koszty tej budowy powinno ponieść całe Królestwo przy pewnym tylko współdziałaniu Warszawy, jako miasta stołecznego.

Argumenty te, na pozór słuszne, były jednak niczem więcej, jak zwykłym działaniem „na zwłokę.“

Sprawa stała w miejscu. Wreszcie w r. 1901, pragnąc położyć kres przymusowemu więzieniu dzieł sztuki i umożliwić szerszej publiczności dostęp do nich, zarząd miasta wyjednał pozwolenie na przeniesienie zbiorów na rok jeden do lokalu prywatnego przy ul. Wierzbowej, odnajętego na ten cel kosztem miasta. Pozwolenie to zostało szczęśliwie uzyskane, poczem przedłużono je i Warszawa miała sposobność poznać nareszcie zawartość pak i skrzyń, trzymanyh przez ćwierć wieku pod kluczem. Zbiory muzealne uporządkowano i rozwieszono na ścianach w lokalu, gdzie znajdują się one do chwili obecnej.

W ciągu ostatnich lat podnoszono raz jeszcze sprawę wybudowania gmachu na jednym z placów po szpitalu Dzieciątka Jezus. W r. 1905 wniesiono nawet na ten cel do budżetu miejskiego kwotę rb. 75,000. Projekt jednak utonął w aktach.

Sprawa przybrała dopiero charakter konkretny niedawno, wskutek śmierci długoletniego opiekuna i dyrektora Muzeum, ś. p. szambelana Lachnickiego, który w testamencie swoim ofiarował na rzecz Muzeum miejskiego całą swoją galeryę obrazów, z warunkiem jednak, że galerya ta przejdzie na własność Muzeum dopiero wówczas, jeżeli w przeciągu 2-eh lat nastąpi stanowcza decyzja co do wybudowania gmachu własnego, w przeciwnym zaś razie galerya zostanie sprzedana na rzecz Biura informacyjnego o nędzy wyjątkowej.

Sprawa więc postawiona jest na ostrzu noża i decyzja stanowcza musi być powzięta.

W tym celu magistrat wyznaczył już specjalną Komisję, która obraduje nad tem, gdzie postawić Muzeum, w jakim punkcie miasta i na jakim placu?

Jak zwykle w tego rodzaju komisjach zjawił się odrazu cały szereg projektów mniej lub więcej nieszczęśliwych. Jedni proponują Powiśle, inni ul. Karową, jeszcze inni pałac Prymasowski na ul. Senatorskiej i t. d.

Ze wszystkich tych projektów jedynie wybór pałacu Prymasowskiego jest o tyle o ile szczęśliwy. Zachodzi jednak poważne pytanie, czy w tej chwili jest już możność traktowania tej sprawy na serio, czy obecny właściciel tego pałacu — Zarząd wojsko-

wy—zgodzi się na ustąpienie miastu tej pięknej, półokrągłej, bardzo charakterystycznej i doskonale położonej budowli?

Drugie pytanie dotyczy tego, że skoro już była mowa o pałacu Prymasowskim, to dla czego nie wymieniono jednocześnie innych pałaców, jeszcze bardziej odpowiednich, jak np. pałacu t. zw. Namiestnikowskiego na Krakowskim-Przedmieściu, gdzie mieści się obecnie Zarząd gubernialny, bo jeżeli są widoki na otrzymanie pałacu Prymasowskiego, to dla czego niema ich być na otrzymanie innych budowli, należących obecnie do rządu na zasadzie tych samych praw, a raczej tego samego bezprawia.

Przecież, gdybyśmy mogli swobodnie dysponować pałacami, które w rozmaitych czasach ulegały konfiskacie lub wywłaszczeniu—to, doprawdy, nie mielibyśmy chyba wcale kłopotu z wyborem miejsca pod gmach Muzeum. Zdaje się jednak, że na razie są to przedwczesne nadzieje, tymczasem zaś sprawa Muzeum jest sprawą pilną.

Spróbujmy zatem rozejrzeć się po Warszawie. Jest ona rzeczywiście w tem położeniu, że o plac większy niezwykle w niej trudno, a Muzeum musi stać na placu obszernym, gdyż nie będzie ono zbudowane tylko na dziś, ale musi być gmachem, obliczonym na przyszłość.

Z placów obszerniejszych, które są w śródmieściu — a Muzeum tylko w śródmieściu stać może—nastęrcza się tu pod uwagę t. zw. pałac Karasia przy Krakowskim-Przedmieściu, tuż obok Kopernika. Jest to obszerna, głęboka posesya niedawno sprzedana budowniczemu-spekulantowi, p. Taubenhausem, który zamierza ją rozparcelować, a nawet przeprowadzić tamtędy nową ulicę. Przesilenie, jakie panuje obecnie, odroczyło wprowadzenie tych planów w życie. Z tej chwili należałoby skorzystać. Miasto mogłoby zaproponować p. Taubenhausemowi ustąpienie drogą zamiany na place miejskie w innych dzielnicach pewnej części tej posesyi pod budowę Muzeum. Punkt ten na gmach muzealny jest bardzo odpowiedni. Warszawa zyskałaby wielce, gdyby w najruchliwszej jej dzielnicy stanął piękny gmach instytucyi kulturalnej, szeroko otwarty w imię zasad demokratycznych dla wszystkich warstw jej ludności, która tak bardzo potrzebuje światła i nauki.

*

*

*

Czem była cenzura rosyjska dla naszego piśmiennictwa i dla naszego rozwoju duchowego — o tem wiemy dobrze, aczkolwiek nie ogarniamy całokształtu tych krzywd, jakie nam rozmaitemi czasy wyrządono. Nie ogarniamy zaś dla tego, że przedewszystkiem każdy piszący *a priori* musiał się już stosować do wymagań cenzury i unikać każdego wyrazu, który nietylko mógł się niepodobać, ale nadto mógł także wpłynąć niekorzystnie na dalsze losy wydawnictwa, następnie zaś dla tego, że „czerwony atrament“ cenzora działał zwykle przed drukiem, można więc było, biorąc pismo lub książkę do ręki, zaledwie domyślać się, gdzie, co i dlaczego zostało wykreślone.

Szykany, jakim podlegała nasza literatura, nasza prasa i nasze sfery księgarsko-wydawnicze, znajdują zapewne kiedyś swego historyka, który zada sobie trud zobrazowania i zszeregowania wszystkich zasad, jakimi kierowały się władze w ocenie naszego dorobku umysłowego i duchowego. Historyk ten, który będzie już pisał swoją pracę w zgoła odmiennych warunkach, skorzysta niewątpliwie w szerokim zakresie ze słynnego katalogu książek, zabronionych przez cenzurę. Katalog ten został obecnie zniesiony przez Ministerjum spraw wewnętrznych, nie po to jednak, aby go nie było zupełnie, ale, aby każda wymieniona w nim książka została ponownie rozpatrzona i albo puszczona swobodnie w obieg, albo w dawną swoją rubrykę „na nowych zasadach“ wciągnięta.

Jaki będzie rezultat tej rewizyi — to nas w tej chwili mniej obchodzi. O wiele ciekawszą i więcej pouczającą rzeczą jest przyrzec się katalogowi w tej formie, w jakiej istniał on do niedawna i w jakiej zasłużył sobie słusznie na miano „komentarza myśli polskiej.“

Katalogowi temu poświęcił niedawno bliższą uwagę *Przegląd bibliograficzny*, wydawany przez księgarnię Gebethnera i Wolffa w Warszawie. W osobnym, obszerniejszym artykule znajdujemy tam wykaz książek, które dostały się dla tych lub innych powodów, częstokroć zgoła niezrozumiałych, na fatalny index.

Przedewszystkiem podkreślić należy, że cenzura w ciągu 26 lat swego istnienia zabroniła ogółem *z górą trzy tysiące książek polskich*, bądź w całości, bądź wykreślając z nich pewne ustępy. Liczba to wprost imponująca.

A teraz zobaczymy, jakie to były książki, jakich autorów i jakie dzieła potępiono?

Oto spis krótki najpoważniejszych nazwisk: Asnyk (*Bracia Lerche*), Berwiński Ryszard, Brodziński (*Wiesław*), Deotyma, Felicyan Faleński, Fredro (*Pan Geldhab* (!) i *Zemsta za mur grani-*

czny (!), Feliński (*Barbara* (!), Garczyński, Gaszyński, Gorecki, Gosławski, Goszczyński, Kasproicz, Klonowicz (*Ziemia czerwonej Rusi* (!), Kochanowski (*Psalterz* (!!)), Konopnicka, Korzeniowski (*Kollokacya* (!!)), Krasicki (*Wojna Chocimska* (!), Krasinski Zygmunt, Kraszewski (*Historja kolka w płocie, Kosa i kamień, Boża czeladka, Ostap Bondarczuk*), Lam (*Wielki świat Capowic*), Lenartowicz, Malczewski (*Marya* (!!)), Mickiewicz (*Konrad Wallenrod i Pan Tadeusz* w tanich wydawnictwach), Niemcewicz (*Powrót posta, Spiewy historyczne* (!), Niemojewski, Odynieć, Orzechowski (*Łacińskie Orichoviana* (!!)), Pol Wincenty, Prus Bolesław (*Drobiazgi*), Przerwa-Tetmajer, Sewer, Siemieński, Sienkiewicz (*Ogniem i mieczem i Pan Wołodyjowski* w przeróbkach dla ludu i dla młodzieży), Skarga (*Kazania sejmowe, Żywoty świętych* (!!)), Słowacki Juliusz, Syrokomla (*Ulas i Jan Dęboróg* w wydaniach popularnych), Szujski, Ujejski, Wężyk, Witwicki, Wyspiański, Zacharyasiewicz, Zaleski, Zmichowska Narcyza, Żółkowski (*Momus i Potpourri*).

To literatura piękna. W ślad zatem idzie cały szereg dzieł historycznych, uznanych za szkodliwe dla całości państwa rosyjskiego i za źle wpływające na „prawomyślność“ Polaków. Spotykamy tu Korzona *We wnętrzu dzieje Polski za Stanisława Augusta i Kościuszkę*, Kraszewskiego *Polskę w czasie trzech rozbiorów*, generała rosyjskiego Kreczetnikowa *Pamiętniki o konfederacji Barskiej*, Zajączka *Historję rewolucyi 1794 r.*, Wybickiego *Pamiętniki*, Kalinki *Sejm czteroletni*, Dębickiego *Puławy*, wszystkie pamiętniki, dotyczące 1831 r., jak Barzykowskiego, Prądzyńskiego, Dembińskiego, Dwernickiego, Kołaczkowskiego, Wężyka, Koźmiana i t. d.

Do „zakazanych“ należały również krótkie podręczniki dziejów Polski dla młodzieży i ludu, jak Chociszewskiego, Tatomira (szkolny podręcznik, używany w Galicyi), Siemieńskiego, a dalej syntezy obszerniejsze Bartoszewicza, Lelewela, Morawskiego i innych. Nie brak tu nawet *Dziejów powszechnych w zurysie...* Schlossera.

Oczywiście, ten sam los spotkał liczne studia i monografie z dziejów literatury polskiej, zwłaszcza w. XIX. Na index dostały się prace: Chmielowskiego (*Adam Mickiewicz i Estetyczno-krytyczne poglądy Mickiewicza*), Tarnowskiego, Małeckiego (*Juliusz Słowacki*), Klaczki, Treliaka (*Mickiewicz w Wilnie i Kownie*), Hecka (*Zimorowicz*) i wiele innych.

Szczególną opieką cenzury cieszyła się także geografia historyczna. Wszystko, co przypominało granice dawnej Rzeczypos-

spolitej, nawet „nudny i suchy“ opis *Starożytnej Polski Święckiego*—było zakazane.

„Polska przestała istnieć—robi od siebie słuszną uwagę *Przewgląd bibliograficzny*.—Trzy jej części: Kraj Przywiślański, Wielkie Ks. Poznańskie i Galicya nawet w nazwach swoich imienia polskiego nie znały. Po Litwie, Wołyniu, Podolu, Ukrainie w piśmiennictwie polskiem, podcenzuralnem, nawet dymu nie zostało. Nie wolno więc było wspominać o najślabszej, bodaj etnograficznej, więzi między dzielnicami.

Zakazano więc pomnikowe dzieło Kolberga *Lud*, nie puszczono do Królestwa „przewodnika“ po Krakowie, Lwowie, Poznaniu, nawet kalendarzy galicyjskich (kalendarz Maryański, lekarski krakowski, Macierzy szkolnej, katolicki krakowski, pszczelniczko-ogrodniczy). Nie udzielano debitu rocznikom i sprawozdaniom z działalności instytucyj społecznych i naukowych z za kordonu, jak np. *Rocznikom Krak. Tow. Dobroczynności*, *Krakowskiego Tow. przemysłowego*, *Tow. przyjaciół Sztuki w Krakowie*, *Towarzystwa szerzerzenia wstrzemięźliwości w Kórniku*, sprawozdaniom gimnazjalnym galicyjskim. Zwłaszcza wszystkie wydawnictwa Akademii Umiejętności w Krakowie zatrzymywano na komorze (wszystkie rozprawy, sprawozdania, roczniki, zbiory wiadomości do antropologii krajowej i t. d.). Nie oszczędzono też *pamiętników zjazdów*: historyków polskich, prawników i ekonomistów polskich, niewolno było wspominać o Zjednoczeniu polskich sił naukowych. A że nie chodziło tylko o treść, ale nawet o sam tytuł, samo imię Polski, o tem świadczy wymownie fakt, że zakazano takich wydań, jak *Przewodnik bibliograficzny* (!!), *Bibliografia polska Estreichera* (!), *Bibliografia wydawnictw ludowych, staraniem krakowskiego Koła artystyczno-literackiego* wydana.

I jeszcze jeden dział książek, zaciekle ściganych, trudno nawet zgadnąć z jakiego powodu, a mianowicie dzieła konfesyjne. Ile kazań, mów kościelnych, katechizmów, kancyonałów, Różańców Świętych, Złotych Ołtarzyków, Aniołów Stróżów, nabożeństw i t. p. mieści się na indeksie—trudno zliczyć.

Wreszcie—książki dla młodzieży. Ze książeczki, w najniewinniejszy nawet sposób wspominające naszą przeszłość historyczną, nie były dozwolone, to się samo przez się rozumie. Ale w indeksie są nadto takie dziełka, jak *Amicisa Serce*, *Swifta Podróże Guliwera*, *Foego Przypadki Robinzona Kruzoe* (!), *Beecher-Stowe Chata wuja Toma*...“

Tak wygląda katalog. Trudno zaiste przeniknąć wszystkie intencje, jakimi rządono się w cenzurze, trudno zdać sobie spr-

wę z tej metody, jaką stosowano do tępienia myśli polskiej. Kiedyś wyjaśnią to zapewne tajne cyrkularze i rozporządzenia, dzisiaj należy uznać za kardynalną zasadę i najwyższe prawo „widzimi się“ cenzora.

A jednak cała ta praca, aczkolwiek niewątpliwie wielce dla nas szkodliwa, bo prowadząca naród do zwyrodnienia umysłowego i duchowego, czego zresztą najlepszy dowód mamy w czasach obecnych, kiedy na arenę życia publicznego wystąpiło pokolenie, wychowane na literaturze cenzuralnej—cała ta praca, powtarzam, z punktu widzenia politycznego była dla rządu bezowocną.

Książka cenzuralna nie wychowała ani jednego obywatela lojalnego, gdy tymczasem płynąca szerokim strumieniem z zagranicy, przesiąkająca do nas wszystkimi porami literatura nielegalna, oraz budzący się przeciw represyom protest, wyrządziły temu rządowi bardzo poważne szkody, odbierając mu nawet tych obywateli, którzy w innych warunkach politycznych reprezentowaliby element skłonny do ustępstw i spokojny. *Cui bono*, więc dokonywano tej bolesnej operacji, tego długoletniego znęcania się nad duszą i myślą narodu, który miał swoją odrębną, wysoką kulturę i nie mógł być żadną miarą z niej wyzuty zupełnie.

Dziś, kiedy warunki uległy już zmianie, kiedy cenzura prewencyjna dla pism została zniesiona, a cenzurowanie książek nie jest już tak bezwzględne i — powiedzmy szczerze — tak bezsensowne, jak było do niedawna, kiedy wchodzimy w okres rekonstrukcji duchowej i zaczynamy odbudowywać swoją literaturę, to znaczy—z okrucichów dozwolonych tworzyć całości dawniej niedozwolone, wydawać książki, których dawniej bez narażenia na szwank wolności osobistej nie można było trzymać nawet w domowej bibliotece—dobrze jest obejrzeć się za siebie i policzyć wszystkie krzywdy, jakich doznaliśmy.

Do doskonałym przewodnikiem w ocenie tych krzywd jest urzędowy katalog książek zabronionych.

Dla głównego komitetu w Petersburgu był ten katalog w porządku, bo nikomu zapewne nie przyszło tam do głowy sprawdzić, czy książka słuźnie, czy niesłusznie znalazła się na indeksie. Gdy jednak obecnie przyjdzie do ponownego rozpatrzenia książek i pism zakazanych — gdy cała zawartość tego katalogu, może z bardzo tylko małymi wyjątkami, stanie się najzupełniej cenzuralną — wówczas wyjdzie na jaw cała bezcelowość tej długoletniej szynki.

Rząd za cenzurowanie książek polskich płacił setki tysięcy rubli. Szczodrze uposażeni cenzorowie pełnili więc swoje obo-

wiązki gorliwie, może daleko gorliwiej, niż tego wymagała od nich racya stanu. I pełnili je po to, aby po nadejściu chwili odpowiedniej cała ich praca spadła odrazu do zera, aby po latach 26 wytrwałej działalności dowiedzieć się, że *Przygody Robinsona Kruzoa* i *Podróże Guliwera* nie zawierają nic dla państwa niebezpiecznego, że daleko więcej dla niego niebezpiecznym jest ferment anarchiczny, zawarty nie w literaturze, ale w samym życiu, któremu nie pozwalano rozwijać się normalnie, które tamowano sztucznie, wtłaczano w formy przestarzałe i nieodpowiednie, tak, że musiało ono szukać dla siebie dróg podziemnych, ukrytych i niedostrzegalnych dla oka niewtajemniczonego.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII.

Akademia Umiejętności w Krakowie podaje do wiadomości ogólnej ogłoszenie o następujących, z jej ramienia rozpisanych konkursach:

1) Konkurs z zapisu ś. p. generała Oktawiusza Augustynowicza:

Dzieje zniesienia zależności poddańczej i uwłaszczenia włościan w krajach, które niegdyś w skład byłej Rzeczypospolitej Polskiej wchodziły, poprzedzone historycznym poglądem na wytworzenie się klasy włościańskiej w dawnej Polsce, jej rozwój i stopniowy upadek, z uwzględnieniem wszelkich objawów tak w literaturze naszej, jak i w samym społeczeństwie, mających na celu polepszenie losu tej klasy.“

Temat powyższy rozdziela się na następujących pięć części:

- 1) Dzieje ludności włościańskiej w dawnej Polsce Piastowskiej, mianowicie w Wielkopolsce, Małopolsce, na Mazowszu, Kujawach i na Śląsku;
- 2) Dzieje ludności włościańskiej na Rusi i Litwie;
- 3) Dzieje zniesienia zależności poddańczej w krajach byłej Rzeczypospolitej, przyłączonych do cesarstwa rosyjskiego, z uwzględnieniem także Inflant i Kurlandyi;
- 4) Dzieje zniesienia tejże zależności w krajach przyłączonych do Królestwa pruskiego, mianowicie w Prusiech królewskich i w Ks. Poznańskim; wreszcie:
- 5) Dzieje zniesienia tejże zależności w krajach przyłączonych do Cesarstwa austriackiego.

Nagrody są następujące: a) za część 1 i 2-gą po 2,000 kor.; 6) za część 3-cią 3,200 kor.; c) za część 4-tą 2,400 kor.; d) za część 5-tą 2,800 kor. Opracowania należy nadsyłać do 31 grudnia 1908 r.

2) Konkurs im. Lindego, na prace w zakresie języka polskiego, zarówno leksykografii, jak gramatyki, historii języka, dyalektologii i t. p. Nagroda wynosi 675 rb. a termin konkursu upływa 31 grudnia 1908.

3) Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza niniejszem konkurs im. Józefa Majera na następujący temat:

„Obyczaj średniowieczny w Polsce od XI do końca XV wieku.“ Praca konkursowa ma się składać z dwóch części: 1) od XI do końca XIII, a 2) od XIV do końca XV wieku.

Program pracy: I. Mieszkanie, domy, zamki, wewnętrzne urządzenia i t. d.; stroje męskie i żeńskie, szlacheckie i mieszczańskie, świeckie i kościelne. II. Broń i uzbrojenie wogóle, przedewszystkiem na podstawie pieczęci. Obyczaje rycerskie, pasowanie na rycerza, turnieje, igrzyska, fortyfikacje i armaty. III. Kąpiele, łaźnie, gry towarzyskie, kości, warcaby, szachy, karty, widowiska świeckie i kościelne, wesolki; łowiectwo, sokolstwo, bartnictwo, kuchnia i napoje. IV. Dwór, hierarchia, strój króla i królowej, urzędy dworskie, obrzęd koronacyjny, ceremoniał, pogrzeby królewskie.

Wskazówki znaleźć można w dawnych dziełach Gołombiowskiego, a wogóle za wzór takiej pracy służyć powinno, zwłaszcza do drugiej i najobszerniejszej części, do, której źródła są obfitsze—dzieło Alwina Schultza: *„Deutsches Leben in XIV und XV Jahr 1892.“*

Każdy z tych działów może być przedmiotem oddzielnej na konkurs pracy, lub też każda z dwóch części obejmująca wszystkie działy.

Nagroda wynosi 2,000 koron. Termin konkursu 31 grudnia 1907.

4) Konkurs im. Mikołaja Kopernika na dwa tematy, a) Opracować stosunki klimatyczne Galicyi, ze szczególnem uwzględnieniem wpływu Karpat na wiatry i opady; b) Zbadać metodę wskazaną przez M. Schustera (patrz *Terrestrial Magnetism 1898*), lub podobną, o ile okresy zmian szerokości geograficznych podane przez Chandlera, Vrimumę i in. są istotne—czy nie. Każda z nagród wynosi 1000 kor., termin składania prac na pierwszy temat upływa w końcu lutego 1907 r., na drugi 31 grudnia 1908 r.

5) Konkurs im. Ozerwińskiego na temat: „Historya sztuki w Polsce.“ Termin upływa dn. 31 grudnia 1907 r., nagroda wynosi 1000 rb.

6) Konkurs im. J. U. Niemcewicza na dwa tematy: 1) „Historya ustroju królestwa kongresowego“ (1815—1830). Nagroda 2,500 fr. termin konkursu upływa 31 grudnia 1907 r. 2) „Historya obyczajów społeczeństwa szlacheckiego w Polsce w końcu XVI i na początku XVII w. w obrębie obranego terytoryum (co najmniej województwa) Rzeczypospolitej.“ Nagroda 2,500 franków. Termin 31 grudnia 1907 r. Nagroda może być podzieloną na dwie, niekoniecznie równe części.

7) Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza niniejszem konkurs z fund. ks. Adama Jakubowskiego na następujące dwa tematy: 1) „Historya ustroju Księstwa Warszawskiego.“ 2) „Monografia jednej z wybitnych osobistości polskich z epoki porozbiorowej.“ Nagroda wynosi 1,400 koron i może być podzielona na dwie, niekoniecznie równe części. Termin konkursu upływa dn. 31 grudnia 1907 r.

Prace konkursowe należy nadsyłać do Akademii Umiejętności w Krakowie bezimiennie, pod godłem, obranem przez autora, z dołączeniem koperty opieczętowanej, zawierającej wewnątrz nazwisko autora i jego adres a opatrzonej tem samym godłem.

Według § 18 Regulaminu Akademii wypłata wszelkich nagród konkursowych następuje dopiero po ogłoszeniu drukiem pracy uwiecznionej nagrodą.

8) Konkurs im. d-ra Wład. Kretkowskiego na rozwiązanie następującego zadania: znaleźć zastrzeżenie konieczne, dostateczne, różne między sobą i w najmniejszej liczbie, aby m równań różniczkowych pomiędzy n zmiennymi były całkowalnemi przez p całek. (Tu następują równania, których kształt poda kancelarya Akademii na żądanie). Nagroda wynosi 1,500 koron, termin upływa dn. 31 grudnia 1907 r.

— W estetycznej formie, jak zwykle, ukazał się tom IX wydawnictwa Towarzystwa miłośników historii i zabytków Krakowa p. t.: *ROCZNIK KRAKOWSKI*. Kierownictwo wydawnictwa spoczywa w rękach doświadczonego redaktora i znakomitego znawcy naszej przeszłości, prof. d-ra Stanisława Krzyżanowskiego. Połowę „Rocznika“ ozdobionego licznemi ilustracyami, zajmuje praca d-ra Jana Ptaśnika p. t. „Z dziejów kultury włoskiego Krakowa.“ Autor potrąca tu nie tyle o wpływy artystyczne i literackie u nas w dobie humanizmu; zajmuje go przedewszystkiem zupełnie inna dziedzina życia kulturalnego, więcej ekonomiczna i społeczna, związana z napływem Włochów w XVI w. do Polski. W początkach XVI w., dawniej przemożny wpływ bogatego niemieckiego mieszczaństwa słabnie, przeważa już polskość, bo znaczna część rodzin niemieckich się spolonizowała, niektóre nawet rody przeszły do stanu szlacheckiego i zajęły miejsce wśród magnatów. W miejsce ustępującej niemieczyzny wchodzi teraz przybysze włoscy, w większej liczbie, niż w wieku XVI i XV, kiedy przybywali do Krakowa synowie Itali, tylko jako profesorowie uniwersytetu, jako mincerze lub kierownicy żup i kopalni. Małżeństwo Bony z Zygmuntem Starym dopiero pełniło całą falangę sprytnych Włochów na północ, gdzie dorabiali się szybko fortuny i znaczenia, monopolizując w swych rękach wielki handel i trudniąc się bankierstwem. Działalność Włochów, nie zawsze uwieczniona powodzeniem, nie ograniczała się do kupiectwa i jak najkorzystniejszego wyzyskania rynków, sięgała dalej, bo nawet do industrializacji kraju dążyła, oczywiście pod protektorem ostatnich naszych Jagiellonów. Zygmunt August był zwłaszcza wielkim protektorem przemysłu artystycznego, na jego czasy przypadają próby założenia fabryk wyrobów majolikowych w Krakowie. Włosi zwrócili uwagę na żupnictwo, poszukiwali kruszców, zakładali huty żelazne i fabryki broni. Niestety, małe tylko rezultaty przyniosła praca na tem polu. Na innem polu położyli jednak wielkie zasługi t. j. na polu urzędzenia w Polsce poczt, które Włosi, jak Provana i Montelupowie, w Polsce założyli. Autor daje nam obraz rodzin znaczniejszych włoskich w Krakowie, jak Soderinich, Montelupieh, Celariach, Cezarych i wielu innych, mających znaczenie w naszej historii. Niestety, jak wynika z pracy p. Ptaśnika, wpływ Włochów był częściej ujemny niż dodatni, zwłaszcza ich ruchliwość przyczyniała się do łatwego porzucania kraju, który dał im gościnę i majątek. Po zubożeniu się i wyssaniu rynku, porzucali Polskę i Kraków, powodując w ten sposób ubożenie kraju przez wyprowadzenie gotówki za granicę. Praca p. Ptaśnika, napisana nadzwyczaj interesująco, pełna nowych

szczegółów, jest cennym dorobkiem naukowym na polu badań XVI w. Z innych prac pomieszczonych w „Roczniku“ zwracają uwagę dwie prace p. St. Tomkowicza p. t.: „Kollątajowski plan Krakowa z r. 1785“ i „Plan rynku krakowskiego“ z r. 1787; p. Adama Chmiela studjum sfragistycznie p. t. „Pieczęć wójtowska krakowska z drugiej połowy XIII w.“ pp. Hendla i Koperę wiadomość o „Resztkach murów romańskich w kościele św. Jana“ i ś. p. Fr. Piekosińskiego rzecz o „O sali gotyckiej w kamienicy hetmańskiej w Krakowie.“

— Towarzystwo miłośników historyi w Warszawie wydało właśnie zeszyt I tomu IV-go PRZEGLĄDU HISTORYCZNEGO. Na treść tego zeszytu składają się następujące prace: p. L. Gumłowicz dał krótką, ale interesującą pracę p. t. „Socjologia a państwo Hamurabbiego,“ która jest przyczynek do tego najdawniejszego, a niedawno dopiero odkrytego pomnika prawodawczego. Krótkim również szkicem, ale interesującym, jest polemika p. Brücknera z p. Bruchnalskim w sprawie „Piasta,“ co dziś jest przedmiotem zaciekawienia żywego naszych starożytników. Następnie znajdujemy dwa bardzo ciekawe i głębokie studia, które w następnych zeszytach „Przeglądu“ znajdą swój koniec, a mianowicie: p. M. Handelsman dał studjum historyczno prawne o przywileju piotrkowskim z r. 1388, zaś p. Ign. Tad. Baranowski początek pracy p. t. „Z dziejów feudalizmu na Podlasiu, — o państwie Rajgrodzko-Goniądzkiem xx. Radziwiłłów w pierwszej połowie XVI w.“ P. Rumbold z Połocka daje dokończenie bardzo ciekawej i z literackim zacięciem pisanej pracy p. t. „Rafał Korsak, metropolita Rusi.“ Nadto spotykamy dokończenie pracy p. N. Michalewicza p. t. „O prawie przyzwalania krewnych na pozbywanie nieruchomości w Wielkopolsce aż do ustawodawstwa Kazimierza W-go,“ studjum bardzo sumienne, poważne i o doniosłych rezultatach, pozwalające rokować piękne nadzieje o młodym badaczu. Z drobnych a cennych przyczynków spotykamy p. Al. Kraushara wiadomość „O paru ciekawych rękopisach Biblioteki ces. publicznej w Petersburgu“ i J. Zakrzewskiego o „Czasopiśmiennictwie polskiem na emigracyi.“ Prócz działu miscellaneów i kroniki Towarzystwa, spotykamy ciekawy artykuł uczonego profesora rzymskiego uniwersytetu p. J. Tomasetti'ego p. t. „Przeгляд najnowszej historyografii włoskiej—wieki średnie.“

— KANT PO POLSKU. Nakładem Polskiego Towarzystwa filozoficznego we Lwowie, pojawiło się, jako II tom Wydawnictw Towarzystwa, dzieło Kanta p. t.: „Uzasadnienie metafizyki moralności“ (Grundlegung zur Metaphysik der Sitten) w przekładzie prof. lwowskiego Uniw., p. d-ra M. Wartenberga. Istnieją już po polsku główne dzieła Kanta z zakresu teorii poznania, jak „Krytyka czystego rozumu“ i „Prolegomena“; z pism *etycznych* Kanta, które dla całości kształtu jego filozofii tak zasadnicze posiadają znaczenie, nie mieliśmy dotąd w przekładzie żadnego. Lukę tę wypełnia niniejsze dzieło. Pierwsze, w porządku czasowym, z kantowskich pism etycznych, traktuje o najwyższej zasadzie moralności, o t. zw. „kategorycznym imperatywie,“ i rozwija bardzo do-

niosłe pojęcie państwa celów, które Kant w późniejszych swych dziejach etycznych, jak w „Krytyce praktycznego rozumu“ i w „Metafizyce moralności“ pominął. Jest to więc jedna z podstawowych prac z dziedziny etyki kantowskiej. Cena 1 kor. 50 hal.

PRZEGLĄD CZASOPISM.

— EKONOMISTA. Kwartał IV. B. Chomicz: Pożary a samorząd;—Z. Grotowski: Rozwój instytucyj dobroczynnych w Warszawie;—C. Łągiewski: O spółkach wiejskich w Galicyi;—B. Wasiutyński: IV zjazd prawników i ekonomistów polskich;—A. Szczepański: Listy z Niemiec;—Kronika;—Kronika współdzielcza—Kronika finansowa;—Ruch cen i kursów;—Rozbiory i sprawozdania;—Przeгляд czasopism;—Bibliografia.

— KRYTYKA. Styczeń. (f.) Odwieczna baśń;—St. Wyspiański: Śmierć Ofelii;—Dr. Z. Daszyńska-Golińska: Utopia najbliższej przyszłości (samodzielność ekonom. ziem polskich);—Maurycy Zych: Nokturn;—Ostap Ortwin: „O Skalce“ Wyspiańskiego;—M. Szarota: Z najnowszej publicystyki historycznej;—Tad. Nalepiński: Antychryst;—A. N. Nowaczyński: Galarda polska. Pienia chóralne;—Aleksander Axer: W sprawie zadań organizacyj etycznych młodzieży;—Józef Ruffer: Na morzu;—Wilhelm Feldman: Ruch chrześcijańsko-społeczny w Galicyi;—Międzynarodowa ankieta w sprawie polskiej. E. Fournier, redaktor „Revue Socialiste“ w Paryżu. J. Renaich, deput w Paryżu. Ch. Seignobos, prof. Sorbony w Paryżu;—Z miesiąca;—Sprawozdania naukowe i literackie.

— KWARTALNIK TEOLOGICZNY. Zesz. I i II. Dr. J. Bieliński: Wydział teologiczny królew. warsz. Uniwersytetu, 1817—1831). Zarys hist.;—Ks. prałat St. Chodyński: Biskupi sufragani wrocławscy;—Ks. dr. Fr. Gabryl: Realizm i nominalizm w dziejach filozofii (dok.);—Ks. Ł. Janczak: Z dziejów klasztoru księży Trynitarzy w Orszy (c. d.);—Ks. dr. Fr. Gabryl: Dusza w psychologii najnowszej (dok.); Ks. A. F. Sobalski: Listy znakomitych mężów w XVI, w r. 1578 zebrane w trzy księgi przez biskupa St. Karnkowskiego;—Ks. L. Jaroński: O godności stanu kapłańskiego i wypływających stąd obowiązkach kapłana, praca konkursowa (c. d.);—Ks. A. Szaniawski: Księga praw najstarsza w świecie. Kodeks Hamurabiego, króla Babilonu (c. d.);—Ks. dr. J. N. S.: Listy otwarte do księży Maryawitów, Mankietnikami zwanych;—Ks. A. Szaniawski: Pisma Świętego Jana od Krzyża, w przekładzie z oryg. hiszpańskiego (c. d.);—Ks. A. Szaniawski: Najnowsze odkrycia w teorii budowy Psalmów (c. d.);—Ks. A. Szaniawski: Słownik biblijny wedle najnowszych wzorów franc. angielsk. i niem. (c. d.);—Krytyka i bibliografia.

— PRZEGLĄD KOŚCIELNY. Grudzień. Ks. St. Okuniewski, ks. dr. Floryan Stablewski, ks. dr. Tad. Trzcziński: Ważne źródło do historii areyb. Dunina (c. d.);—Ks. W. Michalski ze Zgrom. Misyonarzy: Hozynusz i reformacja w Polsce w latach 1551—1558 (c. d.);—Ks. dr. Jan Ciemniwski: Kształcenie charakteru (c. d.);—Ks. Ign. Adamski: Z dziejów duszy współczesnego konwertyty (c. d.);—Miscellanea;—Ruch katolicki;—Ruch literacki.

— PRZEGLĄD POLSKI. Styczeń. Nienazwany: Kazimierz. Trylogia, cz. I. Marzenie, komedia w 5 aktach; — Dr. Kazimierz Morawski: Modlitwa w starożytnym Rzymie; — Dr. Wik. Czermak: Jeszcze o Polsce pierwotnej; — Konrad Ostrowski: Listy z Francji V; — Dr. Paweł Popiel: Po zjeździe rolnym w Warszawie. Sprawy krajowe XLV; — Dr. Wł. Szajnocha: W sprawie Krajowego Zakładu Geologicznego; — Kronika literacka; — Teatr Krakowski, przez d-ra Z. Stefańskiego; — Przegl. polityczny, przez

— PRZEGLĄD POWSZECHNY. Styczeń. Malczewski Jacek i Rydel Lucyan: Twórczość malarza w odczuciu poety. 1. Kolęda, 2. Ojczyzna, 3. Los, 4. Pusta muszla; — J. Bilezewski arcyb.: Chrystus i Kościół; — J. Teodorowicz arcyb.: Broszury Szecha; — Ks. Feliks Hortyński T. J.: Nowe teorye kosmiczne; — Celina Dębicka: Z pastuszkami. Z życia tereyarzy; — Ks. Jan Urban T. J.: Cerkiew rosyjska w ostatniej dobie; — W. Gostomski: Refleksye I. Rozum nierozumiejący, wiara nie wierząca. II. Świat bez duszy; — Przegląd piśmiennictwa, przez Adolfa Chybińskiego, d-ra St. Dobrzyckiego, K. Felisia T. J., W. Gostomskiego, ks. Jana Rotha T. J., ks. Aleksandra Mohla T. J., T. Wodziakę; — Zapiski bibliograficzne; — Sprawozdanie z ruchu relig. nauk. i społecznego, przez ks. W. Wieckiego T. J., ks. J. Pawelskiego T. J. i T. Jeske-Choińskiego.

— PRZEGLĄD PRAWA I ADMINISTRACYI. Styczeń. Prof. dr. Rosenblatt: Reskrypt prokuratury generalnej o odrzucaniu zażaleń nieważności przez pierwsze instancje; — Dr. Z. Gargas: Instruktorowie stowarzyszeń przemysłowych w Galicji; — Dr. E. Till: Z dziedziny materialnej prawa konkursowego (c. d.); — Dr. I. Fischowitz: O niektórych brakach nowych ustaw procesowych lub błędem ich stosowaniu; — Zapiski literackie, przez D. G. i L.; — Kronika; — Reforma trybunału najwyższego; — Przestępstwo a przesąd; — Praktyka cywilno-wojskowa, przez d-ra Włodzim. Kozubskiego, T. A. Dolnickiego i J. M.; — Kronika karna, przez Pawła Wojtasiewicza; — Praktyka administracyjna, przez d-ra Z. Gargasa. W dodatku: Zbiór ogłoszeń firmowych Trybunałów handlowych № 1.

— ŚWIAT SŁOWIAŃSKI. Styczeń. Na początku trzeciego rocznika; — M. Zdziechowski: Zaranie rewolucyi rosyjskiej; — Michał Bakunin, Dr. Aleksander Jacimirski: Żywiół słowiański u Rumunów i walka z nim idei „Jacińskiej“; — Przegląd prasy słowiańskiej; — Kronika.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

CHOTKOWSKI WŁADYSŁAW KS.: Floryan Oksza Stablewski, arcybiskup gnieźnieński i poznański. Wspomnienie pośmiertne. Kraków, 1906. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 37.

KORSPONDENCYA filozoficzna między Józefem Morawskim z (Oporowa) a Józefem Gołuchowskim (1842). Podał dr. Franciszek Chłapowski. Poznań, 1906. 8 o, str. 52.

SOKOŁOWSKI CZESŁAW Ks.: Czy Antoni Szech jest heretykiem? O piśmich Antoniego Szecha ze stanowiska dogmatycznego przez... Odbitka z „Notatek bibliograficznych.“ Warszawa, 1906. Kronika Rodzinna. 8-o, str. 15.

SYGAŃSKI JAN, Ks. T. J. Św. Stanisław Kostka, patron Lwowa. Lwów, 1906. 8-o, str. 103.

HISTORIA LITERATURY I FILOLOGIA.

DOBZYCKI STANISŁAW. Z dziejów literatury polskiej. Kraków, 1906. Spółka Wydawnicza Polska. 8-o, str. 303.

HOLLENDER KAZIMIEBZ. Niemieckie ćwiczenia stylistyczne na kl. III szkół ludowych z uwzględnieniem najważniejszych zasad pisowni. Zestawił na podstawie podręcznika szkolnego... naucz. szk. im. Czackiego w Stanisławowie. Stanisławów, 1907. Nakł. autora. 8-o, str. 38.

JÓZEFOWICZ F. L., Ks. Studya klasyczne w gimnazyach. Lwów, 1906. 8-o, str. 8.

ŁAZICA ST. Podręcznik do nauki międzynarodowego języka Esperanto. Lwów, 1906. Nakł. Tow. „Esperanto.“ 8-o, str. 114.

MAZANOWSKI ANT. Gorkij, Czechow, Wieresajew, Andrejew. Studya. Kraków, 1907. Księg. S. A. Krzyżanowski. 8-o, form. duży, str. 169.

OSTERLOFF W. Gramatyka niemiecka do użytku szkolnego. Opracował... Warszawa, 1907. Nakł. M. Arcta. Systematyczny Kurs Nauk. 8-o, str. II + 286.

THOMAS STANISŁAW. Ćwiczenia gramatyczne polskie. Ułożył... Warszawa, 1907. Nakł. M. Arcta Systematyczny Kurs Nauk. 8-o, str. 98 + V.

UŁASZYŃ HENRYK. Jakób Ciszynski, poeta łużycki. Kraków, 1906. Nakł. „Świata Słow.“ 8-o, str. 13.

WOJCIECHOWSKI KONSTANTY, DR. Dzieje literatury polskiej. Lwów, 1907. Nakł. „Macierzy Polskiej“ 8-o, str. 364.

H I S T O R Y A.

BONIECKI ADAM. Herbarz polski. Uzupełnienia i sprostowania do części I. Ułożył i wydał... Zeszyt V. Od Biesiekierscy do Bobrowie. Warszawa, 1906. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 4-o, str. od 161—200.

— Tom X. Zeszyt I. Od Kęszortowie do Kierdejowie. Warszawa, 1907. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 4-o, str. 40.

CHODYNICKI HENRYK. Sejmiki ziem ruskich w wieku XV. Lwów, 1906. Nakł. Tow. dla popierania nauki polskiej. 8-o, str. 119.

CHOŁODECKI BIAŁYNIA JÓZEF. Jeneralicya polska w powstaniu listopadowem (szkie przygodny). Lwów, 1906. Nakł. autora. 8-o, str. 66.

KALKSTEINÓWNA KAZIMIERA. Program historyi Polski w szkole elementarnej. Warszawa, 1906. Nakł. Księgarni Naukowej. 8-o, str. 19.

PAMIĘTNIKI KASZTELANA NARCYZA OLIZARA. Rok 1831. Część I. Warszawa, 1907. Bibl. Dzieł Wybor. № 466. 8-o, str. 139.

— Część II. Warszawa, 1907. Bibl. Dzieł Wybor. № 468. 8-o, str. 151.

PAPÉE FRYDERYK, DR.: Studya i szkice z czasów Kazimierza Jagiellończyka. Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, form. duży, str. 327.

SADOWSKI HENRYK. Ordery i oznaki zaszczytne w Polsce. Część II. Warszawa, 1907. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 194.

PRAWO, EKONOMIA, NAUKI SPOŁECZNE.

GARGAS ZYGMUNT, DR.: Stowarzyszenia spożywcze w Galicyi. Kraków, 1907. Spółka Wyd. Polska. 8-o, str. 70.

GIDE K.: Znaczenie idei solidarności w programie ekonomicznym. Warszawa, 1907. Biblioteka „Społem.” 8-o, str. 32.

GRABSKI WŁADYSŁAW: Materiały w sprawie włościańskiej. Cz. I, str. 87. Cz. II, str. 76. Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o.

HIBL JÓZEF ALEKSANDER, DR.: Reforma prawa małżeńskiego w Austrii. Lwów, 1907. Nakł. zgrom. separowanych katolików. 8-o, str. 47.

KULCZYCKI LUDWIK: Anarchizm w obecnym ruchu społeczno-politycznym w Rosyi. Warszawa, 1907. Wydawnictwo „Przeglądu społecznego.” 8-o, str. 81.

— Narodowa demokracja. Wydawn. „Przegl. społecznego.” Warszawa, 1907. 8-o, str. 28.

KUSZELL WŁADYSŁAW: Kapitał i ziemia. Książnica tom 7. Warszawa, 1906. 8-o, str. 131.

PRZEPISY. Nowe ... ochronne Poznańskiego Towarzystwa Zawodowego zabezpieczenia od wypadku w rolnictwie i leśnictwie obowiązujące od 1 stycznia 1907. Poznań, 1906. Nakł. Związku kat. Tow. robotn. polsk. 8-o, str. 80.

RZYMSKI TEODOR, DR.: Potrzeba i środki wykształcenia socjalnego wśród wyższych warstw z dołączeniem literatury kwestyi robotniczej. Poznań, 1906. Nakł. Ruchu chrześc.-robotn. 8-o, str. 90.

STECKI JAN: Stosunki rolne w Królestwie Polskiem, stan ich obecny, kierunek rozwoju i pożądane reformy. (Odczyt wypowiedziany w d. 3 grudnia 1906 r. na posiedzeniu sekeyi ekonomiczno-prawnej Lubelskiego Tow. Rolniczego). Lublin, 1906. 8-o, str. 44.

ZALEWSKI K.: Kwestya rolna w programach partji rosyjskiej a ruch wolnościowy w Rosyi. Warszawa, 1907. Wyd. Przegl. Społecz. 8-o, str. 21.

PEDAGOGIKA.

LUTOSŁAWSKI KAZIMIERZ. Nowe zasady pedagogiczne w wychowaniu domowem. Odczyt. Lwów, 1906. Księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 26.

O WYCHOWANIU. (Zakład Kórnicki). Poznań, 1907. Nakł. Biblioteki Kórnickiej. 8 o, str. 580.

POWIEŚĆ I DRAMAT.

BOBOWSKI FELIKS: Za nie żydowskie swaty. Komedya w 1 akcie ze śpiewami, z muzyką Wrońskiego. Poznań, 1906. Nakł. księg. A Cybulskiego. 8-o, form. mały, str. 89 + 19.

BRODOWSKI FELIKS: Drzewa. Nowele i myśli. Warszawa, 1906. Nakł. Jakóba Mortkowicza. Księg. G. Centnerszvera. 8-o, str. 138.

DOMNIK FRANCISZEK: Wigilia św. Andrzeja. Sztuka ludowa w 1 akcie ze śpiewami i tańcami. Muzyka Michała Świerzyńskiego. Wyd. II. Poznań, 1907. Nakł. księg. A. Cybulskiego. 8-o, form. mały, str. 68 + 27.

DREXLER JAN: Gwiazdka krakowska. B. m. (Nowele), str. 32.

GALASIEWICZ J. K.: Czartowska ława. Dramat ludowy w 5-iu aktach, z muzyką A. Wrońskiego. Wyd. III. Poznań, 1906. Nakł. A. Cybulskiego. 8-o, str. 248 + 48.

GOMULICKI WIKTOR: Biały sztandar. Pieśni miłościwe. Stanisławów, 1906. Warszawa, Jan Fiszer. 4-o, form. mały. str. 96.

HERBERT TADEUSZ: I. Samowładca. II. Sąd. Kraków, 1907. 8-o, str. 122.

IRZYKOWSKI KAROL: Wiersze i dramaty. Stanisławów, 1907. Warszawa, Jan Fiszer. 8-o, str. 229.

KAMIEŃSKI ANTONI: Wiosenny poranek. Z notatek lekarza waryatów, z rysunkami autora. Warszawa, 1907. Gebetlmer i Wolff. 8-o, str. 97.

MORAWSKI ADAM: Burzyciele ideałów. Warszawa, 1807. Księgarnia E. Wende i Sp. 8-o, str. 161.

OKOŁOWICZÓWNA St.: Dźwięki życia. Warszawa, 1906. Jan Fiszer. 8-o, str. 50.

PINIŃSKI MIECZYŚLAW, Hr.: Do widzenia. Powieść. Lwów, 1906. Nakł. księg. H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, form. mały, str. 179.

POECI angielscy (wybór poezyj) w przekładzie Jana Kasprowicza. Lwów, 1907. Księg. H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 456.

PRZYBYSZEWSKI STANISŁAW: „Ślub.“ Poemat dramatyczny w trzech aktach. Napisał... Toruń, 1907. W komisji księg. K. Zabłockiego. 8-o, str. 136.

SKĄPSKI BRONISŁAW: Na strugach doli. Rapsod, z rysunkami M. Dąbrowskiego. Krotoszyn, 1907. Nakł. księg. S. Strzelczyka. Kraków, S. A. Krzyżanowski. 8-o, str. 140.

TETMAJER-PRZERWA KAZIMIERZ. Poezye współczesne. Kraków, 1906. Nakł. księg. D. E. Friedleina. 8-o, str. 28.

TOKARSKI STANISŁAW: Na wzburzonej fali. Powieść współczesna. Lwów, 1906. Nakł. Maniszewskiego i Meinharda. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 202.

PUBLICYSTYKA.

FILIPOWICZ TYTUS: Czy robotnikowi potrzebną jest konstytuanta w Warszawie? Warszawa, 1907. Nakł. wydawn. „Życie.“ 8-o, str. 65.

GOSTOMSKI WALERY: Ponad stronnictwami. Warszawa, 1907. Nakł. Scweryna Saryusz-Zaleskiego. Skł. gł. księg. w E. Wende i Sp. 8-o, str. 51.

HORWITZ M. H.: W kwestyi żydowskiej. Kraków, 1906. Księg. H. Altenberga we Lwowie. 8-o, str. 100.

K. M.: Nostra Maxima Culpa czyli gorzkie żale ku odbudowaniu cudów narodowych. Jako testament spisał, a ku rozwadze społecznych i potomnych podaje... Warszawa, 1907. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 106.

KARCZEWSKA MARYA: O prawa równe i sprawiedliwe, kwestya kobieca i jej przebieg w Dumie Państwowej 1906 r. Słowem wstępnym poprzedził Antoni Szech. Warszawa, 1907. Wydawnictwo Dziennika Powszechnego. 8-o, str. V + 29.

SĘKTA SOBIESŁAW: Ostrzeżenie. W kwestyi litewskiej słów kilka. Napisał... Wilno, 1906. 16-o, str. 60.

SPRAWOZDANIE Krakowskiego Koła pomocy narodowej... z czynności za rok 1905/6. Kraków, 1906. Nakł. Tow. 8-o, str. 6.

— XIX komitetu bezpłatn. kuchni dla dziatwy szkolnej za r. 1905/6. Kraków, 1906. Nakł. komitetu. 8-o, str. 16.

SPRAWOZDANIE Krakowskiego Koła Związku pomocy narodowej... z czynności za rok 1906. Kraków, 1906. Nakł. Koła. 8-o, str. 6.

SZCZERBIEC: Wobec chwili i przyszłości. List otwarty i szczery do Rosyan i Polaków. Kraków, 1906. Nakł. autora. 8-o, str. 30.

SPIS RZECZY
ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM
z roku 1907.

H I S T O R Y A.

	Str.
PANTA KOINA, — przez <i>Aleksandra Kraushara</i>	50 i 344
POLSKA PRZED WOJNĄ SIĘDMIOLETNIĄ, — przez <i>Władysława Konopeczyńskiego</i>	457

SZKICE POLITYCZNE.

DWA ŚWIATY, — przez <i>Adama Krasieńskiego</i>	209 i 417
--	-----------

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE I EKONOMICZNE.

SOCYALIZM I SYNDYKATY ROBOTNICZE WE FRANCYI, — przez <i>M. Ł.</i>	89
Z ROZWOJU POLSKIEJ MYŚLI DEMOKRATYCZNEJ, — przez <i>Ż. Grotowskiego</i>	292

L I T E R A T U R A.

ŁUNA, powieść, — przez <i>Kazimierza Zdzichowskiego</i>	1, 236 i 428
TRZY SZARŻE, poezya, — przez <i>Jana Przysieckiego</i>	40
Z CYKLU SONETÓW MYTOLOGICZNYCH, poezya, — przez <i>Lucyana Rydla</i>	530

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

	Str.
MICKIEWICZ JAKO REDAKTOR „TRYBUNY LUDÓW,” — przez prof. <i>Józefa Tretiaka</i>	25
PRZYSZŁOŚĆ TEATRU POLSKIEGO W WARSZAWIE, — przez <i>Wł. Bogusławskiego</i>	114
KILKA LAT Z ŻYCIA SŁOWACKIEGO, — przez d-ra <i>T. Grabowskiego</i>	264 i 535
O TWÓRCZOŚCI WYSPIAŃSKIEGO, — przez <i>Józefa Kotarbińskiego</i>	314
RUCH LITERACKI W NIEMCZECH, — przez <i>Jana Kaczkowskiego</i>	496
JÓZEF CHEŁMOŃSKI, — przez <i>T. Jaroszyńskiego</i>	518

R O Z M A I T O Ś C I.

SPRAWA MEDALOWA, — przez <i>Władysława Kłyszewskiego</i>	142
WSPOMNIENIE O TOWIAŃSKIM, — przez <i>H. Mościckiego</i>	575

D Y S K U S Y A.

KWESTYA WYJAZDU KOŚCIUSZKI Z AMERYKI, w 1798 r., — przez <i>Tadeusza Korzono</i>	399
--	-----

K R Y T Y K A.

Z niwy dramatycznej. 1. PRZYBYSZEWSKI STANISŁAW: Odwieczna baśń. 2. GERMAN JULIUSZ: Więźnie, Widowisko. 3. PŁĄŻEK FELIKS: Pogrom. 4. RYDEL LUCYAN: Bodenhain, — przez <i>Antoniego Mazanowskiego</i>	170
Repertoryum zabytków przedhistorycznych Galicyi Wschodniej. Zestawił <i>Władysław Przybysławski</i> , — przez <i>Żi-nu</i>	374
MIECZYŚLAW RULIKOWSKI: Teatr polski na Litwie (1784 — 1906), — przez <i>H. M.</i>	376
WIEK XIX. Sto lat myśli polskiej. Życiorysy, streszczenia, wyjątki. Pod redakcją <i>Ignacego Chrzanowskiego</i> , <i>Henryka Gallego</i> , <i>Stanisława Krzemińskiego</i> , — przez <i>Z. D.</i>	377
BIAŁY SZTANDAR. Pieśni miłościwe <i>Wiktora Gomulickiego</i> . Warszawa, 1907, — przez <i>Z. D.</i>	381
FERDYNAND HOESICK: Życiorys <i>Stanisława Tarnowskiego</i> (1837—1907), — przez <i>Józefa Kallenbacha</i>	583

KRONIKA MIESIĘCZNA.

STYCZEŃ:

Zjednoczenie stronnictw.—Prawica i lewica.—Zebrania przedwyborcze.—Stosunki łódzkie.—Wszechsłowiańskie marzenia p. <i>Kurnatowskiego</i>	181
--	-----

	<i>Str.</i>
LUTY:	
Nieusprawiedliwiony pesymizm. — Głos trzeźwy z obozu socjalistycznego. — Pierwsze muzeum prowincjonalne w Lublinie. — Ze spraw szkolnych.	383
MARZEC:	
Po wyborach. — Klęska na Wołyniu, Podolu i Ukrainie. — Choroby chwili. — Warszawskie muzeum sztuk pięknych. — Z dziejów cenzury rosyjskiej w Polsce	594

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

STYCZEŃ	198
LUTY	403
MARZEC	611

DODATEK „PRACA.“

PRZY ZESZYCIE STYCZNIOWYM (№ 1): „Urządzenia włościan w Królestwie Polskiem w porównaniu z urządzeniami ich w Rosyi,“ — przez <i>Józefa Jeziorańskiego</i>	1
PRZY ZESZYCIE LUTOWYM (№ 2): „Stan Finansów Królestwa Polskiego,“ — przez <i>A. P.</i>	1
PRZY ZESZYCIE MARCOWYM (№ 3): „Stan Finansów Królestwa Polskiego,“ — przez <i>A. P.</i>	1



PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materiałom spraw tych dotyczącym.

TREŚĆ: Stan finansów Królestwa Polskiego, — przez A. P.

STAN FINANSÓW

Królestwa Polskiego.

(Ciąg dalszy).

Z tego, com dotąd powiedział, czytelnik powziąć musiał pojęcie o trudnościach, jakie się napotyka, gdy chodzi o wyodrębnienie finansowe tej lub owej dzielnicy. Konieczność więc zmusiła do przedstawienia w tablicach załączonych (str. 9 i 21 zeszyt poprzedni) nie *budżetowego* stanu finansów, lecz obliczeń *kasowych*, wskazujących ogół rzeczywistych wpływów i wydatków w kasach skarbowych Królestwa Polskiego. Trzymałem się granic raz przyjętego pięciolecia (1900—1904), a okres ten, zamknięty już całkowicie pod względem rachunkowym, daje możność ustalenia, nawet bez zamierzeń budżetowych, przeciętnej cyfry dochodów i wydatków Królestwa. Przy układaniu rosyjskiego preliminarza budżetowego, zamierzenia dochodów nie należących do rzędu bezpośrednich, a więc dochodów niestałych, wpisują się do preliminarza w cyfrze przeciętnej, osiągniętej na podstawie wpływów istotnych za poprzedzające rok rachunkowy, ostatnie trzy lata. Przecięcie z lat pięciu będzie obliczeniem ostrożniejszym i będę je stosował wszędzie, gdzie zajdzie potrzeba obliczeń na przyszłość, opartych na dochodach z lat poprzednich.

I.

Dochody.

Podług klasyfikacji przyjętej w budżecie Państwa Rosyjskiego, podatki i opłaty składane przez ludność Królestwa dadzą się podzielić w sposób następujący:

WYSZCZEGÓLNIENIE DOCHODÓW	R. 1866	R. 1880	R. 1894	R. 1904
	R	U	B	L
Podatki bezpośredn.	6.481.278	8.797.131	14.268.897	21.179.089
„ pośrednie .	12.466.156	29.510.300	77.362.310	53.962.942
Opłaty stemplowe i inne	900.265	2.803.913	8.857.760	10.484.138
Regalia skarbowe .	281.140	2.539.173	3.433.634	36.719.005
Dochód z dóbr skar- bowych	1.240.343	2.862.075	7.459.328	7.161.543
Ze sprzedaży dóbr skarbowych . .	—	1.195.560	420.241	425.489
Zwrot pożyczek u- dzielonych przez skarbi innych wy- datków skarbu .	2.015.355	563.709	2.029.359	2.332.710
Dochody różne i przypadkowe .	908.908	965.743	502.653	801.670
Ogółem .	24.293.448	49.237.604	114.334.182	133.066.587

Tabliczka powyższa, bez względu na to, że pewne jej oświetlenie znajdzie czytelnik w tablicy № IV (str. 15), wymaga jednak bliższych wyjaśnień, bowiem daje tylko cyfry ogólne. W tablicy № IV na str. 25 podzieloną została na rodzaje podatków i opłat i na gubernie w których wpływ nastąpił, wskazana wyżej suma 133 miliony. Atoli i ten podział nie wystarcza do otrzymania odpowiedzi na nasuwające się na pierwszy rzut oka pytanie, czem się tłumaczy tak znaczny wzrost dochodów skarbu w porównaniu z latami poprzednimi. Trzeba więc przejść do szczegółów.

Weźmy podatki bezpośrednie, które zamiast 6,5 milion. rb. wykazanych w r. 1866, dały w r. 1904 — 21 mil. rb., czyli że

w ciągu niespełna lat 40 wzrosły o 15 mil. rb. Otóż w r. 1866 rubryka ta obejmowała nowe podatki gruntowe, podatek podymny z zabudowań dworskich i ofiarę z dóbr, uchwaloną po raz pierwszy przez konstytucję noszącą datę 6 kwietnia r. 1789. Nadto figurowały tam jeszcze „opłaty gildyjne,“ przynoszące 35.647 rb. W r. 1880 przybył podatek transportowy i przemysłowy, który zastąpił dawniejszy gildyjny, w r. 1894 przejęto na skarb opłaty na utrzymanie sądów gminnych, wprowadzono podatek mieszkaniowy i podatek od dochodu z kapitałów, a w r. 1904 w liczbie podatków bezpośrednich figuruje nowy podatek od dochodu z nieruchomości miejskich, który, chociaż zastąpił tylko dawne podymne miejskie, to jednak znacznie podniósł dochód skarbu z tego źródła.

Widzimy tedy, że wprowadzono nowe podatki i opłaty takie, jakich budżet 1866 roku nie znał wcale, a nadto, że nawet takie podatki, jak gruntowy dworski i włościański, które po raz pierwszy znalazły się w budżecie Królestwa w r. 1866, oraz podymne z dworów i wsi dały w r. 1904 znaczne przewyżki po nadto, co przynosiły uprzednio.

Cofnijmy się jednak nieco wstecz, aż do ostatniego odrębnego budżetu Królestwa, a więc do r. 1866. Był to jeden z szeregu tych, w których po powstaniu r. 1863 wprowadzano przyspieszonym tempem rozliczne reformy w Królestwie: administracyjne, finansowe, oświatowe, monetarne, sądowe i t. p. Reformowano wszystko, co tylko za wymagające reformy uznał Komitet Urządzący, że zaś rozpoczęto pracę z powziętą z góry zasadą, że wszystko jest złe, więc też wszystko uległo reorganizacji, wszystko poddano zmianom radykalnym. Z reformami spieszono bardzo, a że wobec tego brakło czasu do racjonalnego opracowania reform i przystosowania ich do potrzeb i warunków miejscowych, przeto zapożyczano się u innych i brano rzeczy gotowe nie licząc się z tem, że podstawy przyjęte gdzieś indziej, nie były szczegółowo opracowane dla kraju poddanego reorganizacji. Nie uwzględniano tego, że możliwe niedokładności zasad opodatkowania mogły w państwach o odmiennym formie rządu, ulegać korzystnym zmianom pod wpływem krytyki władz reprezentacyjnych, a więc stopniowo się doskonalić. Nie myślano o tem, a uznawszy dany system za dobry, wprowadzano go bez troski o to, czy podstawy jego należą istotnie i we wszystkich szczegółach do doskonałych.

Ocena słuszności i racjonalności reform we wszystkich sferach zarządu krajem nie jest mojem zadaniem, gdyż ściśle ograniczam się do reform, dotyczących sfery podatkowej. Komitet

Urządzający zastał w kraju „ofiara” i „kontyngens liwerunkowy,” wprowadzony za czasów Księstwa Warszawskiego, i t. zw. *subsidiium charitativum* z majątków należących do duchowieństwa. Podatki te, stanowiące ówczesne podatki bezpośrednie, przetrwały do r. 1867.

Doskonałością zasad poborowych, podatki te nie odznaczały się bynajmniej. Ofiara mająca podług konstytucyi r. 1789, stanowić „część dziesiątą stałych i pewnych intrat dóbr ziemskich,” nigdy właściwie ową dziesiątą częścią nie była. Sposób obliczania intrat i niejednostajna działalność komisij lustracyjnych sprawiły, że ów podatek, mający obciążyć wszystkich w skali jednostajnej, stał się nader nierównomiernym. Jedni płacili za mało, inni za dużo. Stan taki znany był władzom b. Rzeczypospolitej Polskiej. Uchwalono nawet zorganizowanie komisyj, mających zbadać i znieść te niedokładności. Atoli do tego nie przyszło, bo wypadki końca minionego stulecia, rozstrzygnęły ujemnie o dalszym bycie politycznym Polski, i o zamierzonych reformach. Nowe rządy nie dotknęły sprawy nierównomierności podatku ofiary. Rząd pruski podwyższył tylko skalę podatku z 10 na 24%, rząd austriacki zostawił na razie dawną skalę bez zmiany, zaś Księstwo Warszawskie, przejąwszy skalę podatku wprowadzoną przez rząd pruski, zarządziło pociągnięcie do „ofiary” pewnych „intrat” zwolnionych uprzednio od tego podatku. Później, ale już za rządów Królestwa Kongresowego, bo w r. 1849, podwyższono skalę podatku o 50%. W r. 1837 opłacało ofiarę 11.473 nomenklatur dóbr ziemskich w sumie ogólnej 4.840.000 złp. W r. 1859 budżet Królestwa wykazuje już sumę ogólną 1.302.105 rb., a ostatni budżet z r. 1866, po nowem podwyższeniu skali podatkowej, przewidywał 1.909.812 rb. *Subsidiium charitativum* pobierane z dóbr duchownych, na tych samych co ofiara zasadach, przyniosło w r. 1866 skarbowi Królestwa 11,970 rb.

Co do kontyngensu liwerunkowego, to geneza tego podatku sięga czasów Księstwa Warszawskiego.

Reskrypt z 12 grudnia 1808 zarządził dostarczanie na potrzeby wojska różnych produktów w naturze, za które miano następnie płacić ze skarbu. Ubóstwo skarbu nie pozwalało na kupno furazu i żywności dla wojska. Obciążono więc ludność Księstwa powinnością, która wszakże nie miała być daremną. Atoli do tego nie przyszło i nowe prawo wydane r. 1811 (23 grudnia), dostarczanie furazu i żywności dla wojsk, zamieniło na obowiązek bezpłatny, który zaciążył na wszystkich posiadaczach ziemi. Rozkład powinności stosowano do wysiewu zbóż, z wy-

jątkiem departamentów Płockiego i Lubelskiego. W pierwszym stosowano się do rozległości dóbr, a w drugim „ofiary,” brano za podstawę do obliczania sumy powinności liwerunkowej. Formę podatku bezpośredniego nadano kontyngensowi liwerunkowemu dopiero za czasów Królestwa Kongresowego. W r. 1817 oznaczono ceny produktów dostarczanych i na tej podstawie oparto wysokość podatku, który stanowił 1.588.998 rb. Z biegiem czasu obniżono ceny produktów, co wpłynęło na zmniejszenie się sumy ogólnej podatku do 860.441 rb., a w r. 1849 (reskrypt z 18 stycznia) podwyższono znówu skalę podatku o $\frac{2}{3}$ części, opłacanego dotąd. Ostatnia ta zmiana sprawiła, że gdy przed r. 1849 cała własność ziemska w kraju płaciła 860.441 rb., to w r. 1866, grunta pozostałe przy dworach, po przeprowadzeniu uwłaszczenia włościan, wносиły do skarbu 675.246 rb. 36 k., którą to sumę widzimy w budżecie Królestwa na r. 1866. Taki stan rzeczy zastał Komitet Urządzący.

Nie był to wcale idealny stan opodatkowania bezpośredniego i niepodobna się dziwić, że reformę tego systemu podatkowego uznano za konieczną. Atoli dla słuszności dodać winienem, że *brevet d'invention* nie należy się Komitetowi. Nierównomierność w opodatkowaniu, a częstokroć i nieracjonalność w stosowaniu ówczesnych zasad podatkowych, dobrze były znane władzom autonomicznym Królestwa. Nie pomijały one sposobności do zapobiegania stronom ujemnym systemu, ale nie wszystko przeprowadzić zdołały. W r. 1858 zreformowano podatek „podymne,” opłacany z zabudowań dworskich, a w następnych latach miano zreformować podatki gruntowe.

W protokołach posiedzeń Rady Stanu mamy dowody, że sprawą tą zajmowano się pilnie. Kontroler Generalny opracował projekt reformy podatków gruntowych, a Komisya Przychodów i Skarbu złożyła Radzie Administracyjnej projekt oszacowania majątków ziemskich wespół z kontrybuentami, które to oszacowanie miało służyć za podstawę do poboru podatku od dochodu. Projekt Kontrolera był rozważany na posiedzeniu Rady Stanu 2 grudnia 1861 r., a niezatwierdzono go jedynie dlatego, że sprawy tej, jako nader ważnej, nie chciano rozstrzygać pośpiesznie bez ścisłego zbadania i szczegółowego zapoznania się z zasadami reformy projektowanej.

Słowem, władze administracyjne z epoki autonomicznej nie zasługują na zarzut, że nie znały stanu rzeczy. Przeciwnie, przygotowały projekty reform, a nie zdążyły wprowadzić ich w życie jedynie z powodu wypadków politycznych r. 1863. Oto przyczy-

ny, dla których system podatkowy w Królestwie Polskiem nie był zmieniony przez władze krajowe, a uległ reformie dopiero po roku 1865, przez zorganizowany w r. 1864 Komitet Urządzący oraz władze, które z biegiem czasu ów komitet zastąpiły.

W pierwszym rządzie przyszedł podatek gruntowy, który zastąpił dawną ofiarę. Nowy podatek obciążył grunta dworskie i włościańskie, a oparty był na wzorach pruskich. Szczegółowe dane o tym podatku mamy w dwu pracach, specjalnie podatkom bezpośrednim poświęconych¹⁾. Podatki te (gruntowy główny i dodatkowy dworski i włościański i z gruntów należących do osad) pobierane były bez uwzględnienia stanu hipotecznego dóbr niemi obciążonych i opłacają się dotąd w pewnej, z góry przepisanej, skali. Nie ulegają też zmianom zależnym od zmian w stanie hipotecznym dóbr.

Podymne dworskie i włościańskie, oparte pierwsze na ustawie r. 1883, a drugie na ustawie r. 1868, oblicza się w stosunku do ilości gruntów, należących do danej osady włościańskiej, zaś podymne dworskie pobiera się stosownie do kategorii gruntów, na których znajduje się budowla opodatkowana. Dla każdej kategorii ustalono dwie normy podatku — wyższą i niższą. Pierwsza obciąża budowlę zajęte przez właściciela budynku lub fabrykę, druga—niższa dotyczy wszystkich budowli pozostałych.

Podymne w miastach przestało już istnieć, gdyż, począwszy od r. 1904, zastąpione zostało przez „podatek od dochodu z nieruchomości miejskich.“

Podymne miejskie, które, podług ustawy r. 1858, oparte było na wysokości dochodu osiąganego przez właściciela nieruchomości miejskiej, pobierało się w ostatnich czasach (ustawa 29 marca roku 1899) w stosunku 13¹/₂ ‰ od połowy dochodu brutto z danego domu, zaś domy, które nie przynosiły brutto więcej nad 160 rb. rocznie opłacały podymne w stałej normie 8 rb. rocznie. Tak było w miastach, I, II i III-ej kategorii, zaś wszystkie miasta pozostałe, zaliczone do kategorii IV-ej, opłacały rocznie po 7 rub. z każdego domu, bez względu na dochód, jaki przynoszą.

Począwszy od r. 1904, nieruchomości miejskie zwolniono od podymnego, a natomiast pociągnięto do podatku od dochodu z nie-

¹⁾ „O podatku gruntowym dworskim w Królestwie Polskiem,“ przez A. Mikulicz-Radeckiego (Biblioteka Umiejętności Prawnych r. 1884) i „Podatki gruntowe w Królestwie Polskiem“ przez Henryka Radziszewskiego (W naszych sprawach, T. I.).

ruchomości. Podatek ten, przepisany przez ustawę wydaną 3 czerwca r. 1902, oparty został, tak samo jak podymne, na dochodzie czystym, jaki nieruchomości przynosi właścicielowi. Zachodzi wszakże ta różnica, że gdy podymne pobierano od połowy dochodu brutto, przeznaczając drugą połowę na koszt utrzymania domu, podatki i t. p. wydatki, to podatek od dochodu z nieruchomości pobiera się od dochodu obliczanego dla różnych kategorii domów i budowli, położonych w obrębie tego samego okręgu miejskiego, oraz stosownie do materiałów, z jakich budowle są wzniesione, a więc, czy są murowane, drewniane lub mieszane. Ustalono też normy potrąceń na utrzymanie i odnowę domu, oraz na niedobory spowodowane niewynajęciem lokalu. Normy tych potrąceń zatwierdza minister skarbu na okres pięcioletni. Zaś skala podatku równa się 10% od dochodu czystego.

Takimi są podstawy główne podatku przepisanego dla Królestwa, które, počawszy od roku 1904, opłaca na rzecz skarbu z nieruchomości miejskich przeszło 5 mil. rb. rocznie, gdy podymne miejskie wraz z kontyngensem liverunkowym nie przynosiło więcej nad 3 do 3,5 milionów rubli rocznie.

Wobec takich głównych zmian zaszytych w podatkach bezpośrednich, opłacanych przez ludność Królestwa, jasnymi staną się dla każdego przyczyny znacznego wzrostu etatów podatkowych wskazanych w tablicy III (str. 11).

Podaję w tej tablicy zamierzenia budżetowe wyłącznie dla podatków bezpośrednich w podziale na gubernie i powiaty, a ogół tej tablicy przekonywa, że wzrost zamierzeń nie był nader znaczny i dopiero przewidywania na r. 1904 większe są od przewidywań na r. 1900 o całe 2.500.000 rb., głównie z powodu wprowadzenia nowego podatku od dochodu z nieruchomości miejskich.

Ostateczne wywody Tablicy III, zestawione z pierwszą pozycją Tabl. IV (str. 15), przekonywują w jakim stopniu sprawdziły się przewidywania budżetowe i nietylko dla całego kraju, lecz i dla każdej gubernii w szczególności. Ogólnikowe zestawienie daje rezultaty następujące: przewidywano, że w ciągu pięciolecia 1900—1904 podatki bezpośrednie przyniosą skarbowi—ogółem 61.879.630 rb. (Tablica III), a dodać muszę, że cyfra ta jest sumą etatów obliczonych na każdy rok, wskazanego wyżej pięciolecia. Faktycznie w ciągu tegoż pięciolecia wpłynęło podług Tablicy IV (por. 1 str. i nast.)—61.840.501 rb. Wypadałoby z tego, że zaległości podatkowe z końcem roku 1904 stanowią zaledwie 40,000 rb. Tak jednak nie jest. Chociaż ludność Królestwa wypłaca się na ogół bardzo regularnie z ciężających na niej

podatków bezpośrednich, to jednak w latach: 1903, zwłaszcza zaś 1904, wniosła mniej niż przewidywano przeszło o pół miliona rubli z powodu zakłóceń politycznych i trudności natury ekonomicznej. Suma więc pół miliona rubli figuruje na zaległości częściowo do zapłacenia w roku następnym, a częściowo ratami w ciągu lat kilku w wypadkach, gdy wyjednano rozłożenie zalegającego podatku na lata następne (allewiacya).

Dla skończenia z kategorią podatków bezpośrednich dodać jeszcze muszę, że wskazane w Tablicy III (str. 11) etaty czyli przewidywania budżetowe niższe są od tych, jakie przy obliczeniach ścisłych winnyby w niej figurować. Jest to następstwem faktu, że Ukaz koronacyjny, wydany 14 (26) listopada r. 1896, obniżył na lat 10 a więc do r. 1906 o 50%, czyli do połowy, pobierany w Królestwie dodatkowy podatek gruntowy dworski, włościański i z gruntów należących do osad, oraz podatek od nieruchomości na utrzymanie sądów gminnych. Gdy na ogół redukcya tych podatków stanowi bez mała 1.200.000 rb. przeto w warunkach normalnych ludność Królestwa opłacała przed r. 1896 i opłaca znowu, poczynwszy od roku 1906, nietylko tę sumę podatków bezpośrednich, jaka jest wskazana w Tablicy III (str. 11), lecz i wskazane wyżej 1.200.000 rb. To też w preliminarzu na r. 1906 widzimy już w rubryce podatków bezpośrednich dla Królestwa Polskiego sumę 13.898.389 rb. zamiast 12.696.192 rb. przewidywanych w r. 1905 w dziale podatków gruntowych, podymnego i podatku od dochodu z nieruchomości miejskich.

Dwa następne podatki bezpośrednie wskazane w § 2 i 3 Tablicy IV (str. 15) przedstawiają dziwne zjawisko, oto pierwszy czyli podatek przemysłowy, oparty na ustawie wprowadzonej w r. 1898, stale obniża się w ciągu pięciolecia i gdy w r. 1900 widzimy sumę ogólną 7.734 587 rb., to w r. 1904 wpłynęło do skarbu 6 943.414 r. czyli mniej niż w początku pięciolecia o 800.000 rb., zaś podatek kuponowy i od dochodu z kapitałów, który w r. 1900 przyniósł 726.004 rb. dał w r. 1904 skarbowi 1.054 971 rb., czyli więcej prawie o 330.000 rubli.

Obniżanie się dochodu z podatku przemysłowego jest niewątpliwie następstwem najprzód wrzenia pośród klas robotniczych, a z biegiem lat wybuchów rewolucyjnych, które nietylko utrudniały rozwój handlu i przemysłu, ale stanowczo tamowały wytwórczość zmuszając liczne fabryki i zakłady przemysłowe do ograniczania wytwórczości, oraz do całkowitego jej zawieszania. Zmowy, zaburzenia, podwyższenia płacy zarobkowej, skrócenie godzin pracy, a przede wszystkim dezorganizacya wśród stosun-

ków robotniczo-fabrycznych i nadzwyczajne obniżenie się intensywności pracy, bez względu na podwyższenie płacy i skrócenie godzin, musiały spowodować zgubne skutki dla przemysłu i handlu, a skutki te odbiły się i na interesach fiscusa, który osiągnął mniej niż osiągał uprzednio przed pięcioleciem 1900 — 1904 roku.

Co zaś do zwiększonego dochodu z podatku od dochodu z kapitałów, to należy zwiększenie to przypisać pomnożonej liczbie papierów wartościowych, a tem samym obfitszemu dochodowi z podatku kuponowego. Nadto nie można pominąć i tej okoliczności, że wobec ogólnego zastoju handlowego i ekonomicznego, który z rokiem każdym dawał się uczuć coraz dotkliwiej, kapitaliści stawali się coraz lękliwsi, wycofywali kapitały z obrotów a lokowali je w bankach, lub innych instytucjach kredytowych, pomnażając przez to sumę podatku od dochodu z kapitałów, jaki skarb dawniej z tego źródła osiągał.

O dalszych pozycjach tablicy IV (str. 15) mówić będę w artykule następnym, gdy przyjsię wypadnie do określenia w granicach możliwej ścisłości przewidywań budżetowych dla Królestwa, nietylko co do podatków bezpośrednich, lecz i co do opłat pośrednich i wszelkich innych zawartych w tablicy IV-ej.

Tutaj w zakończeniu zestawię ostateczne wywody tablic IV i V, gdyż one dają pojęcie o *kasowym* stanie dochodów i wydatków skarbu w Królestwie Polskiem. Jest to, jak zaznaczyłem już wyżej, rezultat nie mający nic wspólnego z preliminarzem budżetowym i jego wykonaniem, gdyż daje jedynie obraz tego co kasy skarbowe Królestwa pobrały i wypłaciły faktycznie. Atoli, bez względu na taką jednostronność tych wywodów, mają one dla nas tę doniosłość, że w braku źródłowych materyałów do ułożenia zupełnego preliminarza budżetu i wskazania jak został wykonany, zmuszeni jesteśmy nieraz ustalać zamierzenie budżetowe wprost na podstawie przeciętnej cyfry wpływów z trzech czy pięciu lat poprzednich.

Ponieważ tablice załączone (IV i V) dają podział na lata i gubernie, więc tutaj ograniczę się jedynie do wywodów ostatecznych.

	1900	1901	1902	1903	1904	Ogół
	miliony rubli					miliony rubli
<i>Dochody</i>						
Zwyczajne	125	130	137	142	133	667
Nadzwyczajne	—	—	—	—	—	0,5
	125	130	137	142	133	667,5

	1900	1901	1902	1903	1904	Ogół
	miliony rubli					miliony rubli
<i>Wydatki</i>						
Zwyczajne	101	106	108	111	111	537
Nadzwyczajne	4	5	3	2	10	24
	105	111	111	113	121	561
Przewyżka <i>dochodów</i>	20	19	26	29	12	106,5

Tabelka ta daje wskazówki wspaniałe. W ciągu pięciolecia kasy skarbowe pobrały 667,5 mil. rb., a wypłaciły na potrzeby zwyczajne i nadzwyczajne 561 mil. rb., czyli że osiągnięto przewyżki w dochodach 106,5 mil. rb., a więc przeciętnie po 21 mil. rb. rocznie. Nietylko my, ale i każde inne Państwo mogłoby pragnąć takiego stanu skarbowości, by bez dochodów nadzwyczajnych (gdyż ów półmilion rubli, stanowiący zaległości zniesionego w r. 1899 podatku kwaterunkowego, niema żadnego znaczenia), a więc bez „operacyj finansowych,” bez uciekania się do kredytu, pokryte zostały wszelkie wydatki zwyczajne i nadzwyczajne i pozostała jeszcze znaczna przewyżka dochodów. Czy jednak przy bliższej analizie rezultaty powyższe nie okażą się mniej wspaniałemi? Na pytanie to, które nasunie się niewątpliwie każdemu interesującemu się skarbowością i uważnie badającemu tablice załączone — odpowiem w zeszycie następnym.

(D. c. n.)

A. P.

Tablica III.

ETATY ROCZNE PODATKÓW BEZPOŚREDNICH w Królestwie Polskiem

Za lata od 1900 do 1905 włącznie.

(Podatki gruntowe: dworski i włościański; podymne: dworskie, włościańskie i miejskie, a w r. 1904 podymne miejskie zastąpione zostało przez podatek od dochodu z nieruchomości miejskich, wreszcie podatek mieszkaniowy).

NAZWA GUBERNII I POWIATU	Etat podatków bezpośrednich					
	rok 1900	rok 1901	rok 1902	rok 1903	rok 1904	rok 1905
	R	U	B	L	E	
Gub. Warszawska						
Powiaty:						
Warszawski . . .	2270161	2351950	2943745	3052072	3469289	3681230
Błotński . . .	113591	112674	115465	122694	121736	120149
Włocławski . . .	124597	126620	147193	147317	148134	150750
Gostyński . . .	89002	88845	95592	101875	100724	107406
Grójecki . . .	144118	148277	151839	157501	149292	153912
Kutnowski . . .	100609	103539	109314	108754	103552	110535
Łowicki . . .	102322	103179	106012	107187	111893	113425
Nieszawski . . .	104191	105694	122002	115266	116230	115605
Nowo-Miński . . .	86472	88587	91291	101502	108847	105920
Płoński . . .	106941	107570	107819	112195	113085	112762
Pułtuski . . .	99733	100498	105311	109313	107595	109718
Radzyński . . .	65036	65294	66914	69903	69286	70019
Skierniewicki . . .	62366	62422	65266	65937	69090	74887
Sochaczewski . . .	88211	92361	91974	97890	93775	96912
Ogółem . . .	3557650	3657510	4319747	4469406	4887528	5123230
Gub. Kaliska						
Powiaty:						
Kaliski . . .	149669	147511	156819	160741	178857	180826
Wieluński . . .	128611	128470	130670	131022	130748	132424
Kolski . . .	108119	106889	110134	111060	112396	117687
Koniński . . .	88327	87784	89937	91190	92990	93390
Łęczycki . . .	130278	127007	131841	134430	135237	141022
Słupcecki . . .	87929	87602	88670	89018	89418	91244
Sieradzki . . .	120955	121395	127789	128679	134410	136839
Turecki . . .	105387	114245	107033	107335	107158	108386
Ogółem . . .	919275	910903	924923	953475	981214	1001818
Gub. Kielecka						
Powiaty:						
Kielecki . . .	117366	117619	126684	129133	131952	141005
Jędrzejowski . . .	86339	85799	85869	87374	87441	90974
Włoszczowski . . .	75291	76167	65529	76421	76441	77188
Miechowski . . .	120395	120268	120491	121906	126806	124354
Olkuski . . .	77724	77728	78357	79082	79062	79060
Pinczowski . . .	118440	106153	117559	118369	117038	119403
Stąpnicki . . .	106031	118134	106428	107265	107512	108416
Ogółem . . .	701586	700869	710926	719550	726253	740400

NAZWA GUBERNII I POWIATU	Etat podatków bezpośrednich					
	rok 1900	rok 1901	rok 1902	rok 1903	rok 1904	rok 1905
	R	U	B	L	E	
Gub. Łomżyńska						
Powiaty:						
Łomżyński . . .	126947	127440	131050	132249	129817	128579
Kolneński . . .	72633	79304	72223	72679	72708	72800
Mazowiecki . . .	73442	73394	76538	75105	73158	73415
Makowski . . .	63220	64396	64784	64197	64173	64029
Ostrowski . . .	74942	74888	77047	76131	75102	75630
Ostrołęcki . . .	68600	69582	70437	71182	70993	70796
Szczuczynski . .	74298	74846	74801	76012	78267	77315
Ogółem . . .	554082	557850	566880	567555	564218	562564
Gub. Lubelska						
Powiaty:						
Lubelski . . .	185378	187318	195047	199705	219338	223813
Biłgorajski . . .	73962	74470	75072	75248	75845	75924
Hrubieszowski .	108707	109046	110500	110603	111520	117742
Zamojski . . .	99800	100109	100497	101699	102392	102358
Krasnostawski .	90277	90653	90697	91889	92952	92993
Lubartowski . .	77388	78139	78235	79665	79733	79355
N.-Aleksandryj.	100789	104753	101169	101648	101838	101704
Tomaszowski . .	87883	88208	88853	88635	89550	84033
Chełmski . . .	125289	125768	127728	130817	134655	135210
Janowski . . .	94461	94937	95553	96809	96332	96473
Ogółem . . .	943934	1049250	1062851	1076728	1104155	1109605
Gub. Piotrkowska						
Powiaty:						
Piotrkowski . .	160740	160724	194158	206977	216496	226135
Będziński . . .	130575	131184	155677	200357	325618	351656
Brzeziński . . .	101252	110897	122522	126379	127478	134442
Łaski	114664	114859	127721	130500	148553	151090
Łódzki	751160	757795	993956	984271	1158674	1202337
N.-Radomski . .	143726	142116	161425	172319	175944	179749
Rawski	85195	85868	87009	91131	87901	89182
Częstochowski .	156012	157274	177932	199383	224410	240770
Ogółem . . .	1643324	1660797	2022200	2111317	2465077	2575361
Gub. Płocka						
Powiaty:						
Płocki	132023	132576	134862	136526	143430	144181
Lipnowski	120701	122039	120442	129753	123241	124944
Mławski	83086	83419	84835	86631	86869	87973
Prasnyski	65335	65333	65220	66725	66034	65975
Rypiński	99153	99209	100601	101492	102249	103101
Sierpecki	64967	65125	65132	65569	65347	66251
Ciechanowski . .	88864	88897	89913	90555	91006	91079
Ogółem . . .	654129	656598	661006	677251	678175	683504

NAZWA GUBERNII I POWIATU	Etat podatków bezpośrednich					
	rok 1900	rok 1901	rok 1902	rok 1903	rok 1904	rok 1905
	R	U	B	L	E	
Gub. Radomska						
Powiaty:						
Radomski . . .	176471	176898	187492	190215	198326	200450
Łżecki . . .	102203	102390	103968	105184	103835	105927
Kozienicki . . .	99442	99498	100527	100879	98822	99622
Koński . . .	92852	92029	94408	95507	95354	96171
Opatowski . . .	131622	132223	134645	137361	130423	138763
Opoczyński . . .	100024	100944	101209	102361	102604	102806
Sandomierski . . .	107321	107709	108207	109631	105743	110808
Ogółem . . .	809935	811691	830456	841138	835107	851547
Gub. Suwalska						
Powiaty:						
Suwalski . . .	96002	95742	98660	99082	101350	101604
Augustowski . . .	71004	71223	70978	71032	70980	71057
Władysławowski . . .	105468	105487	105389	105638	104409	104491
Wołkowyski . . .	101564	101688	102794	103157	104463	104523
Kalwaryjski . . .	90437	90344	90638	90777	90448	90162
Marjampolski . . .	128981	128906	129500	129740	129709	131880
Sejneński . . .	74970	74780	74639	74886	74002	73954
Ogółem . . .	668426	668170	672598	674312	675361	677671
Gub. Siedlecka						
Powiaty:						
Siedlecki . . .	95941	96069	100632	102032	101948	104700
Bialski . . .	77990	78575	81060	81870	83334	84420
Węgrowski . . .	78159	78245	78415	78995	78010	78325
Włodawski . . .	89850	90092	90925	91547	89288	90124
Garwoliński . . .	112747	112921	113794	114551	114655	115035
Konstantynowski . . .	71849	72188	72108	72337	72525	72486
Łukowski . . .	99798	99940	100757	102164	101776	102289
Radzyński . . .	83154	83302	84302	84458	84624	84617
Sokołowski . . .	75740	75763	76014	76227	75573	75686
Ogółem . . .	785228	787095	796007	804181	801733	807682
Ogółem z całego kraju . . .	11237569	11460733	12567594	12894913	13718821	14136382

1904 1900

Tablica IV.

DOCHODY

Królestwa Polskiego

Za lata od 1900 do 1904 włącznie.

Rok 1900.

N	porządkowy //	nazwa podatku	Gubernie		
			WYSZCZEGÓLNIENIE		
			War- szawska	Kaliska	Kiele- cka
			R U B L E		
DOCHODÓW					
Dochody zwyczajne.					
1	1	Podatki bezpośrednie: gruntowy, z nieruchomości miejskich i podymne wiejskie	3608846	945978	719212
2	2	Podatek przemysłowy (opłaty od przemysłu i handlu)	3941567	216803	170636
3	3	Podatek od dochodu z kapitałów (kuponowy i od procentów opłacanych przez banki)	604336	4558	374
4	4	Akcyza od trunków.	7434564	1751611	1185115
5	5	" " tytoniu	1031135	24609	19916
6	6	" " cukru	7412971	6740	74075
7	7	" " nafty	606947	—	—
8	8	" " zapalek	370	3	—
9	9	Dochód z ceł, pobieranych na komorach	17433384	929088	80133
10	10	Opłaty stemplowe wszelkiego rodzaju	2143267	216285	166001
11	11	" " od spadków przechodzących tytułem darmym.	1304219	264318	109587
12	12	Opłaty od pasportów	11162	4555	3191
13	13	" " podróżnych na kolejach żelazn. i ładunków za frachtem pospiesznym	351116	—	—
14	14	Opłaty od ubezpieczeń ogniowych	254464	1310	671
15	15	" różnych nazw.	499161	43840	29131
16	16	Dochody od przemysłu górniczego	52286	—	2404
17	17	Regalia rządowe: dochód z mennicy	—	—	—
18	18	" " z poczty	1519025	120907	91987
19	19	" " z telegr. i telefonu	486002	35559	28927
20	20	" " z monopolu wólczanego	4547494	1183203	842392
21	21	Różne pozycje czynszowe i dzierżawy dóbr skarbowych	172594	15159	49404
22	22	Dochód z lasów rządowych	882777	247469	414956
23	23	" " od rządowych dróg żelaznych	—	—	—
24	24	Fabryki i zakłady rządowe, instytucje techniczne i sklady	228445	3433	59173
25	25	Dochód od papierów procentowych, stanowiących własność skarbu i dochody banku państwa.	281200	2365	1105
26	26	Dochód z udziału skarbu w dochodach dróg żelaznych	1837003	—	—
27	27	Dochód ze sprzedaży rządowego majątku nieruchomego	167785	20923	28715
28	31	Opłaty obowiązujące od dróg żelaznych	—	—	—
29	32	Zwrot pożyczek i innych wydatków	577055	54763	66070
30	33	Zasiłki skarbu z funduszków postronnych	649708	19988	16156
31	35	Różne drobne dochody przypadkowe	284885	58803	31787
Ogół dochodów zwyczajnych			58323719	6172268	4191121
Dochody nadzwyczajne			135118	15591	2920
Ogółem			58458837	6188859	4194041

Rok 1900.

G u b e r n i e							
Łom- żyńska	Lubel- ska	Piotr- kowska	Płocka	Radom- ska	Suwal- ska	Siedle- cka	Ogółem
R	U	B	L	E			
556285	1071744	1596332	664437	829467	678192	803456	11473940
89338	307456	2464316	129972	195680	110770	108050	7734587
850	6175	101200	4351	1594	2440	126	726004
634763	1978086	4610192	596597	1159627	826598	986052	21163206
11853	147705	72138	15078	19822	32819	14657	1389732
6590	413539	437193	47882	19416	—	—	8418406
—	—	—	—	—	—	—	606947
—	18	130260	13	5469	—	2838	138972
1161218	28986	9126498	101152	13009	6112818	598	34986885
138826	284454	1143187	146512	199498	179672	154081	4771783
65171	234937	703990	132795	136508	96057	135251	3182833
3812	10777	9652	4011	4539	2310	8483	62493
—	—	—	—	11974	—	—	363090
389	1324	4203	997	831	573	437	265200
32439	58317	148502	73986	34012	45695	30958	996040
—	—	100679	—	111250	—	—	266619
93646	166151	622502	79946	105354	131144	87061	3017722
26532	70271	258230	27682	35880	56263	19396	1044741
412879	1281613	2786590	407108	755882	558541	649566	13425267
20076	7270	32735	10627	12235	33410	8509	362019
530646	153508	889310	210239	350083	1055207	98005	4832200
—	—	—	—	—	—	—	—
8258	12872	6034	6440	4318	5266	35276	369515
721	1932	2716	745	813	187	1366	293149
—	—	—	—	—	—	—	1837003
6410	22641	24332	13954	40660	9611	8874	343904
—	—	—	—	—	—	—	—
46664	58367	93478	56791	46804	78921	41065	1119929
14928	41489	301772	18913	23439	21441	15767	1123600
43565	52886	100544	39082	68354	50706	31851	762464
3905858	6412520	25766574	2789307	4186518	10088641	3241724	125078250
116	1181	9612	1513	21	259	4004	171335
3905974	6413701	25776186	2790820	4186539	10088900	3245728	125249585

Rok 1901.

N. porządkowy SS. budżetu państwa	WYSZCZEGÓLNIENIE			Gubernie				
	DOCHODÓW			War- szawska	Kaliska	Kiele- cka		
				R	U	B	L	E
			Dochody zwyczajne.					
1	1	Podatki bezpośrednie: gruntowy, z nieru- chomości miejskich i podymne wiejskie	3517716	933220	717112			
2	2	Podatek przemysłowy (opłaty od przemy- słu i handlu)	3506235	219100	190677			
3	3	Podatek od dochodu z kapitałów (kupo- nowy i od procentów opłacanych przez banki)	645243	5885	1999			
4	4	Akcyza od trunków	7156317	1694671	1132501			
5	5	" " tytoniu	1208073	26135	21981			
6	6	" " cukru	9959944	68448	13912			
7	7	" " nafty	857668	—	—			
8	8	" " zapalek.	4036	—	5			
9	9	Dochód z ceł pobieranych na komorach	20972417	886747	71250			
10	10	Opłaty stempłowe wszelkiego rodzaju	2472534	198339	164192			
11	11	" od spadków przechodzących tytu- łem darmym	1233405	214637	129486			
12	12	Opłaty od pasportów	10867	4614	3222			
13	13	" " podróżnych na kolejach żelazn. i ładunków za frachtem pospiesznym	360085	—	—			
14	14	Opłaty od ubezpieczeń ogniowych	234472	1202	641			
15	15	" różnych nazw	520969	41588	27621			
16	16	Dochody od przemysłu górniczego	63953	—	1421			
17	17	Regalia rządowe: dochód z mennicy	—	—	—			
18	18	" z poczty	1641450	129840	98402			
19	19	" z telegr. i telefonu	501360	37316	26207			
20	20	" z monopolu wód- czanego	4431860	1180528	810692			
21	21	Różne pozycye czynszowe i dzierżawy dóbr skarbowych	155868	11283	22966			
22	22	Dochód z lasów rządowych	752347	202821	608552			
23	23	" od rządowych dróg żelaznych	—	—	—			
24	24	Fabryki i zakłady rządowe, instytucye techniczne i sklady	65828	3498	26598			
25	25	Dochód od papierów procentowych stano- wiących własność skarbu i dochody banku państwa	281786	2818	937			
26	26	Dochód z udziału skarbu w dochodach dróg żelaznych	191229	—	—			
27	27	Dochód ze sprzedaży rządowego majątku nieruchomego	198428	24455	29988			
28	31	Opłaty obowiązujące od dróg żelaznych	—	—	—			
29	32	Zwrot pożyczek i innych wydatków	529714	53939	45360			
30	33	Zasiłki skarbu z funduszów postronnych	646941	19399	16567			
31	35	Różne drobne dochody przypadkowe	315420	48181	34690			
		Ogół dochodów zwyczajnych	62436162	6008664	4196978			
		Dochody nadzwyczajne	4827	1564	324			
		Ogółem	62440989	6010228	4197302			

Rok 1901.

G u b e r n i e							
Łom- żyńska	Lubel- ska	Piotr- kowska	Płocka	Radom- ska	Suwal- ska	Siedle- cka	Ogółem
R	U	B	L	E			
557765	1079300	1873479	666650	836467	681249	805516	11668474
91401	282400	2103843	140217	199209	106608	120530	6960220
1397	6626	120684	4653	2416	3935	566	793404
619574	1944288	4687746	588743	1087132	894382	966224	20771578
14283	144725	77497	15553	22139	32968	16253	1579607
12044	607360	219947	92278	6999	—	—	10980932
—	—	1036	—	—	—	—	858705
—	22	166999	27	3200	—	5922	180211
1434361	30373	9193859	103808	14415	6650058	1337	39358625
138090	291594	1139712	141198	199516	169508	147441	5062124
70106	194850	526645	114775	176699	89180	153924	2903707
3564	11849	9858	4463	4600	2355	8523	63906
—	—	16026	—	—	—	—	376112
618	1194	3268	967	864	486	459	244169
30532	69903	155718	77687	35640	35804	30417	1025880
—	—	91731	—	71093	—	—	228198
98621	176645	659117	82113	111581	161276	94439	3253484
26071	67242	245719	26270	31453	51153	20204	1033995
403636	1266661	2893946	406964	722515	622465	638233	13382552
21649	7864	32679	11714	17434	36204	7000	324691
467466	366559	733715	184704	729395	766865	223434	5035859
—	—	—	—	—	—	—	—
6242	8819	6499	4345	4820	6991	22178	159817
1196	1882	2127	745	814	187	1351	293842
—	—	—	—	—	—	—	191229
4965	104916	25678	14551	50076	2717	6668	462442
44585	60148	101658	55379	47301	96806	41469	1076359
1984	47722	292223	19067	20103	21395	3528	1088928
43001	55879	114298	36632	48963	49642	38881	785585
4093150	6828852	25500768	2793492	4444846	10482234	3358547	130143634
68	3649	11317	501	—	52	1648	23949
4093218	6832501	25512025	2793993	4444346	10482286	3360195	130167583

Rok 1902.

№ porządkowy	% udziału państwa	Gubernie			
		WYSZCZEGÓLNIENIE			
		War- szawska	Kaliska	Kiele- cka	
		DOCHODÓW			
		R U B L E			
		Dochody zwyczajne.			
1	1	Podatki bezpośrednie: gruntowy, z nieru- chomości miejskich i podymne wiejskie	4240624	1031553	733059
2	2	Podatek przemysłowy (opłaty od przemy- słu i handlu)	3523843	244044	181473
3	3	Podatek od dochodu z kapitałów (kupo- nowy i od procentów opłacanych przez banki)	700477	6774	2888
4	4	Akcyza od trunków	1090172	123366	40536
5	5	" " tytoniu	1164294	28648	22878
6	6	" " cukru	12385402	227177	42121
7	7	" " nafty	940609	—	—
8	8	" " zapalek	179	—	4
9	9	Dochód z cel, pobieranych na komorach	22189221	951695	61618
10	10	Opłaty stempowe wszelkiego rodzaju	2651744	212493	178012
11	11	" od spadków przechodzących tytu- łem darmym	1285463	214335	149829
12	12	Opłaty od pasportów	10555	4468	2757
13	13	" " podróży na kolejach żelazn. i ładunków za frachtem pospiesznym	375422	—	—
14	14	Opłaty od ubezpieczeń ogniowych	262470	1264	721
15	15	" różnych nazw	537471	45628	27460
16	16	Dochody od przemysłu górniczego	42074	—	—
17	17	Regalia rządowe: dochód z mennicy	—	—	—
18	18	" " z poczty	1817399	136143	103187
19	19	" " z teleg. i telefonu	520630	37574	27982
20	20	" " z monopolu wód- czanego	10762890	2779201	1845599
21	21	Różne pozycje czynszowe i dzierżawy dóbr skarbowych	212764	8588	15383
22	22	Dochód z lasów rządowych	789011	217912	707581
23	23	" od rządowych dróg żelaznych	—	—	—
24	24	Fabryki i zakłady rządowe, instytucje techniczne i składy	104371	2666	18564
25	25	Dochód od papierów procentowych stano- wiących własność skarbu i dochody banku państwa	178289	1773	1510
26	26	Dochód z udziału skarbu w dochodach dróg żelaznych	559665	—	—
27	27	Dochód ze sprzedaży rządowego majątku nieruchomego	212236	13164	24558
28	31	Opłaty obowiązujące od dróg żelaznych	—	—	—
29	32	Zwrot pożyczek i innych wydatków	647920	53378	49784
30	33	Zasiłki skarbu z funduszków postronnych	592594	7588	4730
31	35	Różne drobne dochody przypadkowe	372941	25412	16195
		Ogół dochodów zwyczajnych	68170729	6379843	4258429
		Dochody nadzwyczajne	3270	665	33
		Ogółem	68173999	6380508	4258402

Rok 1902.

G u b e r n i e							
Łom- żyńska	Lubel- ska	Piotr- kowska	Płocka	Radom- ska	Suwal- ska	Siedle- cka	Ogółem
R	U	B	L	E			
576143	1107579	1885100	683013	859286	692898	831671	12639925
87433	313585	2346692	138997	202259	105287	112949	7256561
1476	7213	137985	5096	2945	5122	1074	871050
80901	190647	756261	46183	91156	55444	90705	2570371
13589	173013	79034	16810	24078	32096	16659	1571099
17681	919346	48069	223386	13106	—	—	13876288
—	—	3327	—	—	—	—	943936
—	20	213940	5	1795	—	13119	229062
1663330	32202	8612532	94562	12598	6791739	1862	4041159
145576	323299	1198332	144530	204891	169721	153005	5381604
93743	265060	499194	125822	199260	92541	165664	3090910
2817	12781	10424	4218	4592	1142	8280	62033
—	—	46567	—	—	—	—	421989
674	1146	2807	1239	838	509	618	272288
30120	70600	164300	60722	34407	34295	28230	1033232
—	—	64903	—	50573	—	—	157549
107239	190080	688586	88700	119380	127745	102790	3481249
28806	67001	246516	26306	31314	51747	21354	1059230
956608	2978633	6964464	940545	1632374	1378454	1491763	31730730
23527	7076	48905	11129	17518	35307	6413	886610
514994	270063	771628	217190	742319	933504	265325	5459528
—	—	—	—	—	—	—	—
6450	6176	4679	4010	2838	7102	20434	177290
—	—	—	—	—	—	—	—
728	2319	1610	2263	815	183	1883	191377
—	—	—	—	—	—	—	559665
4288	24634	25655	12881	36791	5624	5911	365742
—	—	—	—	—	—	—	—
42761	50703	94261	45396	40842	87865	37088	1149998
5711	34411	283637	7675	9001	9608	7200	962154
36668	30540	38269	24678	14708	42429	19684	621524
4471263	7078129	25236677	2925360	4349882	10660365	3403691	136934358
51	712	1584	173	17	12	215	6733
4471314	7078841	25238261	2925533	4349899	10660377	3403896	136941091

Rok 1908.

N SS	porządkowy budżetu państwa	Gubernie			
		WYSZCZEGÓLNIENIE			
		War- szawska	Kaliska	Kiele- cka	
		DOCHODÓW			
		R U B L E			
		Dochody zwyczajne.			
1	1	Podatki bezpośrednie: gruntowy, z nieru- chomości miejskich i podymne wiejskie	4353797	998887	733580
2	2	Podatek przemysłowy (opłaty od przemy- słu i handlu)	3096951	248869	200108
3	3	Podatek od dochodu z kapitałów (kupo- nowy i od procentów opłacanych przez banki)	741680	7000	3883
4	4	Akcyza od trunków	1160427	122598	42726
5	5	" " tytoniu.	1290904	26334	25288
6	6	" " cukru	9074654	306627	78001
7	7	" " nafty	784598	—	—
8	8	" " zapalek.	273	—	1
9	9	Dochód z ceł, pobieranych na komorach	25053608	1048818	55869
10	10	Opłaty stempłowe wszelkiego rodzaju	3123558	230620	208917
11	11	" " od spadków przechodzących tytu- łem darmym.	1559665	225632	167493
12	12	Opłaty od pasportów	—	—	—
13	13	" " podróŜnych na kolejach Źelazn. i ładunków za frachtem pospiesznym.	436603	—	—
14	14	Opłaty od ubezpieczeń ogniowych.	233182	2215	1757
15	15	" " róŜnych nazw.	591260	39358	28869
16	16	Dochody od przemysłu górniczego	—	—	—
17	17	Regalia rządowe: dochód z mennicy	—	—	—
18	18	" " z poczty	2025782	142284	107235
19	19	" " z teleg. i telefonu	571198	39578	28285
20	20	" " z monopolu wód- czanego	10952837	2848111	1826280
21	21	RóŜne pozycye czynszowe i dzierŜawy dóbr skarbowych	292689	11137	13503
22	22	Dochód z lasów rządowych	873453	221188	751893
23	23	" " od rządowych dróg Źelaznych	—	—	—
24	24	Fabryki i zakłady rządowe, instytucye techniczne i składy	87735	2973	19269
25	25	Dochód od papierów procentowych stano- wiących własność skarbu i dochody banku państwa.	282879	2913	803
26	26	Dochód z udziału skarbu w dochodach dróg Źelaznych.	875728	—	—
27	27	Dochód ze sprzedaŜy rządowego majątku nieruchomego	188872	24323	22755
28	31	Opłaty obowiąŜujące od dróg Źelaznych	—	—	—
29	32	Zwrot pożyczek i innych wydatków	700835	58832	62876
30	33	Zasiłki skarbu z funduszków postronnych	642225	7235	4504
31	35	RóŜne drobne dochody przypadkowe	348907	28007	15536
		Ogół dochodów zwyczajnych	69344297	6643489	4399521
		Dochody nadzwyczajne	2255	—	—
		Ogółem	69346552	6643489	4399521

Rok 1903.

G u b e r n i e							
Łom- żyńska	Lubel- ska	Piotr- kowska	Plocka	Radom- ska	Suwal- ska	Siedle- cka	Ogółem
R	U	B	L	E			
580492	1112200	1946132	717870	897765	700851	835934	12877458
83021	286920	2283739	135909	200396	101624	111671	6749207
1614	7542	155898	5915	5367	6685	1489	937073
97750	212519	809062	51795	90305	63308	101631	2752122
14174	181365	76178	14931	22827	37642	16479	1706123
16977	1032169	93590	121317	485	—	—	10723820
—	—	16572	—	—	—	—	801170
2	3	199216	25	2	604	11704	211829
1701417	34935	8822356	118929	14844	7688219	2069	44536109
147532	342094	1269484	179584	216611	168300	163063	6049763
87870	253066	524419	170929	172028	81410	167265	3410378
—	—	—	—	—	—	—	—
—	—	30433	—	—	—	—	467036
1050	2597	3450	2605	1467	1183	1719	251225
30866	91927	158325	32290	32441	42538	27484	1075856
—	—	—	—	1601	—	—	1601
110583	203505	759158	93511	124179	134259	112585	3813081
30193	70838	317106	27899	34263	54161	24648	1198218
1081088	3147766	7135413	990335	1674627	1200281	1626442	32483179
20803	7403	39033	11877	9605	37410	8580	452043
671280	408737	903193	219430	1070574	1088867	310910	6519525
—	—	—	—	—	—	—	—
5985	6811	6003	4048	16770	5258	20393	175246
909	4931	1635	780	2462	187	1370	298870
—	—	17100	—	—	—	—	892828
4808	36761	75061	11687	29856	11239	5181	410543
54819	64548	134647	55304	60236	95805	63905	1351807
3790	34232	321422	7247	10708	9593	7544	1048591
25942	49014	32770	24228	11081	42831	18329	596646
4772969	7591983	26131892	2993444	4701100	11572257	3640397	141791349
—	409	1066	45	—	4	53	3833
4772969	7592392	26132958	2993489	4701100	11572261	3640450	141795181

Rok 1904.

№ porządkowy SS budżetu państwa	WYSZCZEGÓLNIENIE			Gubernie		
	DOCHODÓW			War- szawska	Kaliska	Kiele- cka
				R	U	B
				L	E	
	Dochody zwyczajne.					
1 1	Podatki bezpośrednie: gruntowy, z nieru- chomości miejskich i podymne wiejskie	4596975	1013537	723154		
2 2	Podatek przemysłowy (opłaty od przemy- słu i handlu)	3268428	240908	149973		
3 3	Podatek od dochodu z kapitałów (kupo- nowy i od procentów opłacanych przez banki)	845188	7910	4135		
4 4	Akcyza od trunków	1086561	111912	40914		
5 5	" " tytoniu.	1284995	29209	20813		
6 6	" " cukru	10052312	319446	59096		
7 7	" " nafty	847351	—	—		
8 8	" " zapalek.	—	—	—		
9 9	Dochód z ceł, pobieranych na komorach	19797388	1135321	48758		
10 10	Opłaty stempłowe wszelkiego rodzaju	2891512	250374	181541		
11 11	" od spadków przechodzących tytu- łem darmym.	1321265	234567	109114		
12 12	Opłaty od pasportów.	—	—	—		
13 13	" " podróżnych na kolejach żelazn. i ładunków za frachtem pospiesznym.	445252	—	—		
14 14	Opłaty od ubezpieczeń ogniowych.	283599	3303	2233		
15 15	" różnych nazw.	496322	40089	26193		
16 16	Dochody od przemysłu górniczego	—	—	—		
17 17	Regalia rządowe: dochód z mennicy	—	—	—		
18 18	" z poczty	2230020	156821	117924		
19 19	" z telegr. i telefonu	630288	43675	33063		
20 20	" z monopolu wódl- czanego	10937853	2696192	1619768		
21 21	Różne pozycje czynszowe i dzierżawy dóbr skarbowych	302216	9538	10018		
22 22	Dochód z lasów rządowych	941726	239994	609281		
23 23	" od rządowych dróg żelaznych	—	—	—		
24 24	Fabryki i zakłady rządowe, instytucje techniczne i składy	70653	3067	8397		
25 25	Dochód od papierów procentowych stano- wiających własność skarbu i dochody banku państwa.	396503	1741	903		
26 26	Dochód z udziału skarbu w dochodach dróg żelaznych.	470555	—	—		
27 27	Dochód ze sprzedaży rządowego majątku nieruchomego	245947	16335	24331		
28 31	Opłaty obowiązujące od dróg żelaznych	—	—	—		
29 32	Zwrot pożyczek i innych wydatków.	707270	60900	54399		
30 33	Zasilki skarbu z funduszy postronnych	669450	8498	4592		
31 35	Różne drobne dochody przypadkowe	409224	43937	19120		
	Ogół dochodów zwyczajnych.	65228855	6667275	3867720		
	Dochody nadzwyczajne.	367	—	475		
	Ogółem	65229222	6667275	3868195		

Rok 1904.

G u b e r n i e							
Łom- żyńska	Lubel- ska	Piotr- kowska	Płocka	Radom- ska	Suwal- ska	Siedle- cka	Ogółem
R	U	B	L	E			
573516	1138078	2071244	690872	865909	694123	818297	13180704
95310	294735	2325916	139761	209782	103019	115583	6943414
1637	8812	166095	6492	5917	6740	2044	1054971
99976	216684	751545	52559	83118	82527	101890	2627687
16559	163019	76689	17936	23574	39675	17403	1689873
37920	477127	12925	47147	12806	—	—	11018779
—	—	12960	—	—	—	—	860311
—	4	218488	40	—	715	15167	234416
1368933	33623	7901337	133983	24904	7086818	812	37531876
140141	354207	1241894	180581	206149	173386	162543	5782327
86095	250785	463695	150556	149369	87044	123448	2975938
—	—	—	—	—	—	—	—
—	—	3395	—	—	—	—	458647
1321	2980	5711	2461	2156	1868	1928	307561
31696	87212	160520	27615	32985	40901	26132	969665
—	—	—	—	—	—	—	—
113469	220491	921649	101750	137616	168269	114293	4292303
36833	81290	399108	35248	39437	57859	28239	1385039
1013337	2994480	6713101	945864	1523285	1016794	1590989	31051663
17537	8332	42407	13733	10813	35367	12916	462878
568614	386646	716352	203781	846108	876394	295174	5784071
—	—	—	—	—	—	—	—
5575	5180	4950	4930	2547	5398	15415	126113
566	1952	1668	894	632	187	1481	406526
—	—	11400	—	—	—	—	481955
4121	16384	64830	11272	32460	5439	4369	425489
48418	59646	124446	51265	58562	83642	42608	1291155
3897	35068	284974	7208	10716	9021	8131	1041554
33017	51810	133448	25332	15822	31064	38896	801670
4298488	6883544	24830744	2851281	4294668	10606251	3537760	133066587
—	19	49	32	—	—	13	955
4298488	6883563	24830704	2851313	4294668	10606251	3537773	133067542

Tablica V.

WYDATKI

Królestwa Polskiego

Za lata od 1900 do 1904 włącznie.

Rok 1901.

Miejscowość	G u b e r n i e										Ogółem
	Warszawska	Kaliska	Kielecka	Koźmżyńska	Lubelska	Piotrkowska	Płocka	Radomska	Suwałska	Siedlecka	
R											
I											
L. Wydatki zwyczajne.											
1	488	—	—	—	—	300	—	—	—	12	800
2	19064	422	275	553	373	377	293	213	178	290	19040
3	117108	9268	14640	12292	388583	26440	6748	27231	66812	300147	967269
4	86260	—	—	30	—	126000	—	247	100	3000	984637
5	4773	—	—	—	—	—	—	—	—	—	4773
6	24445418	1064995	892196	3555655	4444341	1648215	2809139	1093407	2968396	1538889	44260652
7	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
8	9108411	2717373	1302863	1653651	2908039	2562602	1363667	1210712	1474469	1236650	25598237
9	152877	23683	497915	64866	43927	137903	26924	109435	155806	16207	1229542
10	3064508	526302	482960	424577	640933	1031195	440292	482621	481554	453087	8028037
11	1256001	131087	128153	84863	430592	250478	95612	102379	118958	189313	2790035
12	16981374	32889	45419	53280	37099	30687	30687	86681	170019	42206	17499655
13	1345630	339562	357116	256338	400497	532837	270611	331791	294992	326076	4475451
14	320038	—	—	58794	60235	—	—	—	—	—	439067
15	1000	400	—	—	—	—	—	—	—	94810	96810
Ogół wydatków zwyczajn.											
	57673951	4845982	3721243	5966999	9435220	6336348	5043973	3444717	5731285	4201186	106401005
II. Wydatki nadzwyczajne.											
Razem wydatki zwyczajne i nadzwyczajne.											
	1595842	773455	460	17211	1568888	282340	255	812900	78526	286	5130103
Zestawienie.											
	59269793	5619437	3721803	5984210	11004108	6618688	5044228	4277617	5809811	4201472	111531168
Ogół dochodów zwyczajnych											
	62436162	6008664	4198978	4033150	6828852	25500708	2793492	4444846	10482234	3358547	130143634
" wydatków											
	57673951	4845982	3721243	5966999	9435220	6336348	5043973	3444717	5731285	4201186	106401005
Dochodów w porównaniu z wydatkami (mniej).											
	4762211	1162682	475634	—	—	19164360	—	1000129	4750949	—	23742629
	—	—	—	1873849	2606368	—	2250481	—	—	—	842640

Rok 1904.

5 porządk.	G u b e r n i e										Ogółem	
	War- szawska	Kie- lecka	Łom- żyńska	Lubel- ska	Piotr- kowska	Płocka	Radom- ska	Suwal- ska	Siedle- cka			
	R u b i e											
	L. Wydatki zwyczajne.											
1	510	39	—	135	—	300	—	—	—	—	16	1000
2	15977	365	122	379	375	370	195	605	311	—	—	18454
	15653	7400	8191	11959	413810	21583	7291	39163	334837	—	—	1000402
3	629701	32	—	140	1266	—	—	—	3000	—	—	634139
4	4761	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	4761
5	23010341	761255	896398	3837904	4345044	1686883	2501126	2820559	1770155	—	—	42769832
6	415	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	415
7	10627049	3129611	1502429	1792448	3303335	2822901	1576017	1444391	1653630	1506142	—	29357952
8	206293	29454	158227	61788	48098	142035	27346	101031	141410	168429	—	1081111
9	3828908	568376	499248	448642	690120	1161321	472216	509361	500505	473917	—	9142813
10	1272460	151204	128042	74832	487282	304387	111170	146292	150037	218175	—	3043880
11	18407610	42244	48966	59691	110737	5326	38133	113536	141282	31850	—	18998473
12	1583633	339451	375400	252076	425143	624629	262239	335023	282099	326092	—	4825786
13	380208	—	—	66261	70780	—	—	—	—	—	—	523248
14	640	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	80864
15	60118659	5016432	3616421	6906454	9901990	6769734	5015733	3795271	3729289	4913788	—	111483772
	4896666	372558	450371	314643	376486	835496	592793	370618	762735	887438	—	9859802
	65015325	5388989	4066792	6921097	10278476	7605230	5608526	4165889	6492024	5801227	—	121343574
	65228855	6667275	3867720	4298488	6883544	24830744	2851281	4294668	10606251	3537760	—	133906587
	60118659	5016432	3616421	6906454	9901990	6769734	5015733	3795271	3729289	4913788	—	111483772
	5110196	1650843	251299	—	—	18061010	—	493896	4876962	—	—	21582815
	—	—	2307966	3018446	—	—	2164452	—	—	—	—	1376028
	II. Wydatki nadzwyczajne.											
	Razem wydatki zwyczajne i nadzwyczajne											
	Zestawienie.											
	Ogół dochodów zwyczajnych											
	" wydatków "											
	Dochodów w poró- (więcej).											
	wnaniu z wydatkami (mniej)											